

Christer Mjåset

Autor bestsellera „Lekarz, który wiedział za dużo”

# Białe kruki

Mjåset [...] tak prowadzi opowieść,  
że czytelnik nie jest w stanie  
odłożyć książki na bok.  
Kurt Hanssen, *Dagbladet*



smak  
  
słowa

mroczny zaułek

**Powiada się również, że w tej lodowej krainie**

**znaleźć można wiele dzikich kruków,**

**a niektóre z nich są nawet białe.**

**Olaus Magnus, *Historia ludów Północy***

# Część 1

## Przeciwstawny



===aglvX2lePQ87CjNXbgw+CTAHYgBmUGVXZ1VmXmoOa1s=

# 1. Mathias

Mathias Grande kopniakiem otworzył drzwi do sali operacyjnej numer 12 i wszedł z uniesionymi, świeżo umyтыми rękami. Przystanął na środku pomieszczenia, żeby zebrać myśli. Najchętniej byłby teraz w każdym innym miejscu poza Szpitalem Uniwersyteckim Haukeland, a najmniej ze wszystkiego pragnął być lekarzem-asystentem na Oddziale Neurochirurgii z całą odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła. Nie wiedział bowiem, czy naprawdę się do tego nadawał.

Odnotował, że podeszła do niego instrumentariuszka, otworzyła usta i coś powiedziała, ale w jego głowie słowa te zlały się w bełkot. Wziął oddech i spróbował się skupić.

– Możesz powtórzyć?

– Rękawiczki. Jaki jest rozmiar twoich rękawiczek?

– Siedem i pół.

Pielęgniarka skinęła głową jak mnich świątynny i przesunęła się obok niego, nie mówiąc nic więcej. Mathias pochylił się nad stołem, na którym leżała otwarta paczka z fartuchem operacyjnym. Drżały mu dłonie, kiedy chwycił fartuch i potrząsnął nim, by rozprostować materiał. Kiedy wsuwał ręce w rękawy, przez głowę przelatywały mu myśli o wszystkim, co mogło pójść źle, jak migawki telewizyjne o błędach w sztuce lekarskiej, których byłby głównym sprawcą. Wiedział, że nie powinien tak myśleć, ale ta świadomość mu nie pomagała. Obrazy napływały same bez względu na to, jak bardzo z nimi walczył.

Wzdrygnął się, gdy ktoś ujął jego fartuch operacyjny i zapiął rzepy na plecach. Czekając na rękawiczki, zerknął na zegar nad drzwiami. Była już czwarta. Środek nocy. Zaledwie parę godzin wcześniej leżał w dyżurce, pogrążony w głębokim śnie i nie przeczuwał żadnego niebezpieczeństwa. Teraz zaś nagle stał tutaj, przeżywając ciężkie chwile. Ni mniej, ni więcej. Leżący na stole pacjent był zaledwie dwudziestokilkulatkiem, u którego wystąpił krwotok wewnątrzczaszkowy. Zadaniem Mathiasa było usunięcie krwawienia – a świadomość, że oto po raz pierwszy miał samodzielnie otworzyć czaszkę, bynajmniej nie koła jego nerwów.

– Spójrz no tu, Grande! – zabrzmiał głos Edith, instrumentariuszki, która miała stać u jego boku w sterylnym polu zabiegowym. Trzymała przed nim rękawiczkę w taki sposób, że mógł do niej wsunąć rękę. Zrobił, jak kazała, zdobywając się nawet na uśmiešek pod maską chirurgiczną, kiedy na obu rękach znalazły się po dwie rękawice. Edith była starą, cwana lisicą, która znała na wylot wszystkie procedury operacyjne. Trudno by było o lepszą pomocnicę tej nocy.

– *Voilà!*

Edith klasnęła w dłonie na znak zadowolenia. Mathias podszedł do głowy pacjenta. Ze wszystkich stron przykrywały ją serwety chirurgiczne. Obnażona była jedynie ta połowa, którą ogolił i na której tuszem zaznaczył linię cięcia. Położył rękę na gładkiej skórze i poczuł, że serce łomocze mu jeszcze mocniej. Miał wrażenie, że cały pokój tętni. Spojrzał na przeciwny koniec stołu operacyjnego, gdzie personel anestezjologiczny uwijał się jak w ukropie za pionową zasłoną, rozpiętą, aby oddzielić jałową część sali od części brudnej.

– Podano mannitol? – zapytał.

– Podano – odparł anestezjolog, unikając jego wzroku. Wydawał się spięty i miał po temu powód.

– A keflin?

– Też.

– No to zaczynamy.

Mathias odwrócił się do Edith, żeby poprosić o nóż, ale zobaczył, że pielęgniarka już mu go podaje.

– Słuchaj, Grande – powiedziała tak cicho, żeby nikt inny nie słyszał. – Damy sobie radę. Pójdziemy krok za krokiem, tylko mów do mnie wyraźnie. Okej?

Mathias przytaknął. Ujmując trzonek noża, czuł drżenie w całym ciele. Nigdy w życiu nie bał się bardziej. I to chyba raczej błędów, które mógł popełnić, niż ich konsekwencji dla pacjenta. Ale nie powinien teraz zaprzętać sobie tym głowy.

Czas było zacząć.

\*

Zbliżało się wpół do trzeciej, kiedy zadzwonili do niego po raz pierwszy. Na wyspie Sotra doszło do bójki na imprezie, znaleziono nieprzytomnego chłopaka. Przetransportowano go helikopterem do szpitala, gdzie czekał już zespół urazowy, gotowy przewieźć go w głąb budynku. Niedługo później Mathias stał w sterowni pracowni tomografii komputerowej i oglądał zdjęcia, przesuwające się po ekranie komputera. Białe pasmo, rozciągające się między wewnętrzną stroną czaszki a lewą półkulą mózgu, nie pozostawiało złudzeń. Duża ilość krwi zebrała się w tym miejscu i uciskała mózg, sprawiając, że linia środkowa przesunęła się o kilka centymetrów w prawo. Jeżeli w krótkim czasie krew nie zostałaby usunięta, chłopak by umarł. To oczywiste.

Mathias natychmiast przedzwonił do lekarza pełniącego dyżur telefoniczny, Pera Irgensa. W Szpitalu Haukeland Irgens był nie byle kim. Od lat osiemdziesiątych kierował oddziałem, ale ostatnio przekazał ster innym. Szykował się już wprowadzić do przejścia na emeryturę, ale wciąż nalegał, żeby dawano mu dyżury. Tych, którzy go znali, niezbyt to dziwiło. Nadal wielką radość sprawiały mu wyzwania, nie mówiąc już o tym, że ciągnęło go do popisywania się, jakby był dwudziestolatkiem. Sam Irgens był tego w pełni świadomy i lubił to potwierdzać w opowiadanych historiach. Wszyscy słyszeli, jak przed kilkoma laty zerwał sobie więzadło krzyżowe w kolanie w wyniku groźnego upadku przy skoku narciarskim z siedemdziesięciometrowej skoczni. Nie dał za wygraną i znów skoczył; tym razem się udało.

Kiedy tej nocy Mathias wyjaśnił mu sytuację, spodziewał się szybkiego „Już lecę”. Starszy lekarz zamilkł jednak na kilka sekund, po czym zadał swoje odwieczne, enigmatyczne pytanie:

– Jaki jest najważniejszy mięsień neurochirurga?

Mathias słyszał to już mnóstwo razy. Irgens miał w zwyczaju pytać o to, kiedy chciał zabić ćwieka młodszym kolegom lub studentom. Wbrew przypuszczeniom wielu, nie chodziło mu bowiem o łacińską nazwę tego czy innego mięśnia. Chciał tylko podkreślić, że neurochirurg powinien mieć pewną rękę i być gotów w równej mierze wycofać się lub podjąć działanie. Niezdarność mogła przynieść duże szkody. Mathias odparł bez namysłu:

– Przeciwstawny. Układam pacjenta do operacji i przygotowuję się do cięcia.

W porządku?

Znowu zapadła cisza. Mathias zaczął powątpiewać, czy Irgens rozumie powagę sytuacji i powtórzył pytanie. Wreszcie jednak starszy lekarz odpowiedział.

– Myślę, że sam sobie poradzisz, Mathias.

– Co sugerujesz?

W słuchawce odezwało się pełne irytacji chrząknięcie.

– To, co mówię. Kiedyś musi być ten pierwszy raz i nigdy nie będziesz się czuł do niego w pełni przygotowany. Niemniej jednak nie zapominaj o przeciwwstawnym.

Zanim Mathias zdążył coś dodać, na linii zabrzmiało kliknięcie. Mimo to jeszcze przez chwilę stał ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Zaczęło narastać w nim jakieś uczucie. Bardzo

przypominało lęk.

\*

Mathias przyłożył gazik do obnażonej już czaszki. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Ujął kraniotom i przytknął czubek wiertła do powierzchni kości w miejscu, gdzie miał wywiercić otwór. Zanim zdążył nacisnąć pedał i uruchomić urządzenie, Edith zaczęła rozpylać wodę w okolicy czubka wiertła. Gdy zagłębiło się ono w czaszce, wokół posypały się wióry kostne. Mathias nie lubił tych wiertel. Zaprojektowano je tak, żeby wyłączały się po przejściu przez kość czaszki, on jednak nigdy nie czuł się dość pewny, że to nastąpi. Na szczęście usłyszał lekki trzask, oznaczający uruchomienie blokady. Już miał przyciągnąć do siebie kraniotom, gdy zrozumiał, że Edith trzyma urządzenie: usunęli je razem.

– Przygotuję piłkę – powiedziała.

Podala mu piłkę drutową Olivecrona, za pomocą której miał wyciąć okrągłą płytkę kostną. Spojrzy wtedy wreszcie na niebieskobiałą błonę, która ukaże się w dole. *Dura mater* – opona twarda – otaczała mózg grubą warstwą. Chcąc usunąć krew, musiał dostać się pod nią, ale zarazem, przecinając kość, nie mógł o nią zaczepić, żeby nie uszkodzić naczyń krwionośnych lub zagłębić się w tkance mózgowej. Byłoby to, rzecz jasna, niezbyt fortunne.

– Proszę!

Podniósł wzrok, a piłka trafiła do jego rąk. Mocno ujął uchwyt i wprowadził cieniutkie ostrze do otworu, wykonanego kraniotomem. Poczuł, że rąbek piły dobrze się zaczepił o spód kości. Teraz wystarczyło skupić się na mięśniu przeciwstawnym. Nacisnął pedał. Piła uruchomiła się z wizgiem. Poleciały wióry kostne, a nad otworem w czaszce uniosła się strużka dymu. Mathias poczuł, że metal pod rękawiczką się rozgrzał, chociaż Edith starała się, jak mogła chłodzić go wodą. Ważne było, żeby odważyć się na wystarczająco duży otwór. Gdyby okazał się on zbyt mały, nie udałoby mu się usunąć całej krwi zalegającej na korze mózgowej. Nie spieszył się, przerywał pracę, kiedy czuł, że ostrze napotyka za duży opór, po czym znów do niej powracał. Wkrótce piła zatoczyła krąg i mógł ją wyjąć, i stwierdzić, że nie doszło do naruszenia leżącej poniżej błony.

Zanim przeszedł dalej, zrobił sobie przerwę. Zadanie było wyczerpujące, chociaż przed operacją wlał w siebie supermieszkankę Irgensa: w tekturowym kubku równą ilość kawy i koncentratu owocowego. Dużo kofeiny. Dużo cukru. Musiał się uśmiechnąć. Zaczął się uspokajać, łomot serca w piersi przestał być nieprzyjemny, a zamiast tego stał się motywujący. Dotknął okrągłego płatu kostnego, który właśnie wyciął, i uniósł go ostrożnie. Skrobiąc delikatnie jego spód skrobaczką do okostnej, oddzielił od niego pasma tkanki, przytrzymujące go w dole. Wkrótce potem mógł przekazać skrawek Edith. Przyjęła go jak noworodka, owinęła w wilgotny bandaż kompresyjny i włożyła do metalowej misy pełnej wody, stojącej na stoliku instrumentalnym.

Tak, czuł się już spokojniejszy. Niebezpieczeństwo wciąż jednak nie minęło. Dopiero teraz dotarł do samego mózgu i popełniając błąd w tej chwili, mógł wyrządzić nieodwracalne szkody.

– Nóż twardówkowy.

Ledwo skończył słowo, a już poczuł w ręku instrument. Edith zawsze była parę kroków przed nim. Nawet teraz, w środku nocy, stała na palcach, nachylając się ku niemu, czujna jak drapieżny ptak. Nie wszystkie instrumentariuszki takie były. Może to dlatego wyrwało mu się słowo, które rzadko się słyszy na sali operacyjnej:

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Odpowiedź padła błyskawicznie i nie zachęcała do dalszej rozmowy. Mathias przyłożył ostrze do opony mózgowej i przycisnął nóż. Z małego nacięcia natychmiast pociekł rzadki płyn o barwie syropu na kaszel. Bez wątpienia dotarł do nagromadzonej krwi.

– Nożyce i pęseta chirurgiczna.

Polecenie znowu wydało mu się zbędne. Z ręki już wyjęto mu nóż. Wkrótce między palcami poczuł nożyce, ale podniósł wzrok na głos Edith.

– Daj mi ssak, to dostaniesz pęsetę.

Oczywiście. Lewej ręki też przecież nie miał wolnej. Pozwolił pielęgniarce wziąć ssak, po czym jego ręka zawisła w powietrzu, dopóki między palce nie trafiła pęseta. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały, po czym Edith spojrzała na pole operacyjne i umieściła ssak w nacięciu opony mózgowej.

– Tylko nie myśl, żeby mi znowu dziękować – oznajmiła, zanim zdążył coś powiedzieć. – Zostawmy to sobie na później.

Mathias się nie odezwał. Wiedział, że miała rację. Znowu.

Zakrzepła krew przypominała galaretkę o barwie porto. Przytknął końcówkę ssaka do obrzeży skupiska krwi. Edith zaczęła tymczasem ostrzykiwać wodą czerwoną masę, która zareagowała po części rozstępując się na boki, po części zaś się rozpuszczając. Mathias też poprosił o strzykawkę i odtąd pracowali ramię w ramię, cierpliwie przemywając obszar operacyjny i odsysając krew. Wkrótce ich oczom ukazał się nagi, nieskalany mózg. Tak zapewne musiało wyglądać lądowanie na obcej planecie. Sfałdowana, beżowa powierzchnia lśniła w świetle lampy operacyjnej. W bruzdach między zakrętami wiły się węzowato żyły, tłuste i liliowe, z długimi, białymi pasmami opony pajęczej, *arachnoidea*. Tętnice natomiast, zgrabne i niemal różowe, płynęły jak narybek przez krajobraz barwy piasku.

– Pulsuje! – zawołała Edith. – To dobry znak.

Mathias sięgnął po szczypce biopsyjne, leżące na stoliku instrumentalnym i pomógł usunąć skrzepy. Edith miała rację. Fakt, że dzięki uderzeniom krwi mózg miarowo się unosił, oznaczał jego prawidłowe ukrwienie i zwiększał szanse na to, że mózg nie uległ poważniejszemu uszkodzeniu.

Tak. Będzie dobrze. Mózg został odbarczony i większość roboty mieli już za sobą. Teraz wystarczyło dolać dużo wody, po czym zamknąć twardówkę i umocować wyciętą płytkę kostną. Chociaż... chwila!

Odwrócił się do ekranu na ścianie, który wyświetlał zdjęcia z tomografu. W głębi mózgu były jakieś stłuczenia, które w najgorszym razie mogły spowodować jego nowy obrzęk i ucisk w czaszce.

– Założymy czujnik ciśnienia – orzekł i zauważył, że Edith, która pochylała się właśnie nad stolikiem instrumentalnym i sprzątała, zamarła. Zanim się odezwała, zrozumiał, że się z nim nie zgadza.

– Nie budzimy pacjenta?

– Założymy czujnik... i nie, nie będziemy go budzić.

– Ani Lohmann, ani Hasselgren nie przepadają za czujnikami ciśnienia, ale tego chyba nie muszę ci mówić.

Mathias wbił lukowatą igłę w oponę mózgową i zrobił pierwszy węzeł. Dobrze wiedział, do czego piła Edith. Lohmann, ten zwłaszcza uważał, że stopień świadomości pacjenta po wybudzeniu był w przebiegu intensywnej terapii pewniejszym sygnałem niż abstrakcyjna wartość ciśnienia. Pytanie brzmiało jednak, czy musiał się tym kierować. Już miał przeciągnąć najkrótszą nitkę na bok, tak by Edith mogła ją obciąć, ale zanim zdążył to zrobić, czekała

z nożycami. Chwyciła drugą nić i pociągnęła ją, aż ta się napięła. Edith zrozumiała już, że Mathias zakłada szew ciągły. Cudowna była, ta Edith. Chłopak mógł leżeć pod respiratorem z założonym czujnikiem ciśnienia wewnątrzczaszkowego, znajdować się pod nadzorem i powoli być wybudzany. Można by to pewnie uznać za przesadną ostrożność, ale lepsze to niż ryzyko.

– Założymy czujnik – powtórzył.

Edith zwróciła się do brudnej koleżanki<sup>[1]</sup>, która siedziała przy ścianie z kiwającą się głową.

– Doktor Grande chce czujnik ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Załatwisz mu go?

Pielęgniarka zerwała się na równe nogi, jakby zadzwonił budzik. Mathias odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Znów dojrzał zegar, wiszący na ścianie powyżej. Wskazywał, że zbliżała się szósta godzina doby. Dyżur dobiegał końca. Boże, ależ był zmęczony. Ruszył barkami. Mięśnie były obolałe i sztywne, ale w głębi jego duszy odezwało się uczucie, którego nie czuł już od bardzo, bardzo dawna. Lęk, narastający w nim zaledwie parę godzin temu, teraz zupełnie zniknął. Zastąpiło go wielkie szczęście.

<sup>[1]</sup> Pielęgniarka brudna – pielęgniarka, która nie bierze bezpośredniego udziału w operacji, w związku z czym nie musi spełnić wymogów aseptyki, przyp. tłum.



## 2. Mathias

Deszcz bębnił w szklaną kopułę nad sypialnią. To pozbawione okien pomieszczenie, oddane do użytku neurochirurga, który pełnił dyżur, przypominało celę. Mathias odłożył plik papierów na biurko, wcisnięte w róg między drzwiami i ścianą. Był gotów na udział w rytuałach poranka. Za pół godziny lekarze zatrudnieni na Oddziale Neurochirurgii mieli zebrać się na Radiologii na pierwszym piętrze, by usłyszeć o badaniach przeprowadzonych w ciągu ostatniej doby. Następnie winda miała zawieźć ich na siódme piętro, gdzie w sali seminaryjnej przeanalizują stan pacjentów przyjętych na oddział. Właśnie dlatego Mathias zajrzał wcześniej na Pododdział Nadzoru Neurochirurgicznego NOVA, skontrolował odpływ z drenów i zamienił parę słów z pielęgniarkami, które tej nocy zajmowały się pacjentami. Miał pełen obraz sytuacji. I co najważniejsze: tomografia komputerowa wykonana u młodego chłopaka po nocnej operacji nie wykazała obecności krwi, za to dobre warunki przestrzenne w czaszce. Uderzyła go myśl, że może jednak trochę się pospieszył z zakładaniem czujnika ciśnienia, ale teraz było już po sprawie. Udało mu się przejść przez najgorsze – a wynik wydawał się sukcesem.

Rozebrał się i wszedł do ciasnej łazienki, odkręcił kurki prysznic i zaczął czekać, aż woda się nagrzej. Wciąż rozpierało go szczęście, które poczuł pod koniec operacji. Może jeśli poprosi, pozwolą mu na udział w którymś z zabiegów po zebraniu porannym? Starsi chirurdzy na oddziale bardzo doceniali tego typu inicjatywy. Nadal pamiętał komentarz starszego lekarza Odda Hasselgrenna, kiedy miał nieszczęście narzekać w jego obecności na niedostateczne wsparcie dla lekarzy-asystentów.

– Marudzenie nic nie da, Grande. Jeżeli chcesz się czegoś nauczyć, to umów się z żoną, żeby zajęła się domem, a sam zostań po dyżurze i przyjrzyj się pracy starszych kolegów. Jeśli ma być z ciebie neurochirurg, to musimy zobaczyć, że cię to obchodzi.

Być neurochirurgiem.

Oczywiście, że tego pragnął. Mógł więc tylko przytaknąć, kiedy zwierzchnik z przestarzałym poglądem na rolę kobiety wyrokował o zapotrzebowaniu na mężczyznę w domu. Trzeba się było przyłożyć do pracy. Mimo że była to harówka, do tej pory udało mu się jakoś przetrwać na tymczasowej posadzie, ale ta właśnie dobiegała końca. Jak dotąd nikt go nie uprzedził, czy może liczyć na przedłużenie kontraktu, sam zaś bał się pytać. Wiedział, że aby pozostać, potrzebuje stanowiska naukowego na stałe. Tej jesieni planowano nabór na trzy takie posady, a jak na razie jedynymi kandydatami byli on i dwie inne osoby. Na tle Niemca Wernera Schlunka, który zdążył obronić doktorat, i młodej badaczki Thei Michelsen, która pracowała już nad projektem pod okiem profesora z oddziału, wypadł najgorzej. Mimo to powinno się udać – no chyba że wygłupiłyby się tuż przed ogłoszeniem naboru.

Wsunął rękę w strumień płynący z prysznic i stwierdził, że woda nareszcie zrobiła się letnia, kiedy dobiegł go znajomy dźwięk.

Pager.

Poczuł dosłownie, jak hormony stresu przenikają mu do krwi. Typowe, że pager odzywał się zawsze wtedy, gdy człowiek próbował się ogarnąć. Wrócił do dyżurki i wprowadził swój stały numer odbiorczy do telefonu. Odezwała się kobieta.

– Grande, dyżurny neurochirurg – rzekł do słuchawki. – Zaraz będzie zebranie poranne. Czy to nie może poczekać?

– Ech... tu Ingrid z OIOM-u. Nie sądzą.

– Aha.

– Mamy kłopoty. Może pan przyjść?

– Teraz? Idę pod prysznic. Czy coś...?

– Chodzi o pańskiego pacjenta. Chcemy, żeby przyszedł pan jak najszybciej. ICP wynosi sześćdziesiąt.

– Sześćdziesiąt? – wyrwało mu się. ICP. *Intracranial pressure*. Ciśnienie wewnątrzczaszkowe. Powinno utrzymywać się poniżej dwudziestu. Obrócił się do łazienki, skąd sączyła się para z gorącej wody. Jeszcze nigdy myśl o prysznicu nie była mu równie odległa.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak pędził. Stopnie schodów w dół do recepcji dosłownie znikały mu pod nogami. Ściany długich korytarzy prowadzących na OIOM przemykały obok, jak film na przyspieszonym podglądzie. Przecież tak zadbał o hemostazę, kiedy zamykał powłoki. Taki był neurotycznie dokładny. Wypalił wszystkie małe naczynia krwionośne. Nie pozostało nic, co mogłoby tłoczyć krew do oczyszczonej przestrzeni. Mimo to wiedział, że nie było innego wyjaśnienia tak niebotycznego skoku ICP. Ciśnienie w czaszce nie wzrosłoby tak szybko, gdyby nie wystąpiło ponowne krwawienie.

Okrzyżł ostatni róg i przed łukowatą ladą recepcji OIOM-u zauważył kobietę, którą uznał za Ingrid. Zwolnił i spróbował się opanować. Możliwe, że było już za późno, żeby cokolwiek zrobić. Ale w razie wątpliwości pacjent powinien natychmiast wrócić na stół operacyjny w celu otwarcia czaszki. Stawką było tu jego życie. Ni mniej, ni więcej.

– Wciąż sześćdziesiąt? – spytał zdyszany, podszedłszy do pielęgniarki, ale wyraz jej twarzy starczył mu za odpowiedź.

– Jest u niego Sandemann. Zadzwoń do pracowni TK. Są gotowi, czekają na nas.

Taa, Sandemann. W takiej chwili musiał oczywiście trafić na starszą lekarz Karinę Sandemann. Za każdym razem, kiedy słyszał jej nazwisko, nie mógł przestać myśleć o podobnie brzmiącym Kapitanie Sabeltannie. I to nie tylko dlatego, że regularnie przedawkowywał kreskówkę o „szablozębnym” piracie, odwożąc córkę do opiekunki. Sandemann rozkoszowała się utarczkami z chirurgami – zwłaszcza młodszymi, którym brakowało doświadczenia – i ścierała się z nimi, kiedy tylko mogła. Dlatego poczuł ulgę, gdy wchodząc do pokoju pacjenta, zauważył, że lekarka pochyla się nad pompami anestetycznymi.

Mathias stanął przy łóżku i obrzucił badawczym spojrzeniem ekran aparatu do pomiaru ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Widniała na nim liczba 56 mmHg. Skontrolował wzrokiem, czy przewód czujnika jest prawidłowo przytwierdzony do głowy pacjenta. Potem ujął barierkę ochronną łóżka i spróbował się skupić. Nie było dobrze. Oczyma wyobraźni widział już, jak Mons Lohmann kręci głową na zbliżającym się zebraniu porannym. Młody lekarz-asystent na dyżurze porwał się z motyką na słońce – a teraz bardziej doświadczeni będą musieli ratować sytuację. Mógł sobie tylko pomarzyć o stałym stanowisku naukowym. Skończy się odprawą w niełasce.

– A pan to kto?

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Kariny Sandemann. Okolona czarnymi włosami twarz była blada, prawie biała. Nie tylko z nazwiska przypominała Kapitana Sabeltanna.

– Mathias Grande, dyżurny z Neurochirurgii.

Sandemann obróciła się do Ingrid, która stanęła w bezpiecznej odległości od pojedynkujących się.

– Kiedy każe dzwonić po dyżurnego, to nie chodzi mi o jakiegoś młodego szeregowca, który robi za panią z recepcji. Chodzi mi o operatora.

Mathias wziął oddech.

– Ja operowałem – powiedział.

Sandemann obróciła się z powrotem do niego. W jej oczach błysnęła pogarda.

– A, więc to pan tak się popisał dziś w nocy? No cóż, pański pacjent zaczął krwawić – ruchem głowy wskazała czujnik ciśnienia. – Może pan nam pomóc zawieźć go teraz na rentgen.

Dobrze by też było, żeby zawiadomił pan swojego dyżurnego telefonicznego. To nie pan będzie reoperował.

Słyszając ostatni komentarz, Mathias spuścił wzrok.

Nie. Jemu już tak nie zaufają.

– Zadzwoń – wymamrotał.

– A blankiet zlecenia rentgena leży tam. – Sandemann wskazała stolik u stóp łóżka. –

Jeśli go pan wypełni, to za parę minut będziemy gotowi wieźć pacjenta. Ingrid? Chodź no i pomóż mi odpiąć aparaturę.

Ruchem ręki przywołała pielęgniarkę, która zaraz pospieszyła w jej stronę. Mathias podszedł do stolika, na którym leżał blankiet zlecenia badania. Sięgnął do kieszeni na piersi, ale zorientował się, że nie ma długopisu, wziął więc kartkę i ruszył do biurka z telefonem po drugiej stronie pokoju. Podniósł ołówek leżący na stosie papierów i zaczął pisać:

„Operowany nocą z powodu ASDH. ICP 60. Ponowny krwotok?”.

Złożył podpis we właściwej rubryce i obrócił się do Sandemann, która w najlepsze przenosiła pompy i ekrany systemu monitorowania na łóżko pacjenta. Wiedział, że powinien zadzwonić, ale nie mógł się przemóc. Cała sytuacja wydawała mu się niemal nierealna. Wszystko szło przecież tak dobrze. Aż dotąd.

Przyjrzał się czystej, jakby uduchowionej twarzy młodego pacjenta na łóżku. Tylko rurka intubacyjna i opatrunek uciskowy u podstawy czaszki zdradzały, że coś jest nie tak. Gdyby nie one, można byłoby spokojnie uznać, że chłopak głęboko śpi. Z ciśnieniem wewnątrzczaszkowym na poziomie 60 prognozy były dlań kiepskie. Nie wyjdzie z tego bez trwałych uszkodzeń mózgu. O ile w ogóle z tego wyjdzie.

Mathias uniósł słuchawkę. Wystarczyło zrobić, co mu kazano. Przynajmniej serce chłopaka wciąż biło. Rytm jego pracy rysował się równomiernie na ekranie. No i ciśnienie krwi miał niezłe.

Opuścił słuchawkę.

Ciśnienie krwi – w normie?

Sekundę później szedł już przez pokój. Ciśnienie skurczowe krwi było poniżej setki.

A powinno być wyższe, żeby zrównoważyć wysokie ciśnienie wewnątrzczaszkowe. Organizm zawsze stara się zapewnić mózgowi jak najlepsze ukrwienie.

Doszedłszy do łóżka, uniósł ręką obie powieki chłopca jednocześnie. Źrenice były wielkości szpilki. Oznaczało to brak ucisku na trzeci nerw czaszkowy. Czy możliwe, że...?

– Co pan wyprawia?

Sandemann obróciła się do niego.

– Kiedy zauważyliście, że ciśnienie wzrosło?

– Pan myśli, że co my tu właściwie robimy? Że kiedy rozdzwania się alarm, to kręcimy się w kółko i zastanawiamy, co dalej?

– Ja nic nie myślę. Zastanawiam się tylko, kiedy zauważyliście wzrost ciśnienia.

– Przy wymianie aparatu – wtrąciła się Ingrid. – Poprzedni spadł na podłogę podczas transportu. Nie zamontowaliśmy nowego, dopóki nie przywieziono pacjenta.

Mathias zakręcił się wokół własnej osi.

Nowy aparat do pomiaru ICP. Aparaty wymagały kalibracji przed użyciem.

Znalazł kartę znieczulenia i wyszukał na niej numer kalibracji czujnika ciśnienia: 483. Strzelał na chybił trafił, ale nie miał nic do stracenia.

Podniósł wzrok. Ingrid stała przy aparacie.

– Wyłącz go – powiedział, wskazując urządzenie.

– Co?

– WYŁĄCZ GO!

Wzdrygnęła się, gdy podniósł głos, ale wykonała polecenie.

– Grande, czy panu już całkiem odbiło?

Sandemann podeszła do niego.

– Włącz go z powrotem!

Kiedy Ingrid nacisnęła guzik zasilania, aparat do pomiaru ICP wydał przeciągły elektroniczny jęk.

– Powtarzam panu, Grande: to będzie miało konsekwencje. Słyszysz mnie pan?

Ekran rozbłysł niebieskim, neonowym światłem. W duchu Mathias znów ujrzał Monsa Lohmanna, czerwonym długopisem starannie skreślającego jego nazwisko z listy kandydatów na stałą posadę.

– Pięćset dwadzieścia siedem – odezwała się Ingrid. Mówiła szybko. Wiedziała już, dokąd zmierzał. – Czy to się zgadza z...?

Zajrzał do karty znieczulenia, chociaż wiedział, co tam znajdzie. Musiał mieć jednak całkowitą pewność.

– Nie, czterysta osiemdziesiąt trzy. Możesz...?

– Już się robi.

Uniósł wzrok. Karina Sandemann stała z rękami na biodrach i szczęką wysuniętą do przodu. Jej blada twarz nawet nie drgnęła, kiedy chwilę później pielęgniarka wykrzyknęła:

– Trzy milimetry słupa rtęci! Ciśnienie wynosi trzy! Boże, ale mi ulżyło. Z tego pośpiechu musiałam zapomnieć o kalibracji.

Radosny śmiech, który nastąpił po tych słowach, zabrzmiał w jego uszach jak muzyka.

Mathias zamknął oczy. Ten dyżur to był kawał roboty. Na szczęście dobiegał końca. Otworzył oczy i udał się do wyjścia. Kiedy mijał Karinę Sandemann, w jego głowie odezwała się melodia. Chwilę później zawtórował jej na głos:

– Kapitan Sabeltann... to bardzo groźny pan...

Mina starszej lekarz Kariny Sandemann bynajmniej nie była łagodna, kiedy napotkał jej wzrok:

– Przejmie pani dowodzenie nad statkiem?

### 3. Mathias

Na oddziale obowiązywało niepisane prawo, że na sali demonstracji RTG starsi lekarze siadali w pierwszym rzędzie. Nie było w tym zresztą nic niezwykłego. Na wszystkich oddziałach, na których Mathias do tej pory pracował, spotkał się z podobną zasadą. Mimo to zdarzało się czasem, że na zebraniach porannych pojawiali się studenci medycyny, chcąc do lunchu prześledzić rozwój wydarzeń na oddziale – i z niejasnych przyczyn któryś z nich zawsze łądował w pierwszym rzędzie. Tak jak tego ranka. Odda Hasselgrena pozbawiono stałego miejsca przy ścianie i zepchnięto do drugiego rzędu. Mathias, który spóźnił się parę minut, minął go w wąskim przejściu pośrodku sali, po czym skręcił do trzeciego rzędu. Hasselgren siedział z założonymi rękami i podbródkiem przyciśniętym do piersi. Nietrudno się było domyślić, kto tego dnia będzie głównym oponentem w trakcie przeglądu zdjęć rentgenowskich.

Opadł na pierwsze wolne krzesło dokładnie w chwili, gdy na ekranie z przodu pomieszczenia zmienił się obraz. W okamgnieniu rozpoznał zdjęcia z badania TK, które zrobiono po przywiezieniu chłopaka z krwiakiem podtwardówkowym.

– „Młody chłopak, zaintubowany w chwili przybycia, kilkakrotnie uderzony w głowę gitarą elektryczną. Rana cięta okolicy ciemieniowej lewej. Według informacji znaleziono go nieprzytomnego z GCS 5 na miejscu zdarzenia”.

Radiolog siedział rozparty na krześle przy trzech podłużnych monitorach komputerowych na lewo od ekranu. Założył ręce za głowę, a na jego usta wypełzł błogi uśmieszek.

– Co się stało? Solówka nie wyszła?

Tu i ówdzie na sali odezwał się śmiech.

– Jeśli nikt nie zna lepszych żartów, proponuję wrócić do sprawy – rozległ się głos Hasselgrena. Zgodnie z przewidywaniami nie był w najlepszym humorze.

– Cóż – rzekł radiolog, nagle wyprostowany jak uczeń w ławce. – Mamy tu więc duży i świeży krwiak podtwardówkowy nad całą lewą półkulą. Widać również pomniejsze krwawienia ze stłuczeń w obrębie płata skroniowego i znaczne przesunięcie linii środkowej. Złe warunki przestrzenne u podstawy czaszki. A tutaj jest wynik przeprowadzonej w nocy operacji...

Mathias nie umiał powściągnąć uśmiechu, kiedy przez ekran przesunęła się kolejna seria projekcji osiowych. Białe pasmo, oznaczające nagromadzoną pod twardówką krew, zniknęło. Pod pokrywą czaszki widniało wprawdzie kilka bąbelków powietrza, ale były to czysto kosmetyczne defekty. Przecież nie można było zrobić tego lepiej?

– Proszę powiedzieć, czy to czujnik ciśnienia tam widzę? – rzekł znowu Odd Hasselgren. Wtrącał się, kiedy chciał. Mathias wiedział, że musi się odezwać.

– Tak, postanowiłem założyć czujnik z powodu krwawień miąższowych. Były słabe warunki przestrzenne, kiedy zamykałem twardówkę, więc nie chciałem ryzykować i budzić pacjenta od razu.

– No cóż...

Hasselgren pozwolił, by słowa zawisły w powietrzu, i nikt nie kwapił się dodać nic więcej. Cisza, która zapadła, coraz bardziej ciążyła. Radiolog przenosił wzrok z Mathiasa na Hasselgrena i z powrotem.

– Mogę mówić dalej?

Hasselgren cicho westchnął.

– A jakie jest teraz ciśnienie?

– Trzy – odparł Mathias.

– I co ci to mówi?

– Że... mózg jest dobrze odbarczony?

– Właśnie. Powiedz mi, kto pełnił dyżur telefoniczny dziś w nocy?

– Irgens.

Hasselgren rozejrzył się po sali.

– No, a starego kozła jak zwykle nie ma... ale coś mi się zdaje, że wkrótce wróci oznaczyć teren.

Na sali rozległy się stłumione chichoty. Większość zebranych dobrze знаła tę frazę. Mathias spostrzegł nagle wpatrzoną w siebie parę oczu w pierwszym rzędzie. Ordynator oddziału Mons Lohmann obrócił się na krześle w jego stronę.

– Proszę przekazać na OIOM, żeby wybudzili pacjenta, Grande. I pozbyć się tego czujnika, okej?

Mathias opadł na krześle.

– W porządku – odparł.

Co więcej mógł powiedzieć?

\*

– Musicie poczekać na następną.

To nie ulegało wątpliwości. Winda była pełna. Wysoki, patykowaty Werner Schlunk zajął ostatnie miejsce. Mathiasa uderzyła myśl, że kolega, wciśnięty między dwóch neurologów – zatrudnionych na oddziale w celu odbycia obowiązkowej półrocznej specjalizacji dopełniającej – nadal wyglądał na wyczerpanego. Już od dłuższego czasu sprawiał wrażenie osoby na skraju załamania, co jednak w jego wypadku nie było znów takie niezwykle. Wszyscy przywykli do huśtawki Wernera. Bo kiedy gorsze okresy mijały, potrafił szybować naprawdę wysoko.

Mathias cofnął się o kilka kroków i oparł o ścianę. Zmęczenie po całodobowym dyżurze zaczynało przejmować nad nim kontrolę. Uczucie przypominało otepiałe odurzenie. W takim stanie nie sposób myśleć i działać jednocześnie. Mówi się nie to, co się chce. I dlaczego właściwie założył ten czujnik ciśnienia? Gdyby sobie darował, uniknąłby konfrontacji z Sandemann, a Lohmann i Hasselgren byłiby zadowoleni.

– Widać skończyło się serwowanie ciasta.

Mathias podniósł wzrok i zobaczył, że obok stanęła Thea Michelsen. Uśmiechała się podejrzanie przyjaźnie.

– Serwowanie ciasta?

– A nie była to twoja pierwsza kraniotomia? Kiedy Irgens był szefem, to zamawiał tort na taką okazję. Tak przynajmniej słyszałam. Tak czy owak, gratulacje. Zdjęcia pooperacyjne były naprawdę w porządku.

Musiał przyjrzeć się jej przez kilka sekund, nim zrozumiał, że mówiła szczerze.

– Dzięki – odparł. – Szkoda, że nie usłyszałem tego też od starszych. Zwłaszcza teraz.

– Myślisz o posadach, na które mają ogłosić nabór?

Przytaknął.

– Zakładam, że także będziesz się starać o miejsce?

– Jasne. Raczej nie chciałoby mi się zostać na oddziale dla rozrywki.

Thea podeszła do przycisku wzywającego windę i nacisnęła go, mimo że już świecił. Dziwna z niej była kobieta. W jednej chwili odpychająca, w drugiej zaś przyjazna. Nigdy jej nie rozumiał. Przyglądał się jej uważnie, jak stoi wyprostowana i czeka. Jak zwykle nieumalowana, z półdługimi włosami zebranymi w koński ogon. Nigdy nie próbowała podkreślać swojej kobiecości. Może świadomie. W tym zawodzie kobieca płęć bynajmniej nie była zaletą.

– Swoją drogą, nie powinnaś mieć teraz wolnego tygodnia?

Kiwnęła głową.

– Tak. Ale wiesz jak to jest.

– Nie. Jak to jest?

Poczuł lekkie wyrzuty sumienia, widząc, że wprawił ją w zakłopotanie swoim tonem, ale zaraz się opanowała.

– Mam na myśli to, że trzeba spędzać czas wolny tutaj, żeby nałapać sobie dość operacji, a i tak nikt ci za to nie płaci.

Mathias przypomniał sobie słowa Hasselgrena o zostawaniu po dyżurze. Najwyraźniej nie tylko jemu to zakomunikowano.

– Wiem, o czym mówisz, tak. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zgłosił nadgodziny, odkąd się tu zatrudniłem. Pokażcie mi kogoś, kto ma tę odwagę.

– Prawda? No, ale nie mam wyboru. Wciąż mi brakuje samodzielnej kraniotomii, którą ty zrobiłeś dziś w nocy. A to się liczy, teraz, kiedy konkurencja się zacieśnia.

– Przecież masz niezłe szanse. Z projektem doktoratu i tak dalej...?

Obróciła się do niego. Jej oczy się zwężyły.

– Więc nie słyszałeś?

– Czego?

Drzwi windy się rozsunęły. Ich oczom ukazała się kabina pełna pacjentów i ich krewnych. Mathias poszedł za Theą i stanął obok niej. Szarpnęło, gdy winda ruszyła w górę przez kolejne piętra. Musiał zrobić krok na bok, żeby utrzymać równowagę, a kiedy się wyprostował, Thea nachyliła się ku niemu. Mówiąc, ściszyła głos.

– To tylko plotki – powiedziała. – Nie wiem nic pewnego. Ale nie wydaje mi się, żeby zrobili nabór aż na trzy posady.

## 4. Thea

To była zwyczajna kradzież. Thea Michelsen wpatrywała się w Williama Ødegårda, siedzącego po przeciwnej stronie podłużnego stołu w sali seminaryjnej na siódmym piętrze. Ødegård był niskim ponurakiem z regionu Østerdalen o maleńkich oczkach i przeszywającym, niemożliwym do złapania spojrzeniu. Dzisiaj też nie miał odwagi na nią patrzeć, wiedząc, że zrozumiała, iż ukradł jej pacjenta.

W zasadzie zrobił to całkiem elegancko. Głównym problemem starszego mężczyzny, którego prowadziła w poradni i zgłosiła na operację z powodu wodogłowia normotensyjnego, była powoli narastająca chwiejność. Z zabiegiem nie trzeba było się spieszyć. Pacjent miał podwyższone ciśnienie płynu mózgowo-rdzeniowego i wymagał drenażu komór mózgu. Należało umieścić mu pod skórą dren, zaopatrzony w wentyl i wężyk, który pozwoliłby na odprowadzenie płynu do jamy otrzewnej. Thea rozmawiała z sekretarkami medycznymi i wyznaczyła datę operacji, która pasowała do jej planu dyżurów, a siebie wpisała jako główną operatorkę. Było to standardowe postępowanie na oddziale. Ale oto nazwisko pacjenta pojawiło się nagle na liście oczekujących na zabieg w jej wolnym tygodniu z Ødegårdem jako głównym operatorem. Coś tu nie grało.

– Pacjent chodzi o kuli, chwiejąc się wyraźnie, a kiedy się odwraca, musi robić dodatkowe kroki, żeby utrzymać równowagę. Poza tym żadnych zaburzeń, nie stosuje antykoagulantów. Zapisany dzisiaj na wszczępienie zastawki komorowo-otrzewnowej.

Thea bazgrała od niechcienia na swojej liście pacjentów, podczas gdy Kubańczyk Rolando łamanym norweskim referował przypadek. To on przyjął pacjenta i wypełnił kartę hospitalizacji. Zatrudniono go na oddziale w ramach półrocznej specjalizacji dopełniającej, która była mu niezbędna do zdobycia tytułu neurologa – ale ani się nie nadawał do zgłębiania tajników neurochirurgii, ani go to nie interesowało. Po prostu robił, co musiał. I co teraz? Gdyby zaprotestowała podniesionym głosem, to tylko postawiłoby ją w złym świetle. Ødegård na pewno podałyby jakąś przekonującą wymówkę, dlaczego pacjenta wezwano na operację wcześniej, niż planowano. Może znalazłaby czas, żeby zweryfikować jego wyjaśnienie w ciągu dnia, ale dla uczestników zebrania nie miałyby to już znaczenia. Zyskałaby opinię trudnej lekarki-asystentki, a to nie byłoby zbyt mądre. Ostatecznie nie miała stałej posady naukowej, jak Ødegård czy jego dwaj kumple, Ingvar Bø i Gjert Hole.

Podniosła wzrok znad bazgrołów i przyjrzała się uważnie trzem mężczyznom po drugiej stronie stołu. Jak zwykle siedli obok siebie. Nathalie, studentka na stanowisku tymczasowym, którą przyjęto, żeby załatać dziury w systemie dyżurów, nazwała ich raz „trójgłowym trollem”. Właściwie trafiła w sedno. Ødegård, Bø i Hole byli mniej więcej w jednym wieku, wszyscy w połowie specjalizacji. Pochodzili z małych wiosek w różnych częściach kraju i wcześniej się połapali, że jeśli będą wymieniać się przysługami i wspierać w dyskusjach, pozwoli im to podzielić łupy, czyli operacje, między siebie. W każdym młodszym koledze widzieli zagrożenie swojej hegemonii w kaście lekarzy-asystentów.

– Widzę, że operatorem jest Ødegård?

Mons Lohmann rozejrzył się wśród zebranych, aż trafił na Ødegårda, który przytaknął, uparcie patrząc w stół. Nadal nie miał odwagi podnieść wzroku. Szuja jedna.

– Jaki rodzaj zastawki planujesz wszczępić?

– Codmana.

– A opór?

– Standardowy. Sto dwadzieścia, w porządku...?

Thei nie udało się stłumić cichego chichotu. Kilka osób zerknęło na nią, ale nie



odwzajemniła spojrzenia.

W porządku? Cóż za przebiegłość. Pozwól Lohmannowi współdecydować, spraw, żeby poczuł się ważny. Chyba nie mogła tak po prostu pozwolić, żeby uszło mu to płazem? Zmusiła się, żeby spuścić wzrok, i rysowała zajadle. Zapełniła już bagażami całą stopkę strony. Teraz zabrała się za margines.

– Pewnie – odezwał się Lohmann – sto dwadzieścia będzie w sam raz. Przejdźmy do kolejnego pacjenta. Anwar Ahmed, kto go przyjął?

Rolando zaczął przerzucać papiery.

– Też ja – odparł, zerknął na jedną z kartek, po czym odłożył ją na sam spód sterty i kontynuował poszukiwania.

Thea spostrzegła nagle, że Ødegård uniósł głowę. Gapił się na nią zza stołu, mrużąc chytrze oczy. Jej długopis sam znieruchomiał na papierze.

– Chwileczkę...

Obróciła się do Lohmanna. Ordynator siedział rozparty na krześle z rękami splecionymi na brzuchu. Muskularne ramiona mogłyby należeć do zapaśnika, ale czarna, zadbana broda świadczyła o nieco większej wytworności właściciela.

– To ja zgłosiłam pacjenta na operację. Dlaczego nie poinformowano mnie o zmianie?

Zwróciła się do Ødegårda. Ten znowu odwrócił wzrok i rozłożył ręce w geście, który najwyraźniej miał świadczyć o jego niewinności.

– Podczas dyżuru w weekend skontaktowała się ze mną córka pacjenta – powiedział swoim silnym dialektem z Østerdalen. – Była zmartwiona, uważała, że stan ojca się pogorszył. A przy tym tak się złożyło, że z dzisiejszego grafiku wykreślono jeden zabieg, więc...

Thea próbowała stłumić uśmiech, który mimowolnie wkradł jej się na usta. Pewnie. Telefon od krewnego na dyżurze. Jeśli rybka chwyci przynętę, to za nic nie wypuść z rąk wędki. Ciągnij aż na brzeg.

– A przy tym tak się złożyło, że miałam wolny tydzień.

– Nie podobają mi się twoje insynuacje. Stan pacjenta się pogorszył i przedłożyłem jego dobro nad twoje. Czy to aż takie dziwne?

– Ale przecież przed chwilą słyszeliśmy, że on jest w stanie sam chodzić, potrzebuje tylko laski. Jest dokładnie w takim samym stanie, co kilka tygodni temu, kiedy widziałam go w poradni. Zgadza się?

Przeniosła wzrok na Rolanda, szukając potwierdzenia. Zaczął się już chyba domyślać, o co tak naprawdę chodziło, ale z jego spojrzenia emanowała obojętność, nic więcej. Z jego strony nie miała co liczyć na wsparcie.

A co z siedzącą nieopodal kobietą, profesor Ingvild Falk? Jediną kobietą na oddziale ze stopniem starszego lekarza i jej promotorką? Dlaczego ona nie mogła się odezwać?

No, powiedz coś!

Powiedz coś, do...

– No cóż, Theo – wtrącił się Mons Lohmann. – Zostajesz dziś na oddziale?

Zwróciła się do niego i skinęła głową. Wpatrywał się w nią wąskimi oczami o ciemnopiwnym kolorze, z rękami nadal założonymi na piersiach, tak jakby chciał popisać się muskulaturą.

– Chciałabyś zoperować pacjenta, Theo?

Nawet się nie uśmiechnął. Nie dał żadnego znaku, że jest po jej stronie. Zamiast tego gapił się na nią tak intensywnie, jakby samą siłą spojrzenia chciał rzucić ją na kolana. Znowu przytaknęła.

– Niech więc będzie. Ødegård, ty możesz zająć się przepukliną szyjną, zapisaną na dzisiaj

pod numerem dwa w sali trzynastie. Powinieneś wreszcie wziąć się na dobre za chirurgię kręgosłupa. Tak czy inaczej, mamy dzisiaj dużo pacjentów na liście i musimy iść dalej. Rolando, proszę kontynuować!

– Przejdźmy więc do Anwara Ahmeda...

Rolando zdążył już znaleźć właściwą kartkę z notatkami i zaczął sprawozdanie, informując o stanie pacjenta i wynikach przeprowadzonych badań. Thea nie miała siły dłużej go słuchać. Pozwoliła myślom odpłynąć. Chwilę później biegła leśną ścieżką. Nogi niosły ją naprzód.

Kiedy wyjdzie ze szpitala, pójdzie pobiegać. To jedno było pewne.

Nagle zauważyła, że Ingvild Falk próbuje ściągnąć na siebie jej wzrok. Spojrzała na profesor i spostrzegła, że ta mówi coś bezgłośnie, samym ruchem warg.

„Pa-mię-taj o na-szym spot-ka-niu”.

Thea zacisnęła w rękę długopis i wróciła do bazgrania.

Jasne, pani profesor. Pamiętam.

\*

– Wolalabym, żebyś w trakcie wolnego tygodnia skupiła się na pisaniu artykułu.

Ingvild Falk założyła półdługie, siwiejące włosy za uszy, tak że wyglądała nawet poprawniej niż zwykle. Jej fryzura była utrwalona dwiema spinkami, podkreślającymi przedziałek pośrodku głowy, jak u dziewczynki, która zapuszcza włosy. Thea daremnie próbowała usadowić się wygodnie na drewnianym krześle u końca podłużnego stołu. Na ławie tortur, jak go nazywała. Siadywała na nim regularnie, żeby słuchać kazań pastor Falk.

– Przecież sama pani widziała, co się działo – zaprotestowała.

– Wszyscy widzieli. Ale to bez znaczenia.

– To był mój pacjent.

– Pacjenci nie należą do nikogo, Theo.

Falk demonstracyjnie wzięła oddech, jak nauczycielka rozczarowana uczniem. Thea przyjrzała jej się uważnie. Spod lekarskiego fartucha wyzierała kwiecista bluzka. Spodnie były zaprasowane w kant, buty miały grube, wysokie obcasy. Można było odnieść wrażenie, jakby Falk wyglądem starała się podkreślić, że już nie operuje. Była badaczką, przeznaczoną do szlachetniejszej pracy.

– Dobrze, żeby udało się opublikować artykuł jeszcze przed końcem roku. Chodzi o dofinansowanie, które dostanę z uniwersytetu.

– Niedługo go skończę.

– Ile czasu ci trzeba?

– Może go pani dostać nawet jutro.

Falk uniosła brwi.

– Bardzo by mi to pasowało. Mogłybyśmy wtedy spotkać się znowu pojutrze. Co ty na to?

– Niech będzie.

– Świetnie!

Ingvild Falk zmierzyła ją wzrokiem.

– Wiesz – zaczęła, pochylając się w fotelu. Gładkie ręce złożyła jak do modlitwy. – Najlepiej by było dla ciebie, gdyby artykuł przyjęto jeszcze przed ogłoszeniem naboru na stałe posady. Dzięki temu mocno wybijesz się przed konkurencję. Praca badawcza to jedno, ale publikowanie – to już coś zupełnie innego, prawda?

Thea skinęła głową.

– Tak – przyznała. – Rozumiem.

– W takim razie porozmawiamy jutro.

Falk klasnęła w ręce na znak, że skończyły, i obróciła fotel do komputera. Thea wstała, ale zastygła w miejscu. Pomyślała o Mathiasie Grande: zbladł jak płótno, gdy zdradziła mu zasłyszane pogłoski. Może powinna była zachować je dla siebie. Przecież na razie były to tylko plotki.

– Jeszcze coś?

Ingvild Falk obróciła się w fotelu. Znów splotła ręce. Brakowało jej tylko aureoli nad głową, żeby dopełnić obrazu świętości, w który sama zresztą wierzyła. Jasne. Każdego mogłaby zmylić – ale Thea wiedziała swoje.

– Czy to prawda, co się słyszy na temat liczby posad?

– Nie wiem, Theo, nie wiem. – Falk przekrzywiła głowę empatycznie. – Niemniej jednak na pewno nie będą trzy, więc któreś z was – ty, Mathias albo Werner – będzie musiało pożegnać się z oddziałem. Trzeba zadbać o to, żeby nie padło na ciebie.

## 5. Werner

To było nie do zniesienia. Werner Schlunk siedział, gapiąc się na telefon, znajdujący się na drugim końcu małego gabinetu anestezjologii na bloku operacyjnym. Zamknął oczy, próbując zdławić nagły impuls. Najchętniej przeszedłby przez pokój, podniósł słuchawkę i wybrał numer komórki Hanne.

– *Nein, du rufst jetzt nicht an* – wyszeptał do siebie.

Wziął oddech i zatrzymał go w płucach. Nie, nie mógł ulec pokusie. Nic dobrego by z tego nie wyszło.

Przesunął ręką po twarzy i pod palcami poczuł szorstki zarost. Musiał się ogolić. Powinien też ściąć włosy. Problem w tym, że wieczorami nie ruszał się z domu. Przez ostatni miesiąc głównie czekał na powrót Hanne. Minęły trzydzieści dwa dni, odkąd od niego odeszła. Trzydzieści dwa długie dni. W międzyczasie w Bergen na dobre zawitała jesień. Deszczowe dni były częstsze, wieczory skracala szybko zapadająca ciemność. Tęsknota za nią wciąż zaś sprawiała mu taki sam ból. O ile nie większy.

Świeciło słońce i było dwadzieścia stopni, kiedy wrócił do domu i znalazł kartkę naklejoną na lodówkę. Hanne mówiła, że nie lubi pracy w przychodni w dole miasta, zamierzał więc poprawić jej humor, robiąc dobry obiad i otwierając jedną z butelek wina, które tego lata przywieźli z Frankonii. Wszedł do kuchni i zaczął przyrządzać żabnicę, kupioną w sklepie rybnym przy ulicy Nattlandsveien. Zamówił ją kilka dni wcześniej, bo wiedział, że Hanne lubi tę rybę, zwłaszcza natartą oliwą i czosnkiem i upieczoną. Dopiero kiedy wkładał wino do schłodzenia, spostrzegł żółtą kartkę Post-it przyklejoną do drzwi lodówki.

„Nie dzwoń do mnie!”

Od tamtej pory się nie odezwała. Nie zadzwoniła, nie wysłała esemesa ani listu. Nic. Skontaktował się z jej przyjaciółkami, ale żadna nie chciała przyznać, że coś wie, i udawały zszokowane, kiedy wyjaśnił im, co zaszło.

W korytarzu zabrzmiały kroki. Werner zdążył spostrzec, że przeszedł Odd Hasselgren. Na szczęście starszy lekarz go nie zauważył. Pewnie kierował się do sali operacyjnej. Werner wiedział, że powinien wstać i pójść za nim, ale nie mógł się zmusić. Zamiast tego osunął się na sofie. Dlaczego nie mogła się odezwać? Może miała kogoś innego?

Przycisnął dłoń do skroni, jakby mógł w ten sposób zatrzymać natłok myśli.

– *Nein!*

Zabrzmiało to głośniejsze, niżby chciał. Opuścił ręce na kolana i zerknął w stronę korytarza. Nikogo. Musiał się pilnować. Tu, w Haukeland, ludzie byli skłonni do plotek. Mogłoby przylgnąć do niego jakieś przezwisko, „Stuknięty Werner” albo coś w tym stylu. O ile już jakiegoś nie dostał.

Jego wzrok znów spoczął na telefonie po drugiej stronie pokoju. Nie może ulec pokusie. Nie poniży się do tego stopnia.

Zmusił się, by odwrócić wzrok od telefonu. Zamiast tego przestudiował wygląd ścian w pokoju, reprodukcję któregoś z obrazów Muncha, wycinek ze zdjęciem Brada Pitta zestawiony z twarzą Mathiasa Grande w celu podkreślenia, jacy byli podobni. Potem jego oczy znów odnalazły aparat.

„Nie dzwoń do mnie!”

To było takie niesprawiedliwe. Siedział w jej ojczyźnie i nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje. A przecież przyjechał tu dla niej. Zaprzepaścił szanse na zatrudnienie w Düsseldorfie, bo nie chciała tam zamieszkać.

Mógłby zadzwonić. Mógłby to zrobić, jasne. W mieszkaniu zostały przecież wszystkie jej

rzeczy, a on musiał się w końcu dowiedzieć, na czym stoi. Chciał zaplanować swoje dalsze życie. Zerwali ze sobą czy nie? Miał tu zostać? A może wrócić do Niemiec?

Wstał i zbliżył się do biurka. Przez sekundę się wahał, po czym usiadł w fotelu biurowym. Wystarczyło, że położył rękę na słuchawce, a serce skoczyło mu do gardła. Drugą dłoń oparł na klatce piersiowej i samą siłą woli próbował zmniejszyć częstość uderzeń. Rzecz jasna na nic się to zdało. Dalej był kłębkim nerwów. Stukniętym Wernerem. Ręka osunęła mu się bezwładnie na kolana.

Rzecz w tym, by zachować resztki godności. Powinien dać Hanne tyle czasu, ile jej było trzeba. Z czasem na pewno dziewczyna odczuje potrzebę rozmowy, a wtedy on będzie zwarty i gotowy.

Wyszedł na korytarz i przez szybkę zajrzał na salę operacyjną numer 12. Zaczęto tam już przykrywać pacjenta do zabiegu. To znaczyło, że mógł zacząć się myć. Cofnął się do zlewu w korytarzu i z pojemnika na ścianie wyjął zestaw, złożony ze szpatułki do paznokci i szczotki. Potem uruchomił czujnik, a z kranu popłynęła woda. Przestrzeganie codziennych procedur było ważne, żeby nie wypaść z obiegu. Odkąd Hanne odeszła, co dzień zmuszał się do pójścia do pracy, brał środki nasenne. Leki sprawiały, że rankiem był ospały, znacznie bardziej niż zwykle. Mimo to nie zwierzał się kolegom ani koleżankom z pracy. Nie czuł, że zna tutaj kogokolwiek na tyle, by móc się wywnętrzyć. Zresztą, nikt z jego współpracowników nie spotkał Hanne. Wiedzieli tylko, że przyjechał do Norwegii za dziewczyną. Albo „za miłością”, jak mawiały z uśmiechem niektóre pielęgniarki.

– Werner? – usłyszał za plecami kobiecy głos.

Odwrócił się i przed drzwiami do pokoju wypoczynkowego zobaczył kobietę w standardowym zielonym stroju operacyjnym, ze zwieszonymi luźno rękami. Minęło kilka sekund, zanim rozpoznał jej twarz.

– Anniken?

Uśmiechnęła się.

– Dawno się nie widzieliśmy. Chyba od waszego wyjazdu do Niemiec?

Pokręcił głową, nie przestając żmudnie szorować palców i rąk.

– Nie, nie sędzę.

– Na jakim oddziale pracujesz?

– Na Neurochirurgii.

– Ojej. Wysoko mierzysz, jak widzę. A Hanne? Co ona robi? Jest lekarką rodzinną, prawda?

Przełknął ślinę.

– Tak, pracuje w centrum... Jest na stanowisku tymczasowym.

Odwrócił się do umywalki, prawym łokciem przycisnął dźwignię dozownika i nalał sobie mydło na lewą dłoń. Nie oglądając się na rozmówczynię, zaczął wcierać płyn w skórę, ale Anniken stała za nim, cierpliwie czekając.

– A ja pracuję na Anestezjologii. Dopiero co przyjechałam z Haugesund na specjalizację na oddziale z grupy pierwszej.

– To świetnie.

Obejrzał się przez ramię i skinął głową, chcąc tym zakończyć rozmowę.

– Miło byłoby się znowu spotkać. Może któregoś wieczora wyskoczmy razem na kolację? Wciąż jestem z Jensem, ściągnęłam go za sobą tu, do Bergen.

Skrzyknęły drzwi. Słyszając pogwizdywanie, Werner odgadł, że to Odd Hasselgren wyszedł z sali operacyjnej. Dźwięki podpowiadały mu, że starszy lekarz stanął za nim, na środku korytarza.

– Dzień dobry. Nazywam się Anniken Andersen i właśnie zaczęłam pracę na Oddziale Anestezjologii.

Werner zerknął przez ramię i zobaczył, że Anniken wyciąga do Hasselgrena rękę. Ten najwyraźniej nie był jednak w nastroju do zapoznawania się. Stał jak wryty i wyglądał niemal na zdumionego wyciągniętą do niego prawicą.

– Witam – odparł, zdobywając się na wymuszony uśmiech, po czym sięgnął po leżącą na półce maseczkę chirurgiczną i pospieszył do umywalki.

Werner spostrzegł, że pozostawiona samej sobie Anniken rozgląda się zdezorientowana. Odwrócił się od niej, by nie brać udziału w tej pantomimie.

– Do pogadania, Werner – usłyszał, po czym dźwięk jej kroków zginął w głębi korytarza.

Wiedział, że powinien mieć wyrzuty sumienia, ale prędzej czy później i tak poczułaby się dotknięta aroganckim stylem bycia Hasselgrena. Lepiej, że stało się to teraz.

Jego myśli przerwał szum wody płynącej z kranu. Hasselgren pochylił się nad umywalką. Z pojemnika na ścianie wyłowił własny zestaw akcesoriów, zerwał pokrywkę i wybrał zawartość.

– Bratasz się z wrogiem?

Kiedy uniósł wzrok, Hasselgren badał wygląd swoich paznokci. Były krótkie i równo przycięte, ale na kilku, wzdłuż wałów paznokciowych, widniały resztki czegoś, co przypominało farbę.

– Nie nazwałbym anestezjologów wrogami.

– Do niedawna za znieczulenie ogólne odpowiadali chirurdzy. I tak być powinno, moim skromnym zdaniem. Anestezjolodzy tylko komplikują nam robotę. Zapamiętaj moje słowa. Pewnie będziesz składał papiery jesienią?

Werner przytaknął. I znów to samo: wałkowanie tematu stałych posad. Gdyby miał siły, zaangażowałby się w rozmowę.

– Czekam tylko, aż ogłoszą nabór.

– I ogłoszą. A w międzyczasie trzeba trzymać się starszych lekarzy i zgadzać się ze wszystkim, co mówią. Powtarzaj więc za mną: Anestezjolog jest naszym wrogiem.

Hasselgren nacisnął łokciem dźwignię dozownika mydła na ścianie i spokojnymi, wprawnymi ruchami zaczął nacierać ręce i ramiona.

– No, dalej, Schlunk!

Werner, opanowany, wziął oddech.

– Anestezjolog jest naszym wrogiem – powiedział. Nie miał siły przybrać sarkastycznego tonu.

\*

Należało usunąć całkiem zwyczajny oponiak sklepiści mózgu, łagodny guz, który przez lata wyrósł z opony twardej. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było po prostu wykroić skrawek czaszki. Zdarzało się, że guz był przytwierdzony do powierzchni mózgu, ale badanie MR wykazało, że w tym przypadku nowotwór oddzielała od niej cienka warstwa płynu. Oznaczało to, że zrośnięcie obu struktur było mniej prawdopodobne i że przypuszczalnie można było usunąć guz, pociągając zań. Werner miał dość kompetencji, by dużą część zabiegu przeprowadzić na własną rękę, ale żadne znaki na niebie i ziemi nie wskazywały, że Hasselgren pozwoli mu dzisiaj coś zrobić. Decyzje podejmował główny operator, a często potrzeba było całych lat, zanim zaszczycono kogoś tą odpowiedzialnością. W międzyczasie trzeba było zadowolić się asystą. Przy odrobinie szczęścia któryś ze starszych lekarzy mógł się nad tobą zlitować i pozwolić ci wykonać część procedury: najpierw otworzyć albo zamknąć czaszkę, a z czasem może nawet

popracować nad mózgiem. Wszyscy wiedzieli, że Hasselgren nie był z tych, którzy chętnie dzielą się wiedzą. Lubił operować sam i musiał mieć dobry powód, żeby dopuścić kogoś do stołu. Jak widać, Werner jeszcze mu go nie dostarczył. Tego dnia nawet nie zamierzał próbować. Najchętniej położyłby się na podłodze. Po prostu osunąłby się na dół i tak już pozostał.

– A gdzie muzyka?

Hasselgren oparł dłoń na wygolonym polu na głowie pacjenta i rozejrzał się wokół. Prawie wszyscy wiedzieli, że podczas operacji chciał słuchać jednej płyty. Był to zbiór szlagierów muzyki klasycznej, wyprodukowany przez tanią wytwórnię Naxos. Wernerowi zdarzyło się raz zerknąć na okładkę. Za nagraniem stała orkiestra z Litwy – bardzo przeciętna, ale Norwegowie nie znali się na muzyce klasycznej. Ledwo usłyszeli dźwięk skrzypiec, a już sądzili, że mają do czynienia z kulturą wysoką i klasą.

– Ona jest nowa w sekcji chirurgii głowy i szyi.

Uwaga padła z ust czystej instrumentariuszki, po tym jak wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę brudnej asystentki. Dziewczyna stała w pozie młodej pokojówki, z rękami splecionymi na brzuchu i rozbieganymi oczami nad maską chirurgiczną.

– W górnej szufladzie pod komputerem jest płyta *Ulubione klasyki* – ciągnęła czysta koleżanka. Nowa lotna<sup>[2]</sup> przytaknęła i wybiegła z sali. Hasselgren wyciągnął rękę i poprosił o nóż.

– No to zaczynamy – rzekł głośno w przestrzeń i zrobił łukowate cięcie wzdłuż linii, rozrysowanej na skórze. Werner dzierżył jeden z dwóch dostępnych ssaków i starał się, jak mógł, nie wchodzić w drogę Hasselgrenowi, podczas gdy ten wypalał małe naczynia podskórne, z których sączyła się krew. Nauczył się tego w Niemczech: asystując, nigdy nie zasłaniaj pola operacyjnego.

Trzasnęły drzwi. Werner podniósł wzrok i zobaczył lotną, która szła, wysoko nad głową trzymając płytę CD.

– Znalazłam!

Instrumentariuszka zerknęła przez ramię.

– Odtwarzacz stoi przy telefonie – powiedziała.

Hasselgren poprosił o skrobaczkę do okostnej i zaczął zdrapywać tkanekę pod skórą, by obnażyć powierzchnię czaszki. Wkrótce później smyczkowcy przystąpili do „odmalowywania” powtórzeń w *Kanonie* Pachelbela. Słuchanie tej wersji było niemal torturą. Tempo za szybkie. Pociągnięcia skrzypiec zbyt nieprecyzyjne. Mało tego. Za każdym razem, gdy Werner słuchał tego utworu, nie mógł się skupić na niczym poza dwoma taktami, przez które brnął rząd wiolonczelistów. Osiem nędznych tonów powtarzało się raz po raz, podczas gdy skrzypkowie figlowali, wykonując wariację za wariacją. Wciąż pamiętał frustrację, towarzyszącą niekończącym się próbom orkiestry, w których uczestniczył w rodzinnym mieście, Würzburgu, i gorzki smak aplauzu, którym nagradzano skrzypków po każdym koncercie bożonarodzeniowym. Zagapił się na schludne ręce Hasselgrena, manewrujące w polu operacyjnym. Prawdę mówiąc, w Bergen też tylko akompaniował. Co on właściwie tu robił? Przyjechał tutaj za Hanne. Gdyby nie ona, nigdy by się tu nie przeprowadził. Pogoda była kiepska. Oferta kulturalna naprawdę nie porywała, nawet pomimo corocznego festiwalu muzyczno-teatralnego Festspillene. Przyroda była za to fantastyczna. Widoki z pomieszczeń na siódmym piętrze dane było oglądać tylko nielicznym wybrańcom. To jednak nie wystarczało.

– Myślę, że sam otworzę czaszkę. – Hasselgren wsunął osprzęt do diatermii do przezroczystej kieszeni przymocowanej do sterylnego przykrycia. – Nie wiem przecież, kto z was dostanie stałą pracę, a nie ma sensu inwestować czasu operacji w kogoś, kto nas opuści. Prawda?

Werner spostrzegł, że starszy lekarz posłał mu badawcze spojrzenie, może żeby wywołać

jakąś reakcję, ale udał, że tego nie zauważył. Był wiolonczelistą, a grano *Kanon* Pachelbela.

– Nie – przyznał. – Raczej nie.

– Okej – Hasselgren klasnął w osłonięte rękawiczkami dłonie. – Dajcie kraniotom!

Werner obrócił się do metalowej tacki, na której powinien leżeć przyrząd, ale go tam nie znalazł. Zerknął na instrumentariuszkę, która z kolei spojrzała na nową koleżankę. Ta natychmiast złapała się za głowę.

– O, nie – jęknęła.

Hasselgren rozłożył ręce.

– I czym, pani zdaniem, mam się przebić przez czaszkę pacjenta? Świdrującym spojrzeniem?

Lotna wypadła przez drzwi znacznie szybciej niż za pierwszym razem. Uwaga Wenera znowu skupiła się na skrzypkach, szorujących po strunach. Gra zaczęła przybierać na sile. Do *crescendo* było już niedaleko. Z tego, co pamiętał, kolejną ścieżką na płycie była koszmarna wersja *Adagio* Albiniego. Fakt, że z równą grozą wspominał ten utwór z okresu dorastania, niewiele pomógł. Tu nawet altówka grała melodię przewodnią, podczas gdy wiolonczeliści znów musieli akompaniować.

Werner próbował nie słuchać, lecz daremnie. To było gorsze niż szumy uszne. Uderzyła go myśl, że mógłby podmienić raz płytę z Naxos na jedno z nagrań Karajana z wytwórni płytowej Deutsche Grammophon z niemal identycznym repertuarem. Nikt oprócz niego nie dostrzegłby różnicy, a on przynajmniej nie musiałby słuchać tych litewskich boleści przy każdej operacji z Hasselgrenem.

– Norweska służba zdrowia nie słynie z wydajności, co?

Kiedy Werner uniósł wzrok, spostrzegł, że Hasselgren stoi zwrócony w jego stronę. *Small talk* ze starszym lekarzem? Coraz gorzej.

– Nie jest tak źle.

– Potrwa to dobrych kilka minut. Możesz spożytkować ten czas na powiedzenie mi, dlaczego to właśnie ciebie oddział powinien zatrudnić na stałe.

*Kanon* Pachelbela ucichł. Werner próbował skupić się na tyle, żeby odpowiedzieć, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to że nie powinien był dzisiaj w ogóle przychodzić do pracy. Trzeba było zostać w łóżku.

– Mowę ci odjęło?

– Nie. – W pomieszczeniu zabrzmiały pierwsze tony *Adagio*. Brzmiało to zupełnie jak marsz pogrzebowy. – No cóż... Mam doktorat i...

– Z czego?

– To jest... studium epidemiologiczne hemochromatozy pierwotnej.

Hasselgren zachichotał szyderczo. Był to cienki, szczery, przepełniony złośliwą satysfakcją chichot. Werner słyszał go wiele razy, zwłaszcza gdy mówiono o bezpodstawnych skierowaniach z Oddziału Neurologii. Zdaniem Hasselgrena było ich dużo.

– Hemochromatoza. A cóż to takiego? Masz na koncie jakieś artykuły z neurochirurgii?

Werner pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Żadnych.

– Widzę, że obcy ci jest norweski zwrot „umieć się sprzedać”.

Skrzypnęły drzwi. Na salę weszła lotna ze skrzynką w rękach.

– Jedną minutkę – pisnęła.

Hasselgren ledwo dostrzegalnie uniósł brwi.

– Właśnie mija. Zyskałeś trochę czasu, żeby mnie przekonać, Schlunk. Jakie masz doświadczenie chirurgiczne?



– Tylko z tego roku, kiedy tu pracowałem.  
– I to wszystko?  
– Tak, chociaż... Mój wuj jest neurochirurgiem. Wżenił się do rodziny. Doszkałałem się u niego w trakcie studiów. Właściwie to po egzaminie chciałem się u niego zatrudnić, ale zamiast tego trafiłem do Norwegii.

– Ach, tak. Wuj? A gdzie on pracuje?

– W Düsseldorfie.

– O, tam rzeczywiście jest duże środowisko neurochirurgiczne. Może znasz Roniego Rijkera, specja od osłoniaków nerwu przedśionkowo-ślimakowego.

Werner przytaknął.

– To on jest...

– ...chirurgicznym geniuszem, słowo daję. Mógłbyś się wiele nauczyć z jego artykułów naukowych. Ale może już je przeczytałeś?

Hasselgren znów zaczął drwiąco chichotać.

– Nie czytałem ich znowu tak wiele, ale dobrze znam badania Roniego Rijkera.

– Tak mówisz? A dlaczego, jeśli wolno spytać?

Werner wzruszył ramionami. Wiele razy nachodziła go myśl, że karta, którą zamierzał teraz wyłożyć na stół, była jego asem w rękawie. To dlatego jej dotąd nie użył: chciał ją rozegrać w możliwie najkorzystniejszej sytuacji. Ale teraz to już nie miało znaczenia.

– Bo to Roni jest mężem mojej ciotki.

– Mam!

Instrumentariuszka wyciągnęła kraniotom w stronę Hasselgrena, który zastygł z rękami splecionymi na piersi.

– Rijker ożenił się z twoją ciotką?

Ton starszego lekarza zmiękł. Wyraźnie zmiękł.

– Przepraszam, doktorze Hasselgren – spróbowała znów pielęgniarka – ale tutaj ma pan kraniotom.

Hasselgren chwycił wreszcie instrument.

– No, proszę, Werner. No, proszę!

Kopniakiem wysunął pedał znajdujący się pod stołem operacyjnym, po czym przycisnął go prawą stopą. Ostrze na szczycie kraniotomu zaczęło wirować ze zgrzytliwym, metalicznym wizgiem.

– Jak już mówiłem, nie pozwolę ci otworzyć czaszki, dopóki nie zapadnie decyzja. Muszę jednak przyznać, że siostrzeńcowi Roniego Rijkera trudno będzie odmówić. Siostrze, proszę dać panu Schlunkowi strzykawkę!

Ledwie Werner zdążył unieść wzrok, a już pielęgniarka wcisnęła mu do ręki plastikową strzykawkę. Chwilę później wycie kraniotomu przeszło pokój. Kierując strumień chłodnej wody w stronę wiertła, wdzierającego się w głąb czaszki, Werner poczuł swąd palonej kości.

Znów pomyślał o Hanne. Rzuciłby to wszystko, gdyby tylko zechciała do niego wrócić.

<sup>[2]</sup> Pielęgniarka lotna – pielęgniarka nieprzypisana na stałe do żadnego oddziału, przyp. tłum.

## 6. Mathias

Co tak dzwoni?

Brzmiało to jak dzwonek szkolny. Mathias rozejrzał się wokół. Jeszcze przed chwilą siedział w gondoli, kołyszącej się dziesięć–dwadzieścia metrów nad urwiskiem. Teraz znalazł się nagle we własnym łóżku. Na stoliku nocnym leżał zaś telefon i dzwonił.

Dźwignął się i zmrużył oczy w promieniach słońca, prześlizgujących się przez szpary w zaciągniętych żaluzjach. W myślach prześledził wydarzenia ostatniej doby. Jakaś operacja, jakiś czujnik ciśnienia. Nie, tego dzwonienia normalnie nie dało się wytrzymać. Sięgnął po telefon i przyłożył go do ucha.

– Halo?

– Dlaczego nie odbierasz? Chyba nie śpisz?

– Marianne, co... – Nie dokończył, musiał przetrzeć oczy od ostrego światła, zanim podjął rozmowę. Zaczął już rozumieć. Miał dyżur. – Która... która godzina?

– No nie. Tylko nie mów mi, że zapomniałeś.

Mathias spuścił stopy na podłogę. Aż się wzdrygnął, czując, jaka była zimna. Wstał i rozejrzał się za kaptami. Nadal czuł kołysanie gondoli w całym ciele. Jechał kolejką linową na górę Ulriken, kiedy nagle stanęła w miejscu. Utknął na dobre. Nie mógł się ruszyć – ani w górę, ani w dół. Oczywiście we śnie.

– Miałem dyżur, Marianne.

– I co z tego? Nie możesz po prostu odpowiedzieć na moje pytanie?

– Ale o czym ty mówisz?

– Miałeś odebrać córkę.

– Przecież jest u Anne Kirsti.

– Mathias! Miałeś odebrać Ylvę przed wpół do dwunastej! Anne Kirsti idzie na pogrzeb. Znalazł kaptcie pod łóżkiem, wsunął w nie stopy i od razu poczuł się lepiej.

Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Marianne rzeczywiście wspomniała coś o tym tuż przed jego wyjściem do pracy poprzedniego dnia. Od tamtej pory minęła już jednak cała doba, a dyżur był tak intensywny... W dodatku usłyszał od Thei plotkę o planowanej redukcji liczby stałych posad dla lekarzy-asystentów. Odebranie dziecka od opiekunki nieszczególnie zaprzętało mu myśli.

Rozejrzał się po pokoju i zauważył budzik przy łóżku. Wskazywał już wpół do dwunastej. Porwał spodnie ze sterty ubrań, zalegającej w kącie.

– Muszę lecieć. Pogadamy później.

– Zajrzałeś wczoraj do broszury?

– Mówiłem już, że miałem dyżur i...

– Tak, tak. Słyszałam. A wystarczyłoby powiedzieć tak albo nie. Nic więcej.

Mathias wciągnął spodnie i znieruchomiał, zmagając się z zapięciem guzika w pasie. Mógł od razu uprzedzić Marianne o zmniejszeniu liczby stanowisk na oddziale i mieć to za sobą. Powiedzieć po prostu: nie zatrudnią mnie tutaj. Musimy wyprowadzić się z Bergen. Nie stać nas teraz na kupno domu.

– Mathias? Jesteś tam?

Zapiął guzik i sięgnął po koszulę, która leżała zmięta na podłodze.

– Nie, jeszcze nie zaglądałem – odparł. – Ale obiecuję, że zrobię to później.

\*

Dodał gazu, jadąc Sollien – długą, wężowatą drogą, wijącą się wśród pagórków Landås. Nadal czuł się otumaniony, tak że musiał się koncentrować, żeby trzymać się właściwego pasa ruchu, ale od czasu do czasu wracał myślą do rozmowy, którą odbył tego ranka z Evelyn Edvardsen. Evelyn była na oddziale kierownikiem do spraw pielęgniarstwa i odwiedził ją w nadziei, że zdementuje słowa Thei. Nadzieja ta szybko okazała się płonna.

– Kazano nam obciąć liczbę posad – przyznała. – Helse Vest<sup>[3]</sup> i oddział zmagają się z wielką dziurą w budżecie, nic więc dziwnego, że oszczędza się na pracownikach tymczasowych.

Mathias usiadł, nie wiedząc, co powiedzieć. Jedyne, o czym myślał w tamtej chwili, to że jego kariera w Haukeland zmierzała do zderzenia czołowego. Wszyscy wiedzieli, że od pracownika, z którym nie zawarto stałej umowy, oczekiwano wypowiedzenia.

– Decyzja o tym, kto dostanie wolną posadę, jeszcze nie zapadła – ciągnęła Evelyn. – Jesteś tu lubiany, Mathias. Przeprowadziłeś już samodzielnie wiele zabiegów i masz partnerkę z Bergen. To przemawia na twoją korzyść. Ale nie masz na koncie żadnej pracy badawczej.

Praca badawcza, tak. I znów to słowo. Odkąd tylko poszedł na medycynę, słyszał, jak koledzy z roku i świeżo upieczeni lekarze chwalili się badaniami. Najczęściej zaczynało się od prezentacji w formie plakatów na kongresach medycznych, potem pisało się artykuły, wreszcie broniło doktorat. W norweskiej służbie zdrowia nie wystarczało już być lekarzem.

A przynajmniej nie jeśli zależało ci na posadzie w szpitalu uniwersyteckim. Do tej pory ignorował tę myśl. Wydawało mu się, że umiejętności operowania wystarczy.

Dojechał do Natlandsveien i skręcił na północ. Na drodze panował niewielki ruch, dotarcie do ulicy św. Olafa pod Szpitalem Haukeland było więc kwestią kilku minut. Zwolnił. Włączył radio, żeby skierować myśli na inne tory. Mimo to nadal przeżuwał temat pracy. Bo co właściwie miał zrobić? Jeśli nie zajmie się tym problemem teraz, to jeszcze przed końcem roku zostanie na lodzie. Przecież zarówno Thea, jak i Werner mieli alibi w postaci pracy badawczej. A on był tylko – jak trafnie to ujął Per Irgens, kiedy Mathias odrzucił jego ofertę współpracy przy badaniach – małpą, która umie operować.

Na skrzyżowaniu pod Haukeland zapaliła się czerwona strzałka, więc stanął. Jego spojrzenie przesunęło się po wzgórzu i spoczęło na gigancie, leżącym na zboczu za drogą.

Evelyn wyraziła się jasno, kiedy poprosił o radę. Powiedziała, że powinien po prostu znaleźć promotora i zacząć pracę nad projektem doktorskim. Jego uwagę, że miał ograniczone szanse, żeby zdziałać coś w parę tygodni czy miesięcy, zbyła wzruszeniem ramion i skwitowała:

– No cóż, chyba nie masz innego wyjścia? O ile naprawdę chcesz tu zostać?

Światło zmieniło się na zielone. Kiedy skręcił z drogi, przypomniało mu się poczucie szczęścia, którego doznał zaledwie sześć godzin wcześniej na sali operacyjnej numer 12.

Pewnie, że chciał zostać. Jak niczego innego na świecie.

\*

Gdy zajechał przed dom na końcu ulicy św. Olafa, spostrzegł Anne Kirsti na schodach. Była ubrana jak przystało na prawdziwy bergeński pogrzeb – w czarną kurtkę przeciwdeszczową, narzuconą na długą, czarną suknię, i czarne kalosze. Tylko zydwestki brakowało. W powietrzu wprawdzie nie czuło się deszczu, ale to mogło szybko się zmienić.

– Tata! Patrz, tata! Patrz na mnieee!

Kiedy wszedł za furtkę, Ylva stała pośrodku dużej trampoliny w rogu ogrodu. Wybiła się do góry, ale lądując na płachcie, nie zdołała utrzymać równowagi i runęła jak długa. Leżała bez ruchu, podczas gdy szedł w jej stronę po trawie. Usłyszał cichy płacz, który powoli przybierał na

sile. Rozpoznałby jej głos wśród setek głosów innych dzieci, gdyby musiał.

– Już dobrze, już dobrze...

Rozsunął zamek błyskawiczny w siatce otaczającej trampolinę i podniósł córkę.

Dziewczynka ukryła twarz we wgłębieniu w jego szyi, ogrzewając swoim oddechem jego skórę.

– Tata-aa... – chlipnęła, uspokajając się.

Objął ją mocno.

– Moja dziewczynka – szepnął.

Za plecami usłyszał kroki Anne Kirsti. Gdy się odwrócił, podała mu plecak Ylvy.

– Mam nadzieję, że zdążysz – powiedział. – Przepraszam, że się tak spóźniłem.

Anne Kirsti poklepała go ostrożnie po ramieniu.

– Nie myśl o tym. Pogrzeb jest w kościele w Årstad, a to tam za zbroczem.

Stał na chodniku i patrzył, jak kobieta spieszenie odchodzi w kierunku ulicy Ibsena.

Siedząca mu na ramieniu Ylva machała energicznie. Mieli szczęście, że trafili na taką opiekunkę do dziecka, jak Anne Kirsti. Ylva ją kochała, a on zawsze czuł się pewny, że córka ma się dobrze w czasie jego pracy. Mimo to za absurd uważał, że nie miał pierwszeństwa podczas rekrutacji do przedszkola dla dzieci pracowników szpitala tylko dlatego, że zajmował stanowisko tymczasowe. I znów wszystko rozbijało się o stałą posadę. Bez niej był niczym.

Postawił Ylvę na ziemi przed samochodem, chcąc znaleźć kluczyki. Dziecko natychmiast uderzyło w płacz.

– Nie, tata! Niesie!

Przeszukiwał kieszenie, a tymczasem córka wyciągnęła ręce. Kiedy miało się dzieci, każda czynność wymagała stanowczości. Nawet tak banalna, jak otwarcie drzwi samochodu. Jak on właściwie miał prowadzić pracę badawczą w przerwach między pracą a opieką nad dzieckiem? Co wieczór, kiedy w końcu udawało im się ułożyć Ylvę do snu, był wykończony. Ledwo miał siłę oglądać telewizję. Thea mogła pracować w dwójnasób, bo nie musiała się troszczyć o nikogo prócz siebie. Czasy, gdy on sam był w takiej sytuacji, stanowiły odległe wspomnienie.

Wreszcie znalazł kluczyki i odbezpieczył centralny zamek. Wrzucił plecak Ylvy na przód samochodu i podniósł córkę, by posadzić ją na foteliku dziecięcym z tyłu. Już miał zapiąć pas bezpieczeństwa, gdy zgodnie z przewidywaniami zaczęła wściekle wierzgać nogami.

– Złobię sama, tata! Złobię sama!

Zapału jej nie brakowało, gorzej z umiejętnościami i wglądem w siebie. I potrwać to miało jeszcze parę ładnych lat.

– Włączyć ci płytę z Kokosem? – zapytał, chcąc odwrócić jej uwagę.

Zduszone wrzaski w jednej chwili przeszły w perlisty śmiech.

– Ta-aa-aak. Kokos!

– Będzie Kokos.

W końcu udało mu się zapiąć klamrę. W jego głowie piosenka o Kokosie zastąpiła już pirackie pieśni o Kapitanie Szablozębnym. Różnica była w zasadzie niewielka.

*Jestem zwierzakiem z głębi lasu*

*co na zabawę ma dużo czasu.*

– I moczek – powiedziała Ylva, wyciągając rękę.

Oczywiście. Smoczek.

Wszystko w swoim czasie. Czy to dziwne, że czuł się zmęczony? Chętnie zobaczyłby swojego ojca w tej sytuacji. Albo któregoś ze starszych lekarzy na oddziale. Wszyscy mieli żony, które zajmowały się dziećmi, podczas gdy oni pełnili dyżur albo odsypiali następnego dnia. A mimo to wymagali od lekarzy-asystentów tego samego, czego kiedyś żądali od nich ich

szefowie. To nie było sprawiedliwe.

Spostrzegł smoczek na siedzeniu obok Ylvy i sięgnął nad córką, by go złapać. Wycofując się, przypadkiem zerknął przez boczną szybę. Na chodniku po drugiej stronie ulicy Ibsena, jakieś sto metrów dalej, stała kobieta i patrzyła w jego stronę. Być może nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie jej znajoma, wyprostowana jak struna sylwetka.

Dźwignął się i spojrzął nad dachem samochodu. Kobietę minął tymczasem dwuczłonowy autobus. Gdy przejeżdżał, ruszyła chodnikiem w stronę Haukeland. Mathias przyjrzał się jej od tyłu, zanim zniknęła mu z oczu. Miała krótkie blond włosy. Nie zgadzało się. Chociaż?

– Moo-oo-cze-ee-ek!

Ylva zaczęła machać rękami.

– Tak, tak – wymamrotał i włożył smoczek na właściwe miejsce. W odpowiedzi usłyszał pomruk zadowolenia.

Kiedy obszedł samochód i siadł za kierownicą, tryby w jego głowie nie przestawały się obracać. Przerzucił stertę płyt CD i szybko znalazł tę z niebieskim słońcem na okładce. Wsunął ją do odtwarzacza, po czym zagapił się na deskę rozdzielczą, a pierwsze dźwięki piosenki o Kokosie popłynęły z głośników.

Mimo wszystko, czy to mogła być ona?

Nie widział jej od lat – a ściśle mówiąc, od dnia, w którym postawił ją przed faktem, że rozpowiada kłamliwe plotki na temat Marianne. Było to kilka miesięcy po tym, jak z nią zerwał. Zupełnie się wtedy załamała. Płakała i płakała. Błagała, żeby do niej wrócił. Później nie odzywała się często. Wiedział tylko, że wyjechała do Francji uczyć się francuskiego. Dlaczego miałaby więc nagle pojawić się w Bergen? To było ostatnie miejsce, w którym spodziewał się ją zobaczyć.

Wyjechał na drogę i spróbował zignorować możliwość, że miał rację. I bez tego miał już dość na głowie.

<sup>[3]</sup> Helse Vest – jedna z pięciu regionalnych jednostek administracyjnych norweskiej służby zdrowia, odpowiadająca za leczenie specjalistyczne w województwach (*fylker*): Rogaland, Hordaland i Sogn og Fjordane, przyp. tłum.

## 7. Marianne

Była zbyt zmęczona, by się złościć. Marianne stała w drzwiach salonu i patrzyła na Mathiasa, który spał rozciągnięty na podłodze. Wtulona w jego ramię, z mocno przyciśniętym do policzka pluszowym misiem, siedziała Ylva, wpatrzona w ekran telewizora. Nawet nie zauważyła, że ktoś wszedł do pokoju.

Marianne wymknęła się z powrotem na korytarz i zdjęła okrycie. Miała przemożną ochotę pójść i się położyć, ale coś jej podpowiadało, że nic z tego nie będzie. Mokre ubrania Ylvy leżały przerzucone przez stojak na buty. Plecaka też nie rozpakowano. Marianne odwiesiła ubrania do wyschnięcia w łazience i trzymając w ręku zawartość plecaka, przeszła do kuchni. Rzut oka do lodówki potwierdził jej obawy. Nie mieli niczego na obiad. Zasnąć przy dwulitce to jedno. Nie trzeba geniuszu, by zrozumieć, że mogłoby się zdarzyć coś złego. Inną sprawą było zadbanie o to, żeby w domu wszystko działało sprawnie. Skoro oboje pracowali, to każde z nich musiało się do tego przykładać najlepiej, jak mogło. Prosta sprawa.

Stanęła przy zlewie i umyła butelkę i pojemnik na drugie śniadanie Ylvy. Znała Mathiasa na tyle, żeby się domyślać, że jeszcze nie spojrział na anons z portalu Finn.no. Rozumiała, że monitorowanie rynku nieruchomości mogło mu się sprzykrzyć, biorąc pod uwagę, jak długo szukali odpowiedniego miejsca do zamieszkania – ale ten jeden dom musiał obejrzeć. Chodziło o coś więcej niż wydostanie się z ciasnego, pełnego przeciągów mieszkania w bloku. Dużo więcej.

Obróciła się, słysząc dudnienie stóp.

– Mam-aa-aa!

Ylva przebiegła przez próg. Marianne kucnęła i objęła córkę, trzymała ją w ramionach tak długo, aż dziewczynka zaczęła się wyrywać.

– Tata śpi, mama!

Ylva wskazała salon wyprostowaną ręką.

– Naprawdę? A ty co? Oglądasz kanał dla dzieci?

– Timmy’ego w telewizji.

Nagle wzięła nogi za pas i pognała do salonu. Marianne wstała i ruszyła za nią. Mathias nadal leżał na podłodze jak martwy. Ylva już do niego przyskoczyła. W skupieniu uniosła jego prawe ramię, jakby to był kawał drewna. Odsunawszy je na bok, przypadła do ojca i wbiła mu łokieć w brzuch. Mathias aż się zachłysnął i otworzył oczy. Uniósł głowę i rozejrzał się zdezorientowany. Na widok jego zmierzwionej fryzury i rozdziawionych ust Marianne parsknęła śmiechem. Musiała mu dzisiaj wybaczyć. Przecież wiedziała, że potrzebował snu, by odespać dyżur.

– Kiedy przyszłaś? – spytał ochrypłym głosem.

– Właśnie teraz.

– Musiałem chyba... – przewrócił się na bok i dźwignął do pozycji siedzącej. Podeszła do niego i przeczesła ręką splecione włosy. – Przepraszam – ciągnął. – Byłem nieludzko zmęczony.

– W porządku.

– Pracowałem całą noc i...

– Słuchaj... – Uniosła jego brodę obiema rękami. – Nie musisz się usprawiedliwiać.

– Pochyliła się i go pocałowała. – Ale jedną rzecz musisz zrobić – powiedziała, prostując się. Podeszła do laptopa, który stał złożony na stole jadalnianym. Kiedy odwróciła się do Mathiasa i przywołała go gestem, ten wciąż siedział na podłodze. – Czyli spojrzeć na ten dom na Fjellveien.

Jęknął, łapiąc się rękami za głowę.

– Przepraszam, ja...

– Mówiłam przecież, że nie szkodzi. Ale chodź już! Możesz zerknąć na ogłoszenie, a ja w tym czasie skoczę do Bunnprisa i kupię jedzenie. Porozmawiamy o tym jeszcze, kiedy położymy Ylvę. Okej?

Mathias wstał na nogi i zakołysał się. Dawno już nie widziała go tak zmęczonego. Te nocne dyżury były po prostu nieludzkie. Jak można wymagać od ojca małego dziecka, żeby co tydzień pracował całą dobę bez przerwy? W żadnej innej branży by to nie przeszło. Najgorzej, że lekarze na oddziale wydawali się szczeniakiem tymi czuwaniami. Jeżeli chciałeś być chirurgiem, to musiałeś wykazać, że jesteś w stanie znieść więcej niż zwykły śmiertelnik. Ten, kto nie dawał sobie rady z dziewięćdziesięciogodzinnym tygodniem pracy, musiał zatrudnić się gdzie indziej.

– Okej.

Powłócząc nogami, przeszedł po pokoju i opadł na krzesło, które mu podsunęła.

– Prezentacja jest w środę wieczorem. Załatwiłam już opiekunkę do dziecka, więc wystarczy, żebyś nie brał dodatkowego dyżuru. A swoją drogą, chciałbyś, żebym kupiła coś szczególnego w Bunnprisie?

Mathias przesunął ręką po twarzy.

– Wiesz – zaczął, ale umilkł i siedział tylko ze zwieszoną głową.

– Tak?

– Jest coś... o czym musimy pogadać.

– A możemy to odłożyć na później? Muszę pójść po zakupy, zanim i ja zemdleję.

Podniósł na nią wzrok i przytaknął.

– W porządku – odparł. – Później się tym zajmujemy.

\*

Otwierając drzwi zewnętrzne murowanego bloku, miała wrażenie, że wiatr się z nią szarpie. Przynajmniej deszcz ustał. Ściągnęła z głowy kaptur kurtki przeciwdeszczowej i ruszyła po schodach w stronę bramy z kutego żelaza, która trzęsła się jak wystraszone zwierzę. Jesień wcześniej przyszła w tym roku do Bergen. Właściwie to nawet nie odczuli lata. Teraz zaś czekało ich jeszcze więcej ciemności i deszczu.

Skuliła się, idąc ulicą Sollien, po czym pod blokiem skręciła w Lægdesvingen. Tutaj wiatr nieco przycichł. Po drodze zerknęła na balkon ich mieszkania. W oknie dostrzegła Mathiasa z Ylvą na ramieniu, którzy jej machali. Był to ich rytuał. Zawsze to robili, kiedy szła do sklepu. Uniosła rękę i pomachała im w odpowiedzi. Prawdę mówiąc, trochę ułatwiało to jej zadanie.

Ruszyła dalej. Na horyzoncie chmury zaczęły się rozpraszać. Marianne zatrzymała się na szczycie stromego, porośniętego trawą zbocza kilkaset metrów od domu i zapatrzyła na widok, który się przed nią rozciągał. Widziała stąd całą dolinę Bergen. Góry Ulriken i Løvstakken, ciemne i nasiąkłe wodą, jak to we wrześniu, mierzyły się wzrokiem ze wschodu i zachodu. Daleko przed nią rozpościerał się krajobraz dzielnicy Fana, jak jedyna droga ucieczki pomiędzy obu szczytów. Sam widok sprawił, że wstąpiły w nią nowe siły. Poszła ostrożnie w dół zbocza, uważając, żeby się nie pośliznąć na błotnistej ścieżce. Nie było piękniejszego miejsca niż to miasto. Mimo to bardzo doceniała fakt, że Mathias znosił tak kiepską pogodę. Pochodził z Østlandet, ale nigdy nie narzekał na to, że postanowił osiąść po tej stronie gór. W ogóle łatwo się dopasowywał, ten Mathias. Potrafił wśliznąć się gdziekolwiek – nie to, co jego introwertyczni rodzice i dużo mniej odpowiedzialny młodszy brat.

A teraz mieli kupić razem dom.

Przy odrobinie szczęścia byłby to właśnie ten budynek, który wystawiono teraz na

sprzedaż – jej dom rodzinny, miejsce, do którego pragnęła powrócić i marzyła o tym od wielu lat.

Zeskoczyła na jezdnię. Nagle nabrała ochoty, by wykręcić piruet na asfalcie i nie odmówiła sobie tego. Fakt, że dom szedł na sprzedaż właśnie teraz, był jakby zrzędzeniem losu. Nie dość bowiem, że rozglądali się za nowym lokum, to jeszcze ni stąd, ni zowąd dostała ofertę pracy. Nie zdążyła jeszcze pochwalić się tym Mathiasowi, ale zatrudnienie na nowym stanowisku wiązało się z dużą podwyżką. Kredyt, który musieliby zaciągnąć na zakup domu, był więc w ich zasięgu. Przez pierwsze lata powinni oczywiście nieco zacisnąć pasa, ale dadzą radę. Wszystko dokładnie wyliczyła. Teraz wystarczyło tylko przekonać Mathiasa, żeby zalicytował.

Uderzył w nią podmuch wiatru. Poczula kilka kropel na twarzy. Wkrótce spadły kolejne. Naciągnęła kaptur na głowę i wsłuchiwała się w ciche bębnienie deszczu o syntetyczny materiał.

Wszystko się ułoży. Była tego pewna.



## 8. Thea

To była porządna runda w pracy nad artykułem. Thea zaznaczyła opcję wydruku całego tekstu, po czym zapisała dokument i wyłączyła komputer. Z końca długiego korytarza dobiegło ją przytłumione zgrzytanie drukarki. Uderzyło ją, że był to pierwszy od wielu godzin dźwięk, który usłyszała w budynku uniwersyteckim, nie licząc własnego oddechu i stukotu klawiatury.

Wstała i podeszła do okna. Było już po dziewiątej i jesienne ciemności połknęły widok na miasto. Powędrowała spojrzeniem sześć pięter w dół ku latarniom na parkingu i nie zauważyła deszczu w powietrzu. I dobrze. Po tylu godzinach spędzonych w fotelu biurowym wypadałoby się rozruszać. Mogła przebiec się oświetloną trasą, zaczynającą się u stóp hostelu Montana – a może raczej wybrać się drogą Fjellveien w kierunku góry Fløyen? Tak, tego wieczora tam właśnie musiała pobiec. Nigdy nie przykrzył jej się widok migoczących świateł miasta, które zostawiała w dole, biegnąc po zboczu.

Zgrzytanie drukarki ucichło. Thea podeszła do tacy wyjściowej urzędnika, gdzie zdążył się zebrać plik kartek, i je podniosła. Potem zważyła w rękę. Artykuł był w zasadzie gotowy. Było kilka punktów, które musiała przedyskutować z Ingvild Falk, ale powinno to zająć parę minut. Potem wystarczyło już tylko wysłać tekst. To był jej pierwszy artykuł – a według profesor istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie zamieszczony w jednym z najbardziej cenionych czasopism neurochirurgicznych. Mimo to czuła się nieprzyjemnie, stojąc z tekstem w rękę.

Przerzuciła strony, aż dotarła do pierwszego wykresu, ilustrującego artykuł; prześledziła linię rozrysowaną na kartce i przestudiowała zaznaczone na niej punkty, jak przystanki na mapie. Dzień, w którym odkryła, co zrobiła profesor, dobrze zapadł jej w pamięć. To było tuż po wakacjach. Kilka dni wcześniej Falk poprosiła ją o przesłanie materiału liczbowego z programu do analizy danych SPSS, rzekomo w celu sprawdzenia, w jakim układzie będzie się on najlepiej prezentował. Thei ulżyło. Nie czuła się jeszcze zbyt pewnie w wizualizowaniu wyników naukowych. Pomoc Falk w przygotowaniu wykresów i diagramów pozwoliłaby jej zaoszczędzić masę czasu. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że w inicjatywie, z którą wystąpiła profesor, zanim sama zdążyła przysiąc i pobawić się programem statystycznym w celu nauki własnej, było coś podejrzanego. Tamten dzień był niezwykle ciepły, a ona siedziała spocona i nie mogła ogarnąć, dlaczego nie wychodziły jej te same reprezentacje graficzne, co Falk, kiedy próbowała powtórzyć działania profesor. Wreszcie dotarło do niej sedno problemu. Oryginalny plik z danymi opracowała sama. Kiedy zaś otworzyła ostatni plik, który przesłała jej Falk, spostrzegła, że liczby w nieskończenie wielkiej siatce zostały zmienione.

To było niemożliwe. Nie sposób było ich zmienić.

W pierwszej chwili uznała, że to musiał być jakiś błąd. Błąd przy zapisie, błąd systemu. Coś, co się stało, kiedy Falk pracowała z materiałem. Po porównaniu wykresów i diagramów profesor z tymi, które sama przygotowała, zrozumiała jednak, że wprowadzone zmiany nie mogły być przypadkowe. Niepewność pomiaru w ich projekcie nagle znacząco spadła, a wyniki stały się dużo bardziej jednoznaczne. Liczby Falk ułatwiały wyciągnięcie wniosku. Zresztą cały artykuł nagle bardzo się poprawił i w ogóle zrobił się ciekawszy.

Thea spięła kartki zszywaczem i wsunęła je do plecaka. Wyłączyła lampę na biurku i nałożyła wiatrówkę. W korytarzu zewnętrznym nie zastała nikogo. Jej gabinet znajdował się wewnątrz dużego laboratorium. Służył jako składzik, do czasu aż dostała go do swojej wyłącznej dyspozycji. Tej jesieni dokooptowano jej nagle inną doktorantkę. Nic na to nie mogła poradzić.

Przeszła korytarzem między stołami laboratoryjnymi i udała się do windy. Gdy na nią czekała, jej myśli wróciły do tekstu.

Po swoim małym odkryciu biła się z myślami. Rozważała, czy nie zgłosić się do innego

profesora, zastanawiała się nawet, czy nie skonfrontować ze wszystkim samej Falk. W końcu jednak przemilczała całą sprawę. Czy to było z jej strony tchórzostwo? Być może. Problem w tym, że miała za dużo do stracenia. Zaszła już daleko w pracy nad doktoratem i konflikt z własną promotorką stwarzał ryzyko, że wszystko pójdzie na marne. A teraz jeszcze nasiliła się rywalizacja o stanowiska na oddziale. Jeśli chciała dalej zajmować się neurochirurgią, to była uzależniona od pracy badawczej.

Drzwi windy rozsunęły się i Thea weszła do kabiny. Jadąc w dół, próbowała odsunąć od siebie przykre myśli. Dokonała wyboru. Powinna przejść nad tym do porządku dziennego. Jeśli w przyszłości zdarzy jej się pisać kolejne artykuły we współpracy z Falk, zadba o to, żeby samej zając się obróbką danych. Może sporządzać wykresy i tabele na własną rękę. Falk nie musi nawet oglądać plików SPSS.

Kiedy wyszła na plac przed budynkiem, nadal nie było śladu deszczu. Wciągnęła głęboko świeże, jesienne powietrze i nagle zdała sobie sprawę, że wbrew danej Ingvild Falk obietnicy zapomniała przesłać jej pliku z tekstem. To musiało poczekać. Dzień spóźnienia nie grał żadnej roli. Teraz wybierała się na jogging.

Idąc po kamiennych schodach, opasujących północną ścianę budynku uniwersytetu, brała po dwa stopnie naraz. W pół drogi wyprzedziła kolegę z Ortopedii; spostrzegła, że uniósł wzrok, gdy go mijiała, a tupot jego kaloszy odpowiedział jej, że przyspieszył, kiedy była już przed nim. Jakie to było typowe. Mężczyźni nie znosili, kiedy wyprzedzały ich kobiety. Thea wytężyła się bardziej, odbijając stopy od ziemi, i usłyszała, jak kroki kolegi cichną stopniowo gdzieś za nią. Kiedy na szczycie schodów miała skręcić na drogę, uległa pokusie, żeby spojrzeć przez ramię. Mężczyzna szedł w dole zgarbiony, powłócząc nogami. Sam widok ortopedy pozostawionego w tyle wystarczył, by poprawić jej humor.

Ruszyła dalej, mijając parking przed kolejką linową na górę Ulriken, i przedszkole, które jak twierdza warowna rozłożyło się po jednej stronie ulicy. Po drugiej stronie zbocze opadało do szpitala. Lubiła tu mieszkać. Widok, który otwierał się przed nią codziennie w drodze na zebranie poranne, każdemu zapałby dech w piersiach. Jedyne, czego mogłaby sobie życzyć, to lepsza stacja. W bloku, w którym mieszkała, zajmowała pokój z widokiem na ścianę skalną. Pomieszczenie – w tym mała toaleta i prysznic – mierzyło nie więcej niż dziesięć metrów kwadratowych. Kuchnię dzieliła z pięcioma czy sześcioma osobami, zależnie od tego, ilu pracowników tymczasowych ze Szwecji potrzebowano akurat w szpitalu. Na dobrą sprawę jednak spędzała w domu tak mało czasu, że nie było sensu szukać innego lokum. Albo pełniła dyżur, albo siedziała w gabinecie. I miało to jeszcze potrwać ładnych parę lat. A przynajmniej dopóki pracowała na podwójnych obrotach, dzieląc czas między przygotowania do doktoratu i zatrudnienie na pełnym etacie.

Skręciła przed blok, jednocześnie szukając w kieszeni pęku kluczy. Nagły ruch na placu przed nią sprawił, że przystanęła. W świetle latarni nad bramą wejściową dostrzegła na ziemi sylwetkę dużego ptaszyska. Ptak dziobał, rwał i szarpał, jakby jadł coś kleistego. Był to kruk. Widziała ich kilka, siedzących na szczycie skał albo u kalenic górującego nad okolicą akademika. Ten najwyraźniej jej nie zauważył, inaczej dawno by już odleciał. Kruki bardzo stroniły od ludzi.

Tupnęła w asfalt. Ptak natychmiast odskoczył. Kiedy rozwinął skrzydła, w powietrzu wciąż rozbrzmiewało echo jej tupnięcia. Wkrótce odbił się od ziemi i pofrunął do góry, ponad kolejne piętra bloku. Thea zbliżyła się do miejsca, w którym wcześniej przysiadł. Leżał tam mały ptaszek. Brzuch miał rozdarty, a jego żółtawa zawartość rozsypała się po asfalcie, jak ziarna kukurydzy. Thea złapała jedno skrzydło i uniosła truchło, po czym wyrzuciła je do śmietnika przy ścianie. Już miała podejść do drzwi, gdy aż się wzdrygnęła na widok papierosa, który

nieopodal rozżarzył się czerwono.

– Cześć, Theo.

W mroku zabrzmiał znajomy kobiecy głos. Potrzebowała kilku sekund, żeby wziąć się w garść, po czym zrobiła parę kroków w stronę opartej o ścianę postaci.

– Mamo?

– Jesteś jak ojciec, wiesz? Nie umiesz się trzymać z dala od ptaków i owadów.

Wyrzuciła papierosa i podeszła do córki. W słabym świetle Thea zauważyła, że matka ścięła włosy; nosiła teraz krótką, asymetryczną fryzurę, jej włosy kończyły się niżej nad jednym uchem niż nad drugim. Zmieniła też kolor włosów, na bardziej rudawy.

– Co tu robisz?

Matka ją objęła.

– Jak dobrze cię widzieć.

Thea pozwoliła się przytulić i czekała cierpliwie, aż matka się odsunie. Rozsiewała woń dymu papierosowego. Thea zobaczyła, że kilka metrów dalej stała walizka na kółkach, a na niej leżała paczka papierosów i zapalniczka.

– Kiedy przyjechałaś?

– Po południu, pociągiem.

– Po południu? I od tamtej pory tu czekasz?

– Nie myśl o tym. Przecież już jesteś.

Matka pogładziła ją po policzku i uśmiechnęła się w sposób, który Thea znała aż za dobrze. Uśmiech miał coś zamaskować. Podeszła do drzwi wejściowych. Kiedy włożyła klucz do zamka, wysoko nad jej głową rozległo się basowe „krraa”. W każdej innej sytuacji pomyślałaby może, że to ludzki głos.

\*

Podczas gdy matka była w toalecie, Thea rozglądała się po pokoiku. Nie bez powodu nigdy dotąd nie nocowali u niej goście. Na podłodze nie mieścił się nawet materac. Między łóżkiem a regalem na książki było za ciasno. A kwadratowa powierzchnia za biurkiem pozwalała na spanie tylko w pozycji embrionalnej. I co właściwie robiła tu jej matka? Thea miała przeczucie. Pytanie brzmiało tylko, czy wspomni o tym w rozmowie.

Skrzypnęły drzwi. Gdy się odwróciła, matka stała w korytarzyku, rozglądając się dookoła.

– Powiedz mi, nie masz kuchni?

– Jest na korytarzu. Jesteś głodna? Mam trochę chleba.

– Nie. Nie przejmuj się mną.

Thea zauważyła, że spojrzenie matki zawisło na szklanej kasetce, stojącej na biurku. Wybrane okazy motyli ojca przypięto igłami do białego plastiku piankowego.

– Mogłabyś tu trochę przyozdobić. W końcu mieszkasz tu już prawie dwa lata.

– Mamo, proszę...

– Dobrze, dobrze. Nic już nie mówię.

Matka nie ruszała się z miejsca. Wydawało się, że na coś czeka. Thea rozpoznała tę pantomimę. Usiadła na łóżku i gestem poprosiła matkę, by zrobiła to samo. Ta usłuchała i przysiadła na samym skraju posłania z rękami na kolanach. Jej spojrzenie nadal spoczywało na motylach.

– Nie powiesz mi, co tutaj robisz, mamo?

Matka znów się uśmiechnęła – uśmiech ten był jednak zbyt zgaszony i wymuszony, żeby mógł być prawdziwy. Reszta twarzy jakby nie zawtórowała.

- Nie wiem, czy...
- Czy co?
- Czy akurat teraz chcę o tym rozmawiać.
- Nie chcesz rozmawiać? Co masz na myśli?

Matka oderwała wzrok od szklanej kasetki. Zaczęła przyglądać się ścianom, potem sufitowi. Tak jak tylko ona potrafiła.

- Czy tata wie, że tu jesteś?
- Jej wzrok znów zawisł na motylach.

- Oczywiście.
- Czyli mam rozumieć, że znowu się pokłóciliście?
- Proszę cię, Theo. Nie musisz być taka lekceważąca.

– Ale mamo, chyba widzisz, jak mało tu miejsca. Dobrze byłoby wiedzieć, że chcesz wpaść z wizytą. Mogłabym wtedy przygotować ci coś do jedzenia, wziąć parę dni wolnego. Szczerze mówiąc, to niezbyt dobrze się składa, że jesteś tu właśnie teraz! Planowałam przeznaczyć ten tydzień na projekt badawczy. Rzadko kiedy mam możliwość pracować w skupieniu.

Matka wzięła oddech i wstała.

- Nie zwracaj sobie mną głowy. Jestem dorosłą kobietą i dam sobie radę.

Thea zwróciła uwagę, że matka znów sięgnęła po paczkę papierosów. Nerwowo zaciskała na niej palce. Burgundowe Pall Mall, jak zawsze. Od kiedy mówiła, że rzuci palenie? Może od dwudziestu lat. Co najmniej. O ile nie dłużej.

– Wiem, o czym myślisz – ciągnęła matka, kierując się w stronę drzwi. – Że nie wolno mi tutaj palić. Ale spokojnie. Nie będę.

Drzwi zamknęły się za nią, zanim Thea zdążyła odpowiedzieć. Oparła się o ścianę, a tymczasem kroki na korytarzu zewnętrznym ucichły w oddali.

Nie pasowało jej to. Zwyczajnie nie. Może powinna zadzwonić do ojca i poprosić, żeby przyjechał po matkę? Poprzednio, kiedy go opuszczała, na tym się właśnie kończyło. Matka była zbyt dumna, żeby wrócić z własnej inicjatywy. Ale teraz pewnie cieszył się, że mógł się jej pozbyć.

Zadzwoni później. Teraz chciała skorzystać z okazji i wybrać się na krótką przebieżkę. Matka będzie musiała pogodzić się z tym, że Thea potrzebowała trochę świeżego powietrza. A przynajmniej dopóty, dopóki zachowywała się tak, a nie inaczej.

Ciche postukiwanie sprawiło, że podniosła wzrok. Domyśliła się, że dźwięk dobiegał z za okna, i uchyliła roletę. Gdy wyjrzała na zewnątrz, do szyby przyczepiły się małe krople. Wkrótce ich przybyło.

Znowu się rozpadało.

## 9. Mathias

Zdecydowanie nie był to najlepszy początek rozmowy. Mathias zajrzał do siatki, którą dostał, przechodząc przez korytarz na pododdziale łóżkowym. Znajdowała się w niej para pośliskłych, mocno sfatygowanych drewniaków. Pracownik działu technicznego poprosił, żeby zaniósł je starszemu lekarzowi Perowi Irgensowi. Buty przez szereg lat stały w szklanej gablocie przed dyżurką. Na mosiężnej tabliczce pod spodem wygrawerowano napis: „Ordynator Per Irgens zużył te buty na Oddziale Neurochirurgii w okresie 1986–2001”. Zniszczone drewniaki były swoistą wizytówką Irgensa. Jako ordynator zawsze podkreślał, jak ważna jest oszczędność. Drewniaki symbolizowały więc powściągliwość oddziału, ale świadczyły też o wyższości ich właściciela. Mógł wystawić w gablocie, co mu się żywnie podobało. Nawet parę pospolitych, schodzonych butów.

– Będziesz tam tak sterczał czy wejdiesz i siądziesz?

Głosu, który zabrzmiał za półotwartymi drzwiami gabinetu, nie dało się źle zrozumieć. Mathias wszedł do środka. Wewnątrz unosił się biblioteczny zapach. Półka na książki po jego lewej ręce uginała się na granicy złamania, załadowana ciężkimi tomami dzieł medycznych. Na biurku piętrzyły się papiery. Długie ramiona podwędłej rośliny pnącej wiły się wzdłuż ramy okiennej, sięgając ku włączonemu ekranowi komputera, który jako jedyny rozświetlał wnętrze. Przed monitorem siedział zgarbiony Per Irgens z podbródkiem wspartym na ręce. Wydawał się głęboko zamyślony.

– Dzień dobry – rzekł Mathias i stał dalej w miejscu.

– Nie mówiłem ci przypadkiem, żebyś usiadł?

Nie odrywając podbródka od ręki, Irgens ruchem głowy wskazał krzesło u końca biurka. Mathias zrobił, jak mu kazano.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego. Pracuję nad artykułem. – Irgens odwrócił się. – Co tam masz?

Mathias otworzył siatkę.

– Miałem spytać, czy chcesz je z powrotem.

– Moje drewniaki?

– Myślę, że to Lohmann za tym stoi.

Irgens obrócił się do okna. Na zboczu góry Løvstakken usadowiła się gmina Laksevåg, poszarzała, ociekająca wodą.

– Może to idiotyczne, że liczę na słowa podziękki za to, co przez lata zrobiłem dla tego oddziału. Nie żebym ich potrzebował, ale myślę, że byłyby na miejscu. Powiem ci, że kiedy zacząłem tu pracę, był to mały, nędzny oddziałik. Trzeba było wszystko przeorganizować, pododdział łóżkowy, zasady, personel. Musieliśmy wyrzucić bezużytecznych ludzi i zastąpić ich nowymi, kompetentnymi.

Potarł zarośniętą część szczęki. Wyrwał mu się krótki, lekceważący śmiech.

– Za chwilę zaczniesz się przeglądać zdjęć rentgenowskich na Radiologii. Możesz postawić buty na stole, chyba że jest coś jeszcze?

– Ech... tak. W zasadzie to mam kilka spraw.

– Ach tak?

Mathias zawahał się. Nie był pewien, od czego zacząć. Nie to, że nie próbował przygotować się do tej rozmowy. Całą noc spędził na rozmyślaniach. Myślał o słowach Evelyn, o zakupie domu, który chciała sfinalizować Marianne, o Thei, o Wernerze, o sobie. O tym, co miał teraz począć.

– Chodzi o stałe posady.

– Tak. Pamiętaj, żeby złożyć podanie. Jak sam wiesz, ten, kto nie dostanie pracy, będzie musiał odejść.

– Zorganizują nabór tylko na dwa stanowiska.

– Chciałeś chyba powiedzieć: trzy?

Mathias pokręcił głową.

Z głębokim westchnieniem Irgens przechylił się w fotelu biurowym. Jego nazbyt duże ręce spoczęły martwo na udach.

– Wiem, że powinienem już przywyknąć do bycia pomijanym, ale... Od kogo się dowiedziałeś?

– Od Evelyn.

– Evelyn, tak – Irgens mlasnął. – Czyli nie masz najlepszych widoków, co?

Mathias potrząsnął głową.

– Jest dwójka innych, silnych kandydatów wewnętrznych...

– ...nie licząc tych z zewnątrz. Chociaż dużo trzeba by było, żeby Mons i Odd nie wybrali spomiędzy was.

– O tym właśnie chciałem z tobą pomówić.

– Mons usuwa moją gablotę i wyłącza mnie z planowania przyszłości oddziału. Jest o krok od klasycznego ojcobójstwa, a tobie się zdaje, że to do mnie warto się zwrócić o pomoc?

– Myślałem trochę o projekcie badawczym, o którym rozmawialiśmy jakiś czas temu.

Jestem bardzo zmotywowany, żeby zacząć go teraz. Poza tym byłoby to korzystne dla mojego podania. Może uda mi się zdeklasować Wernera. Z tego, co się orientuję, nie pracuje nad nowymi projektami, nie ma też na koncie prac badawczych z neurochirurgii.

Kiedy Mathias mówił, na usta Irgensa wkradł się kwaśny uśmiezek.

– Dam ci dobrą radę, Mathias: postaraj się mieć ze mną odtąd jak najmniej wspólnego. Zarówno jeśli chodzi o pracę badawczą, jak i operacje.

– Ale... chyba się nie rozumiemy. Potrzebuję projektu badawczego. Muszę go mieć.

W przeciwnym razie mogę sobie odpuścić wszelką myśl o podaniu.

Kwaśny uśmiech nabrał pojednawczego wyrazu.

– Rozumiem, Mathias. Przecież nie jestem głupi. Tłumaczę ci tylko coś, co powinno być jasne jak słońce. Nie jestem teraz dla ciebie dobrym partnerem do współpracy. Musisz się sprzymierzyć z kimś z zespołu kierowniczego.

– No to z kim? Z Oddem Hasselgrenem?

Trudno było nie usłyszeć sarkazmu w jego głosie.

– To on z Monsem podejmą ostateczną decyzję. Jeśli brakuje ci czulego, wyrozumiałego promotora, to może powinieneś zwrócić się do któregoś z neurologów, co?

Irgens zaśmiał się pogardliwie, klasnął rękami w uda i wstał z fotela.

– Przegląd zdjęć na Radiologii, Mathias. Najpierw przegląd, a potem zebranie poranne.

Nie możemy sobie odpuścić rytuału poranka. A przynajmniej nie dzisiaj. Mons może demontować moją gablotę, ale za cholerę nie pozbędzie się mnie, dopóki nie przejdę na emeryturę. A nawet wtedy będę tu straszył w korytarzach.

Irgens wyminął go i opuścił gabinet. Jak stary samiec jelenia, powracający, by oznaczyć terytorium, pomyślał Mathias i podążył za kłapiącymi drewniakami w głąb korytarza.

\*

– Dlaczego, u diabła, pacjentka przeleżała całą noc i nie zrobiono jej punkcji lędźwiowej?  
– ryknął Mons Lohmann, pochylając się nad stołem. Mathias leciutko uniósł brwi. Nowy szef

musiał pokazać, że jest samcem alfa w stadzie. W takich chwilach dostawało się zwykle lekarzom-asystentom, ale jego to dzisiaj ominęło. Wszyscy wiedzieli, że po wczorajszym dyżurze poszedł prosto do domu. Za nic nie odpowiadał. W gorszej sytuacji była osoba, która pełniła dyżur nocny. Młoda Nathalie Fjellanger była studentką ostatniego roku medycyny i ściągnięto ją jako dodatkową pomoc, żeby załatać dziury w grafiku dyżurów. Tej nocy pracy było zaś od groma. Liczba zdjęć na przegładzie i hospitalizowanych pacjentów mówiła sama za siebie.

Mrużąc oczy, Mathias zerknął na listę pacjentów i odszukał nazwisko osoby, o którą Lohmann tak się piekł. To musiała być kobieta, która trafiła na oddział w trakcie jego dyżuru z powodu ostrego bólu głowy. Takich pacjentów przysyłano w celu wyjaśnienia, czy nie doszło do krwotoku z tętniaka jednej z tętnic mózgowych. Jeśli nie, wypisywano ich lub przenoszono na Oddział Neurologii. Jeśli tomografia komputerowa mózgu nie wykazywała wyraźnych cech krwawienia, z reguły wystarczyło wykonać badanie płynu mózgowo-rdzeniowego. Tak jak w tym przypadku. Powodem, z którego sam nie poddał pacjentki punkcji lędźwiowej, był fakt, że należało ją zrobić po upływie dwunastu godzin od wystąpienia bólu głowy, ten moment zaś przypadał w trakcie kolejnego dyżuru. Przy zmianie warty uprzedził o tym Nathalie, ale albo wyleciało jej to z głowy, albo w ogóle do niej nie dotarło. Teraz zaś wyraźnie męczyła się, żeby to wyjaśnić.

– To... to moja wina – wyjąkała, skulona już od całego powarkiwania, jakie na nią spadło.  
– Więc dlaczego tego nie zrobiono?  
– Zapomniałam o tym, przepraszam, ja...  
– Mamy pełen oddział, Fjellanger. Pacjentów trzeba wypisywać tak szybko, jak to możliwe. Chodzi o miejsca i o niepotrzebne obciążanie zespołu pielęgniarskiego.  
– Tak, przepraszam. To się już...  
– To nie jej wina.

W ułamek sekundy wokół stołu zapadła cisza, jak makiem zasiał. Mathias rozejrzał się i odkrył, że wszyscy się na niego gapią. Nie miał pojęcia, dlaczego się wtrącił. Może dlatego, że lubił Nathalie i miał dość patrzenia, jak Lohmann ją ochrzania za każdym razem, gdy referowała. A może dlatego, że właściwie wszystko mu zbrzydło. Wrzaski Lohmanna, jęki Irgensa, rozczulającego się nad sobą, poczucie, że absolutnie nic nie szło po jego myśli.

– Powiedziałem Nathalie, że sam zrobię punkcję lędźwiową przed powrotem do domu, ale zapomniałem.

U końca stołu rozległo się ciche prychnięcie.

– Zapomniałeś?

– Tak. Zapomniałem.

I znowu zapadła cisza. Nikt nawet nie drgnął.

– Nie wiem, ile już razy podkreślałem, że dyżurujący muszą dokończyć robotę, zanim pójdą do domu, ale teraz znowu to powiem. I mam nadzieję, że wszyscy, których to dotyczy, mają uszy szeroko otwarte. Nie ma znaczenia, czy lecą nadgodziny. Praca ma być skończona! Dotarło do ciebie, Grande?

– Czyli chcesz nam powiedzieć, że chętnie wrócicie do płacenia za nadgodziny?

Tu i ówdzie odezwał się śmiech. Lohmann zgarbił się za stołem.

– A to już zupełnie inna sprawa. Powinieneś bardziej skupić się na pracy, a nie wplatać w dyskusję sprawy personalne. A skoro przy tym jesteśmy, to doszły mnie słuchy, że pozwalasz sobie przezywać starszych lekarzy z OIOM-u.

– Mówisz o Karinie Szablozębnej?

Minęła sekunda i wszyscy w pokoju parsknęli śmiechem. Nawet surowa twarz Lohmanna

trochę złagodniała, kiedy wrzawa zaczęła cichnąć.

– No, no... Przed nami jeszcze dużo pacjentów do omówienia. Możesz kontynuować, Fjellanger, zanim sytuacja do reszty wymknie się spod kontroli.

Nathalie wróciła do sprawozdania. Tylko jedna osoba nie przestała się uśmiechać; był nią Per Irgens. Mathias przyjrzał mu się uważnie – zgarbionemu w kącie, odsuniętemu od stołu, przy którym toczyło się zebranie. Nikt już nie zwracał na niego uwagi, nikt nie oczekiwał, że się wypowie. Czekano tylko, aż przejdzie na emeryturę. Jak wszyscy w służbie zdrowia, tak i on nie był niezastąpiony.

Mathias spuścił wzrok. Otworzył ręce, przyjrzał się swoim palcom. Od zawsze widział się w roli chirurga. Nikogo innego. Nie miał jednak z kim się sprzymierzyć na tym oddziale. Były inne opcje. Może powinien zainteresować się którąś z nich.



## 10. Nathalie

Nathalie bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi gabinetu Mathiasa Grande. Siedział zwrócony do niej plecami i nie zorientował się, że weszła. Jednym susem wskoczyła na biurko.

– To dopiero było odważne! Uratowałeś mnie od rogów byka i wzięłeś cały ciężar na siebie. Chodź no tu!

Zanim zdążył zareagować, chwyciła go za głowę i przytknęła mu usta do czoła. Rozległo się soczyste mlaśnięcie i przez moment poczuła, że posunęła się za daleko. Cofnęła się i zauważyła na jego skórze lśniący ślad błyszczyku do ust.

– Przepraszam – zaczęła, ale się uśmiechnęła.

Nareszcie.

– Musisz w końcu przestać tak przepraszać, Nathalie. Bo rozumiesz, na tym oddziale nie jest to przyjęte.

Nie mogła powstrzymać śmiechu. Spostrzegawczy był, ten jej kolega. Miał też cięty język.

– Wiem. Ale ja tylko przez przypadek zabłąkałam się na Neurochirurgii. Żaden ze mnie zaprawiony chirurgiczny wyjadacz, jak ty. A swoją drogą, czy to, co Lohmann mówił o Sandemann, to prawda?

– Że nazwałam ją Szablozębną?

Mathias założył ręce na piersi. Czy to błysk dumy dostrzegła w jego oczach?

– Tak. Naprawdę to zrobiłeś?

– Taa... to nie było do końca fair. Prawdę mówiąc, kiedy spotkałem ją ostatnio na OIOM-ie, zacząłem śpiewać piosenkę o Kapitanie Sabeltannie i bynajmniej nie był to przypadek.

– Mathias pokręcił głową. – Nie mogę tak dalej robić... Powinienem był wiedzieć, że opłaca się trzymać gębę na kłódkę.

– Ale właśnie dlatego to, co zrobiłeś, było tak niesłychanie szlachetne.

Nathalie przyłożyła obie ręce do piersi i przybrała teatralny ton:

– To ogrzało mi serce, mój drogi. I przysięgam, że kiedyś ci się odwdzięczę.

– Dzięki. Miło z twojej strony. Może załatwisz mi stałą posadę, co?

– Nie nauczyłeś się jeszcze, że dobremu los sprzyja?

Zeskoczyła z biurka. Trochę za późno spostrzegła, że Mathias okręcił fotel biurowy. Zawadziła kolanami o jego uda i nagle poleciała na niego.

– O, przepraszam.

Próbowała się podźwignąć, ale Mathias złapał ją już mocno za ramiona i pomógł jej wstać.

– Co mówiłem o przepraszeniu?

I znów musiała się roześmiać. Uderzyła się ręką w głowę i mrugając, odparła:

– Przepraszam.

Widziała, że spodobała mu się jej odpowiedź. Wstał i uśmiechał się do niej.

– No, cóż... Muszę iść na oddział i zrobić tę punkcję pacjentce, zanim Lohmann wybuchnie. A ty... – wycelował w nią palec – leć do domu i trochę się prześpij!

– Pewnie, skarbie. Dla ciebie wszystko.

Kiedy się odwróciła i wyszła za drzwi, przemknęło jej przez głowę, że może powinna wspomnieć mu o śladach błyszczyku na czole. Potem jednak odsunęła od siebie tę myśl.

W całodobowych dyżurach było coś dziwnego. Kiedy zbliżała się dwunasta godzina pracy, całym sercem pragnęło się powrotu do domu. Potem jednak, nad ranem, gdy już wszystko zmierzało ku końcowi i wreszcie można było wyjść, często napływała energia, która pozwalała

jeszcze trochę wytrzymać. Wiadomo, miało to związek z faktem, że wchodziło się na wyższe obroty przed porannym sprawozdaniem, ale zaczynał się też nowy dzień i szkoda było go marnować na spanie.

Na dalszą pracę nie miała wprawdzie ochoty, ale już wypicie caffè latte w stołówce wchodziło w grę. Dlatego zbiegła dwa poziomy w dół, na czwarte piętro, gdzie zwykła przesiadywać z neurologami, zdobywającymi wykształcenie dodatkowe. Obecnie bywał tu Kubańczyk Rolando. Zdążył już odbębnić wszystkie operacje i niezbędne procedury, których wymagano, żeby zaliczyć mu pół roku na oddziale, i gdy tylko zebranie poranne dobiegało końca – o ile w ogóle się na nim pojawiał – chował się u siebie.

Żeby dotrzeć do gabinetu Rolanda, musiała przejść przez pododdział chorób płuc na Internie, który mieścił się na czwartym piętrze. Był on wiecznie przepełniony, wielu pacjentów leżało na dostawkach w korytarzu, za tymczasowymi przesłonami. Zawsze gdy tędy szła, ktoś kaszlał lub charkał. I ten wieczny, okropny zapach. Zresztą może nie powinno jej to dziwić. Pacjenci z pododdziału chorób płuc wyglądali zwykle na wyczerpanych, byli też wychudzeni, a to z racji przewlekłych schorzeń, które ich wszystkich nękały. Przechadzka po oddziale wystarczyła, by upewnić się, że to nie internistką zostanie, gdy już zdobędzie tytuł lekarza.

Na końcu pododdziału skręciła w korytarz na prawo. Drzwi do gabinetu Rolanda były uchylone. Za nimi, w jednym z dwóch pokoi zobaczyła Kubańczyka, siedzącego przed komputerem. Uśmiechnęła się, kiedy ją zauważył, i gestem zaprosił do środka.

– Nie powinnaś iść do domu się przespać? Wyglądasz na wymęczoną!

– Tak się nie mówi do kobiety, Rolando. Myślałam, że o tym wiesz. Już lepiej tak: zawsze jesteś piękna, Nathalie, ale twojej urodzie dobrze by zrobiło trochę snu.

Rolando odwrócił się od klawiatury.

– No, no. Ten twój temperamencik każe mi przypuszczać, że w twoich żyłach płynie kubańska krew.

– Jest w stu procentach norweska, Rolando. Przykro mi... – Uśmiechnęła się do swoich myśli. I znów to powiedziała. Mathias miał rację. Musiała przestać tyle przepraszać. – Co powiesz na kawę w stołówce?

Rolando rozłożył ręce.

– Mam artykuł do napisania i oddech profesora na karku. Wiesz, jak to jest.

Nathalie pochyliła się i przeczytała tekst na ekranie.

– „Apatia w chorobie Parkinsona”. Prawdę mówiąc, to wieje nudą.

– Wszyscy muszą przez to przebrnąć, żeby dostać stałą posadę. Ciebie też to czeka.

Ważne, żeby pamiętać, że nie liczy się temat dysertacji, lecz kto jest twoim promotorem. Dobry promotor może ci zaoszczędzić wiele lat daremnego wysiłku.

– No to chodź ze mną na dół!

Przekrzywiła głowę z uśmiechem. Zwykle to skutkowało.

– Pod jednym warunkiem – odparł.

– Jakim?

– Że powiesz mi, co jest między tobą a Mathiasem Grande.

Musiała się roześmiać. Śmiech zabrzmiał trochę głośniejszy, niżby chciała.

– No, przecież nic nas nie łączy.

– Nie?

Rolando posłał jej spojrzenie kubańskiego uwodziciela.

– On... on jest po prostu dla mnie bardzo uprzejmy i miły.

– Właśnie. A dlaczego taki jest?

– Oj, Rolando. Nie zaczynaj znowu. Przecież on ma partnerkę i dziecko, i tak dalej.

– A ty jesteś młoda, ładna i czarująca.  
– Przyznaję, że jest przystojny, ale nic między nami nie zaszło – i nic nie zajdzie. Kiedy się w końcu nauczysz, że my, tu w Norwegii, nie jesteśmy jak Kubańczycy?  
Rolando przechylił głowę do tyłu i zaniósł się głębokim, dźwięcznym śmiechem.  
– Dość jest anegdot z tego miejsca, które temu przeczą.  
– Taaak? Dawaj!  
– Cóż, od czego mam zacząć? Jeśli na przykład weźmiemy lekarzy-asystentów, to w ostatnich latach popularnym sportem było wabienie studentów do jednej z dyżurek nad izbą przyjęć podczas dyżuru. Koniec końców są tam zamykane na klucz pokoje z łózkami, prawda...?  
– Zmyślasz, Rolando. Takie rzeczy się tu nie dzieją.  
– Spytaj swoją małą, słodką koleżankę, która nie tak dawno poszła z dyżurnym z Ortopedii.  
– Kjersti? Nie wierzę ci ani trochę.  
– Tylko poczekaj! Wkrótce przyjdzie kolej na ciebie, zobaczysz.  
– Taa, pewnie. A teraz zejdiesz ze mną na kawę?  
Rolando wstał.  
– Przekonałaś mnie. Apatia może poczekać.  
– Świetnie!  
Wyszła za Rolandem na korytarz. W myślach ujrzała Kjersti z ortopedą w dyżurce. Jej przyjaciółki padną, gdy to usłyszą!

# 11. Werner

Potrzebował więcej tabletek nasennych. Sam nie wiedział, ile ich połknął poprzedniego wieczora, ale bez najmniejszego efektu. Leżał do późnej nocy, przeżuując w myślach te same pytania. Dlaczego nie mogła się z nim skontaktować? Dlaczego mu to zrobiła? Nie zasługiwał na to.

Wszedł do internetowego Katalogu Produktów Leczniczych. Musiał postarać się o coś silniejszego niż środki, które stosował do tej pory. W przeciwnym razie zwariuje. Bez snu był wrakiem człowieka. Przesuwając myszkę, zauważył, że trzęsie mu się ręka. Może powinien spróbować kombinacji kilku preparatów. Kilka tabletek oksazepamu, a do tego na przykład chlorprotyksen. Znalazł w Internecie parę przepisów. Właściwie to niewiarygodne, na co można było trafić w sieci. A bezsenni mieli nawet własne fora. Zresztą może nie powinno go to dziwić. Musiał się jednak pilnować. Co dzień chodzić do pracy. Wyrywać się ze snu na dźwięk budzika.

Aż się wzdrygnął, słysząc pukanie do drzwi.

– Wernerze?

Poznał głos Odda Hasselgrena. I znów on. Co w tego gościa wstąpiło? Werner spodziewał się wprawdzie, że powinowactwo z Ronim Rijkerelem zadziała na jego korzyść, ale czegoś takiego nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych snach. W niecałą dobę Hasselgren z aroganckiego zrobił się namolny. Tym razem stał na progu z plakatem reklamowym producenta mikroskopów operacyjnych Zeiss, przedstawiającym charakterystyczną sylwetkę Roniego Rijkera przed jednym z mikroskopów firmy. „Mikrochirurgia dla wszystkich pacjentów – non stop”, głosił napis poniżej.

– Pomyślałem, że pasowałby u ciebie na ścianie. Stylowy, prawda?

Werner rozejrzał się po małym pomieszczeniu, które dzielił z Ødegårdem. Pokój znajdował się na końcu skupiska gabinetów na ostatnim piętrze. Trzy ściany od strony korytarza składały się prawie wyłącznie z okien. Przy czwartej, graniczącej z sąsiednim gabinetem, stały szafy i regały z książkami.

– Nie wiem, czy mam miejsce, żeby go powiesić.

Hasselgren stał z plakatem w rękach. Wyglądał na skonsternowanego. Werner złapał się na tym, że zrobiło mu się żal starszego lekarza. Ruchem głowy wskazał swoją szafę.

– Może tam, na drzwiczkach?

Hasselgren natychmiast przeszedł przez pokój i przyłożył plakat do drzwi szafy. Z każdej strony wystawało po kilka centymetrów papieru. Starszy lekarz wyglądał, jakby nie mógł się z tym pogodzić. Przesuwał plakat w tę i z powrotem, bez większego efektu.

– A co z drzwiami wejściowymi? – podsunął Werner.

Zdążył się już poddać. Hasselgren obrócił się do niego z entuzjazmem, aż załopotał papier.

– Niegłupia myśl, Wernerze, wcale niegłupia.

Otworzył drzwi prowadzące na korytarz, przysuwając je do samej ściany. Potem przyłożył plakat płasko do drewnianej powierzchni.

– Co ty na to? Nie za nisko?

Werner uśmiechnął się uprzejmie.

– Myślałem raczej, żeby powiesić go w środku – powiedział – to znaczy po wewnętrznej stronie drzwi.

Hasselgren przytaknął gorliwie.

– Oczywiście. Wtedy będzie cieszył oko najbardziej, prawda?

Starszy lekarz pchnął drzwi i znów umieścił plakat na ich powierzchni. Wydawał się teraz

lekką zgaszony. Cóż, trudno. Werner nie chciał, żeby posądzano go o obnoszenie się z więzią z Rijkerem. Wydobyl z szuflady biurka rolkę taśmy klejącej i podszedł do Hasselgrena, by mu pomóc. Po krótkiej wymianie zdań udało im się umocować plakat. Hasselgren odstąpił o krok i z zadowoleniem przyjrzał się swojemu dziełu.

– Niewiele neurochirurgów występuje na własnych plakatach. Prawdziwa gwiazda z tego twojego wujka.

– Jasne. Ma też tego pełną świadomość.

Werner cofnął się i usiadł. Hasselgren został na środku pokoju, gdzie przestępował z nogi na nogę.

– Pewnie utrzymujesz z nim kontakt?

– Widujemy się na zjazdach rodzinnych. Moja matka jest w bardzo bliskiej relacji ze swoją siostrą, a jego żoną.

– Nie byłeś w jego klinice?

Werner potrząsnął głową.

– Nie, w tej nowej nie.

Hasselgren oparł się o jedną z szaf. Założył ręce na piersi i skrzyżował nogi, tak jakby zamierzał chwilę postać. Werner usiłował stłumić ziewnięcie. Boże, ale był zmęczony. Gdyby miał sofę, na której mógłby się wyciągnąć...

– Słyszałem, że ma kształt mózgu.

– Hm?

Werner uniósł wzrok.

– Klinika twojego wuja. Podobno architekt nadał jej kształt mózgu, w rzucie z góry.

– Tak, chyba tak.

Werner umilkł na kilka sekund. Musiał opracować jakąś strategię. Hasselgren mocno się go uczeplił i jeśli czegoś nie wymyśli, to starszy lekarz zostanie w gabinecie na dłużej.

– Rozumiesz... W ostatnich latach niewiele miałem kontaktu z Ronim. Pracuje dniami i nocami, a ja nieczęsto wracam do Niemiec.

– Był już w Norwegii?

– Z tego, co wiem, to nie.

– A nie chciałby tutaj przyjechać? – Hasselgren machnął ręką. – Wiosną Bergen wspaniale się prezentuje. Wielu Niemców przyjeżdża tu na wypoczynek. Zresztą sam wiesz, skoro tu zamieszkałeś.

– Jak już mówiłem, nie wiem, czy wujek miał okazję odwiedzić Norwegię. Od dłuższego czasu nie mam z nim kontaktu. To głównie przez ciotkę...

– Gdyby przyjechał, mógłbyś zabrać go na nasz oddział, prawda? Zorganizowalibyśmy wspólny lunch. Oprawdzili go. Nasz nowy nóż laserowy jest naprawdę szczytem nowoczesności, najlepszym tego typu sprzętem w Europie. Są też plany otwarcia nowego centrum neurologii i neurochirurgii. Dobrze byłoby przedstawić Rijkera szefostwu szpitala.

Hasselgren postąpił o krok. Rozejrzał się teraz dyskretnie na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie słyszy. Mówiąc dalej, zniżył głos do szeptu.

– Wiesz, to by przecież wcale nie zaszkodziło twojemu podaniu, prawda?

Werner próbował wytrzymać spojrzenie, które posłał mu Hasselgren.

– Nie zrozum mnie źle, Werner. Dobrze jest utrzymywać kontakty z rodziną. A w każdym razie po przeprowadzce za granicę, tak jak w twoim wypadku. Podoba ci się tu?

Czy mi się podoba? *Mein Gott*. Przecież nie o to chodziło.

– Pewnie. Bergen to fajne miasto.

– Prawda? Nie ma lepszego miejsca, w którym można by mieszkać.

Hasselgren wreszcie się odwrócił. Otworzył drzwi i obejrzał się po raz ostatni.

– Do pogadania, Wernerze.

Skinął głową, a tymczasem Hasselgren zniknął za drzwiami. Mógł teraz okręcić się w fotelu, oprzeć ramiona na biurku, głowę złożyć na klawiaturze i w tej pozycji zastygnąć. Nie miał siły myśleć. Nie miał siły nic robić. A już najmniej pragnął odnosić się do Odda Hasselgrena. To było nie do zniesienia. Dlaczego Hanne nie mogła do niego zadzwonić? Dlaczego? Czym sobie na to zasłużył?

Nie, musiał koniecznie iść do domu się przespać. Ale najpierw zamierzał wstąpić do apteki w mieście. Nie miał odwagi zaglądać do tej na parterze szpitala. Farmaceuci zaczęli patrzeć na niego wilkiem za każdym razem, gdy kupował preparaty na receptę wystawioną na swoje nazwisko.

Nagle usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Odruchowo podniósł głowę z klawiatury. Sądząc po zdecydowanych krokach, był to Ødegård. I dobrze. Werner cenił sobie fakt, że to właśnie z nim dzielił gabinet. Ødegård nie mówił bez potrzeby. Teraz przeszedł po prostu obok i siadł za ścianką działową, nie komentując faktu, że zastał kolegę z głową na biurku.

Werner się wyprostował. Uniósł rękę i położył ją na telefonie, który stał na biurku. Wystarczyło wprowadzić numer. Przywitać się, kiedy by odebrała, wyznać, że za nią tęskni, i spytać, czy będą mogli się spotkać. Opuścił dłoń. Godność. Nie mógł się pozbawiać resztek godności.

– Ej, Werner? – zagadnął go Ødegård. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że kolega odsunął fotel od biurka i wyglądał zza ścianki działowej. Wzrok kierował ku drzwiom.

– To ty powiesiłeś ten plakat?

## 12. Mathias

„Fjellveien – czarujący dom ze wspaniałym widokiem”.

Mathias uniósł wzrok znad broszury, którą trzymał w ręku. Dom rodzinny Marianne leżał na stromym zboczku po górnej stronie drogi. Pokazywała mu go już wiele razy, ale wysokie krzewy forsycji zasłaniały budynek od ulicy, utrudniając wyrobienie sobie o nim zdania. Teraz jednak, stojąc na podjeździe, zrozumiał, dlaczego agent nieruchomości użył tak wielkich słów. Dom był utrzymany w stylu szwajcarskim; miał piękne detale architektoniczne i wyglądał na dobre sto lat, ale od dawna go nie remontowano, nie mówiąc już o odmalowaniu.

– Popatrz na to. – Marianne chwyciła go za ramię i obróciła. Wtulona w niego, wskazała w głąb ulicy Fjellveien: – Wystarczy wsiąść na rower i zjechać stąd do Haukeland.

– Z Sollien też w sumie mogę to zrobić.

– Ale chyba nie chcesz mieszkać tam przez resztę życia?

Spojrzał na nią. Nadal wisiała mu na ramieniu. Nie zachowywała się tak już od narodzin Ylvy. Podobała mu się ta forma okazywania uwagi. Złapał ją i pocałował, przeczesał ręką jej jasne włosy.

– Bardzo chętnie bym się tu wprowadził, Marianne. Ale nie stać nas!

Uśmiechnęła się. W uśmiechu kryło się coś, czego nie umiał sprecyzować.

– Chodź! – Wzięła go za rękę. – Pokażę ci mój pokój dziecięcy.

Mathias wszedł za nią do domu, gdzie wąskimi, spiralnymi schodami dostali się na piętro. Po drodze musieli się przecisnąć obok kilku innych par, schodzących na dół. Dom nie był duży, ale z racji jego położenia wyceniono go na niebotyczną kwotę. Wszyscy chcieli mieszkać przy Fjellveien, tej idyllicznej trasie spacerowej, biegnącej po górskim zboczku i opasującej wstęgą centrum Bergen na północnym wschodzie. Mathias wiedział jednak, że Marianne kierowały zgoła inne pobudki. Po zaślabnięciu i śmierci ojca na trasie narciarskiej u schyłku lat osiemdziesiątych jej matka musiała sprzedać dom. Na krótko przedtem upadło rodzinne przedsiębiorstwo żeglugowe, które prowadził ojciec, rodzina nie miała więc innego wyjścia, jak tylko się przeprowadzić. Mathias odwiedził miejsce, gdzie mieszkali później, w Fyllingsdalen. Tamtejsze warunki trudno było porównać z życiem, które musieli wieść tutaj.

– To tu!

Kiedy weszli na piętro, Marianne pospieszyła do pokoiku po zachodniej stronie budynku. Z okna ze starymi, wygiętymi szybami, ujętymi w szprosy, roztaczał się widok na zatokę Vågen i półwysep Nordnes. Marianne już przypadła do wiekowego łóżka, usiadła i ostrożnie zahuściła się na materacu. Dziecięcy rys na jej twarzy nabrał jakby wyrazistości. Mathias wyobraził sobie, że widzi małą dziewczynkę z rozpuszczonymi włosami, która tu kiedyś mieszkała. Podeszedł i usiadł obok niej.

– Na tej ścianie miałam plakat z Mortenem Harketem – powiedziała, wskazując przeciwną część pokoju.

– A łóżko? Gdzie stało?

– Tu, gdzie siedzimy. Powiedz mi, co o tym sądzisz!

Podniósł broszurę i przeczytał nagłówek na pierwszej stronie.

– „Czarujący dom ze wspaniałym widokiem”.

– Głupek z ciebie!

Ten jeden raz zaśmiała się z jego dowcipów. Uderzyła go myśl, że nie pamięta, kiedy ostatnio było im ze sobą tak dobrze, jak tego dnia. Szkoda tylko domu. Marianne podniosła się z miejsca i podeszła do okna. Stała, patrząc na miasto. Doskonale rozumiał, dlaczego chciała się tu z powrotem wprowadzić. Byłoby to idealne miejsce do wychowywania dzieci, a poza tym

miałaby poczucie, że odzyskała to, co straciła jej rodzina. Ale on nie mógł zostać w Bergen. Kiedy tylko usiądzie z nią na spokojnie, powie jej to. Może nawet dziś wieczorem. Był pewien, że go zrozumie. Przecież i tak nie mogli sobie pozwolić na wielomilionowy wydatek.

– Chodź tutaj! Coś ci pokażę.

Dźwignął się z łóżka i przeszedł przez pokój, po czym stanął za Marianne, kładąc jej ręce na barkach.

– Już się zorientowałem, że widać stąd Vågen, jeśli o to chodzi.

– Oj, przestań! – Przytknęła do szyby palec, wskazując w kierunku Nordnes. – Widzisz ten czerwony budynek, który stoi nad taflą wody po stronie Vågen?

– Masz na myśli Hotel Admirala?

– Tak. A obok stoi biała budowla z dużą szklaną fasadą.

– I co?

Nachyliła się do niego.

– Wkrótce zacznę tam pracować.

– Zmieniasz pracę?

– Jest tam przedsiębiorstwo żeglugowe. Poprosili mnie, żebym złożyła podanie.

Właściciel zna moją rodzinę.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Obróciła się do niego i ujęła jego brodę w dłonie.

– Chciałam, żeby to była niespodzianka. I żebyś najpierw zobaczył ten dom.

Wynagrodzenie, które będę dostawać w nowej pracy, jest bardzo wysokie. Na tyle wysokie, że stać nas na spełnienie wymogów związanych z kupnem. Rozmawiałam już z bankiem o pożyczce.

Mathias przełknął ślinę.

– Nie pogratulujesz mi? – spytała.

– Tak... oczywiście. Gratulacje. To...

– Dziękuję!

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

– Co o tym sądzisz? Zalicytujemy?

Mathias wzruszył ramionami. Kobięcy głos, który dobiegł od progu, uwolnił go od odpowiedzi.

– O-o-o-och, jak przytulnie.

Odwrócił się i na środku pokoju ujrzał kobietę w średnim wieku. Rozglądała się uważnie. Jej równolatek wsunął głowę do środka i obejrzał pomieszczenie z mniejszym entuzjazmem.

– Jeszcze o tym pogadamy – usłyszał szept Marianne, po czym wyminęła go i opuściła pokój.

Mathias został sam przed oknem i zapatrzył się w kierunku Nordnes. Nad centrum nadciągnęła chmura. Znów zanosilo się na deszcz.

\*

Nie mógł zasnąć. Leżał, gapiąc się w sufit i wsłuchując się w stłumiony oddech Marianne. Bezsenność nie była dla niego w zasadzie czymś niezwykłym. Zazwyczaj borykał się z tym problemem przez kilka dni po każdym całonocnym dyżurze. Zwłaszcza jeśli miał dużo pracy nocnej, tak jak ostatnio. Teraz jednak chodziło o coś innego.

Usiadł na skraju łóżka, starając się nie robić większego hałasu. Znalazł kapcie i szlafrok, przewieszony przez krzesło przy ścianie, po czym wymknął się z sypialni. W kuchni włączył



plytę grzewczą kuchenki, wyjął rondel i napełnił go mlekiem. Stara sztuczka z mlekiem i miodem z reguły dobrze na niego działała.

Czekając, aż mleko zacznie kipieć, przechylił się nad ladą kuchenną, ciągnącą się wzdłuż okna w kuchni. Droga naprzeciw domu była pusta i cicha. Ani żywego ducha. I co on miał począć? Marianne właśnie zyskała kolejny powód, żeby zostać w Bergen. Dostała dobrą pracę z wysoką pensją. Stać ją było na odkupienie domu rodzinnego. Jego przyszłość w tym mieście była za to w najwyższym stopniu niepewna. Jeżeli chciał dalej zajmować się neurochirurgią, to musiał liczyć się z zatrudnieniem w innej części kraju. Wszystko na to wskazywało. Może w Trondheim. Może w Oslo. Ale jak miał jej to teraz powiedzieć?

Wstał i podszedł do szafki, żeby wyjąć kubek. Miód znalazł w szafce narożnej. Dwie łyżki. Przełał mleko do naczynia i wrócił do blatu pod oknem. Może powinien poważnie potraktować pomysł zmiany oddziału, który wpadł mu do głowy? Doświadczenie w neurochirurgii stawiało go na uprzywilejowanej pozycji. Podczas stażu w Szpitalu w Stord zastanawiał się, czy nie spróbować swoich sił w ortopedii. Gdyby podczas krótkiej wizyty w Szpitalu Haukeland nie natknął się w korytarzu na Pera Irgensa, może tym by się właśnie zajmował. Na ironię zakrawał fakt, że tamtego dnia wybierał się do Mortensena, ordynatora Oddziału Ortopedii. Ortopedzi i neurochirurdzy dzielili ostatnie piętro w bloku centralnym. Kiedy jednak zdradził Irgensowi, dlaczego zawędrował na górę i do kogo przyszedł, ten zaczął nalegać, by to z nim najpierw porozmawiał. Kupił im po kawie i zabrał go do swojego zagraconego gabinetu. Mówili trochę o studiach i doświadczeniu zawodowym Mathiasa, po czym Irgens stwierdził:

– Myślę, że to u nas powinien pan zacząć.

Mathias jeszcze od nikogo nie słyszał takich słów. Skoro zaś padły z ust samego Pera Irgensa, to trudno było odmówić. Przez następne półtora roku ani razu nie żałował swojego wyboru. W każdym razie aż do teraz.

Za oknem z nadmierną prędkością przemknął motocykl. Dźwięk motoru jeszcze długo wisiał w powietrzu.

Tak, cóż za ironia, że rozważał teraz, czy nie zapukać znów do drzwi Mortensena. Niemniej jednak wyglądało na to, że nie miał wyboru. Ortopedia nie dostarczała pewnie tak ekstremalnych wyzwań, jak neurochirurgia, ale z całą pewnością roboty też było w bród. Bez wątplenia znalazłoby się dla niego dość operacji. Najpierw mógł rozeznaczyć się w sytuacji, a potem podjąć decyzję.

Rozległ się cichy brzęczyk. W rogu, przy zlewie, znalazł swój telefon komórkowy. Wcześniej tego wieczora odłożył go tu do ładowania, a teraz ekran rozbłysnął. Mathias zerknął na zegar i stwierdził, że było wpół do trzeciej. Musiał wrócić do łóżka. W przeciwnym razie rano będzie nie do życia. Jakie przydzielono mu zadanie? Obchód, zebranie wywiadu i badanie przedmiotowe pacjentów z listy? Nie był pewien. Tak czy owak, na operacje nie miał co liczyć. Pod tym względem wyżej stawiano lekarzy-rezydentów. Przy odrobinie szczęścia mógł dostać jakieś ochłapy typu trepanacja czaszki.

Sięgnął po komórkę i wyłączył blokadę klawiszy. U góry wyświetlacza widniał nieznany numer.

„Przepraszam, ale jestem na mieście i chciałam tylko wznieść mały toast: na zdrowie! Bardzo to głupie. Jeszcze raz przepraszam. N.”

N.?

To musiała być Nathalie, z całą jej spontanicznością. Była czarująca, tak. Ale też bardzo młoda. Poza tym miał Ylvę i Marianne.

Skasował wiadomość, cofnął się i usiadł. Uniósł kubek i dmuchnął lekko na ciepłe mleko

z miodem.

## 13. Werner

Przynajmniej dostał jakąś odpowiedź. Werner upił łyk kawy i zapatrzył się na taras przed stołówką. Nikt na nim teraz nie siedział. Jak zwykle padał deszcz. Znalazł miejsce przy długim stole tuż pod oknem. Kilka metrów dalej siedziała para emerytów i w milczeniu jadła posiłek. Poza tym w stołówce panował tego dnia ścisk. Było tu wielu studentów. Wydierali się o rzeczach zupełnie bez znaczenia i zgrywali się przed sobą. Ale jego to nie obchodziło. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, to wydarzenia poprzedniego wieczora. Może trochę by mu pomogło, gdyby się na nie przygotował, ale nawet kiedy wielki samochód dostawczy z napisem AVIS na karoserii zaparkował za oknami kuchni, nie miał pojęcia, co jest grane. Chwilę później do drzwi zadzwonił brat Hanne z dwoma kumplami. Kiedy Werner im otworzył, usłyszał, że przyjechali po rzeczy dziewczyny. Odepchnęli go na bok i weszli do mieszkania, tak jakby spodziewali się z jego strony oporu. Zamiast tego po prostu skulił się przy ścianie. Po pewnym czasie udało mu się powlec do pokoju gościnnego nieopodal i zamknąć za sobą drzwi. Leżał tam na podłodze, podczas gdy oni wynosili rzeczy Hanne. Nawet gdy dźwięk silnika ucichł w oddali, nie miał siły się ruszyć. Leżał tylko, czując rozlewający się w piersi ból.

Werner rozpakował śniadanie, usunął papierek, leżący na górnej kromce i ugryzł kęs. Brązowy ser. To dzięki Hanne polubił jego smak. Kiedy spróbował go po raz pierwszy, natychmiast wypluł. Ser nie powinien być słodki. Teraz długo przeżuwał kęs. Nie miał apetytu, ale musiał jeść. Wcale się też nie wyspał. Połączenie różnych preparatów nie poskutkowało. Jedyne, co udało mu się wywołać, to otępienie, tak silne, że prawie zasnął na przeglądzie zdjęć rentgenowskich. Siedział i szczypał się w ramię, żeby nie odplynać. Przełknął kęs, który przeżuwał. Dostał nagłych torsji, ale udało mu się je w porę pohamować. Powinien brać mniejsze kęsy. W końcu musiał coś jeść. Musiał też jakoś funkcjonować. Nie mógł po prostu położyć się i dać sobie spokój, mimo że tego pragnął.

Zamknął oczy. Wydawało mu się, że wciąż słyszy głos Hanne, nagrany na automatycznej sekretarce. Tak wesoły i przyjazny, jakby zaraz miała się roześmiać. Oczywiście nie powinien był do niej dzwonić. Miał rację, spodziewając się, że w ten sposób przekroczy pewną granicę. Gdy jednak udało mu się wreszcie wytoczyć z pokoju gościnnego, wszelka wola oporu w nim zgasła. Był środek nocy, a mimo to poszedł prosto po komórkę i wybrał numer Hanne. Mógł na tym poprzestać. Przerwać połączenie, wysłuchawszy jej automatycznej wiadomości, zamiast tego jednak zaczął mówić, plótl, co mu ślina na język przyniosła na temat swoich myśli i uczuć. Błagał, by do niego wróciła. Wymyślał jej. A potem, w pół zdania, przerwał mu sygnał. To wyłączyła się sekretarka. Znowu mógł zrezygnować. Zrozumieć, że to donikąd nie prowadziło. A jednak ponownie wybrał jej numer, zczekał, aż będzie mógł mówić, i podjął przerwany wątek. Dzwonił do niej raz po raz. Stracił rachubę, ile połączeń nawiązał. Może dziesięć, a może trzydzieści.

Stuknięty Werner. Stał się Stukniętym Wernerem, czego tak bardzo się obawiał.

– Mogę się przysiąść?

Werner otworzył oczy i za stołem zobaczył Anniken. Zdażyła się już prześliznąć obok pary emerytów i postawiła tacę z posiłkiem na blacie, zajmując miejsce naprzeciw niego. Zazgrzytały nogi przesuwanego krzesła.

– Chyba że przeszkadzam?

– Skądże.

Uniósł kanapkę i ugryzł nowy kęs, zaraz jednak poczuł, że nie będzie w stanie go przełknąć. Miał mdłości. Żuł ze wszystkich sił, ale wydawało mu się, że kawałek jedzenia coraz bardziej rośnie mu w ustach.

– Widzę, że przejąłeś dobry norweski zwyczaj?

Anniken wskazała jego drugie śniadanie. Werner skinął głową, nie przestając żuć, a ona rozdzieliła swoje dwa kawałki pizzy. Aż ociekały od keczupu. Uderzył w niego ich zapach. Otworzył lekko usta, by wciągnąć powietrze, nie wdychając woni. Teraz musiał przełknąć.

– Swoją drogą, słyszałam, że macie na oddziale nową rozrywkę, która polega na wymyślaniu przezwisk dla anestezjologów.

Anniken popatrzyła na niego wyczekująco. Nie potrafił odwzajemnić spojrzenia. Kręciło mu się w głowie. Musiał przełknąć. Musiał...

– Kilka dni temu Karina Sandemann wygłosiła burzliwą przemowę na zebraniu porannym – ciągnęła Anniken ze śmiechem. – Stwierdziła, że musimy surowiej traktować chirurgów, żeby nie stracili dla nas szacunku. Ale prawdę mówiąc, sami zaczęliśmy ją nazywać Szablozębną... kiedy nie ma jej w pobliżu, rzecz jasna.

Werner zmusił się do uśmiechu. Zaciśnął oczy, wziął oddech i przełknął. Jego przeponę przeszedł gwałtowny spazm, który sięgnął aż do podniebienia. Szarpnął się nad stołem, ale z wysiłkiem udało mu się połknąć kęs.

– Ojej... Zakrztusiłeś się?

Kiedy się wyprostował, Anniken wlepiła w niego wielkie oczy. Wziął głęboki oddech otwartymi ustami i potrząsnął głową.

– Wszystko w porządku.

– Nie możesz łykać takich dużych kęsów, Werner. A swoją drogą, myślałeś już może o tej naszej kolacji?

Anniken uniosła kawałek pizzy i ugryzła go. Na jej górnej wardze osiadła smużka keczupu.

Pokręcił głową.

– Jens uważa, że to dobry pomysł. Mamy trochę czasu w najbliższy weekend. A wy?

Werner wzruszył ramionami. Rozejrzał się dookoła. Musiał się stąd jakoś wyrwać. Nie miał siły tak siedzieć. Tylu tu było ludzi. I te mdłości. Nie ustępowały.

– Zdaje się, że Hanne ma dyżur.

– Myślałam, że rodzinni porozdawali już wszystkie dyżury tym, którzy mają na nie większą ochotę. Ale pamiętam, jaka jest Hanne. Lubi, jak coś się dzieje. No to może któryś z wieczorów w tygodniu? Poniedziałek? Wtorek?

– Ja... Musimy zerknąć do naszych grafików.

Anniken odgryzła duży kęs pizzy i przeżuwała go, nadal z keczupem na górnej wardze. Werner poczuł, że na czoło występują mu krople potu. Przesunął ręką po skórze i z ukosa zerknął na emerytów. Mężczyzna obok niego odsunął się na krześle, tak że nie mógłby tamtędy przejść. A w dodatku przyszła kolejna para i zajęła miejsca nieopodal.

– Nie mógłbyś mi po prostu wysłać wiadomości? Mój nick to „ANAN”. Łatwo zapamiętać. Jak Kofi Annan, tylko że przez jedno „n”.

Rozległ się pisk pagera. Anniken poderwała się błyskawicznie.

– Mam dyżur, rozumiesz – oznajmiła i wyjęła z kieszeni niewielkie plastikowe pudełko. – To chyba nie mój. Jesteś pewien, że to nie twój pager?

Ruchem głowy wskazała kieszeń jego fartucha.

– Co?

– Pager. Zdaje się, że ktoś cię wzywa.

Spojrzał w dół. Na jego pagerze świeciła czerwona lampka. 73246. Był to numer centrali telefonicznej. Ktoś z zewnątrz próbował się z nim skontaktować. Werner podniósł się z miejsca. Wstając, zahaczył udami o krawędź blatu. Stół podskoczył.

– Przepraszam – powiedział.

W jednej chwili zrobiło mu się łatwiej oddychać. Bez względu na to, kto dzwonił, dostarczył mu pretekstu, by odejść. Przecisnął się obok emeryta i usłyszał jego sarkanie, kiedy krzesło zakołysało się do przodu, ale poszedł dalej, nie odwracając się. Wkrótce wyszedł na wolny skrawek podłogi. Ruszył w stronę korytarza, ale przypomniał sobie, że znajdujący się tam aparat telefoniczny ostatnio nie działał. Obrócił się więc i skierował do telefonu stojącego przy wyjściu na taras. Tu oddychało mu się jeszcze lepiej. Praca serca zwolniła. Wszystko wracało do normalności. Dotarł do telefonu, podniósł słuchawkę i wybrał podany numer. Po zaledwie dwóch tonach odezwał się kobiecy głos.

– Czy to pan Schlunk?

– Tak?

– Proszę odłożyć słuchawkę, wtedy zadzwoni do pana osoba z zewnątrz.

– A kto?

– Pańska współlokatorka.

– Moja współlokatorka?

– Tak. Rozłączy się pan?

Odłożył słuchawkę.

Hanne.

To była Hanne.

Telefon się rozdzwonił. Ujął słuchawkę, ale jej nie podniósł. Potrzebował kilku sekund, żeby wziąć się w garść.

Hanne.

Zadzwoniła do niego. Dlaczego teraz? Jasne. Zrobiła to, bo on się z nią skontaktował. Nabrał powietrza. Musiał się uspokoić. Nie przybierać oskarżycielskiego tonu. Może przemyślała sprawę. Może...

– Odbierze pan w końcu czy nie? – huknął ktoś z tyłu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że stoi za nim jeden z gastrochirurgów z pagerem w ręku. Niski, rudy facecik. Piegowaty krzykacz. Werner przytaknął. Wystarczyło odebrać. Podniósł słuchawkę.

– Cześć – rzucił.

– Cześć, Werner.

To była ona. Pewnie, że ona. Mówiła cicho. Z rezerwą. Nie umiał ocenić, czy był to dobry, czy zły znak.

– Miło cię słyszeć – powiedział, starając się nie zabrzmieć zbyt entuzjastycznie. Ważne, by nie okazywać entuzjazmu.

– Musisz...

Głos jej się załamał. Usłyszał, że pochlipuje. Płakała. Poczł, jakby miał upaść, tu i teraz. Musiał wesprzeć się wolną ręką o ścianę i ścisnął słuchawkę między barkiem a głową.

– Ale, kochanie. Nie płacz.

Nadal pochlipywała.

– Hanne – powiedział, przetykając ślinę. – *Ich... liebe dich*. Wróc do mnie.

Teraz słyszał już tylko jej oddech. Ciężki oddech, jak szum na linii.

– Musisz przestać do mnie wydzwaniać, Werner. Musisz przestać.

Wziął oddech. Niespodziewanie ktoś lekko dźgnął go w bark.

– Dostałem wezwanie. Nie mógłby pan dokończyć tej rozmowy prywatnej później, co? Nie ruszył się.

– Ja... ja nie wiem, co bez ciebie pocznę, Hanne. Proszę cię. Nie rób mi tego. Nie możemy porozmawiać? Nie możemy...

– Nie dzwoń, Werner. Nie dzwoń do mnie. To koniec. Nie wrócę.  
Rozległo się kliknięcie. Zastygł z ręką opartą o ścianę i słuchawką przy uchu.

– Hej...

I znów poczuł, że ktoś szturcha go w bark.

– Hej... Słyszysz mnie pan czy nie? Dyżur mam.

Poszturchiwanie ustało. Teraz czyjaś ręka chwyciła go za ramię. Napięła się, próbowała szarpnąć go do tyłu. W tej samej chwili coś w nim pękło. Obrócił się, złapał zielony fartuch operacyjny i nachylił się nad małą, piegowatą główką.

– MOŻESZ PAN SOBIE DAROWAĆ?

Werner spostrzegł rozdziawione usta, kiedy naprężył mięśnie i uniósł stojącego przed nim człowieka. Wszystko rozegrało się, jak w zwolnionym tempie. Główka zakołysała się na kruchych barkach. Jak martwa lalka. Poczul, że ktoś kopie go w nogi, a kiedy spuścił wzrok, w powietrzu ujrzał dyndające stopy gastrochirurga. Rozluźnił uchwyt. Małe ciało spadło mu pod nogi, aż przez chwilę stracił równowagę. Zaczął kopać leżącego, usłyszał jęk i zobaczył, że mężczyzna przetoczył się po podłodze, po czym zastygł, skulony.

Nagle zorientował się, że wokół niego zapadła głucha cisza. Podniósł wzrok. Wszystkie twarze na sali zwróciły się w jego stronę. Starsze małżeństwo, studenci, personel stołówek. Wszyscy się obrócili. Anniken też się na niego gapiała, z kawałkiem pizzy uniesionym w pół drogi do ust. Werner spostrzegł, że z końca jej porcji spływał keczup. Małe czerwone krople kapały na jej biały fartuch.

## 14. Thea

Być może trochę się pospieszyła w ocenie Vilde Kåfjord. Dzieliły gabinet już od miesiąca, a jej pierwsze wrażenie było takie, że Vilde najbardziej pochłaniały rozmowy telefoniczne z jej francuskim chłopakiem albo narzekanie na pogodę w Bergen. Nie wydawała się też specjalnie zainteresowana tym, co robiła w Haukeland. Szerzej rozwodziła się nad znaczeniem doktoratu w rozwoju kariery niż nad swoim projektem dotyczącym niewydolności serca. Jednak po ich dzisiejszej rozmowie odczucia Thei się zmieniły. Znow siedziała, zaczytana w artykule, przeżywając wszystkie rozterki związane z myślą o jego odesłaniu, kiedy Vilde ją zagadnęła i zaczęła wypytywać o opiekę nad myszami laboratoryjnymi. Kilka spośród jej własnych zachorowało, a to zepsuło cały eksperyment, który prowadziła. Thea najpierw mówiła trochę o własnych doświadczeniach, po czym rozmowa zeszła na inne tory. Nie minęło wiele czasu, a zaczęły porównywać promotorów i żartować z innych pracowników laboratorium. Na koniec Vilde spytała, czy koleżanka nie zechciałaby tego wieczora wyskoczyć na piwo do pubu w centrum. Thea najpierw wymówiła się przyjazdem matki, teraz jednak, siedząc w fotelu biurowym, powoli uświadomiła sobie, że powrót do domu po skończonym dniu pracy był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

Zerknęła na zegar i stwierdziła, że minęła szósta. Poprzedniego dnia postarała się wrócić do domu wcześniej i zastała matkę w łóżku z zapalonym papierosem w palcach. W pokoju było siwo od dymu, a popielniczka na biurku wyglądała jak jeź, pełna sterczących niedopałków. Thea włożyła strój do joggingu i wyszła bez słowa. Gdy wróciła, matka zdążyła już posprzątać i umyć pokój. Przynajmniej dotarło do niej, że zrobiła coś złego. Kiedy jednak córka usiadła na łóżku, by z nią porozmawiać, ona nagle wybuchnęła płaczem. Szlochała przez kilka minut, po czym wstała i wyszła. Thea ruszyła za nią i zastała ją w otwartym korytarzu z windą, gdzie stała oparta o poręcz razem z dwiema innymi lokatorkami i paliła w najlepsze. Rozmawiała z kobietami, tak jakby nic się nie stało.

Thea obróciła fotel do pokoju. Nie przesłała jeszcze ostatecznej wersji artykułu Ingvild Falk i wyglądało na to, że tego dnia też jej się nie uda. Chciała przemyśleć całą sprawę raz jeszcze. Sięgnęła po komórkę i znalazła w niej numer Vilde. Niech będzie! Musiała się wyrwać.

Po wysłaniu wiadomości z propozycją godziny i miejsca spotkania okręciła się z powrotem do biurka i spojrzała na telefon stacjonarny. Jeśli miała wyjść do miasta, to musiała uprzedzić matkę. Nie mogła tego przeskoczyć. Przez kilka sekund siedziała, zastanawiając się, co jej powiedzieć, po czym podniosła słuchawkę. Matka odebrała od razu.

– Jak się czujesz, mamo?

Nastąpiła długa pauza.

– Cóż. Nie najgorzej. Przyjdiesz wkrótce do domu?

– Muszę tu jeszcze zostać. Mogę być późno.

Po oddechu matki Thea zgadła, że ta paliła papierosy. Pewnie znow na stacji.

– Nie musisz na mnie czekać. Wiesz, gdzie znaleźć jedzenie, prawda?

I znow długi wydech. Oczami wyobraźni Thea zobaczyła skręcone strużki dymu, wydobywające się z nozdrzy matki. Jak u smoka, myślała, gdy była młodsza.

– Mamo? Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– W porządku. W takim razie porozmawiamy później, co?

– Myślisz, że to ładnie tak traktować własną matkę?

Thea wzięła z biurka długopis i zaczęła bazgrać od niechcenia.

– Nie powiedziałaś mi nawet, dlaczego przyjechałaś, mamo. Czego ty ode mnie

oczekujesz?

– Może odrobiny empatii? Nie powinni was tego uczyć na studiach?

– Proszę, mamó. Nie zaczynaj znowu.

– Brzmisz zupełnie jak twój ojciec, wiesz? Coraz bardziej mi go przypominasz. I to nie jest komplement.

– Chodzi o tatę? Nie możesz mi po prostu powiedzieć?

– Gdyby naprawdę cię to obchodziło, to byłabyś tu teraz ze mną i nie rozmawiałybyśmy przez telefon.

Chwilę później zabrzmiało kliknięcie. Thea odłożyła słuchawkę. Rzuciła długopis i patrzyła, jak toczył się po blacie, aż zatrzymał się przy kartce z kopią wykresu Ingvild Falk.

Do diabła z Ingvild Falk. Do diabła z...

Nagle pisnął telefon komórkowy. Thea wzięła go i odczytała z ekranu wiadomość.

„Pingwin będzie w porządku. Do zobaczenia! Ciesz się!”

Zamknęła oczy.

Tak, ona też się cieszyła na to spotkanie.

\*

W pubie Pingwin panował wprawdzie ścisk, ale Vilde zdążyła już zająć miejsce przy okrągłym stoliku w kącie podłużnego lokalu. Thea kupiła sobie piwo i usadowiła się na przeznaczonym dla niej stoliku barowym. Łatwo nawiązały rozmowę. Podjęły przerwany wątek. Najpierw mówiły o Bergen, o pogodzie, trasach joggingowych i innych możliwościach spacerowych. Potem przeszły do standardowej pogawędki na temat szpitala. Dyżury. Trudne pielęgniarki. Tak, poszło lekko. Aż za lekko.

– Jeszcze jedną kolejkę?

Vilde wstała, zanim koleżanka zdążyła przytaknąć. Thea odprowadziła ją wzrokiem, gdy torowała sobie drogę między ludźmi. Z głośnika dobiegł pierwszy riff piosenki *When you were young* The Killers. Wokalista jeszcze nie zaczął śpiewać, a Vilde już nawiązała kontakt z barmanem. Przegięła się nad ladą we flirciarskiej pozie, a on odpowiedział, żonglując kufkami. Thea uniosła szklankę i wlała w siebie resztki piwa. Vilde trochę za bardzo się starała. Była też jakby spięta? A może na czymś jej zależało? Nie. Thea poczuła, że musi wziąć się w garść. Spróbować się odprężyć. Potrzebowała tego teraz.

Chwilę później kolejna półlitrowa szklanka piwa wylądowała przed nią na blacie.

– Wielkie dzięki. Następną kolejkę ja mogę postawić.

Vilde machnęła lekceważąco ręką i usiadła.

– W porządku. No wiesz, mam kupę kasy ze stypendium doktorskiego.

Roześmiały się obie. Thea pociągnęła długi łyk. Puścili Guns N' Roses. *Welcome to the Jungle*. Wydawało się, że mocne riffy gitarowe podkręcają atmosferę w lokalu.

– Na zdrowie – powiedziała Vilde, podnosząc szklankę z piwem. Thea zrobiła to samo. Ich kufle brzęknęły lekko.

– Podziwiam takie kobiety jak ty!

Vilde oparła się łokciami o stół i pochyliła się. Thea musiała się uśmiechnąć.

– Wielkie słowa.

– Robisz, co chcesz, na przekór wszystkiemu. Chirurgia to dziedzina zdominowana przez mężczyzn. Długie, ciężkie dyżury, mało czasu wolnego.

– Nie mam przecież rodziny. I nie żał mi spędzać czasu poza stacją.

– Ale chyba planujesz kiedyś założyć rodzinę?



Thea wzruszyła ramionami.

– Zobaczymy. Nie zaprzęłam sobie tym głowy. Wiem, że dla wielu osób to dziwne, ale lubię pracować i w moim życiu nie ma teraz miejsca dla męża czy dzieci.

– O tym mówię. Właśnie dlatego tak mi imponujesz. Jesteś osobą, która nie zastanawia się, co czeka za najbliższym zakrętem. Boże, chciałabym być taka.

Słyszając ostatnie zdanie, Thea spuściła wzrok. I znów odniosła wrażenie, że Vilde trochę za bardzo się stara.

Nie bądź taka sceptyczna, Theo. Vilde cię chwali. Kiedy ostatnio ktoś ci powiedział komplement?

Podniosła głowę.

– Przecież ty też nie najgorzej się ustawiłaś.

Vilde wzruszyła ramionami.

– Jestem zadowolona. Nie o to chodzi. Po prostu mam już powyżej uszu koleżanek, które jęczą, że nie mają odwagi starać się o upragnione posady. A na koniec zawsze usprawiedliwiają swoje wybory tym, że muszą mieć czas na dzieci, dom i volvo...

– ...i na labradora. Pewnie. Znam takie laski. Tyle że przestały się ze mną zadawać po kilku semestrach na studiach.

Vilde się uśmiechnęła. Zaraz jednak spoważniała. Rozejrzała się czujnie, jakby zamierzała powiedzieć coś, do czego na dobrą sprawę brakowało jej śmiałości.

– Powiedz mi trochę, z kim pracujesz.

Thea wzruszyła ramionami.

– Z samymi facetami. Bardzo ambitnymi. Moim zdaniem tak na granicy patologicznej ambicji. Ale mnie to też dotyczy. Inaczej by mnie tam nie było.

– Ale są mili?

– Mili? Nie użyłabym tego słowa. Panuje u nas taka wojskowa atmosfera. Taka hierarchia. Młodszy ledwie śmia się odezwać. I rzadko ktoś poklepie cię po ramieniu albo pochwali za to, co robisz. Nie ma u nas takiej kultury.

– To musi być bardzo męczące.

– Można przywyknąć. Ale to trochę dziwne, prawda? Stoisz roztrzęsiona przed salą operacyjną, bo po raz pierwszy masz komuś sama wywiercić dziurę w głowie, i nie ma nikogo, kto omówiłby z tobą sytuację, ani przed zabiegiem, ani po nim. Albo radzisz sobie ze stresem, albo nie. To wtedy dochodzi do selekcji.

– Ale ty sobie radzisz?

Thea upiła łyk piwa. Zaczęła już odczuwać upojenie alkoholowe. Było to cudowne uczucie.

– Tak. Tak mi się wydaje. Przynajmniej jak na razie.

Uśmiechnęła się. Nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Tak naprawdę nie zdarzyło jej się też z nikim o tym rozmawiać. Dopiero teraz odkryła, jak bardzo jej tego brakowało. Potrzebowała kogoś, z kim mogła się sprzymierzyć. Kogoś, kto by ją rozumiał. Komu mogłaby wszystko powiedzieć.

– Niezbyt dobrze radzę sobie za to z promotorką.

Odstawiła piwo. Za późno przyszło jej do głowy, że nie powinna o tym nikomu wspominać. Nawet Vilde. Koleżanka posłała jej ciekawskie spojrzenie zza stołu.

– O? A myślałam, że Ingvild Falk jest żywą maszyną do produkcji doktoratów. Trudno zliczyć, ile osób udało jej się przepchnąć przez ucho igielne w ostatnich latach. Co jest w niej takiego trudnego? Nie ma między wami chemii?

– Z chemią też nie jest najlepiej. Ale nie o to mi chodzi przede wszystkim. To bardziej...

– Bardziej jakie?

Thea znów podniosła piwo. Łyknęła porządnie. Nie odstawiała szklanki.

– Tak naprawdę to... nie chcę o tym mówić. Może innym razem, dobrze?

Vilde się cofnęła. Uniosła szklankę i upiła trochę zawartości. Skinęła głową z wyraźnym zawodem na twarzy.

– Oczywiście. Nie myśl o tym.

W jednej chwili nastrój się zmienił. Thea rozejrzała się, głównie po to, by uniknąć patrzenia Vilde w oczy. Co właściwie o niej wiedziała? Prawie nic, wyjąwszy to, co usłyszała dzisiaj. Ale nawet tego było niewiele. Vilde raczej zadawała pytania, niż odpowiadała. Mogłoby się wydawać, że na coś polowała.

– Byłam kiedyś z jednym z twoich kolegów.

To Vilde przerwała milczenie. Thea znów na nią spojrzała. Kobieta posłała jej zgaszony, rozbijający uśmiech.

– Z kim?

– Z Mathiasem Grande.

Ręce Vilde zacisnęły się na szklance piwa. Jej postawa się zmieniła. Wyglądała, jakby ze wstydem wcisnęła głowę w ramiona.

– Dawno to było?

– Kilka lat temu. Zerwał ze mną pod koniec studiów w Oslo, kiedy wybieraliśmy się na staż. Mieliśmy w sumie zacząć razem pracę w szpitalu w Tønsbergu, ale bez mojej wiedzy załatwił sobie posadę w Stord. Okazało się, że spotkał inną dziewczynę... – Vilde wzięła krótki oddech – ...a w dodatku moją najlepszą przyjaciółkę. Później dowiedziałam się, że od dłuższego czasu próbowała go uwieść za moimi plecami. Oczywiście zrozumiałam to ostatnia. Podłe, prawda?

Vilde przechyliła się nad stołem i przekrzywiła głowę, jakby chciała dać do zrozumienia, że mówi w trybie poufnym.

– Mathias nie wie, że jestem w Bergen. Nie mów mu, że się ze mną widziałś. Obiecuj!

– Nic nie powiem.

Thea uniosła szklankę i pociągnęła głęboki łyk.

– Opowiedz mi trochę o nim – usłyszała głos Vilde. – O Mathiasie... Tak. O tym, jaki jest. O jego rodzinie. Takie rzeczy.

Thea odwróciła wzrok. Zaczęło ją ogarniać zmęczenie. Przejechała dłonią po twarzy i pomyślała o matce, leżącej teraz pewnie na łóżku z pall mallem w ręku, w kłębach dymu, płynącego pod sufit. Już czuła, jak zapach papierosów będzie ją kłuł w nozdrza, gdy wróci do domu.

## 15. Nathalie

Siedząc naprzeciwko Mathiasa Grande przy stoliku pod oknem, nie wiedziała, co myśleć. Opuściła wykład, bo nie mogła skupić się na niczym poza esemesem, który wysłała mu w środku nocy przed kilkoma dniami, i tym, dlaczego jej nie odpisał. A teraz natknęła się na niego w stołówce, gdy siedział przy stole z najsmutniejszym spojrzeniem, jakie w życiu widziała. Początkowo chciała wybiec na korytarz ze wstydu za to, co zrobiła. Potem jednak wzięła się w garść i usiadła naprzeciw niego. To wtedy opowiedział jej o spotkaniu z ordynatorem Oddziału Ortopedii, z którego właśnie wrócił.

– Dostałem propozycję pracy – powiedział.

Siedziała, przyglądając mu się badawczo zza stołu. Takiej nowiny się nie spodziewała.

– Naprawdę chcesz zostać ortopedą?

Mathias wzruszył ramionami, a jego wzrok powędrował na okno. Ciężkie i szare bergeńskie niebo wydawało się uciskać miasto.

– Nad tym właśnie dumam. Bo wiesz...

Urwał, znów wzruszył ramionami.

– To, co wszyscy wiedzą?

Wreszcie na nią spojrział, ale wyraz jego oczu wskazywał, że myślami był zbyt daleko, by wziąć udział w dyskusji, do której próbowała go zachęcić.

– Czyli że ortopedzi to w gruncie rzeczy stolarze. Wkręcają śrubki, dopasowują protezy i mało ich obchodzi ogólne samopoczucie pacjenta. A ty jesteś typem osoby, która lubi leczyć całego człowieka, Mathias, nie tylko połamane nogi i nadgarstki.

Nathalie rozpakowała czekoladę, którą właśnie kupiła. Ułamała kawałek dla siebie i podsunęła opakowanie Mathiasowi, żeby się poczęstował.

– Nie, dzięki.

Z westchnieniem oparł łokcie o blat i ukrył głowę w dłoniach.

– No, co z tobą?

Nie namyślając się, pozwoliła, by jej ręka przesunęła się po stole i dotknęła wewnętrznej strony jego łokcia. Chwilę później szarpnął ramię do siebie i się odsunął.

– Przepraszam – szepnęła.

W końcu się uśmiechnął, jak to miał w zwyczaju.

– Co ci mówiłem na temat przepraszania?

Nathalie uniosła rękę do ust.

– Wiem – odparła. – Jeszcze się wyrobię.

Jego uśmiech zgasł. Nagle uderzył obiema rękami w stół i potrząsnął głową.

– Sam już nie wiem, co zrobić, Nathalie. Totalnie ugrzązłem.

– Jestem pewna, że znajdzie się jakieś rozwiązanie, ale musisz mi najpierw powiedzieć, w czym problem.

– Nie chcę cię męczyć. Pewnie wybierasz się na wykład?

Nathalie ułamała kolejną kostkę czekolady i wsunęła ją sobie do ust. Za nic w świecie nie opuściłaby teraz tego mężczyzny.

Przełknęła i powiedziała:

– Chodzi o te stałe posady, na które mają ogłosić nabór, prawda?

Mathias przytaknął. Wyglądał, jakby mu ulżyło, że to ona poruszyła ten temat.

– Tak, nie wypadam najlepiej na tle innych.

– Ale przecież posady nie są jeszcze zajęte?

– Nie, tylko że... To skomplikowane.

– Nie aż tak. Pracuję na oddziale dość długo, żeby wiedzieć, co się dzieje na górze. Postawiłeś na złego konia. Irgens jest na wylocie, a Mons Lohmann chce się otoczyć własnym dworem. Kobieta z żelaza Thea Michelsen pracuje nad projektem z profesorem Falk, więc powinna dostać jedno miejsce. A Werner jest interesujący, bo już obronił doktorat. Poza tym z tego, co słyszałam, jest całkiem zręczny. Ty masz najmniejszy staż pracy i żeby zostać wybrany, potrzebujesz kogoś, kto za ciebie poręczy. Ale nie wydaje ci się, że to, co robi szefostwo, jest nielegalne? Nie sądzę, żeby mieli prawo zwolnić cię bez powodu po tym, jak długo pracowałeś na umowę na czas określony.

– Czy ty naprawdę uważasz, że Lohmann pozwoli, żeby Związek Młodych Lekarzy dyktował mu warunki? Zresztą, jeśli raz zrobisz błąd i pokłócisz się z szefem, to możesz z góry założyć, że trudno ci będzie dostać pracę gdzie indziej. Nikt nie lubi awanturników. A środowisko medyczne w Norwegii jest małe.

– Ale teraz sam mówisz o innych możliwościach. W Oslo, Trondheim, tak, nawet w Tromsø są oddziały neurochirurgii. Wcale nie musisz zostać w Bergen, Mathias.

– Mam rodzinę. Wyjazd z Bergen nie jest rozwiązaniem. Myślisz, że ktoś byłby zainteresowany wyrzutkiem z Vestlandet? Bynajmniej!

Rodzina. Nathalie posmakowała to słowo i nie spodobało się jej. Przynajmniej nie w tym kontekście.

– I uważasz, że ortopedia to dobre rozwiązanie.

Mathias potrząsnął głową.

– Dotąd tak uważałem, Nathalie. A przynajmniej sobie to wmówiłem. Ale podczas dzisiejszej rozmowy z Mortensenem zrozumiałem, że ortopedia jest zupełnie nie dla mnie. I nic tu nie pomogły jego zachwyty, że niby mógłbym spróbować.

– A co z gastrochirurgią? Albo urologią? Zastanawiałeś się nad tym?

– Problem w tym, że już wiem, czego chcę, i nie mogę tego dostać, więc wszystko inne staje się porażką. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie ma wcale pewności, że sprawa jest aż tak beznadziejna. Musisz dać sobie więcej czasu. Może trafią się inne możliwości.

Popatrzył na nią ciężkim wzrokiem.

– Nie, nie rozmawiajmy już o mnie.

Sięgnął po czekoladę na stole i ułamał kostkę.

– A tobie jak się właściwie wiedzie?

Pytanie trafiło ją jak ciepły pocisk w samo serce. Poczula, że uśmiech wkrada się na jej twarz.

– Mnie? No, u mnie jest dobrze. Powinna więcej się uczyć. Ostatecznie już niedługo będę miała egzamin. A na wiosnę kończę tu pracę.

– I wtedy znikniesz...

– Tak, wtedy zniknę. A przynajmniej taką mam nadzieję – o ile tylko nie przydzielą mi za wysokiego numerka i będę musiała czekać pół roku na staż. A przecież w międzyczasie system stażów może się zmienić. Prowadzone są w każdym razie rozmowy na ten temat. Wszystko jest teraz takie niepewne.

– A co planujesz robić później? W czym chciałabyś się specjalizować?

– Jeszcze nie wiem. Większość ludzi u mnie na roku marzy o przyjemnym życiu. Chcą być specjalistami bez dyżurów stacjonarnych, a niektórym zależy na kasie, więc myślą o dermatologii i wstrzykiwaniu botoksu we własnych klinikach. Ale ja czuję, że muszę wkładać serce w to, co robię. Nie mogę nad czymś pracować tylko dlatego, że to mi uprzyjemnia całą resztę życia. Może jestem w tym trochę podobna do ciebie, chociaż za nic w świecie nie postawię

na neurochirurgię.

Nagle nachylił się do niej przez stół. Odruchowo założyła ręce na piersi i odsunęła się na krześle.

– Niewielu osobom to mówię, Nathalie, ale masz wielki talent do tej pracy. Rzadko się zdarza, żeby ktoś miał tak dobre podejście do ludzi i kolegów z pracy...

Urwał, słysząc, że się roześmiała.

– Do ludzi i kolegów z pracy?

Mathias uderzył się w czoło teatralnym gestem.

– Do pacjentów i kolegów z pracy... Ci ostatni w gruncie rzeczy też są ludźmi.

– Może z wyjątkiem trójgłowego trolla.

Skinął głową i ciągnął z uśmiechem na ustach:

– Tak, z wyjątkiem trójgłowego trolla. Zmierzam do tego... że nie chwalać cię tak, jak zasługujesz.

Nathalie wzięła oddech. Poczula, że musi spróbować. Przegięła się, pochylając ku niemu głowę, i znów położyła dłoń na jego ręce.

– Nie możesz zostać ortopedą, Mathias.

Czula, jakby jego skóra żarzyła się pod jej dotykiem; tym razem nie cofnął ręki. Siedział bez ruchu, pochylony, patrząc jej w oczy. I po raz pierwszy odkąd się spotkali, nabrała pewności, że jest dla niego pociągająca. Dlatego aż się wzdrygnęła, kiedy raptem ktoś odezwał się nad nimi łamanym norweskim:

– A więc to tu się chowacie?

Nathalie powoli cofnęła rękę, a tymczasem Rolando Hernandez usadowił się na krześle obok niej. Zauważyła, że Mathias siedział tak, jak do tej pory. Był chłodny i spokojny, mimo że to on miał tu coś do stracenia.

– W czymś przeszkodziłem?

Rolando podniósł duże zielone jabłko i odgryzł kęs.

– Właśnie się zbierałam. – Nathalie odsunęła krzesło od stołu i wstała. – Idę na wykład.

Rolando żuł z otwartymi ustami, przyglądając się jej nonszalancko. Zachowywała się jakby nigdy nic i zwróciła się do Mathiasa, chcąc życzyć mu powodzenia w wyborze, ale uderzyła ją myśl, że Rolando niekoniecznie był godny zaufania.

– Do zobaczenia – rzuciła i pospieszyła w stronę wyjścia.

Kiedy obeszła schody ruchome, przez chwilę widziała jeszcze obu mężczyzn za szklaną fasadą stołówki. Rolando siedział naprzeciwko Mathiasa i właśnie wycelował w niego palec wskazujący. Przyspieszyła, idąc korytarzem. Powinna być mądrzejsza, a nie zajmować się takimi głupstwami.

## 16. Thea

Czy źle postąpiła?

Thea oparła głowę na rękach i zamknęła oczy. Czowała się wymęczona. Odkąd matka przyjechała w odwiedziny, prawie nie zmrużyła oka. Ona robiła wokół siebie tyle szumu... Wciąż narzekała, że córce brakuje empatii, ale nie chciała zdradzić, co było nie tak. To nie mogło się skończyć inaczej.

Usłyszała popiskiwanie pagera, dobywające się z kieszeni fartucha. Zerknęła na wyświetlacz i odczytała numer. Ingvild Falk. Z całą pewnością chodziło o niedostarczony artykuł. Ta rozmowa musiała jednak trochę poczekać. Thea oparła się w fotelu biurowym w małym gabinecie do badań lekarskich, a przed oczami znów stanęła jej matka, pakująca na stacji walizkę na kółkach. Zamek błyskawiczny się zaciął, ale ani razu nie podniosła wzroku i nie poprosiła córki o pomoc. W końcu zostawiła pokrywę na pół otwartą i pociągnęła za sobą walizę, nawet się nie żegnając.

Kłótni właściwie nie dało się uniknąć. Po powrocie do domu Thea zastała pokój pełen dymu. Tym razem nie zobaczyła nigdzie popielniczki, ale kiedy skonfrontowała matkę z zapachem papierosów, ta zaprzeczyła, że paliła. Ta kropla przelała czarę. Po spotkaniu z Vilde Thea była w kiepskim humorze, powiedziała więc matce, co sądzi o jej zachowaniu. Spodziewała się usłyszeć protesty. Ale matka siedziała tylko, patrząc na nią lekceważąco, tak jakby córka jeszcze nie dorosła, żeby zrozumieć, o co chodziło. Jakie to było prowokujące! To dlatego Thea podsunęła jej myśl o przeprowadzce do hotelu. Matka odparła: „Jeśli tego chcesz, to...” i zaczęła się pakować.

Skrzypnęły drzwi. Thea obróciła się i spostrzegła, że do pokoju wsunął głowę jeden z pielęgniarzy.

– Hej, Thea, nie widziałas może Wenera?

Potrząsnęła głową.

– Mam wolny tydzień i nie orientuję się, co robią inni.

– Bo rozumiesz, Werner odpowiada dzisiaj za pacjentów z listy.

– Aha. W takim razie spróbuj do niego przedzwonić.

– Już to zrobiłem.

– Może zachorował? Zadzwoń na komórkę.

Pielęgniarz bez słowa zamknął drzwi.

Nic tylko zrzędzą, zrzędzą i zrzędzą. Na całego.

Musieli ich tego uczyć na pielęgniarstwie. Z pewnością mieli tam osobny wykład pod tytułem: „Jak przechytrzyć lekarza-asystenta, by rozwiązał problem za ciebie”.

Thea wpisała hasło do komputera i otworzyła program z grafiką operacji, które miały się odbyć tego dnia. Z kolorowego schematu dowiedziała się, że dwie pierwsze były już w toku. Zapisała się na operację kręgosłupa szyjnego, wyznaczoną jako drugą w sali numer 13. Głównym operatorem miał być Blix. Jeśli ktoś chciał się czegoś nauczyć, to właśnie jego powinien się trzymać. Przy odrobinie szczęścia może pozwoli jej otworzyć powłoki. Zaczynało się od nacięcia skóry z przodu szyi, po czym trzeba było zapuścić się w głąb, lawirując między mięśniami, przelykiem, tętnicami i nerwami, aby dotrzeć do przedniej powierzchni kręgosłupa. Nurkowało się tylko na cztery–pięć centymetrów, lecz mimo to zewsząd czyhały zagrożenia.

Zamknęła program i wylogowała się z systemu. Właściwie to powinna pracować w swoim gabinecie, ale wiedziała, że jest w nim teraz Vilde. Wypad do Pingwina skończył się na dwóch piwach. Potem Thea znalazła wymówkę i wyszła. Z niejasnych przyczyn coś w tej kobiecie uruchamiało jej wewnętrzny alarm.

– Thea?  
Podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach Evelyn.  
– Cześć – powiedziała. Łatwo było zrozumieć, o co chodzi. Mimo to nie zamierzała nikomu ułatwiać sprawy.  
– Nie możemy znaleźć Wenera.  
– Tak, słyszałam.  
– Nie odbiera telefonu i przez cały dzień nie dał znaku życia. Nie wiesz może o czymś?  
Thea potrząsnęła głową.  
– Nie.  
– Pomyślałam, że się do niego wybiorę. Tak na wszelki wypadek. Przecież mogło mu się coś stać.  
– To troskliwe z twojej strony.  
Evelyn wzruszyła ramionami. Wyglądała niemal na zawstydzoną. Zawsze bardzo się przejmowała Wernerem, tym, gdzie był i co robił. Gdyby Thea miała na oddziale kogoś, kto tyle by o niej myślał, byłaby zadowolona.  
– Potrzebuję twojej pomocy, Theo. Wiem, że masz wolne, ale...  
– Ale co?  
– Czy możesz przyjąć pacjentów z listy? Zadbam, żeby ci za to zapłacono.  
A co z trójgłowym trollem? Co z Mathiasem? Z Rolandem? Nie. Ona. Zawsze tylko ona.  
Thea uśmiechnęła się – uśmiechem grzecznej dziewczynki.  
– Oczywiście, Evelyn. Oczywiście.

\*

– Czym właściwie jest ten nóż gamma?  
Leżąca przed Theą kobieta wierciła się na kozetce, jakby było jej niewygodnie. Miała długie, piękne włosy popielatego koloru. Duże oczy o kształcie migdałów, których każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć. Lekko kokieteryjną naturę, czym zapewne przyciągała uwagę mężczyzn. W pewnym sensie nie pasowała do oddziału, do tych wszystkich starszych pacjentów. W głowie miała jednak nowotwór. Pozory mylą.  
– Nóż gamma to maszyna, która kieruje dużą dawkę promieniowania radioaktywnego w wyraźnie odgraniczony cel w mózgu, na przykład taki guz, jak u pani. Jest rzeczywiście równie precyzyjny, co prawdziwy nóż, stąd ta dziwna nazwa.  
– Ale nie dostanę znieczulenia, prawda? W broszurze informacyjnej napisano, że operacja jest bezbolesna, tylko że jakoś nie chce mi się w to wierzyć.  
Telefon komórkowy Thei się rozdzwonił. Przeprosiła pacjentkę i zerknęła na wyświetlacz. Dzwoniła Ingvild Falk. Pani profesor najwyraźniej nie zamierzała odpuścić. Thea wyciszyła komórkę.  
– Przepraszam – powiedziała, unosząc wzrok. – Proszę się tym w ogóle nie martwić. Samo leczenie nie powoduje bólu. Na stole operacyjnym nic pani nie poczuje. Jutro wczesnym rankiem będziemy jednak musieli umocować pani na głowie ramę, która jest czymś w rodzaju celownika dla maszyny do radioterapii. Zanim ją założymy, podamy pani znieczulenie miejscowe, i to będzie trochę bolesne. Miała już pani wykonywany ten typ znieczulenia?  
Kobieta przytaknęła z wyraźną ulgą.  
– Jasne. U dentysty.  
– Nasze znieczulenie nie będzie się bardzo różnić.  
Rozległo się pukanie do drzwi. Thea odwróciła się cierpliwie.

– Tak, o co chodzi?

Do gabinetu wsunęła się głowa. Thea wstała, widząc siwe włosy. Jak zwykle upięte. Jedną spinką z każdej strony.

– Przeszkadzam?

– Nie – pacjentka podniosła się z kozetki. – Myślę, że skończyłyśmy. Zgadza się? Spojrzała na Theę, która z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Tak, chyba tak.

Kobieta przeszła przez pokój i zniknęła za drzwiami. Thea stała w miejscu. Profesor Ingvild Falk podeszła do niej i usadowiła się na kozetce, gdzie dotąd siedziała pacjentka.

– Próbowalam się z tobą skontaktować.

Falk przekrzywiła głowę, tak że z jednej spinki wysunął się kosmyk włosów.

– Byłam zajęta.

– Mimo wszystko cieszyłoby mnie, gdybyś odbierała telefon, kiedy do ciebie dzwonię. Albo odpowiadała na mejle, które ci wysyłam.

– Przepraszam. Powinnam była tak zrobić.

Ingvild Falk splotła ręce na kolanach.

– Rozumiem, że masz mało czasu i pisanie artykułu schodzi na bok, ale jeśli mamy współpracować, to musimy sobie ufać. Prawda?

– Tak, ale ja już skończyłam. To znaczy skończyłam artykuł...

Falk uniosła brwi. Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– No to świetnie. Ale...

– Jak mówiłam, byłam po prostu zajęta. Moja matka przyjechała bez zapowiedzi. Ona i ojciec...

Ku swojemu zaskoczeniu nie udało jej się skończyć zdania. Poczula nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Czy tym razem była to ostateczna decyzja? Rozeszli się?

– Ojej.

Ton głosu Falk w jednej chwili się zmienił.

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucięła Thea. Odwróciła się plecami do Falk i usłyszała, jak profesor wstała i przeszła kilka kroków.

– Rozumiem, Theo. Ale w takim razie ja też muszę cię przeprosić. Myślałam, że mnie unikasz, bo nie skończyłaś pisać. Skoro jest inaczej, wyślesz mi dzisiaj artykuł?

Thea zagryzła wargę. Mogła powiedzieć jej teraz. Oświadczyć, że nie może się pod tym podpisać. Raz na zawsze załatwić sprawę.

– Oczywiście – usłyszała swój głos. – Zrobię to później.

– Dobrze.

Falk udała się w stronę drzwi. Thea odwróciła się do niej, kiedy ta stanęła na progu. Profesor posłała jej uśmiech.

– W takim razie do zobaczenia.

– Tak...

Kiedy drzwi się zamknęły, Thea nie ruszyła się z miejsca. Przymknęła powieki, spróbowała zebrać myśli. Nawet dla niej tego wszystkiego było po prostu za dużo. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać; kogoś, kto rozwiązałby jej problemy. Tylko jeden mężczyzna mógł to zrobić. Głupio zrobiła, zwlekając. Powinna była zadzwonić do niego już pierwszego wieczora po przyjeździe matki.

Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer ojca. Sadowiąc się w fotelu biurowym, przypomniała sobie wieczory, które spędzali w domku letniskowym. On pochylony nad rozpinadłem entomologicznym, w okularach powiększających. Ona z książką



o motylach w Norwegii. Zdarzało się, że sprawdzała jego wiedzę, kiedy tak siedzieli. Czytała łacińską nazwę gatunku i prosiła, żeby go opisał.

– Halo?

– Cześć, tato!

– Cześć, Theo. Co u was słychać?

– Czyli wiesz, że jest tutaj mama?

– Sekundkę, Theo.

Usłyszała, że ojciec rozmawia z kimś półgłosem, potem dobiegł ją dźwięk kroków na twardej podłodze. Musiał być w szpitalu. W końcu był środek dnia. Wyprostowała się w fotelu, złapała długopis i zaczęła rysować kółka na druku zlecenia badania RTG, który leżał na stole. Duże kółka, małe kółka, kółka, które na siebie zachodziły.

– Cześć, już jestem z powrotem. Na czym skończyliśmy?

– Mama zrobiła się nie do wytrzymania, tato. Potrzebuję twojej pomocy. Nic tylko siedzi i płacze, i nie chce rozmawiać.

Na linii zaległa cisza. Thea czekała. Gdyby tylko ojciec mógł przyjechać do Bergen, wszystko by się ułożyło. „Przyjedź teraz” napisała na kartce. „Przyjedź. Przyjedź. Przyjedź”.

– Halo? – spytała. – Jesteś tam?

– Halo, tak. Jestem. Nic ci nie powiedziała?

– Przez wiele dni siedziała u mnie na stacji, paliła papierosy i zachowywała się jak nastolatka. W końcu tak się wściekłam, że kazałam jej się wynosić.

– Hmm...

– W ogóle jej nie rozumiem. Powiedz mi, znowu się pokłóciliście? Co ją ugryzło?

– Nie wiem, czy to ode mnie powinnaś się tego dowiedzieć.

– Nie od ciebie? Co to za bzdury? Jestem dorosła, tato. Musicie mi w końcu powiedzieć, o co chodzi!

– To...

Ojciec nagle zabełkotał. Chrząknął, odetchnął ciężko, po czym kontynuował:

– Ona jest chora, Theo. Jest chora i chciała ci to sama powiedzieć.

Długopis znieruchomiał w jej dłoni. Odłożyła go na kartkę i przypomniała sobie, jak matka pakowała walizkę, jak bezradnie usiłowała zaciągnąć zamek błyskawiczny.

– Co to jest? Nowotwór?

– Rak płuc. Z przerzutami.

Ojciec odetchnął prosto do słuchawki, aż zatrzeszczało. Thea zamknęła oczy. Wsparła głowę na rękę.

– Mama wychodzi z siebie, Theo. To naturalne. Rokowanie nie jest najlepsze.

Matka zmagająca się z zamkiem błyskawicznym. Thea nie mogła wybić sobie tego obrazu z głowy. Dlaczego nie poprosiła o pomoc?

– Musisz przyjechać, tato. Sama sobie z tym nie poradzę.

– Nie rozumiesz, Theo. Mieliśmy nieporozumienie i... cóż, mama powiedziała, że nie chce mieć ze mną więcej do czynienia. Sama wiesz, jaka ona jest. Zawsze skłaniała się do radykalnych zachowań. To dlatego przyjechała do ciebie. Nie został jej już nikt inny. Ja nie mogę być przy niej, jeśli sama tego nie chce. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

Thea otworzyła oczy. Ujęła długopis i wróciła do rysowania kółek.

## 17. Mathias

To ten przeklęty lekarz z pogotowia go okpił. Mathias siedział w jednym z gabinetów do badań lekarskich w izbie przyjęć i przyglądał się filigranowej pacjentce, leżącej na szpitalnym łóżku. Starał się, jak mógł, zachować profesjonalny ton. Przecież to mimo wszystko nie z jej winy spadła nań dodatkowa praca tego wieczora. Pewnie, była chora. Po prostu hospitalizowano ją nie tam, gdzie trzeba.

Wciąż pamiętał przypochlebny ton w głosie, który odezwał się w słuchawce.

– Halo, tu Guttormsen z centrali pogotowia ratunkowego na Sotrze. Z pana dialektu wnoszę, że kolejny przybysz ze wschodniej Norwegii zabłąkał się za górami?

Już wtedy powinien był zrozumieć, że sprawa przybierze zły obrót. Ale co mógł zrobić? Musiał wierzyć, że nawet lekarze medycyny ratunkowej potrafią się zachować. Tak naprawdę nie byli zaś ani trochę lepsi od sprzedawców telefonicznych. Kiedy dzwonił z zamiarem hospitalizacji pacjenta, to z reguły mieli już wykute na blachę pierwsze zwroty, dzięki którym cały proces miał pójść jak po maśle. Nieważne, że pacjent mógł trafić na zły oddział albo w ogóle nie wymagać hospitalizacji. Lekarze z pogotowia musieli jak najszybciej pozbyć się jednego człowieka, żeby móc się zająć następnym. Koniec końców pobierali za to prowizję. I coś takiego kolega Guttormsen powiedział?

– Mam tu starszą panią, która nie czuje się za dobrze. Boli ją głowa i nie mogę wykluczyć krwawienia z tętniaka. Wysyłam ją panu ze zleceniem hospitalizacji. Okej?

„Nie mogę wykluczyć krwawienia z tętniaka”. Sformułowanie było w zasadzie całkiem eleganckie. Kolega Guttormsen od razu przeskoczył do rozpoznania, nie tłumacząc, jak do niego doszedł. A dodając „okej” na koniec, jeszcze utrudnił lekarzowi ze szpitala prośbę o sprawozdanie z analizy diagnostycznej. Mathias był już jednak dość zaprawiony w bojach, żeby nie wpaść w tę pułapkę. Kolega Guttormsen najwyraźniej się tego nie spodziewał, bo opis bólu głowy pacjentki sprawił mu sporą trudność.

– To... no tak, to jest taki... ból. Wie pan... no, boli ją w czaszce. Ma silne zawroty głowy i nie czuje się dobrze. Dlatego bardzo by mi zależało, żeby ją pan obejrzał.

Od „wysyłam ją panu” do „bardzo by mi zależało, żeby ją pan obejrzał”. Kolejna elegancka sztuczka, żywcem wyjęta z podręcznika medycyny ratunkowej. „Zasugeruj lekarzowi szpitalnemu, że odmowa byłaby nierozsądna. Daj do zrozumienia, że potrzebujesz pomocy bardziej doświadczonego kolegi”. Tak czy inaczej, była jeszcze kwestia zawrotów głowy. Czy pacjentce przede wszystkim kręciło się w głowie, czy dominował ból? I który objaw wystąpił pierwszy? Krwotok z tętniaka najpierw powodował ból głowy, jak strzał z pistoletu. Jeśli głównym problemem były natomiast zawroty głowy, to w grę mogło wchodzić wiele przypadłości, począwszy od chorób narządu równowagi w uchu wewnętrznym, a skończywszy na zwyczajnym zakażeniu dróg moczowych. Jego następne pytanie tego więc właśnie dotyczyło: co było pierwsze – zawroty czy ból głowy. Na linii zaległa złowroga cisza, po czym kolega Guttormsen odparł:

– Najpierw rozboleła ją głowa. Jak grom z jasnego nieba. Sama pacjentka tak się wyraziła: „Jak grom z jasnego nieba”.

Siedząc w gabinecie do badań lekarskich, Mathias próbował się opanować. To był jeden z tych dyżurów, kiedy wszystko działo się naraz. Właściwie to nie powinno go tu w ogóle być, tyle że niedojda Werner nie przyszedł do pracy.

Zerknął na ekran systemu monitorowania nad łóżkiem. Wszystkie wartości – tętno, ciśnienie krwi i temperatura, były prawidłowe. Leżąca przed nim kobieta nabrała już zdrowszego zabarwienia skóry po podaniu środków przeciwwymiotnych i niewielkiej dawki płynu

infuzyjnego. Wciąż jednak czuła się na tyle słabo, że nie mógł jej po prostu odesłać do domu.

– Była pani zatem w ogrodzie, kiedy nagle zakręciło się pani w głowie i wszystko wokół się zakołysało. Zwymiotowała pani, wróciła do domu i położyła się na sofie, z głową zwróconą w lewo, bo w tej pozycji zawroty były najmniej odczuwalne.

– Tak, zgadza się.

– A ból głowy?

– Nie... nie wiem, czy to uczucie można tak w ogóle określić. Zresztą, już mi przeszło.

– Czy pojawiło się... „jak grom z jasnego nieba”?

– O Boże, nie.

Kobieta się roześmiała. Mathias przesunął dłonią po twarzy. Ot i kolejna sztuczka z podręcznika medycyny ratunkowej. Na samym końcu rozdziału o hospitalizacjach małym drukiem dodano: „Kłam, jeśli musisz”. Było oczywiste, że ten przypadek nijak się miał do neurochirurgii. Skoro zaś Mathias zgodził się przyjąć pacjentkę, to przeniesienie jej tam, gdzie trzeba, graniczyło z niemożliwością. Musiałby najpierw przekonać kolegę z innego oddziału, żeby ją przyjął.

Przeprosił i wyszedł na korytarz. Na progu poczuł wibracje w kieszeni. Nie musiał wyjmować komórki, żeby wiedzieć, kto go próbował namierzyć. Niech sobie dzwoni. Nie miał siły rozmawiać teraz z Marianne o kupnie domu, przyszłości i całej sytuacji.

– I co będzie?

Pielęgniarczyk prowadzący pacjentkę stanął przed Mathiasem. Był szorstkim, muskularnym facetem z tej czy innej wioski nad fiordem. Nosił wojskową fryzurę, kozią bródkę i jak większość pielęgniarzy z izby przyjęć pracował tu, bo sytuacje, w których gra toczyła się o czyjeś życie, dostarczały mu porządnej dawki adrenaliny, a przy tym zadowolenia, że zawsze mógł odesłać pacjenta dalej.

– Musimy zrobić TK mózgu.

– A potem wyślemy pacjentkę na szóste piętro?

– Nie. Wróci tutaj. To na pewno nie pęknięcie tętniaka. Powinna trafić albo do neurologów, albo na otolaryngologię. Zlecam badanie tylko po to, żeby czarno na białym wykazać, że nie ma krwi pod pajęczynówką.

– W porządku. Ale sam się pan tym zajmie, prawda?

Mathias przytaknął, a pielęgniarczyk zniknął za drzwiami pokoju. Sam się tym zajmie, tak. Cały problem w tym, jak miał to zrobić.

\*

Minęło kilka minut, zanim dyżurny otolaryngolog odpowiedział na wezwanie. Kiedy w końcu raczył to uczynić, okazało się, że ten jeden jedyny raz operował. Widać trafił im się ostry krwotok z nosa. Bo jakie inne niecierpiące zwłoki przypadki mieli na Otolaryngologii? Dyżurny nieco gorączkowo wyjaśnił, że pielęgniarczyk przykłada mu telefon do ucha, i gromkim głosem rzucił:

– O co chodzi?

– Mam tu pacjentkę z ostrymi zawrotami głowy. Moim zdaniem nadaje się do was.

– Ci, którym kręci się w głowie, idą na Neurologię.

– Nie ma żadnych zaburzeń neurologicznych. To raczej wasza działka. Zawroty są obwodowe.

Mathias przeklął się w duchu. Powinien był darować sobie słowo „raczej” i powiedzieć po prostu: „To wasza działka!”

– Zawroty głowy są kołyszące czy wirowe?

– Są... – zaczął Mathias, ale zawahał się jak Guttormsen i zrozumiał, że przegra, jeżeli nie skłamię. Przy typowym zajęciu nerwu przedsionkowego pacjentom kręciło się w głowie, jak na karuzeli, co określano mianem wirowych zawrotów głowy. Wrażenie kołysania wiązało się natomiast z niewielkim udarem w mózdzku. A tym już otolaryngolodzy się nie zajmowali.

– ...kołyszące – rzekł wreszcie i już wiedział, że poniósł porażkę.

– Kołyszące?

– Tak, kołyszące.

– To proszę dzwonić na Neurologię!

Rozległo się kliknięcie. Mathias powoli odłożył słuchawkę. Kątem oka zobaczył, że na sofie przy ścianie siedzą dwie pielęgniarki i uśmiechają się szyderczo.

– No, cóż. Próbować zawsze można – odezwała się jedna.

Mathias uśmiechnął się z przymusem. Wciąż nie zdjął ręki ze słuchawki. Miał jasne przeczucie, że była to sprawa dla otolaryngologa. Kobieta z całą pewnością nie doznała udaru, mimo że kołysanie mogło na to wskazywać. Zawroty głowy miały charakter położeniowy, co podpowiadało schorzenie ucha wewnętrznego. Gdyby zadzwonił teraz na dyżur neurologiczny, to znalazłby się dokładnie w tym samym położeniu, co przy rozmowie z otolaryngologiem.

Odrzuciliby pacjentkę, argumentując, że położeniowe zawroty głowy nie są sprawą dla nich.

Jednego w każdym razie był pewien. Nie chciałby referować przypadku pacjentki przed Monsem Lohmannem następnego ranka. Zważywszy chorobliwe wręcz skupienie szefa na pojemności oddziału i liczbie łóżek, trudno byłoby oczekiwać z jego strony wyrozumiałości po przyjęciu pacjentki z zawrotami głowy, ale bez jakichkolwiek rozpoznań z zakresu neurochirurgii.

Telefon komórkowy znów zawibrował. Mathias wyjął go z kieszeni. Oczywiście była to Marianne. Wystarczająco długo już jej unikał. Odebrał połączenie.

– Cześć!

– Dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Mam dyżur.

– Zdecydowałaś się? Termin składania ofert wkrótce minie. Jak dotąd nikt nie zgłosił wyższej kwoty niż wartość wyceny. Myślę, że może nam się udać, ale musimy szybko licytować, słyszysz? Musimy licytować!

– Oddzwonię do ciebie! Coś mi wypadło.

– Mathias, nie waż się na...

Opuścił komórkę i zignorował drwiące uśmiechy, które nie zniknęły z ust pielęgniarek na sofie. W tym pokoju nie mógł jasno myśleć. Odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Na zewnątrz panował na szczęście większy spokój. Szybkim krokiem podszedł do automatu do kawy i wrzucił piątkę. Dom rodzinny Marianne, tak. Drugi raz taka okazja im się już nie zdarzy. A przynajmniej nie przez wiele lat. Podjęciu decyzji nie sprzyjał jednak fakt, że nie było dla niego pracy w Bergen – a w każdym razie nie takiej, jaką by chciał. Musiał usiąść z Marianne i jej to powiedzieć. Powinien był to zrobić już dawno, tyle że za każdym razem coś krzyżowało mu szyki. A teraz jeszcze ten nieprzewidziany dyżur.

Automat do kawy uporał się ze swoim zadaniem i wydał lekkie westchnienie. Mathias wyjął papierowy kubek spod dozownika. Gdyby tylko mógł to być eliksir, który w okamgnieniu rozwiązałby wszystkie jego problemy, byłby całkiem zadowolony. Upił łyk i o mało się nie skrzywił. Kawa była letnia.

– Ciężki dyżur?

Obok spostrzegł mężczyznę, który szukał drobnych w portfelu. Z identyfikatora

dowiedział się, że był on lekarzem-asystentem na Oddziale Chorób Wewnętrznych.

– Jak zwykle – odparł. – A u pana?

– Sami starzy POChP-owcy z zapaleniem płuc i parę zawałów. Możliwe, że przywiozą nam jeszcze posocznicę. Jest się czym zająć, tak. A swoją drogą to przykro mi z powodu pańskiego kolegi.

Internista zaczął wrzucać korony do automatu.

– Kolegi?

Mathias przystawił kubek do ust i wysączył resztkę letniego płynu. Nawet jeśli kawa mu nie smakowała, to przynajmniej doładował się odrobiną kofeiny.

– Czyli nic pan nie słyszał?

Automat do kawy zabrzączał. Internista nagle się stropił, jakby palnął coś, czego nie powinien był mówić.

– Nie. Chodzi o kogoś z Neurochirurgii?

– Tak. Leży na naszym oddziale.

– Kto taki?

Internista przygryzł dolną wargę.

– Myślałem, że wszyscy to wiedzą – powiedział. – Nie mam ochoty rozpuszczać języka, jeśli pan rozumie?

Mathias wzruszył ramionami. Boże drogi. Jacy ci interniści małostkowi. Zero spontaniczności.

– No, trudno – odparł. – W takim razie życzę udanej reszty dyżuru!

Ruszył w głąb korytarza. Za dużo miał spraw na głowie, żeby jeszcze roztrząsać, kogo mogli przyjąć na Internę. To mógł być przecież ktokolwiek. Nagle stanął jak wryty. Odwrócił się i zobaczył, że internista nadal stoi przy automacie, gapiąc się gniewnie w kubek z kawą. Hospitalizowany raczej nie pojawia się w pracy.

– Chodzi o Wenera Schlunka?

Lekarz podniósł wzrok. Nie odpowiedział, ale w jego oczach Mathias wyczytał, że miał rację.

– Co się stało? Coś poważnego?

– Proszę mi obiecać, że pan tego nie rozpowie.

Internista z namaszczeniem przeszedł się po korytarzu. Rozejrzał się dyskretnie na boki, po czym kontynuował.

– Detoks – wyszeptał.

– Detoks?

– Prawdopodobnie depresja. Podobno rzucił się na któregoś z gastrochirurgów w stołówce, więc w sumie wiele mu może dolewać. Tak czy inaczej, nałykał się prochów i alkoholu. Trzeba było go reanimować i w ogóle. Dziś wieczorem porozmawiają z nim psychiatrzy.

Internista uniósł swój kubek.

– Moja kawa była letnia. Pana też?

Rozległ się sygnał pagera. Mathias zerknął w dół i spostrzegł, że szare pudełko w jego kieszeni mruga na czerwono.

– Przepraszam najmocniej – powiedział – ale muszę odebrać.

\*

Mathias stał ze słuchawką w rękę i przyglądał się dwóm szczerzącym się pielęgniarkom,

które nadal nie wstały z sofy i najwyraźniej nie miały nic do roboty. „Nałykał się prochów i alkoholu”. Werner Schlunk? Był wprawdzie humorzysty, ale...

– Tu centrala. Ma pan lekarza hospitalizującego na linii.

– Okej, odkładam.

Mathias odłożył słuchawkę i zaczął czekać. „Nałykał się prochów i alkoholu”. Nie mógł wybić sobie z głowy tego zdania. Co za koszmar. Całe szczęście, że znaleziono go, zanim było za późno. Co ludzi do tego popychało? Telefon znów się rozdzwonił.

– Halo, tu...

– Dużo pracy, jak rozumiem!

To była Marianne. Musiała zadzwonić do centrali i podać się za lekarza z pogotowia ratunkowego. Znała wszystkie sztuczki. Nie zdążył odpowiedzieć, nim znów się odezwała:

– Chcesz zalicytować czy nie?

– A jeśli odmówię?

– Mathias, nie bądź dziecinny. Zachowujesz się, jakbyś się mnie bał. Musimy o tym zdecydować razem. Chcę wiedzieć, co o tym sądzisz.

– Ja... ja zwyczajnie nie wiem. Tyle się tutaj dzieje. Jest...

Mathias przeklinał się w duchu za to, że nie poruszył z nią tego problemu wcześniej. Znów nawiązał kontakt wzrokowy z dwiema pielęgniarkami na sofie. Tego wieczora był dla nich najwyraźniej źródłem rozrywki w trakcie przerwy.

– Czy mogę oddzwonić za pięć minut? Jestem w dyżurce.

– Obiecuj, że naprawdę to zrobisz!

– Dobrze, obiecuję.

Odłożył słuchawkę. „Nałykał się prochów i alkoholu”. Jak to wpłynie na podanie Wernera? Mieli ogłosić nabór na dwa stanowiska, a kandydatów wewnętrznych było troje. Jednego z nich właśnie hospitalizowano z powodu świadomej intoksykacji. Nikt mu nie powie, że Lohmann i Hasselgren nie wezmą tego pod uwagę, decydując, na kogo postawić.

– Jak tam pańska pacjentka?

Tym razem z sofy odezwała się druga pielęgniarka.

– Idzie na Neurologię.

– Ach, tak. Taki z pana dzisiaj Harry Potter?

Po raz kolejny Mathias podniósł słuchawkę. Wprowadził numer pagera dyżurnego neurologa, odłożył telefon i zaczął czekać, bębniąc palcami w blat stołu. Czyny. Ich teraz potrzebował. Musiał też zaryzykować. Spać się. Odważyć się na nieczyste zagranie, tak jak – zdawać by się mogło – wszyscy inni.

Telefon zadzwonił. Mathias odebrał.

– Mówi dyżurny neurolog...

– Tak, dzień dobry. Z tej strony neurochirurg Grande. Oddaliłem podejrzenie krwotoku podpajęczynówkowego u pacjentki z głównymi objawami w postaci bólu i zawrotów głowy, i odsyłam ją do was. To pewnie mały zator.

– Pacjentka miała robioną tomografię?

– Tak.

– ... a zawroty głowy, jaki mają charakter?

– Kołysania.

– Położeniowe?

Mathias się zawahał. Jak mus, to mus. Lub innymi słowy: „Kłam, jeśli musisz”.

– Nie.

– W porządku. Ale pacjentka jest nadal u was?

– Nie, właśnie wiozą ją do was.  
W słuchawce zapadła cisza.  
– W porządku. No to ją przyjmujemy.  
Mathias powoli odłożył słuchawkę. Śmiech w okolicach sofy umilkł.  
– To było trochę śmiało zagranie, co, panie Grande? – odezwała się jedna z pielęgniarek.  
Nie mógł powściągnąć uśmiechu.  
– Nie, to właśnie był Harry Potter – odparł, po czym pchnął drzwi skrzydłowe i wyszedł na korytarz.

\*

Dawno już nie czuł takiego spokoju, jak tych kilka minut później, kiedy położył się na łóżku w dyżurce. A zawdzięczał to samemu tylko Wernerowi. Werner ze swoją chorobą dwubiegunową stracił równowagę we właściwym momencie, żeby ocalić go przed klęską. Mathias wydobył telefon komórkowy z kieszeni i wybrał numer Marianne. Mógł teraz zadzwonić. Bo tak naprawdę podjął już decyzję.

– To było ponad pięć minut! – rozległ się głos Marianne na linii.  
– Kochanie, to chyba nie jest wielki problem? – zapytał najbardziej przyjaznym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Usłyszał, że jej głos złagodniał, kiedy zagadnęła:

– Zdecydowałeś się?

– Tak.

– I...?

– Zalicytujmy.

W słuchawce rozległ się wrzask.

– O, kocham cię, Mathias. Kocham cię. Obiecuję, że będzie nam tam razem dobrze.

Przysięgam!

– Zadzwonisz i wszystko załatwisz?

– W tej sekundzie. Trzymaj kciuki!

Mathias odłożył komórkę. Dopiero teraz zorientował się, że deszcz bębni w szklaną kopułę dachu. To zawsze utrudniało sen. Teraz jednak nie zamierzał spać. Chciał zastanowić się na leżąco, co powie jutro Oddowi Hasselgrenowi. To właśnie jego powinien bowiem odwiedzić – a potem pracować dzień i noc nad projektem badawczym. Mniejsza o koszty. To był jego bilet do stałej posady. Nawet jeśli nie mógł wyprzedzić Thei na finiszu, to Wernera z całą pewnością mógł pokonać. W każdym razie teraz.

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Mathias usiadł. Dźwięk się powtórzył. Wstał powoli i przeszedł przez pokój. Nieczęsto ktoś tu zaglądał. Prawdę mówiąc, zdarzyło mu się to pierwszy raz. Położył rękę na klamce i uchylił drzwi.

– Cześć, Mathias.

Słaby uśmiech. Cienkie, mokre włosy ciemnymi pasmami przykleiły jej się do czoła.

Pchnął drzwi i odstąpił na bok. Nathalie szybkim krokiem prześliznęła się obok niego.

– Zamknij drzwi – powiedziała, ponagłając go ruchem ręki. Zrobił, jak kazała, po czym przystanął bez ruchu, przyglądając się jej twarzy pod wilgotną grzywką. Z jej oczu emanowało jakieś ciepło, którego nigdy wcześniej nie widział. Przechyliła głowę na bok i powoli rozpięła zamek kurtki przeciwdeszczowej.

– Znalazłam twoją kartkę – szepnęła, podchodząc do niego.

Postąpiła tylko o krok, ale trudno było nie odgadnąć jej intencji.

– Kartkę?

Spojrzał w dół i w jej ręce zauważył czerwoną karteczkę Post-it. Grubym, czarnym tuszem napisano na niej: „Będę na ciebie czekał w dyżurce o 20. M”. Charakter pisma można by było od biedy uznać za jego, gdyby nie dziwna litera „a”.

„A” Rolanda.

– Ja...

Nie skończył. Nathalie ujęła go za lewy nadgarstek i powolnym ruchem umieściła jego rękę na swoim udzie pod kurtką przeciwdeszczową.

– Nie musisz nic mówić – usłyszał jej głos, zanim zbliżyła się do niego jeszcze o krok i wspięła na palce, by dosięgnąć jego twarzy. – Tylko mnie pocałuj!



# **Część 2**

## **Kruk**

## 18. Werner

Powrót do Bergen nie był tak przykry, jak się spodziewał. Stojąc na środku mieszkania, Werner spoglądał przez okno na staw Store Lungegårdsvann. Nisko nad taflą wisiał obłok mgły. Przynajmniej tego dnia nie padał deszcz – ale Werner nie był pewien, czy wziąć to za dobrą monetę. Deszcz dawał poczucie, że coś się działo, że świat był w ruchu. Tego zaś teraz potrzebował. Zmiany.

Obrócił się i ruszył w głąb mieszkania. Wszedł do sypialni, odłożył torbę na łóżko małżeńskie i zastygł bez ruchu. Gdzieś w głębi duszy czuł niepokój, ale doznanie było niewyraźne, mocno stłumione przez leki, które przyjmował. Usiadł na skraju łóżka i pogładził ręką narzutę. To tutaj prawie dwa miesiące temu wlał w siebie wódkę i połknął tabletki. Miał wrażenie, jakby od tego momentu minęło mnóstwo czasu, jakby zdarzyło się to kiedyś, dawno temu. Wziął oddech i położył się na boku; na policzku poczuł zimny dotyk miękkiej narzuty; spróbował przywołać jakieś wspomnienia z tamtego wieczora. Analizował go już minuta po minucie niezliczoną ilość razy, zarówno sam, jak i w rozmowie z psychiatrą w domu, w Würzburgu. Teraz czuł się, jakby nie chodziło tu o niego, ale o kogoś zupełnie innego. Cała sytuacja wydawała mu się niemal wyreżyserowaną sztuką teatralną. Jeden czyn pociągał za sobą drugi, a przypadki popchnęły go do myśli, że w zasadzie mógłby połknąć naraz większą ilość środków nasennych. I mieszać je z wódką. Właściwie to nigdy świadomie nie planował samobójstwa, mimo że psychiatra uważał inaczej. Chciał po prostu zasnąć, uciec od wszystkich myśli, całej swojej tęsknoty, całego bólu. Nigdy nie zrezygnowałby z życia. Nie był taki. A przynajmniej tak mu się zdawało.

Przetoczył się na plecy i obrócił głowę, by spojrzeć na szafkę nocną po stronie, gdzie dotąd spała Hanne. Zawsze piętrzyła się tam sterta książek. Książek, których nie czytała – ale czuła, że powinna przeczytać. Teraz na szafce stał już tylko budzik. Jej budzik. Kolejny przedmiot, którego brat Hanne z kumplami zapomnieli zabrać. Werner przypomniał sobie o rowerze, stojącym w piwnicy. Jego też nie wzięli. Próbował przywołać w pamięci Hanne, ale jej twarz jakby wymazano z jego pamięci. Zostały tylko kontury.

Kiedy ocknął się w szpitalu, w pierwszej chwili pomyślał, że na pewno teraz przy nim była. Że teraz przyszła. Wkrótce jednak zrozumiał, że to nigdy nie nastąpi. To wtedy zaczęła się jego przemiana. W końcu dotarło do niego, że nie miało znaczenia, czy ona wiedziała, co się z nim stało. Tu nie chodziło o nią. Chodziło o niego.

Usiadł, ale zakręciło mu się w głowie i przez chwilę nie mógł wstać z łóżka. Leki, które przyjmował, powodowały u niego apatię. Ale na początku było znacznie gorzej. Najważniejsze, że mógł spać. W gruncie rzeczy czuł się jak nowo narodzony. Zerknął na torbę, leżącą na łóżku. Nie wziął ze sobą dużo. Wypakowanie rzeczy pójdzie mu szybko. A wtedy naprawdę wróci. Wtedy zacznie od nowa. A w poniedziałek wybierał się do pracy. Oczyma wyobraźni zobaczył salę seminaryjną na siódmym piętrze. Właściwie to najbardziej bał się spotkać z kolegami. Spodziewał się, że plotki zdążyły już dotrzeć niemal do całego personelu szpitala. Pewnie wszyscy myśleli, że Stuknięty Werner targnął się na swoje życie. Jak mógł temu zaprzeczyć? Nijak. Nikt by mu nie uwierzył, że to był wypadek. Zapewne nikt też by go nie słuchał.

Wstał. Ten problem musiał odłożyć na później. Teraz powinien przede wszystkim się ogarnąć.

W lodówce nie znalazł dużo. Tylko stary karton mleka i spleśniały kawałek sera. Wyrzucił obie rzeczy, stanął i zapatrzył się na menu pizzerii Senior Pizza na placu Danmarksplass. Mógł tam zadzwonić i zamówić butelkę coca-coli i pizzę hawajską. Nie musiałby wtedy iść do sklepu. Nie. Tak czy inaczej potrzebował jedzenia. A następnego dnia

była niedziela i wszystko pozamykane.

Kiedy uderzył w niego ostry podmuch jesiennego wiatru, zasunął zamek błyskawiczny wiatrówki aż po szyję. Listopad w Bergen. Ten miesiąc nikomu się nie kojarzył ze szczególnie dobrą pogodą. Mimo to Werner poczuł, że zimno go zaskoczyło. W Bawarii wciąż było całkiem ciepło. Dwanaście stopni, gdy wyjeżdżał.

Poszedł ścieżką, która biegła do podnóża góry Fløyen. Po drodze minął plac zabaw, położony za sąsiednim blokiem. Bliźniaczki, które widywał tam niezliczoną ilość razy, dzisiaj również wyszły się pobawić. Dwie jasnowłose dziewczynki, z wyglądu tak norweskie, jak tylko można sobie było wyobrazić. Zauważył ich matkę w salonie sutereny, skąd obserwowała dzieci podczas zabawy. Chwilę później usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

– Werner! Popatrz na mnie!

To była Ulrikke. Pomachała mu ze szczytu ślizgawki, po czym zjechała w dół na brzuchu, głową naprzód. Musiał się uśmiechnąć, kiedy spojrzała nań z dumą po udanym lądowaniu.

– Super – powiedział, klaszcząc.

– Gdzie byłeś?

Tym razem odezwała się Ada, nieco dojrzalsza siostra Ulrikke. Zwykle zadawała mu pytania. Podczas gdy druga dziewczynka biegła, ona zawsze stała, rozmyślając. Teraz lustrowała go z poważną miną i przekrzywioną głową, ubrana w kombinezon przeciwdeszczowy.

– W Niemczech – odparł.

– A czemu?

Wzruszył ramionami. Teraz jej siostra też wstała. Przydreptała do Ady i stały obie, przypatrując się mu. Werner zebrał myśli. Dlaczego właściwie pojechał do domu? Wydało mu się to naturalne. Gdy pojechał, sądził, że nigdy już tu nie wróci, że na dobre rozstał się z tym krajem.

– Byłem w odwiedzinach u mamy – odparł.

– Wyprowadzasz się? – spytała Ulrikke. Były do siebie bardzo podobne. Jedna ubrana na żółto, druga na różowo.

– Nie, dlaczego miałbym to robić?

– No bo przecież dziewczyna cię rzuciła.

Ada zerknęła na Ulrikke spod zmarszczonych brwi. Tak jakby chciała upomnieć siostrę. Na dźwięk otwieranych drzwi Werner uniósł wzrok. Przy wejściu do mieszkania stała matka dziewczynek i przyglądała się im.

– Musicie wracać – zawołała.

Ada odwróciła się do niej.

– Ale przecież dopiero wyszliśmy!

– Wracajcie w tej chwili.

Matka przywołała je gestem. Ada znów odwróciła się do Wenera.

– Mama mówi, że nie wolno nam z tobą rozmawiać.

Po dorosłemu przewróciła oczami i pobiegła przez plac. Jej siostra po chwili rzuciła się za nią. Matka nadal machała do córek, dopóki nie przeszły przez próg. Chwilę później drzwi tarasowe się zamknęły, a okna zakryto zasłoną. Werner ruszył dalej ścieżką. Najwyraźniej nie tylko w szpitalu o nim mówiono.

\*

Na szczęście nie spotkał żadnych znajomych w REMIE 1000. Supermarket mieścił się u dołu szpitala i Werner przyzwyczaił się już, że natykał się tu na kolegów, którzy zaglądali do

sklepu albo przed dyżurem, albo po nim. Była jednak sobota, środek dnia, i wokół kręcili się tylko pojedynczy emeryci. Wybór towarów jak zwykle nie zachwycał. Pomidory były blade i bez smaku. Owoce – zeschnięte i stare. I te ceny. Przypomniał sobie narzekanie matki za każdym razem, gdy wracała do domu z zakupami podczas jej ostatnich odwiedzin w Bergen. Z czasem nauczyła się cen wszystkiego i wyciągając kolejne produkty z siatki, komentowała:

– Te szparagi kosztowały trzydzieści dziewięć dziewięćdziesiąt. Zjedz je z szacunkiem. Kiedy wrócę do domu, nikt mi nie uwierzy.

Może to dlatego dała mu tyle jedzenia, kiedy wyjeżdżał do Norwegii. Niemal całą walizkę. Dostał nawet gęś świąteczną z farszem, zrobionym przez matkę.

Kupił świeże produkty i ruszył z powrotem do domu. Tymczasem zaczęło się już ściemniać. Idąc chodnikiem, minął parę zakochanych, trzymających się za ręce. Na ten widok zakłuło go w sercu, ale chwilę później uczucie minęło.

\*

Wróciwszy do domu, wszedł do kuchni i rozłożył zakupy w szafkach i lodówce. Ważne, żeby nie ulegać zbyt niemu przygnębieniu. Mógł sobie przyrządzić coś dobrego do jedzenia. Coś typowo niemieckiego. Choćby nóżki wieprzowe, które dała mu matka. Dlaczego nie miałyby też napić się dobrego wina? Powinien tylko wykazać większą ostrożność niż przed dwoma miesiącami. Wyjął wszystkie składniki, znalazł wino i otworzył je, przygotowując posiłek. Włączył radio cyfrowe i wyszukał niemiecki kanał. Chwilę później zabrzmiał znajomy riff gitarowy.

*Nothin' to do and nowhere to go-o-o I wanna be sedated.*

Ramonesi. Starzy, dobrzy Ramonesi. Nie słuchał ich wprawdzie już od wielu lat, ale mimo to wciąż pamiętał tekst.

*Just get me to the airport, put me on a plane – Hurry, hurry, hurry, before I go insane.*

Musiał się do siebie uśmiechnąć. Tak. W Bergen też mógł się czuć jak w domu.

\*

Kiedy posiłek był gotowy, usiadł na sofie i zabrał się do jedzenia. Z tego miejsca miał najlepszy widok na krajobraz.

Był w domu. Wrócił do domu, do Bergen.

Uniósł kieliszek wina, tak jakby chciał wznieść toast za siebie i za to drogie, deszczowe miasto z jego piękną przyrodą. Nie mógłby mieszkać gdzieś indziej. Na swój sposób to miejsce stało mu się bliskie. Upił porządny łyk wina i rozparł się na sofie. Mimo wszystko czekały go pewne wyzwania. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy odłożył na bok walkę o stałą posadę na oddziale. Przez pierwsze tygodnie był w takim dole psychicznym, że ledwie się wykaraskał. Gdyby nie fakt, że matka przyjechała po niego i zabrała go do Niemiec, być może trafiłby na oddział ostrych zaburzeń psychicznych. To ona śledziła stronę Szpitala Haukeland, by pilnować, czy nie pojawiło się na niej ogłoszenie o naborze na stanowiska. Z czasem zaczął jej w tym pomagać. Żadne z nich niczego jednak nie znalazło. W końcu Werner zadzwonił do działu kadr po potwierdzenie. Naboru jeszcze nie ogłoszono. Dlaczego – tego nikt już nie umiał mu wyjaśnić.

Zerknął na telefon komórkowy, który odłożył na skraj stołu w salonie. Dochodziła piąta. Mógł zadzwonić do Evelyn. Musiał się upewnić, czy wiedzieli o jego powrocie. Jak na razie wysłał tylko mejla do Hasselgrena, w którym poinformował go, że najpewniej przyjdzie do pracy

w poniedziałek. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nie wiedział więc, czy Hasselgren w ogóle dostał jego wiadomość. Odkroił kawałek mięsa i włożył sobie do ust. Nie zaszkodzi chyba, jeśli zaczeka jeszcze jeden dzień. Równie dobrze mógł zadzwonić jutro.

## 19. Mathias

To nie mogło trwać wiecznie. Dobrze o tym wiedział.

Leżał na boku w łóżku metrowej szerokości i przyglądał się Nathalie. Skąpe światło pochmurnego listopadowego dnia sączyło się przez szklaną kopułę dachu i nadawało jej skórce taki połysk, jak na czarno-białych fotografiach. To tylko potęgowało uczucie, że wszystko, co zaszło tu, w dyżurce, wydarzyło się w jakiejś ponadczasowej bańce. Mimo to nie mógł usprawiedliwić swoich poczynań. Wciąż była to zwykła zdrada.

– To cudowne, że twój dyżur jest taki spokojny.

Nathalie przeciągnęła się całym ciałem, obróciła się w talii.

– Nie mów tak. Wtedy od razu rozdzwania się pager.

– Nie wiedziałam, że jesteś przesądny?

– Bo nie jestem.

– Co z tobą? Tylko mi nie mów, że znowu myślisz o tym artykule!

Mathias przewrócił się na plecy.

Nie, to nie o artykule rozmyślał. Wiedział jednak, że powinien. Odd Hasselgren przekazał mu mnóstwo danych dotyczących oponiaków, zoperowanych na oddziale przez ostatnie lata. Poprosił o posortowanie informacji i napisanie krótkiego podsumowania. Nie było to najtrudniejsze zadanie pod słońcem, ale wymagało czasu i skupienia.

– Na pewno później będziesz miał kupę czasu na pisanie.

– Może i tak... Ale nigdy nie wiadomo, co się zdarzy na sobotnim dyżurce. A jutro przypada moja kolej na opiekę nad Ylvą.

– Czyli chcesz, żebym poszła?

Usłyszał, że Nathalie westchnęła z pozorną urazą, i odwrócił się do niej. Wyciągnął rękę i odrzucił ciemnobrązowe włosy z jej policzka. Problem w tym, że łatwo ulegał pokusom. Takim jak Nathalie.

– Wiesz, że nie chcę, ale niedługo będę musiał cię poprosić, żebyś dała mi trochę czasu na pisanie. Sama wiesz, jak się przejmuję całą tą historią ze stałymi posadami. I wcale nie pomaga mi fakt, że odwlekają nabór...

– Proszę, nie wspominaj znowu o tym stanowisku.

Nathalie wykręciła się z jego rąk i odwróciła do niego plecami. Mathias nadal gładził ją po włosach.

– Twoim problemem, Mathias, jest to, że chcesz wszystkiego naraz. Chcesz mieć kochankę, partnerkę z dzieckiem, pasjonującą pracę, doktorat, dom na ulicy Fjellveien...

Nathalie podciągnęła kołdrę z nóg na brzuch.

– Co masz na myśli?

Logicznym posunięciem byłoby, gdyby wstał i wyszedł. Nathalie właśnie dała mu tę możliwość.

– Przestań mnie dotykać.

Odtrąciła jego rękę jak natrętną muchę. Zamiast tego uniósł więc kołdrę i przysunął się do dziewczyny.

Tak to właśnie było z pokusami.

Ciało miała ciepłe i przyjemne. Jego dłoń przesunęła się po jej biodrze, wśliznęła między nogi. Nathalie wyrwał się stłumiony chichot.

– Przestań – powiedziała, ale jej ton daleki był od stanowczości. Po chwili obróciła się i zastygła, zwrócona do niego. Jej wargi poszukały jego ust.

Tak, tak to było z pokusami.

Rozległ się głęboki, elektroniczny brzęczyk.

Aż się wzdrygnął. Rozejrzył się zdezorientowany. Na biurku stojącym u dołu łóżka wypatrzył interkom. Był to relikw z innej epoki, prawdziwy dinozaur. Mimo to nadal go używano. Wiedziony impulsem zakrył ręką usta Nathalie.

– Grande? – odezwał się w pomieszczeniu głuchy męski głos. – Jesteś tam?

Był to Ødegård.

– Tak, jestem.

Oczy Nathalie się rozszerzyły. Próbowwała wyrwać głowę z jego uścisku, ale on tylko przycisnął dłoń mocniej.

– Chcesz pomóc otworzyć?

– Co otworzyć?

Z głośnika dobiegł brzęk metalu. Ødegård był na sali operacyjnej.

– Idziesz czy nie?

Nathalie szarpnęła tułowiem i wyrwała się z jego uścisku. Wzięła oddech i plasnęła go otwartą dłonią.

– W porządku – zawołał i szybkim ruchem złapał dziewczynę za nadgarstek, zatrzymując jej dłoń, nim uderzyła ponownie. – Idę!

Interkom znów stęknął i się wyłączył. Mathias puścił Nathalie.

– Boże. Nie możesz tak robić. Stresuje mnie to.

Nathalie przetoczyła się po nim i postawiła nogi na podłodze. Obejrzał się na nią, gdy siedziała na brzegu łóżka. Ułożyła wargi w ten sam wystudiowany, naburmuszony wyraz, co Ylva, kiedy chciała okazać nieposłuszeństwo.

– Najpierw chcesz pisać, potem operować. Jest tak, jak mówiłam. Robisz, co ci się tylko podoba. Ale ja mam lepsze rzeczy do roboty niż leżenie tutaj. Muszę uczyć się do egzaminu i od tej pory będę stawiać naukę przed tobą.

Nathalie wstała i przedfilowała nago po pokoju, kierując się w stronę ubrań, które leżały na biurku. Mathias zastanowił się, czy odpowiedzieć, ale zrezygnował. Tym razem pozwoli, by ostatnie słowo należało do niej.

\*

W drodze na blok operacyjny zajrzał do izby przyjęć i zalogował się na jednym z komputerów w ambulatorium urazowo-ortopedycznym. Był pewien, że podczas porannego zebrania nie mówiono o żadnym zabiegu. Nie hospitalizowano w każdym razie nowych pacjentów, bo to on musiałby ich przyjąć. Otworzył grafik operacji i przeczytał nazwisko na liście. Tego akurat pacjenta zgłoszono na operację w nadchodzący poniedziałek z powodu dobrze odgraniczzonego guza w płacie czołowym, najpewniej przerzutu z nowotworu, położonego w innym rejonie ciała. Wskutek nieporozumienia mężczyzna stawiał się na oddziale już w piątek rano zamiast w niedzielę. Prowadził go Gjert Hole – i jego też zapisano na poniedziałek jako głównego operatora. Mathias wylogował się z systemu i ruszył dalej w stronę bloku operacyjnego. Zaczął już przeczynać, o co chodziło.

Zastał Ødegårda przed salą operacyjną numer 12. Kolega mył się, a tymczasem Mathias złapał maskę chirurgiczną i zajął miejsce obok przy umywalce. Przywitani się krótko, nic więcej. Z wiszącego na ścianie pojemnika wyłowił paczkę ze szcztoką i szpatułkę do paznokci i zaczął szorować ręce pod bieżącą wodą.

– Myślę, że mu się pogorszyło – rzekł Ødegård. – Dzisiaj w nocy pacjent miał napad padaczkowy. Czekanie do poniedziałku byłoby niewłaściwe.

– Rozumiem...

– Jeśli chcesz, możesz być głównym operatorem.

Mathias zerknął na Ødegårda. Ręce kolegi leciutko drżały. Chyba nie był więc takim twardzielem, za jakiego chciał uchodzić.

Mathias odrzucił szczotkę i szpatułkę i napełnił dłoń większą ilością mydła. Nie miał nic do stracenia. Wiele czasu minie, zanim znowu trafi mu się taka szansa.

– Chętnie przeprowadzę operację – powiedział.

\*

– Usiądźcie sobie na razie, chłopcy.

Weszła Edith, wioząc dwa stołki chirurgiczne. To ona miała pracować w strefie brudnej podczas operacji. Zarówno Mathias, jak i Ødegård byli już ubrani, ale pole operacyjne nie zostało jeszcze do końca przygotowane.

Mathias opadł na małe, okrągłe siedzisko. Zerknął na Ødegårda. Nadal nie był pewien, dlaczego zyskał tę możliwość. Czyżby miało to związek z drzeniem rąk kolegi? Nigdy dotąd tego u niego nie zaobserwował. Może łyknął za dużą dawkę specjału Irgensa. A może po prostu był spięty.

– W weekend byłem w domu, w Tynset, na czterdziestce znajomego – zaczął nagle Ødegård. – To mój przyjaciel z dzieciństwa, Trond. Jako jeden z niewielu został w Tynset. Ma kompleks domków wypoczynkowych, wyciąg narciarski, prowadzi też kilka sklepów. Przy stole wygłoszono całą masę przemów. Oczywiście padło wiele pochwał. Ale mnie szczególnie zapadło w pamięć to, co powiedział drużba Tronda. – Ødegård zwrócił się do Mathiasa. – „Z ciebie, Trond, nie jest taki człowiek dla wszystkich”... i mówił to w formie komplementu.

Mathias milczał. Śledził tylko wzrokiem Edith, która tańczyła po pomieszczeniu, przeciągała kable i wyjmowała rzeczy z szuflad. Nie wahała się ani sekundy.

– Wszyscy cię lubią, Mathias. Lubią cię, bo jesteś odpowiedzialny i ciężko pracujesz. Ale sympatia otoczenia nie zawsze bywa zaletą. Jeżeli chcesz coś osiągnąć w tym fachu, to prędzej czy później się z kimś zetrzesz. I odkryjesz, że chłopcy do rany przyłożą rzadko lub zgoła nigdy nie są doceniani. Tu liczą się przede wszystkim zdolności chirurgiczne. Czy tego chcesz, czy nie. Dlatego na przykład nigdy nie staram się, jak mogę, gdy przydzielają mnie do pracy na pododdziale łóżkowym. Robię, co do mnie należy, tak, i nigdy nie jestem nieodpowiedzialny. Pilnuję jednak, żeby nie stać się oddziaływym durniem...

Mathias spojrzał Ødegårdowi w oczy.

– ...czyli kimś, kto zawsze odważa gównianą robotę za operatorów – dokończył.

Ødegård skinął głową.

– Właśnie.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się przestawić na ten tok myślenia.

Ødegård wzruszył ramionami.

– Cóż... To tylko sprzyja pozostałym z nas.

Ktoś klasnął w ręce. Mathias podniósł wzrok. Oczywiście była to Edith.

– No, chłopcy! Gotowe.

Wstali obaj. Mathias podszedł do stołu operacyjnego i położył rękę na wygolonej głowie pacjenta.

– Trochę wyżej stół, anestezjolodzy! – rzekł głośno.

– Będzie wyżej – odparł głos z drugiego końca pokoju. Chwilę później stół zaczął się podnosić.



Może Ødegård miał rację. Cały czas starał się być fair wobec wszystkich. Wobec Irgensa, wobec Hasselgrena, wobec Marianne. Ale to na dłuższą metę nie działało. Dobrze o tym wiedział. I jeszcze ta sprawa z Nathalie. Ich romans musiał się skończyć. Choćby dzisiaj.

– Stop!

Stół zatrzymał się na odpowiedniej wysokości. Mathias zwrócił się do instrumentariuszki. Stała za stolikiem z narzędziami, czekając na jego polecenia. Obok stanął Ødegård. Nieznacznie skinął głową na znak, by Mathias zaczynał.

Dość filozofowania.

Uniósł ramię i wyciągnął otwartą dłoń nad stolikiem instrumentalnym.

– Skalpel – powiedział.

Nie mogło być chyba piękniejszego słowa?

## 20. Mathias

To była ona.

Vilde.

Wysiadając z windy na drugim piętrze, zobaczył, jak skręcała za róg w białym fartuchu. Zmieniła fryzurę. Nosila teraz krótko obcięte, jaśniejsze włosy. Ale to musiała być ona. Nie miał co do tego wątpliwości.

Spojrzał na wiadomość, którą dostał na telefon komórkowy. Marianne pisała, że się spóźni. Wcześniej zadzwoniła z pytaniem, czy zanim Mathias skończy dyżur i wróci do domu, mogłaby wpaść z Ylvą do stołówki. Dziecko obudziło się o piątej rano i było przemęczone. Musiała iść powoli, żeby nie zbudzić go w wózku. Nie mógł odmówić. Nie podobało mu się to jednak. Nie dopóki po budynku kręciła się Vilde.

– W czym mogę pomóc?

Recepcjonistka spojrzała na niego zza lady. Złota trwała górowała niczym wełna stalowa nad twarzą brązową jak u Hiszpanki.

– ...Ech. Vilde Kåfjord. Wydaje mi się, że tutaj pracuje. Czy mogłaby pani to dla mnie sprawdzić?

– Kåfjord przez „å” czy podwójne „a”?

Recepcjonistka już stuknęła w klawiaturę.

– „Å” – odparł. – Jest lekarzem.

– Obawiam się, że nie ma żadnych osób o nazwisku Kåfjord w Haukeland.

– Żadnych? Jest pani pewna?

– K-Å-F-J-O-R-D, tak?

Przytaknął.

– Nie ma tu nikogo takiego, nie.

Podziękował i się oddalił.

Żadnych doktor Kåfjord na stanie. Nie to nie. Mimo to wcale się nie uspokoił.

Przypomniał sobie ostatni raz, kiedy wydało mu się, że ją widział. Było to przed domem Anne Kirsti. Osoba, którą wziął za Vilde, stała po drugiej stronie ulicy, przyglądając się mu. Jakby go szpiegowała.

Wskoczył na schody ruchome, a w myślach zaczął już rozpamiętywać sceny, które rozegrały się, kiedy od niej odszedł. Od tamtej pory minęły już wprawdzie trzy lata, ale niełatwo było zapomnieć wyczyny Vilde. Śledziła jego i Marianne poza domem. Wypełniała jego skrzynkę odbiorczą w telefonie wszystkim, czym tylko mogła, od miłosnych wyznań aż po groźby. Naszła Marianne w miejscu pracy i przy wszystkich ją zwymyślała. Jasne, rozumiał, że czuła się zraniona. Jej reakcja była jednak znacznie silniejsza, niż powinna. Właściwie to nawet patologiczna.

Ruszył dalej na drugie piętro; podszedł do wind, gdzie wydało mu się, że ją widział, i jeszcze raz wszystko przeanalizował. W korytarzu było dziś pustawo. Ostatecznie był niedzielny poranek.

Czyżby się pomylił?

Mogło się tak zdarzyć. Sytuacja stresowała go bardziej niż zwykle. Może po prostu zaczął już widzieć zjawy w świetle dnia?

Poszedł do stołówki. Musiał się iść i poczekać. Spróbować się uspokoić.

\*

– Co ci kupić? – spytała Marianne, przewieszając kurtkę przeciwdeszczową przez krzesło po drugiej stronie stołu. Mokre od deszczu włosy założyła za uszy. Miała w sobie dzisiaj jakąś świeżość. Była urocza. Mięka i przyjemna. Mathias cieszył się, że wreszcie nabrał rozumu i podjął decyzję w sprawie Nathalie.

– Hm... Chyba muszę się skusić na jedną z tych dobrych, czerstwych bułek, które wystawili w gablocie. Chociaż chwileczkę. Może raczej dwa kawałki pizzy. Wiesz, tej o smaku tektury. A do tego kubek letniej kawy.

– Będą dwie porcje pizzy z tektury i letnia kawa – Marianne mrugnęła do niego, po czym okręciła się i ruszyła między stolikami.

Mathias poluzował pled okrywający wózek dziecięcy, który stał przy stole. Ylva spała z przekrzywioną głową. Podobno odpłynęła, gdy tylko Marianne wywiozła ją z domu. Z postojem zawsze wiązało się jednak ryzyko. Z doświadczenia wiedział, że w takich sytuacjach nie trzeba było długo czekać na przebudzenie się Ylvy. Tymczasem rozkoszował się ciszą.

Osunął się na krzesło, zamknął oczy i od razu poczuł napływające zmęczenie. Tego dnia podczas dyżuru również nie znalazł czasu na pisanie. Nocą, kiedy pozamykano już puby, przywieźli im całą serię urazów głowy. Jakiegoś Striła pobito w kolejce po taksówkę. Na targu rybnym w dolnej części miasta starły się dwa rywalizujące gangi. Na domiar złego jakiś geniusz z trzema promilami alkoholu we krwi spadł z wysokości kilku metrów po tym, jak wylazł przez balkon na drugim piętrze. Rowery, na których wylądował, wprawdzie uratowały mu życie, ale nabawił się przez nie dwudziestocentymetrowej rany głowy, która wymagała założenia szwów. Pijani bergeńczycy i szycie w znieczuleniu miejscowym o czwartej w nocy – to nie było najlepsze połączenie.

– Hej.

Aż się wzdrygnął, słysząc głos; otworzył oczy. Ktoś stał przy jego stoliku. Zarejestrował fartuch lekarski i krótkie, jasne włosy.

– Jak miło widzieć tu ciebie.

– Vilde...

Wyprostował się, wstał i zakołysał, próbując zebrać myśli. Więc jednak miał rację. To naprawdę była ona.

– To twoje dziecko?

Wskazała przykryty wózek obok niego.

– Uch... tak. Śpi.

– Dziewczynka? Ile ma lat?

– Dwa.

Spojrzeniem odszukał jej identyfikator. Vilde Kåfjord. Nie zmieniła nazwiska. Poniżej widniał jednak napis „doktorantka”. To dlatego recepcjonistka nie znalazła jej w szpitalnym rejestrze. Była zatrudniona na uniwersytecie. Mathias przypomniał sobie o Marianne i zerknął w głąb stołówki. Spostrzegł ją w kolejce przed kasą. To właśnie tej sytuacji się obawiał.

– Marianne też tu jest?

Wzrok go zdradził.

– Jest, kupuje coś. Miło było cię znowu zobaczyć.

Usiadł, głównie po to, by spróbować zakończyć rozmowę, ale Vilde nie przejawiała chęci odejścia.

– Widzę, że jesteś na Neurochirurgii.

Ruchem głowy wskazała identyfikator, przypięty do jego fartucha.

– Tak.

– Długo?

– Uch... wkrótce będą dwa lata.

Zobaczył, że Marianne już płaci. Mogła przyjść w każdej chwili. Vilde najwyraźniej też zdawała sobie z tego sprawę. Co zamierzała wtedy zrobić? Nie miał odwagi rozwinąć tej myśli.

– Nie zapytasz mnie, czym ja się tutaj zajmuję?

Podniósł wzrok. W pytaniu nie usłyszał ironii, tylko coś w rodzaju urazy.

– Tak... Czym się zajmujesz?

– Jestem doktorantką na Oddziale Kardiologii. Prowadzę badania nad niewydolnością serca u myszy. Zaczęłam tej jesieni. Dziwne, że wylądowaliśmy w tym samym miejscu, prawda?

Nie odpowiedział. Był zbyt zmęczony, żeby wyteńczyć dodatkowe siły. Marianne nadeszła, trzymając w rękach tacę. Spozrzęła Vilde. Było to oczywiste, bo przygarbiła się nagle, jak sycząca kotka. Zatrzymała się przy stole i bez słowa odstawiła tacę.

Milczenie przerwała Vilde.

– Cześć.

Marianne stała, ale się nie odzywała.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Gratuluję dziecka.

– Dziękuję.

– Pomyślałam, że kupię sobie coś do jedzenia. – Vilde wskazała kasy. – Nie macie nic przeciwko, żebym się do was przysiadła?

– Skądże.

Mathias zerknął na Marianne po jej beznamiętnej odpowiedzi.

– Mądre to było? – rzekł, biorąc z tacki kubek z kawą. Upił łyk i poczuł, że zaczyna wychodzić z szoku. Spotkanie przebiegało dużo łagodniej, niż sobie wyobrażał. Kiedy znów uniósł wzrok, Marianne zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy z oparcia krzesła.

– A ty gdzie?

– To twoja była dziewczyna. Sam się nią zajmij.

– Ale...

Nie skończył. Marianne już się odwróciła i przeszła przez pomieszczenie. Mathias został na miejscu i patrzył, jak obeszła ostatni stolik w drodze na korytarz. Znów opadł na krzesło, uniósł z tacy talerzyk z dwoma kawałkami pizzy i postawił go przed sobą.

Z wózka dobiegło chlipnięcie, wsunął więc rękę pod zwisający pled. Ylva otworzyła lekko oczy. Mathias odwinął kocyk i pogłaskał córkę po policzku.

Może i dobrze, że się tak stało.

– Cześć – powiedział. – Chcesz się przywitać z byłą taty?

\*

– Poszła?

Vilde uniosła łyżkę i spróbowała smaku mieszanki muesli, którą sobie kupiła. Mathias zdążył już zjeść oba kawałki pizzy. Siedział z kubkiem kawy w rękę i uważnie przyglądał się Vilde zza stołu. Wyraźnie się postarzała. Zresztą, co w tym dziwnego. Mimo to była tą samą osobą, co kiedyś. Gesty. Uśmiech. I szybkie odpowiedzi. Uderzyło go, że nie tęsknił za nią ani przez sekundę.

– Zadzwonili do niej. Z pracy.

Vilde przelotnie uniosła brwi, nie przerywając jedzenia. Nie wyglądało na to, żeby kupiła jego białe kłamstwo, ale też odejście Marianne niezbyt ją obeszło. Może nie powinien się dziwić.

Odwrócił się do Ylvy, która siedziała w wózku, bez słowa przypatrując się Vilde. Ten sceptycyzm miał chyba podłoże genetyczne.

– Jest do ciebie podobna.

– Tak sądzisz?

– Bez dwóch zdań.

Wyciągnął się po córkę. Wrywała się, kiedy ją podniósł i posadził sobie na kolanach, po czym okręciła się i ukryła twarz w jego koszuli lekarskiej.

– Jest trochę onieśmielona – powiedział. – A ty masz dzieci?

– Jeszcze nie. Ale przynajmniej znalazłam chłopaka.

– O? Lekarza?

Przytaknęła, nabrała kolejne dwie łyżki muesli i ciągnęła:

– Francuza. Może przeprowadzi się tu w nowym roku.

– Świetnie.

Przejechał ręką włosy Ylvy. Próbował ją obrócić, ale znowu zaczęła z nim walczyć.

– A tak swoją drogą, to dzielę gabinet z jedną z twoich koleżanek.

– Ach tak. Z kim?

– Z Theą Michelsen.

Vilde odsunęła miskę i sięgnęła po kupionego placka Vestlandslefse.

– A może ona by go chciała?

– Chcesz trochę *lefse*, Ylva?

Córka potrząsnęła głową. Materiał jego koszuli zwilgotniał od jej oddechu.

– Właściwie to dziwne, że na ciebie trafiłam, bo chciałam z kimś porozmawiać o pewnej sprawie, która dotyczy Thei. Z kimś, komu mogę zaufać.

– Chcę do mamy!

Głos Ylvy był piskliwy. Pogładził ją po plecach, ale strząsnęła jego rękę.

– Nie wiem, czy masz czas, ale...

– Pewnie. Tylko może innym razem. – Dyskretnym ruchem wskazał córkę. – Myślę, że musimy się już zbierać.

Vilde skinęła głową.

– Rozumiem.

Wstał, trzymając córkę na rękach, i włożył ją do wózka. Znowu zaczęła się wiercić, położyła ręce na oczach i wierzgała nogami.

– Jest po prostu zmęczona – powiedział, układając pled nad otwartą częścią wózka.

Vilde zaśmiała się wyrozumiale.

– Nigdy nie miałam ręki do dzieci. Spokojnie.

Wytoczył wózek na podłogę, przystanął i zaczął nim kołysać. Ylva trochę kręciła się w środku, ale też wyraźnie się uspokoiła.

– To dziwne uczucie oglądać cię w takiej roli.

Vilde się uśmiechnęła – wydało mu się, że szczerze. Inaczej nie mógł tego nazwać. Było jasne, że poszła do przodu. Nic nie cieszyło go bardziej.

– Miło było cię znowu zobaczyć – powiedział.

– I nawzajem. Jak już wspomniałam, dobrze by było porozmawiać. Może przy kawie. Nie musimy od razu mówić o tym Marianne, prawda?

Rozpoznał spojrzenie, które mu posłała. Nieprzypadkowo to właśnie z nim chciała porozmawiać poufnie. Marianne nie przypadłoby do gustu, gdyby wybrał się z Vilde na kawę.

Przyjrzał się jej badawczo. Co chciała teraz osiągnąć? I jaki to miało związek z Theą?

– Sam nie wiem – odparł. – Mogę zapytać, o co chodzi?

## 21. Thea

Powinna mieć coś ze sobą. Tak czuła. Jakiś prezent. Może bombonierkę? Kwiaty? Książkę?

Kiedy stała w korytarzu i wkładała wiatrówkę, uderzyła ją myśl, że właściwie to nie wie, co lubi jej matka. Może nie było w tym nic dziwnego. Ostatnio widywały się dwa razy w roku. W Boże Narodzenie i w urodziny matki, przypadające w czerwcu. A prezentami, które sobie wtedy wręczały, były często rzeczy, których potrzebowały. Wełniane skarpety, swetry, szaliki.

Teraz zaś miała dać matce coś z troski o nią. Coś, co ułatwiłoby jej pobyt w Haukeland.

Thea zamknęła za sobą drzwi na klucz. Gumiaki zaskrzypiały o linoleum, kiedy ruszyła korytarzem. Mogła wstąpić do szpitalnego kiosku Narvesen. Mieli tam prawie wszystko. Zresztą, chyba nie było znowu takie ważne, co by wybrała. Liczyła się intencja, jak to się ładnie mówi.

Zbiegła po schodach do drzwi wyjściowych. Na zewnątrz deszcz bębnił o asfalt. Wczorajsze słońce okazało się przelotnym widokiem. Teraz zrobiło się tak jak zawsze w Bergen późną jesienią: mokro, kilka stopni powyżej zera. Przez chwilę Thea zastanawiała się, czy nie wrócić po parasol, ale odsunęła tę myśl. Lepiej będzie się przebiec.

\*

Kiedy ściągnęła z głowy kaptur, wchodząc do szpitalnego westybulu, ociekała wodą. Grzywka przykleiła jej się do czoła, a z twarzy kapąła woda i ściekała w zagłębienie szyi. Thea przetarła twarz dłonią, zaraz jednak zrozumiała, że ręka też była mokra, więc zrezygnowała. Podeszła do automatów z kawą w kiosku Narvesen, wzięła kilka serwetek i otarła najgorszą wilgoć. Zauważyła spojrzenie kobiety za ladą, ale ją zignorowała. Przecież zamierzała coś kupić. Wyrzuciła serwetki do kosza i weszła między półki z czasopismami. Musiała coś znaleźć. Czy podarowanie komuś czasopisma nie było wyrazem troski?

Przez kilka minut chodziła w tę i z powrotem, zanim zdecydowała się na „My po Sześćdziesiątce”. Matka miała wprawdzie 58 lat, ale alternatywą były „Kobiety i Ubrania”, Thea nie przypominała zaś sobie, żeby matka kiedykolwiek kupiła ten magazyn. Artykuł na pierwszej stronie na temat zrzućcia wagi niezbyt też nadawał się na tę okazję.

Podziemnymi korytarzami poszła do hotelu dla pacjentów i ich krewnych. Był to spory kawałek do przejścia. W drodze myślała o ojcu. Wcześniej tego dnia rozmawiała z nim przez telefon. Zadzwoił z pytaniem, co słyszą. Thea zdała standardowy raport o opiniach lekarzy i samopoczuciu matki. Sytuacja była – na swój sposób – niezła. Miano poddać ją leczeniu nożem gamma z powodu guza mózgu. Potem czekało ją kilka rzutów chemioterapii. A wszystko pod pieczę Szpitala Haukeland, bo zgłosiła przeprowadzkę do Bergen. Theę kusiło, żeby spytać ojca, czy nie zechciałby przyjechać, ale się powstrzymała. Z góry знаła odpowiedź i czuła, że zaczyna mieć powyżej uszu jego zachowania. Z początku rozumiała jego dumę. Trzymał się z boku na wyraźne życzenie matki. Nie było sensu sprzeciwiać się jej woli. Z czasem jednak, gdy zaobserwowała jej irracjonalne zachowanie, pomyślała, że bardziej przejmował się sobą niż nią. Przecież zbliżała się do śmierci. Nawet jeśli nie umarłaby teraz, to w ciągu kilku miesięcy lub lat. Czy przez cały ten czas zamierzał siedzieć po drugiej stronie gór i czekać na zaproszenie? Czy to nie był zwyczajny egoizm?

Matka stanęła Thei przed oczami. Ostatnie dwa miesiące były pod wieloma względami dziwne. Dziwne, bo po odesłaniu jej z kwitkiem zaczęła brać odpowiedzialność za jej chorobę. Matka pozwoliła jej na to, choć w bardzo subtelny sposób. Nigdy nie zdarzyło im się otwarcie

rozmawiać o chorobie. Thea zajęła się po prostu sprawami natury praktycznej: wynajęciem umeblowanego mieszkania w dzielnicy Landås, badaniami szpitalnymi, umawianiem się z lekarzami. W ten sposób wykryto przerzut do mózgu. Właściwie zakrawało to na ironię. Matkę umieszczono na oddziale, na którym pracowała córka, by usunąć nożem gamma przerzut do mózgu.

Stała przed windą na końcu korytarza. Co teraz czuła? Sama nie była pewna. Wiedziała tylko, że musi wytrzymać ten maraton. To od niej wszystko zależało.

\*

W pokoiku było gęsto od dymu. Matka siedziała w fotelu kanapowym pod oknem i gapiła się na plac przed hotelem. Wciąż nie zdjęła kurtki. Papierowy kubek służący za popielniczkę stał przed nią na okrągłym stoliku, koło paczki pall malli i żółtej zapalniczki. Thea położyła obok czasopismo, które kupiła, po czym podeszła do matki i ją przytuliła. Czuła się niezręcznie. Matka pochyliła się nad stołem, wyciągnęła papierosa z paczki i włożyła go sobie do ust. Wskazała na czasopismo.

– A to co?

– Pomyślałam, że może chcesz coś poczytać.

Thea wysunęła krzesło spod małego biurka i usiadła.

– Byłaś na oddziale?

Matka przytaknęła, zapalając papierosa. Dwa razy głęboko się zaciągnęła i rozparła się w fotelu. Jej spojrzenie przesunęło się po pokoju.

– Dowiedziałas się, co będzie jutro?

I znów kiwnięcie.

Przekora. Ni mniej, ni więcej. Czysta przekora. Wcześniej Thea by się zirytowała, ale teraz poczuła, że niezbyt ją to obchodzi.

Rozejrzała się dookoła. W pomieszczeniu panował ponury półmrok. Tylko lampka przy łóżku była włączona. Światło płynące z okienka z widokiem na górę Ulriken niewiele pomagało. Thea wstała i włączyła oświetlenie górne. Miała ochotę powiedzieć matce, żeby przestała palić. Zawieszona w windzie kartka informowała, że palenie w pokoju karano grzywną w wysokości 500 koron. Może ją widziała? Może stwierdziła, że woli w razie czego zapłacić?

– Spotkałam na oddziale bardzo miłego młodego mężczyznę.

– O? – Thea uniosła wzrok. – Kogo?

– Nie bardzo pamiętam. Mortena? Nie. Może Marcusa? Na nazwisko w każdym razie miał Grande.

Thea przytaknęła. Typowe. Mathias zjednywał sobie sympatię starszych kobiet.

W rozmowie z pacjentami zawsze przybierał przypochebny ton.

– I to on przekazał ci jutrzejszy plan?

– Więcej. Rozrysował i wyjaśnił, co będzie się działo. Obiecał nawet, że do mnie jutro zajrzy, kiedy już zamontują mi na głowie tę ramę. Niezbyt mnie cieszy ta wizja. Chcą mi to przykręcić do samej kości.

Wzdrygnęła się górną połową ciała.

– To nie wygląda tak źle, jak brzmi. Najgorsze jest znieczulenie miejscowe, potem...

– Wiem, Theo. Ten młody człowiek już o wszystkim mi opowiedział. Nie chcę o tym słyszeć więcej, niż trzeba.

Matka pochyliła się i złapała róg czasopisma leżącego na stole, żeby obrócić go w swoją stronę. Przez kilka sekund przyglądała się badawczo okładce, po czym podniosła wzrok

i popatrzyła pusto przed siebie. Thea czekała, aż coś powie, ale zamiast tego zapadło milczenie.

– Rozmawiałam z tatą.

– A po co?

– Żeby mu powiedzieć, że wszystko w porządku.

Matka się zaśmiała.

– I myślisz, że interesuje go, jak się miewa jego stara, chora baba?

– Tak czy inaczej prosił, żebym cię pozdrowiła.

– Świetnie! Ale się ucieszyłam.

Thea spuściła wzrok. Splotła palce. Na jej plecach kropla wody znalazła drogę pod T-shirtem. Teraz płynęła powoli po jednej łopacie, pozostawiając za sobą łaskoczące pasmo, aż dotarła do pasa. Kilka tygodni temu za taki tekst wyrzuciłaby matkę z domu. Teraz udało jej się pohamować.

Wstała i podeszła do okna, żeby uwolnić się od ostatniej myśli. Przed hotelem stała taksówka na ręcznym. Innych samochodów nie było widać. Wciąż padało. Maszt na szczycie Ulriken połyskiwał między chmurami.



## 22. Werner

Wszystko było po staremu. Werner siedział oparty na krześle w sali seminaryjnej na siódmym piętrze i przyglądał się uważnie kolegom. Spokojny głos Mathiasa Grande, składającego raport z weekendowego dyżuru niósł się nad stołem. Ten sam wyważony ton i te same zagadnienia w harmonogramie. Spośród wydarzeń tego ranka najbardziej bał się przejażdżki windą po przeglądzie zdjęć rentgenowskich, z pierwszego na szóste piętro, gdzie mieścił się pododdział łóżkowy. Wszyscy stali wtedy ściśnięci w ciasnej kabinie windy przez minutę lub dłużej. W pierwszy lepszy dzień można było poczuć się nieswojo. Dzisiaj rano stał obok Thei Michelsen. Wyglądała na bardziej zmęczoną niż zwykle, lecz mimo to uśmiechnęła się do niego i spytała, czy czuje się lepiej. Lepiej, tak. Właściwie ładnie to ujęła. Tylko przytaknął. A kiedy podniósł wzrok, ze zwróconych na siebie spojrzeń zrozumiał, że inni słyszeli jego odpowiedź. Niektórzy kiwnęli głowami, niemalże z aprobatą, można by powiedzieć, inni się uśmiechnęli. Tak, uśmiechnęli się. Prawdę mówiąc, zrobił to też sam Mons Lohmann. W zasadzie odpowiadało mu, że nikt się nie odezwał. Wrócił i wyglądało na to, że ludzie to doceniają. Jediną osobą, która do tej pory nawet się z nim nie przywitała, był Odd Hasselgren. Stał w kącie i pustym wzrokiem patrzył przed siebie. Z jego twarzy nie dało się wyczytać żadnej reakcji.

– Nie chce mi się w to wierzyć.

Werner podniósł wzrok. Głos zabrał Gjert Hole. Monotonne sprawozdanie Mathiasa nagle się urwało. Zagapił się w swój notatnik i sprawiał wrażenie, jakby nie chciał odwzajemnić spojrzenia Hole.

– Widziałeś zdjęcia MR? Nie było żadnych wskazań do operowania w takim pośpiechu.

Werner zwrócił uwagę, że Mathias spojrział z ukosa na Ødegårda, który nie wyglądał, jakby miał coś do dodania. Sprawa musiała dotyczyć pacjenta, którego przypadek właśnie raportowano. Z tego, co dotarło do Wernera, operowano go w sobotę z powodu przerzutu do mózgu. Ale skąd ta dyskusja? Werner zauważył, że Mathias przełknął i przygotował się do odpowiedzi. Było aż nazbyt wyraźne, że z jakiegoś powodu czuł się nieswojo.

– W nocy przed operacją pacjent miał napad padaczkowy i...

– Po to mamy antyepileptyki. Facet chodził i nie miał oznak zaburzeń. Coś mi mówi, że kierowały tobą całkiem inne pobudki, kiedy zapisałeś pacjenta na operację, Grande. Może chciałeś się popisać przed Monsem?

– Wystarczy – opanowanym tonem wtrącił się Mons Lohmann. Wernerowi wydało się, że na jego ustach dostrzegł szydery uśmiech, tak jakby Lohmann lubił przysłuchiwać się powarkującym na siebie lekarzom. – Proszę kontynuować, Grande.

Mathias zajrzał do notatnika. Nerwowo przerzucił kilka kartek, aż sąsiad musiał pomóc mu się zorientować, gdzie skończył.

Werner sięgnął po plastikowy kubek i wlał w siebie resztki kawy, którą ukradł z dzbanka ortopedów na korytarzu. Na zebraniu neurochirurgów jak zwykle nikt nie zadbał o podanie kawy w zorganizowany sposób. Tak. Wszystko tu było jak dawniej. Trudno też było nie domyślić się przyczyn interwencji Gjerta Hole, bo to jego inicjały widniały w rubryce obok nazwiska zoperowanego pacjenta. Ale co miał na myśli, mówiąc, że Mathias „chciał się popisać przed Monsem”? Czy to miało związek ze stałymi posadami? Prawdopodobnie. Żadnego ze stanowisk jeszcze nie obsadzono i wyścig wciąż był otwarty. Oznaczało to, że on sam nadal miał szanse, mimo że znacznie mniejsze niż kiedyś.

Rolando zachorował, nie miał więc kto zająć się raportami z hospitalizacji pacjentów z listy, których przyjęto w celu oceny przedoperacyjnej. Na pytanie Evelyn, czy ktoś chciałby

wziąć to zadanie na siebie, wszyscy wbili wzrok w stół, dopóki Werner nie podniósł ręki, zgłaszając się na ochotnika. Przez jakiś czas powinien być uczynny. Nie mógł oczekiwać, że pozwoli mu na udział w operacji. Lepiej było wy badać nastroje i rozeznac się trochę w sytuacji na oddziale. Pielęgniarki były zwykle najlepszym źródłem takich informacji. Niewiele umykało ich uwadze i łatwo było skłonić je do zwierzeń. Były tylko świadkami tutejszego wyścigu szczurów, a nie jego uczestniczkami. Chciał też zamienić słowo z Evelyn. Dlatego po zakończeniu zebrania został na miejscu, pochylony nad papierami, i udawał, że stara się ogarnąć listę pacjentów. Zgodnie z oczekiwaniami Evelyn przysiadła obok, na krawędzi stołu. Spojrzał na nią z pozornym zaskoczeniem. Upięła dziś włosy. Ładna była. Dobrze było znów ją zobaczyć. Jeśli miał na oddziale sprzymierzeńców, to ona musiała być jednym z nich.

– Dobrze cię widzieć, Werner!

– Dziękuję, wzajemnie – odparł, opierając się w krześle.

– Jak leci?

– Nie najgorzej.

– Nie sądziliśmy, że jeszcze cię tu zobaczymy po tym, co się stało.

– Szczerze mówiąc... ja też w to wątpiłem. Ale naprawdę dobrze tu wrócić. Podoba mi się tutaj. Nie mogę tego ująć inaczej.

Evelyn uśmiechnęła się krzywo, tak jakby nie do końca spodziewała się od niego takich słów. Musiał pociągnąć ten wątek.

– Słyszałem, że jeszcze nie ogłosili naboru?

– Nie, jeszcze nie.

Przybrała bardziej wymijający ton głosu.

– Dlaczego?

Znów krótki, krzywy uśmiech.

– Pieniądze. Zawsze chodzi o pieniądze, no, wiesz. I o budżety, które powinny wychodzić na plus, ale zamiast tego są na minus.

– Ale kogoś zatrudnicie?

– Tak. Kogoś. Jak rozumiem, nadal jesteś zainteresowany?

Przytaknął. Tak. Był. Absolutnie. Evelyn przesunęła się w głąb stołu, odrywając stopy od podłogi. Oparła łokcie o kolana i nachyliła się ku niemu. Wyglądało na to, że chciała mu coś powiedzieć. Czekał.

– Wiesz, że zawsze cię lubiłam, Wernerze, odkąd tylko wszedłeś do mojego gabinetu i spytałeś, z kim musisz porozmawiać, żeby dostać tu pracę. Było w tobie coś, co wzbudziło moje zaufanie. Czegoś takiego trzeba w tym zawodzie.

– Miło to ujęłaś.

Evelyn przekrzywiła głowę. Jej spojrzenie się zmieniło. Straciła swoją zwyczajową poprawność, przybierając bardziej osobisty ton.

– Angażujesz się w losy pacjentów. Śledzisz ich sytuację. Nie naprawiasz tylko ich zdrowia, jesteś też dobrym Samarytaninem. Pozwól, że powiem ci jedno: twoja była dziewczyna nie potraktowała cię ładnie. Wszyscy to widzieliśmy.

Siedziała, przyglądając się mu. Coś było w tym spojrzeniu. Coś takiego... Sam nie wiedział.

– O co chodzi?

– Co?

– Co tak bardzo chciałabyś mi powiedzieć?

Evelyn założyła ręce na piersi i się rozejrzała.

– Czy to ma jakiś związek z posadami? – ciągnął.

Zmrużyła oczy i nagle jej twarz przybrała wyraz zdecydowania.

– Tak – odparła. – Ale musisz mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiesz.

Werner się uśmiechnął.

– Oczywiście. Wiesz, że możesz na mnie polegać.

## 23. Thea

Coś tu się nie zgadzało.

Siedząc przed komputerem, Thea omiotła spojrzeniem swoje stanowisko pracy. Wydawać by się mogło, że ktoś tu był. Artykuły, które odłożyła na pulpicie do przejrzenia, przesunięto nieco na lewo, myszka także nie leżała na swoim miejscu i mogłaby przysiąc, że ostatnim razem wyłączyła komputer.

Oparła głowę na rękach. Czyżby jej się przywidziało? Była roztrzęsiona. Miała przygotować wykład dla personelu oddziału, który prezentowałby ostatnie wyniki jej badań. Tego ranka dowiedziała się też, że przyjęto artykuł. Wiadomość powinna ją ucieszyć, ale zamiast tego poczuła napływ lęku. Dobrze wiedziała, dlaczego. Nie odważyła się skonfrontować Ingvild Falk ze zmianami w danych. Tekst został wysłany zgodnie z wolą profesor.

Wstała i aż zakręciło jej się w głowie, kiedy przeszła się po pokoju, żeby włączyć czajnik elektryczny przy zlewie. Kubek, którego zawsze używała, stał obok, z zaschniętymi resztkami neski na dnie. Thea wsypała do niego łyżeczkę kawy mielonej i oparła się o ścianę w oczekiwaniu, aż zagotuje się woda. Jej spojrzenie ześliznęło się na biurko Vilde. Koleżanka nigdy nie piła kawy, tylko herbatę. W małym pudełku przy komputerze trzymała torebki Twinings, posegregowane według kolorów. Jej książki były starannie ustawione przy ścianie. Na blacie panował wzorowy porządek.

Thea odepchnęła się od ściany i podeszła do fotela biurowego koleżanki. U dołu monitora komputerowego wisiało zdjęcie Vilde z jej francuskim chłopakiem. Jeanem-Jacques'em Jakimstam. Poznała go w wakacje po rozstaniu z Mathiasem. Ale czy aby na pewno uwolniła się od myśli o byłym partnerze? Po pamiętnym wieczorze w Pingwinie Thea nabierała czujności za każdym razem, gdy Vilde chciała z nią porozmawiać. Zaczęła zwracać uwagę na drobne szczegóły, które nasiliły jej sceptyczny stosunek do koleżanki: małe sprzeczności w tym, co mówiła, białe kłamstewka i ciągłe węszenie, co się działo na Neurochirurgii. Od sekretarki, która przydzieliła jej gabinet, dowiedziała się też dziwnej rzeczy. Podobno Vilde poprosiła o możliwość dzielenia pokoju z Theą – zanim się jeszcze spotkały.

Od strony czajnika elektrycznego dobiegło kliknięcie i bulgotanie z wolna ucichło. Thea stała w miejscu. Poza nią i Vilde do pokoju nikt nie miał dostępu. Prawie nikt się nie orientował, że na terenie laboratorium znajdował się gabinet. Do niedawna był to składzik. Jeśli ktoś grzebał w jej rzeczach, to musiała być Vilde. Czego jednak szukała? Czy mogła wiedzieć, że Ingvild Falk pozmieniała dane? Nie. Bo i skąd?

Thea wróciła do czajnika i napełniła kubek wodą, po czym starannie wymieszała czarny płyn łyżeczką.

A gdyby tak znalazła sposób na monitorowanie swojego biurka? Jeśli myliła się co do Vilde, to przynajmniej uwolniłaby się od podejrzeń.

Odwróciła się w stronę pokoju. Przy ścianie po lewej stał regał ze wszystkimi jej książkami. Roślina wisząca, którą kupiła w kwaciarni przy ulicy Haukelandsveien, mocno się rozrosła. Gałęzie, zwisające ze środkowej półki, sięgały niemal podłogi. A gdyby postawiła wśród nich kamerę internetową? Albo nie, chwileczkę! Podeszła do biurka. Z najniższej półki wyjęła nowy laptop, świeży nabytek. Monitor mierzył tylko dziesięć cali i u góry, w obudowie, miał wbudowaną kamerkę internetową.

Podeszła do półki i umieściła laptop między książkami, z monitorem ustawionym pod kątem prostym. Następnie ułożyła gałęzie rośliny tak, że go zakryły. Odstąpiła i przyjrzała się regałowi. Jeśli zostawi laptop włączony z wygaszonym ekranem, to uzyska dokładnie to, czego jej było trzeba. Kamera internetowa mogłaby rejestrować obraz podczas jej nieobecności.

Wszystko, co działałoby się przed soczewką, byłoby zapisywane w pliku wideo na twardym dysku.

Wzięła kubek z kawą, usiadła za biurkiem i pociągnęła spory łyk. Może miała paranoję, ale trudno. Powinna oszczędzać siły. Tego wieczora musiała bowiem skoncentrować się na wykładzie, który miała poprowadzić dla pracowników oddziału. Wśród słuchaczy mieli znaleźć się Lohmann i Hasselgren, była to więc jej złota szansa na umocnienie swojej kandydatury na stałą posadę. Chodziło o to, żeby zagrać rolę klasowej prymuski. Nie mogła też zapomnieć o zajrzeniu do matki na oddział. Tego ranka nie była w zbyt dobrym nastroju. Do czaszki przykręcono jej cztery śrubki, mocujące tytanowe wysięgniki ramy stereotaktycznej, która służyła jako celownik dla noża gamma. Thea próbowała ją uspokoić, ale matka mówiła tylko o Mathiasie Grande. O tym, jaki był fantastyczny. I że córka powinna sobie znaleźć takiego męża.

Thea wcisnęła klawisz, żeby otworzyć prezentację w programie Power Point, jednocześnie starając się wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać jej związek z Mathiasem Grande. Był przystojny, to fakt. Miał w sobie coś, co wyróżniało go nawet w tłumie. Był też jednak typem, który wszystkich chciał zadowolić. Ona sama nie wytrzymywała długo z takimi osobami. Poza tym był jej rywalem.

Nie, musiała się skoncentrować. Odczytała z monitora tytuł wykładu. Wkrótce będzie po wszystkim.

Trzeba było tylko wytrzymać.

\*

Kiedy weszła na pododdział łóżkowy Neurochirurgii, dochodziła dziewiąta wieczorem. Oświetlenie górne było wyłączone. W korytarzu panowała cisza, przerywana tylko suchym kaszlem, dochodzącym z pomieszczenia za uchylonymi drzwiami. Z innego pokoju wyszła pielęgniarka i ruszyła w stronę Thei. Przywitała się, po czym skręciła do dyżurki. Thea zatrzymała się przed drzwiami matki. Wiedziała, że w środku były dwa łóżka, i nagle odechciało jej się wchodzić. Kiedy była tu ostatnio, matka bez skrępowania mówiła o sobie, zdradzając przy tym intymne szczegóły z życia córki, mimo że przy sąsiednim łóżku siedziały trzy inne osoby i jej się przysłuchiwały. Może to przerzut do mózgu sprawiał, że zachowywała się tak bezkrytycznie? Tak czy owak, było to nieprzyjemne. Thea wycofała się sprzed drzwi. Plan zakładał przeniesienie matki do hotelu dla pacjentów już tego wieczora. Była to standardowa procedura w przypadku pacjentów zakwalifikowanych na zabieg nożem gamma. Thea miała pomóc matce przenieść jej rzeczy.

Poszła korytarzem w kierunku dyżurki, skąd dobiegały dźwięki włączonego telewizora. Oznaczało to spokojny wieczór. Zapukała do otwartych drzwi recepcji, minęła ladę i wsunęła głowę do pokoju, znajdującego się wewnątrz. Kiedy mówiła „dzień dobry”, na ekranie telewizora ukazało się logo Wiadomości TV2. Cztery osoby siedzące w pomieszczeniu odwróciły się do niej, żeby się przywitać. Trzy z nich zagapiły się z powrotem na ekran, tylko pielęgniarka, którą Thea spotkała w korytarzu, wstała z miejsca.

– To ja ją prowadzę. Porozmawiamy na zewnątrz?

Thea wróciła do lady recepcji. Pielęgniarka udała się za nią.

– Wszystko w porządku?

– Była pani u niej?

Thea potrząsnęła głową.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało?

– Nie, nie. Wszystko jest na dobrej drodze. Tylko, że...

Pauza. Pielęgniarka wydawała się szukać słów. Ile już razy Thea słyszała ostatnio te przerwy, ten ugrzecziony ton w rozmowie o matce, tak jakby ludzie chcieli się upewnić, że z córeczką też nie zadrapa?

– Ona nie chce się przenieść do hotelu. Mówi, że nie czuje się dobrze.

– Aha.

– Ale mimo to jest na nogach, zeszła nawet do kiosku Narvesen i kupiła sobie tygodnik. Moim zdaniem po prostu czuje się nieswojo. Nie ma przy niej męża, a pani jest zajęta.

– Mam jutro wykład wewnętrzny.

Thea pożałowała, zanim jeszcze skończyła zdanie. Nie musiała się tłumaczyć pielęgniarce.

– Ale skoro już pani tu jest, pomyślałam, że mogłaby mi pani pomóc ją przekonać.

Trochę z nią posiedzieć. Sądzę, że to wystarczy.

Thea wzruszyła ramionami. W dyżurce komentator poinformował o sztormie, szalejącym na Karaibach. Na Jamajce zginęło dziesięć osób. Nie podobało jej się, że pielęgniarka rozmawiała z matką. Fakt, że personel oddziału tyle o niej wiedział, był dla niej nieprzyjemny.

– Proszę pozwolić jej zostać do jutra. Obiecuję, że zabiorę ją wtedy do hotelu.

– Ale to wbrew procedurze, żeby...

– Złe samopoczucie jest wystarczającym powodem. Zajrzę do niej tuż przed zebraniem porannym.

Pielęgniarka ściągnęła usta, ale odpowiedziała skinieniem głowy.

– Coś jeszcze?

Ton był trochę zbyt zachęcający, żeby mógł być prawdziwy. Uśmiech zbyt przymilny.

– Nie, nic więcej.

Thea odwróciła się, ale stanęła w drzwiach. Obejrzała się przez ramię. Pielęgniarka stała, patrząc za nią. Zmusiła się do uśmiechu.

– Właściwie, jest jedna rzecz... Jaką gazetę kupiła?

Pielęgniarka pytająco uniosła brwi.

– Słucham?

– Powiedziała pani, że moja matka kupiła tygodnik. Wie pani, jaki?

## 24. Marianne

– A mówiłam ci, żebyś się pospieszył z zablokowaniem tej karty.

Marianne uderzyła dłonią w kierownicę. Siedzący w fotelu pasażera Mathias ponuro popatrzył na list z banku. A przecież ten wyjazd mógłby zacząć się zupełnie inaczej. Zatrzymali się przed świeżo kupionym domem na Fjellveien. Mieli go dziś przejąć. Sprzedawca już na nich czekał.

– Pokaż – powiedziała, wyciągając rękę.

Bez słowa oddał jej arkusz. Przyjrzała się uważnie kolumnie z zarejestrowanymi transakcjami. W dniu, gdy Mathias zapomniał portfela w garderobie na bloku operacyjnym, ktoś zrobił zakupy za dwanaście tysięcy koron w sklepie w Voss. Złodziej nie miał skrupułów, by skorzystać z ich wspólnej karty bankowej.

Złożyła arkusz wóół, uniosła torebkę i wsunęła go do środka.

– No – powiedziała i wzięła oddech. – Zostawmy to za sobą. Obiecuj mi tylko, że od teraz będziesz lepiej pilnował karty.

Zmusiła się do uśmiechu i szturchnęła Mathiasa w bok.

– Wiesz...

Podniósł wzrok.

– Tak?

– Wkrótce tu zamieszkamy! – Wskazała podjazd domu. Mathias wyglądał mniej entuzjastycznie, niżby chciała. – Czy uwierzyłybyś w to kilka miesięcy temu?

– Nie – odparł. – Nigdy bym nie uwierzył.

Były właściciel budynku był starszym mężczyzną z okrągłym brzuszkiem i siwawym wąsem. Przywitał ich na schodach, a Marianne natychmiast nabrała do niego sympatii. Opowiedział im, że mieszkał w domu z żoną, która niedawno umarła. Nie mieli dzieci, kupił więc sobie mieszkanie na półwyspie Nordnes. Było ono położone bliżej centrum i mniej wymagające w utrzymaniu. Podczas kiedy stali i rozmawiali, Marianne przyglądała się domowi. Utrzymanie, tak. Mężczyzna niezbyt sobie z nim radził w czasie, gdy tu mieszkał. Ale to już nie grało roli. Teraz oni przejmą budynek – i wkrótce dom odzyska dawny blask. Wynajęła już kilku robotników do pracy w weekend. Mieli odnowić i odmalować wnętrze. Zewnątrzem zajmą się latem. Ich finanse nie pozwalały teraz na więcej.

Weszli do wiatrołapu. Mathias ze starszym mężczyzną ruszyli dalej do salonu. Ona jednak stanęła przed schodami na piętro i zagapiła się w górę. Ileż razy ściagała się tu z bratem? Przywołała w pamięci wszystko, co kojarzyło jej się z tym miejscem. Otarcia, zazielenione kolana, mokre skarpetki w gumowych kaloszach, zabawa w chowanego z dziećmi z sąsiedztwa w za ciasnym ogrodzie. I ojciec. Drzwi do piwnicy były otwarte. Podeszła do framugi i zajrzała w dół. Na boazerii ściennej odkryła znaczki, które ojciec naniósł tuszem, by oznaczyć wzrost jej i brata.

– Idziesz?

Mathias wsunął głowę do korytarza. Przywołała go gestem.

– Popatrz na to.

Podszedł z wahaniem. Nadal nie okazywał radości z kupna nowego, dużego domu. Pokazała mu wykonany różowym tuszem znaczek na boazerii. Obok widniał niemal zatarty dopisek ołówkiem: „122cm”.

– Taka mała kiedyś byłam.

Mathias zerknął na nią. Poglaskał ją po policzku.

– Najpierw zajmijmy się sprawami praktycznymi, okej?

Przełknęła zawód, poczuła, że Mathias wziął ją za rękę.

– Okej.

– Chodź – powiedział.

Pozwoliła, by ją pociągnął.

\*

Podpisawszy ostatnie papiery, stanęli na niewielkim tarasie i oparli się o balustradę. Od fiordu wiał północny wiatr, wprawdzie chłodny, ale przy tym świeży i orzeźwiający. Marianne ogarnął przyjemny spokój od samego tylko stania i patrzenia na miasto. Jej spojrzenie przesunęło się od stawu Lille Lungegårdsvann do Vågen. Teraz, w listopadzie, Bergen sprawiało wrażenie szarego i ociążałego. Miało się to jednak zmienić wiosną. Już się cieszyła na myśl, że będzie oglądać stąd miasto. Kwiaty, pączkujące w okresie kwitnienia, dźwięki życia, niosące się aż do kuchennego stołu w poranki.

Zerknęła na Mathiasa. Ostatnio wydawał się jakiś przybity. W takich chwilach zawsze zmieniał się w cichego introwertyka. Wypytywanie go o przyczynę rzadko pomagało. Robiło się wtedy jeszcze gorzej. Pozostawało tylko czekać, aż sam zacznie mówić.

Odwróciła się i zapatrzyła na dom. Czyżby zły humor Mathiasa miał związek z decyzją, którą właśnie podjęli? A może była w to zamieszana Vilde? Jego dawna dziewczyna stanęła jej nagle przed oczami, taka, jaką spotkali w stołówce. Szczerze wątpiła w przypadkowość tego spotkania. Vilde była zbyt wyrachowana, żeby tak po prostu na nich wpaść. Dlaczego przyjechała do Bergen właśnie teraz?

Nie, musiała przestać o niej myśleć. To miał być dobry dzień.

Przechyliła się do Mathiasa, opasała ramieniem jego plecy.

– Jak sądzisz? – zagadnęła. – Dobrze nam tu będzie, prawda?

– Pewnie. Bardzo dobrze.

– Wiesz, wcale nie chciałam się tak wkurzyć za ten rachunek za kartę VISA...

– A, za to? Nie. Wiem.

Potargala mu włosy. Nie mogła sobie odmówić położenia palca w kąciku jego ust.

Pchnęła go do góry.

– Co z tobą?

Zrobił grymas i zabrała palec.

– Jestem po prostu zmęczony po weekendzie. Nic więcej.

Zawiesiła na nim spojrzenie, ale odwrócił wzrok. Sprzykrzyło jej się czekanie, aż coś powie.

– Co się z tobą dzieje? Nie możesz mnie tam wpuścić choć na chwilę?

Postukała palcem w jego głowę. Odetchnął ciężko, jak stary człowiek, po czym nagle spojrzął jej prosto w oczy.

– Nie udało mi się skończyć artykułu – powiedział. – A już dawno powinienem był go odesłać.

– I to wszystko?

Poczuła na twarzy laskotanie wiatru i spostrzegła, że światło przebiło się przez pokrywą chmur nad miastem.

– Napisanie artykułu nie jest byle drobnostką, jeśli tak ci się wydaje.

– Wcale nie, Mathias. Nie rozumiem tylko, co jest takiego ważnego w tym artykule. Przy twoim grafiku pracodawca nie może od ciebie oczekiwać pracy badawczej.

– To bardziej skomplikowane.



– Ach tak?

Mathias wyprostował się i założył ręce na piersi. Wyglądało na to, że musiał zebrać się w sobie, zanim powiedział kolejne zdanie.

– Potrzebuję tego artykułu, żeby zostać na oddziale.

Przyglądała mu się uważnie. Czuła, że ma po dziurki w nosie całego tego absurdu, który rządził Haukeland.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Teraz ci mówię.

– Wiesz, co mam na myśli. Ja też przecież mogę ci doradzić, nie? Może nie orientuję się we wszystkich zasadach, które obowiązują w służbie zdrowia, ale mam pojęcie o życiu zawodowym. A wygląda mi na to, że potrzebujesz szczerzej rozmowy z promotorem. Oddem Hasselgrenem, nie tak się nazywa?

Mathias rozłożył ręce.

– Ale on nigdy nie ma czasu. Więc na nic mi się to zda.

– Wszyscy mają czas, Mathias. Chodzi tylko o to, jak się prezentujesz. Tak się trzęsiesz o tę posadę, że zapominasz, jak ważne jest pokazanie pracodawcy, że naprawdę pasjonuje cię twój zawód. Jeśli jasno im okażesz swoje zaangażowanie, to i im będzie łatwiej zaangażować się dla ciebie, prawda? Wiesz, gdzie mieszka ten Hasselgren?

Mathias rozluźnił ramiona. Uśmiechnął się krótko.

– Kawalek dalej w górę ulicy.

– No to wybierz się do niego. Pokaż się!

– Mam pójść do niego do domu? Tego nie mogę zrobić.

– Pewnie, że możesz. Na miłość boską, tylko mi nie mów, że się nie odważysz.

Iskra, którą widziała w jego oczach, nagle zgasła. Znowu osunął się nad barierką.

– Rozmawiałam niedawno ze znajomym z McKinsey – powiedziała.

– Mc-co?

– McKinsey. To firma konsultingowa, która pomaga przedsiębiorstwom w restrukturyzacji, zwiększeniu wydajności procesów, takich rzeczach. Mają też mnóstwo klientów w sektorze opieki zdrowotnej.

– I?

– Mówił, że szukają nowych ludzi. Zwłaszcza lekarzy. Zainteresował się, kiedy mu o tobie wspomniałam. Prawdę mówiąc, nie wygląda mi na to, żebyś dobrze się czuł w swojej pracy.

– Sugerujesz, że bym rzucił zawód lekarza?

– To tylko praca, Mathias. A ty się zachowujesz, jakby medycyna była religią.

Z jej torebki dobiegło brzęczenie o niskiej częstotliwości. Telefon komórkowy. Rozsunęła zamek błyskawiczny, ale już po sekundzie tego pożałowała, bo Mathias odbił się od balustrady i ruszył w głąb tarasu. Prawie przebiła się przez jego skorupę, ale zdołał się wymknąć. Bo dotknęła prawdy. Chirurdzy nie byli wobec siebie mili, osobie postronnej nietrudno to było zauważyć. Mathiasowi przysłużyłaby się zmiana branży – na taką, w której bardziej by doceniano jego cechy charakteru. Była pewna, że to by wystarczyło, żeby stał się radośniejszy. Z całą pewnością skorzystałby też na tym ich związek.

Wreszcie złapała komórkę i ją wyjęła, po czym otworzyła otrzymaną wiadomość. Wysłano ją z Internetu. Nadawca był nieznany. Przeczytała treść raz, potem drugi.

Co to miało być? Jakiś żart? Z takiego czy innego powodu nie udało jej się odepchnąć myśli o Vilde. Jeśli ktoś chciał jej sprawić przykrość, to na pewno ona.

Rozejrzała się i spostrzegła, że Mathias gdzieś zniknął. Zerknęła na rozświetlony ekran

i po raz ostatni przeczytała wiadomość.

„Nie wierz we wszystko, co mówi twój partner...”

## 25. Thea

Nie chodziło o uwagę. Nie. Zyskała pełną uwagę. Wszyscy lekarze i Evelyn, która na zebraniach porannych reprezentowała zespół pielęgniarstwa, skupieni wokół podłużnego stołu, wydawali się śledzić jej słowa. Nie odnotowała ziewnięć, mimo wczesnej pory i narastającego w pomieszczeniu zaduchu. Żadnych rozbieganych oczu. Niecierpliwych stóp. Tylko czujne pytania, które nie dowodziły niczego poza zainteresowaniem materiałem, który prezentowała.

Dlaczego więc czuła się tak nieswojo? Złapała się na tym, że trochę za często nawiązywała kontakt wzrokowy z Monsem Lohmannem. Chętnie zobaczyłaby, jak z jego twarzy opada surowa maska i zastępuje ją grymas uznania.

Przechodząc do kolejnego slajdu, zamilkła. Utkwiła wzrok w plakacie filmowym, wiszącym na drzwiach po przeciwnej stronie pokoju. Z plakatu spoglądał wprost na nią znad kuszy wódz plemienia Czudów z norwesko-lapońskiego filmu *Tropiciele* z 1987 roku. Thea nie miała pewności, kto go tam powiesił, przyczyna była jednak jasna: wyglądająca spod kaptura brodata twarz z przekrwionymi oczami mogła przypominać Pera Irgensa w zły dzień. Nieprzypadkowo też mężczyzna mierzył z kuszy.

– To, co wam teraz przedstawię, wkrótce będziecie mogli przeczytać w „Journal of Neurosurgery”. Wczoraj dowiedziałymy się, że nasz artykuł został tam przyjęty.

Przez pokój przeszedł szmer.

– Nieźle – odezwał się ktoś.

– Bardzo dobrze! – zawołał inny.

Thea zauważyła, że co poniektórzy zwrócili się do Ingvild Falk z gratulacjami. Świetnie!

Ważne, żeby Falk odniosła wrażenie, że dzięki temu wykładowi coś zyskiwała. Jednak najważniejsze wciąż miała przed sobą. Mons Lohmann nadal w żaden sposób nie zdradził, czy jej wystąpienie mu imponowało, czy też czuł zwykły zawód z powodu tanich sztuczek, którymi Thea próbowała zaciekawić publiczność. Siedział tylko i patrzył. Jak zwykle.

Kolejny slajd.

Zacęła mówić, najpierw niepewnie, potem jednak odzyskała kontrolę. Nie mogła się tak nie doceniać. To, co mówiła, było wystarczająco dobre. Ba, znacznie lepsze! Z tego, co wiedziała, niewielu spośród zebranych w pokoju mogło się poszczycić publikacją w „Journal of Neurosurgery”. A przynajmniej nie Lohmann. Tego była absolutnie pewna. Żaden z niego badacz. Miał naturalny talent do operowania, gorzej natomiast sprawdzał się w pisaniu. Zmieniając slajdy, Thea zerknęła na niego z ukosa. Nie miał nawet tytułu doktora nauk medycznych. Ile już lat pracował nad projektem dotyczącym schorzeń kręgosłupa? Dziesięć? Więcej? Może to dlatego zawsze okazywał jej taką powściągliwość? Bo zrobiła coś, co jemu się nie udało?

Znów przerwała. Było dwadzieścia pięć po. Wkrótce kończyła.

Został tylko deser.

– Na sam koniec chciałam wam przedstawić wyniki eksperymentu, który przeprowadziłam w laboratorium. Oględnie mówiąc, są one zdumiewające.

Na ekranie za nią pojawiło się kilka myszy w klatce.

– W świetle dnia te myszy mogą wyglądać na zwykłe zwierzęta laboratoryjne. Proszę jednak zobaczyć, co się dzieje po zastąpieniu tradycyjnego źródła światła lampą fluorescencyjną.

Na następnym slajdzie panowała ciemność, na której tle przeraźliwą różową poświatą odbijały się tylko nogi i ogony owłosionych myszy.

– Gdyby nie futro, całe ich ciała emitowałyby światło. Tak czy inaczej jest to typ myszy

transgenicznych, co ułatwia nam wykrycie u nich komórek nowotworowych. Dzięki modyfikacji genetycznej można sprawnie przeprowadzić eksperyment porównawczy na dwóch grupach zwierząt.

Na lewo od niej ktoś zmienił pozycję. Zmusiła się, by nie przenieść spojrzenia. Nie mogła teraz utracić zainteresowania słuchaczy. Dla chirurgów był to suchy materiał. Znów nacisnęła klawisz komputera i na ekranie ukazał się przekrój mysiego mózgu. Jedna półkula była dosłownie przeżarta potężnym nowotworem. Spostrzegła, że niektórzy na ten widok zmarszczyli nosy. To też chciała osiągnąć.

– Jest to glejak czwartego stopnia złośliwości. Jak wiadomo, w przypadku tych nowotworów śmiertelność w ciągu dwóch lat sięga osiemdziesięciu procent, nawet przy zastosowaniu cytostatyków, radioterapii i chirurgii. Na komórkach glejaka przeprowadza się liczne doświadczenia, żeby sprawdzić, jak najlepiej je zaatakować. Jednak komórki nowotworowe, zwłaszcza glejaka, szybko mutują i w krótkim czasie uodporniają się na leczenie. Temodal, który obecnie jest standardowo stosowanym cytostatykiem, przedłuża życia pacjentów tylko o tygodnie, może miesiące. Dlatego niektórzy badacze zaczęli skupiać się na zdrowych komórkach otoczenia, które według założeń są przeprogramowywane przez nowotwór, tak aby mogły mu służyć. Co, jeśli blokując ich przeprogramowywanie, możemy zahamować, ba, zatrzymać rozwój nowotworu?

Powiodła wzrokiem po zebranych. Siedzący w połowie długości stołu Mathias Grande nie próbował stłumić ziewnięcia. Był mężczyzną i wiedział, że nie musiał się wysilać, żeby wzięto go na poważnie. Nawet jej matce się spodobał, podczas gdy ona musiała wciąż tylko walczyć i walczyć, i robić wszystko, żeby nie traktowano jej jak drugorzędnego pracownika.

Nacisnęła klawisz, żeby przejść do kolejnego zdjęcia: na ekranie pojawił się boks z sześcioma myszami.

– Oto nasza szóstka, która przeżyła ostatnie doświadczenie – Thea po raz wtóry przewinęła obraz. Teraz tylko nagie ogony, nóżki i bezwłose partie ciała odcinały się fluorescencyjnym światłem od czarnego tła. – W tej grupie było ogółem osiem myszy. Dwie zdechły po wszczepieniu do ich mózgow komórek glejaka. Sześć przeżyło, natomiast...

Znów wcisnęła klawisz. Na zdjęciu było włączone światło, ale boks stał pusty. Thea zamilkła, po czym powiedziała:

– ...w grupie kontrolnej żadna mysz nie przeżyła.

Jej spojrzenie przesunęło się po zgromadzonych i zawisło na Lohmannie.

Zareaguj, no! Odezwij się chociaż! Zobaczyła, że wziął głęboki oddech i powoli uniósł brwi.

– No proszę – powiedział i lekko dmuchnął.

Przez widownię przeszedł szmer; niektórzy siedzieli, kiwając głowami, wyraźnie pod wrażeniem. Thea skorzystała z okazji, żeby podziękować za uwagę, po czym rozległ się nikły aplauz. Nogi krzesel zaskrzypiały o podłogę. Wkrótce większość osób wstała i rozpoczęły się dyskusje o programie dnia. Thea zaczęła zbierać leżące przed nią papiery.

Tak, nieźle jej poszło. Ale czy była dość dobra? Ręce wciąż jej się trzęsły. Zmobilizowała wszystkie swoje siły. Podniosła kubek z kawą, którą sobie przygotowała, i wlała do gardła zimne resztki.

– To naprawdę bajeczne.

Thea odstawiła kubek i podniosła wzrok. Ostatnia osoba właśnie wyszła z pokoju, ale Mons Lohmann nadal nie ruszył się z miejsca. Wyrwała pendrive'a z portu USB. Serce w jednej chwili zaczęło jej łomotać.

– Wydaje nam się, że może być z tego dobry artykuł, tak. Może pójdzie do „Cancer

Research” albo...

– ...albo do „Lancet Oncology”, albo „New England Journal of Medicine”. Ale najpierw, jak sądzę, musiałybyście mieć trochę więcej myszy. I potwierdzić wynik w badaniach in vitro. Długa droga przed wami.

– Tak, spory kawałek. A ten nasz odcinek pilotażowy jeszcze się nie skończył. Niemniej jednak wygląda to bardzo obiecująco.

– Tak czy owak...

Lohmann powoli wstał z miejsca i przeciągle stękając, wyciągnął ręce nad głową. Stał, rozciągając się całym ciałem, jak starożytny grecki atleta, po czym nagle rzekł:

– Proszę ze mną do gabinetu, Theo. Wtedy porozmawiamy swobodnie.

Zmierzał już do drzwi, gdy Thea szepnęła:

– Chętnie.

Szybko spakowała ostatnie papiery do plecaka, po czym w pośpiechu wyszła za nim z pokoju.

„Porozmawiamy swobodnie”? Co przez to rozumiał?

W korytarzu za salą seminaryjną minęła kilku ortopedów zebranych wokół stolika. Jak zwykle siedzieli i opowiadali dowcipy. Zawsze byli irytująco głośni, ci ortopedzi. Dzisiaj jednak mogła ich znieść. Właściwie to mogłaby ścierpieć wszystko, byleby tylko szef dał jej stałą posadę.

Lohmann zostawił półotwarte drzwi. Zapukała ostrożnie, zanim je popchnęła.

– Siadaj!

Mons Lohmann stał przy biurku na końcu pokoju, zwrócony do niej plecami. Rozejrzała się wokół. Pokój tonął w papierach. Każdą wolną powierzchnię pokrywały stosy kartek albo książek i czasopism. Nawet na krześle pod ścianą, które najwyraźniej miała zająć, piętrzyły się wydrukowane artykuły. Odstawiła torbę i uniosła stos wydruków. Przez kilka sekund stała bezradnie, zastanawiając się, gdzie go odłożyć. Wreszcie usiadła i wzięła artykuły na kolana.

Lohmann obejrzał się przez ramię. Ruchem głowy wskazał uchylone drzwi.

– Zamknij, proszę!

Thea podniosła się z naręczem artykułów, podeszła do drzwi i pchnęła je stopą. Idąc przez pokój, przystanąła.

Nie, musiała wziąć się w garść.

Wstawiła stos papierów na regał, po czym siadła z powrotem na krześle.

– Tak, no i zostaliśmy sami.

Mons Lohmann opadł na fotel biurowy. Drobnymi, szybkimi kroczkami przejechał na nim po podłodze, zatrzymując się zaledwie kilka metrów od niej. Z miejsca, gdzie siedział, Thea wyczuwała zapach jego perfum. Perfum z lekką domieszką potu.

– Thea, Thea, Thea.

Powtórzył jej imię na wydechu, tak jakby nadal nie wiedział, co ma o niej sądzić. Uśmiech w każdym razie wrócił na jego usta. Thea ze wszystkich sił postarała się go odwzajemnić.

– Chciałeś porozmawiać o czymś szczególnym?

Przybrała najbardziej niewinny ton, na jaki mogła się zdobyć, ale zaraz tego pożałowała. Oboje dobrze wiedzieli, co chciała od niego usłyszeć. Mogłoby się niemal wydawać, jakby Lohmann czytał jej w myślach, bo chwilę później cicho zarechotał i przechylił się do tyłu, zakładając ręce za głowę. Pod jego ramionami Thea zauważyła ciemne krążki.

– Jak rozumiem, jesteś zainteresowana stałą posadą?

Przytaknęła. Wreszcie przeszli do sedna.

– Więc chcesz być neurochirurgiem? Jesteś pewna?

– Czy to rozmowa kwalifikacyjna?

Lohmann odrzucił głowę do tyłu ze śmiechem.

– Nazwij to, jak ci się żywnie podoba. Chciałbym poznać aktualnych kandydatów, zanim któregoś zatrudnię.

Przechylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i splótł ręce.

– Opowiedz mi o sobie, Theo. Co lubisz robić? Nie jesteś chyba mężatką?

Zaczęło się. Pytania o małżeństwo, czy miała chłopaka i czy planowała dzieci. Miała trzydzieści dwa lata i wkrótce mogła zniknąć na rok albo dwa, w zależności od tego, ile razy zaszłaby w ciążę. Niezbyt to pasowało do chirurga w trakcie specjalizacji. Należało skierować rozmowę na inne tory.

– Nie jestem zamężna i nie planuję wyjść za mąż. Za to śpiewam w chórze, chociaż tej jesieni nie zdarza mi się to zbyt często. Poza tym lubię uprawiać jogging, kiedy pozwala mi na to pogoda. Z tego, co się orientuję, ty też biegasz.

– Pewnie. Bardzo sobie cenię jogging. Zdarza mi się faktycznie biec po pracy trasą przez Vidden. Najpierw na Ulriken, a stamtąd...

– ...na Fløyen. Tak, sama się tam parę razy przebiegłam. Nie mieszkasz przypadkiem na Starefossen?

Podniósł brwi, tak jakby zaskoczyła go tym pytaniem. A czego się spodziewał? Odrobiła pracę domową.

– Tak, zgadza się. Można więc powiedzieć, że wracam do domu okrężną drogą.

Duże nozdrza rozděły się, kiedy wciągnął powietrze. Nagle się wyprostował i rozłożył ręce.

– Powinniśmy przebiec się razem. Mógłbym wtedy porządnie przetestować twoją kondycję. Neurochirurgia to wymagający fizycznie zawód, rozumiesz. To coś zupełnie innego niż praca badawcza, którą prowadzisz. Założę się o kraniotomię, że w drodze na Ulriken rozłożę cię na łopatki.

Szeroki uśmiech, który wykwitł mu na twarzy, dowodził, że ostatnie sformułowanie przypadło mu do gustu. Thea zaśmiała się krótko. Należało się dograć. Jezu, z ilu kiepskich żartów śmiała się już, pracując na tym oddziale.

– Tak, to... byłoby miło.

– Świetnie!

Lohmann klepnął ją w udo. Mógłby to być przyjazny gest, ale zostawił rękę w tej pozycji na tyle długo, że kiedy ją cofnął, nadal czuła bijące od niej ciepło.

– Może środa? Czy masz wtedy dyżur?

Lohmann podniósł się z miejsca. Stał tak i patrzył na nią z góry. Ręce wsparł na biodrach. Thei wydało się, że wciągnął brzuch w pozie superbohatera. Zaczęło już do niej docierać, że w parę sekund sytuacja obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

Skinęła głową.

– Środa mi pasuje.

## 26. Werner

Jechał na damce, ale nie przeszkadzało mu to. Nadawała się dla niego mimo swoich niewielkich rozmiarów. Gorzej było z kondycją. Ulica Søndre Bellevueveien prowadziła stromo pod górę i już po pierwszych metrach piekły go uda. Mżawka, która unosiła się w powietrzu, jak wilgotna błona okryła mu twarz. Było to rzeźwiące uczucie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak jeździł.

To był drogi rower. O ile dobrze pamiętał, Hanne kupiła go za niewiele mniej niż dwadzieścia tysięcy. Miał ramę z włókna węglowego, przerzutki i hamulce najdroższego rodzaju. Jeżeli dobrze ją znał, to pewnie nawet się nie zorientowała, że zostawiła taki sprzęt w piwnicy. Ale nie zamierzał ułatwiać jej sprawy. Jeśli chciała go odzyskać, to musiała sama się po niego zgłosić.

Zaczął mocniej pedałowac. Poczul, jak krew tętni mu w głowie. Tylko kasku mu brakowało. Miał już okazję oglądać, co się dzieje z czaszką, która z impetem uderza o asfalt albo przód samochodu, więc powinien go sobie sprawić. Nie mógł się jednak oprzeć chęci wybrania się tu na przejażdżkę. A kask mógł przecież kupić później.

Werner dotarł na płaski odcinek drogi przed restauracją Lyststedet Bellevue i przystanął, by złapać oddech. Obejrzał się na zakręt, który właśnie pokonał. To miejsce przypominało mu zbcze, po którym wiele razy jeździł na treningi gry w piłkę nożną w dzieciństwie. Tamta droga była kręta i nieprzewidywalna z odnogami, które nagle wyskakiwały z jednej lub drugiej strony. Zjeżdżając po niej, urządzali sobie z kolegami konkurs. Każdy z nich musiał położyć ręce na udach, by udowodnić, że nie trzyma kierownicy, i nie hamować przed dotarciem aż na dno niecki, gdzie rower sam się zatrzymywał w drodze na kolejne zbcze. Gra mogła być naprawdę niebezpieczna, zwłaszcza jeśli z bocznych uliczek wyjeżdżało auto. Właściwie to zakrawało na cud, że nie zdarzył się jakiś wypadek. W tamtych czasach czuli się jednak młodzi i niezniszczalni. Nic nie wiedzieli o świecie.

Zza zakrętu wyjechał samochód i minął go w drodze pod górę. Werner nie mógł zapomnieć, po co się tu wybrał. Sam nie wiedział, czy czuje radość, czy przerażenie, orientował się za to, że ma asa w rękawie. Wyjął mapkę, wydrukowaną z Internetu, żeby sprawdzić, ile pozostało mu drogi. Kierował się na ulicę Fjellveien, która zaczynała się tu, gdzie stał. Od celu nie mogło już dzielić go więcej niż kilkaset metrów.

Werner odbił się i popedałował dalej. Jego uda nie były już tak zeszywniałe. Był w niezłej formie. Dawno nie czuł się lepiej. Bez kasku i bez rozumu, ale z większą odwagą i większym zapalem.

\*

Dom Hasselgrena leżał u góry drogi, na dość stromym jej odcinku. Nie było sensu tu mieszkać, jeśli z okien salonu nie roztaczał się widok na Vågen. Werner nie wątpił zaś, że Hasselgren wziął to pod uwagę, kupując dom.

Drzwi otworzyła kobieta niewiele starsza od niego. Wyglądała na osobę, która roztacza wokół siebie życzliwość, chociaż wyraźnie dała mu odczuć, że go nie zna. Półdługie włosy tylko częściowo zakrywały czerwonawe znamię w kształcie kwiatu na jej lewej skroni. Była ładnie ubrana, w jedwabną bluzkę i obcisłą spódnice. Werner nie mógł też nie poczuć zapachu jedzenia, który zza niej napłynął.

– Kto to...?

Z korytarza dobiegł go znajomy głos. Zza rogu, za którym musiała znajdować się

kuchnia, wyłonił się Odd Hasselgren. Miał rozpięte górne guziki koszuli i rękawy podwinięte do łokci. W pasie przewiązał fartuch w kolorze burgunda, poplamiony najpewniej ciemnym sosem pieczeniowym. A więc to on był w rodzinie kucharzem. Werner przybrał uśmiech.

– Cześć, Odd.

Zdążył pomyśleć, że tak naprawdę nigdy dotąd nie zwrócił się do starszego lekarza po imieniu, gdy ten stanął w drzwiach.

– Schlunk...?

Werner zastanowił się, co powiedzieć, ale odnotował wymowne spojrzenie, które wymienili małżonkowie, i nie otworzył ust. Zamiast tego śledził rozwój wydarzeń. Zorientował się, że napawa się sytuacją. Napawał się niepewnością w niezdarnych ruchach Hasselgrena.

– To tylko... ktoś, z kim pracuję.

Wyglądało na to, że w komunikacji z małżonką Hasselgren miał ostatnie słowo. Wzruszyła ramionami i wycofała się tyłem do kuchni.

– W międzyczasie dopilnuję steku.

Gdy tylko odeszła, postawa Hasselgrena się zmieniła. Z przymilnej jak u kota stała się sztywna i wojownicza.

– Czego ci trzeba?

Werner przełknął. Jego zadowolenie zniknęło. Zamiast tego poczuł się jak uczeń na wizycie u nauczyciela. Było oczywiste, że nie miał tu nic do roboty.

– Chodzi o...

Zagryzł wargę. Nie mógł za wcześnie przejść do sedna.

– Za godzinę mam gości...

– Rozmawiałem z Evelyn. Wiem, że będzie nabór tylko na jedną posadę. Wiem też, że w tej sytuacji nie będę mógł dalej pracować.

Hasselgren prychnął krótko. Obejrzał się przez ramię w stronę kuchni i poruszył wargami, jakby mamrotał przekleństwo.

– Odwieś kurtkę na tamtej ścianie – rzekł, wskazując. – Masz pięć minut.

\*

Widok z okien salonu na swój sposób go rozczarował. Werner wyobrażał sobie coś zupełnie innego, kiedy Hasselgren opowiedział raz o swoim domu podczas lunchu na siódmym piętrze. Co on takiego mówił? No tak. Za każdym razem, kiedy dokładnie o wpół do jedenastej wieczorem słyszał syrenę promu linii Hurtigruten, wypływającego z portu i odwracał się w stronę okna, by spojrzeć na centrum Bergen, czuł się szczęśliwy. Był to typowy cytat z Odda Hasselgrena. Werner odnalazł wzrokiem terminal promowy. Ponad dachami domów udało mu się dojrzeć mostek kapitański statku. Okej, czyli starszy lekarz nie kłamał na temat Hurtigruten. Vågen jednak nie było stąd widać. Widok przesłaniało kilka domów na wysuniętej części ulicy. W tym samym miejscu rosło kilka wysokich drzew, na które Hasselgren zapewne nieraz się zżymał, odkąd się tu przeprowadził. Ale dość o tym.

Werner obrócił się do salonu. Hasselgren musiał pójść do kuchni coś skończyć, on zaś miał ochotę przyjrzeć się obrazom, wiszącym na ścianach, jeszcze przed powrotem starszego lekarza. Widać było wyraźnie, że wyszły spod pędzla jednego malarza. Były to akwarele, małe i duże, utrzymane w wesołych barwach i przedstawiające wszystko – od dziewczynek, biegnących po brukowanych ulicach, po motywy górskie i płynące rzeki. Takie obrazy przykuwały spojrzenie, kiedy się je mijało. Bynajmniej nie z powodu jakości malarstwa. Wprost przeciwnie. Obrazy były, ni mniej, ni więcej, szkaradne.



Werner przeszedł przez pokój i zerknął na podpis w dolnym rogu studium, które przedstawiało częściowo rozebraną kobietę przed otwartym oknem.

„O. Hasselgren”.

Musiał przeczytać podpis kilka razy, by upewnić się, że miał rację. Czyżby Hasselgren był akwarelistą? Przypomniawszy sobie, że przed kilkoma miesiącami widział, jak starszy lekarz zmywał z palców farbę przed operacją. Werner cofnął się o krok i jeszcze raz przyjrzał się kobiecie na obrazie. Stała, częściowo zwrócona do malarza plecami, tak że widać było tylko jedną pierś. Głowę przygięła do barku, a drugą ręką zakładała za ucho pukiel włosów. Werner rozpoznał czerwonawe znamię na skroni. Obraz musiał przedstawiać żonę Hasselgrena. *Mein Gott*. Jakie to było żenująco słabe. Błędna perspektywa. Nawet budowa anatomiczna żony nie zgadzała się z rzeczywistością.

Werner usłyszał dźwięk kroków i kątem oka spostrzegł, że Hasselgren wszedł do pokoju. Wycofał się sprzed obrazu. Gdyby musiał skomentować akwarele, nigdy nie udałoby mu się wymyślić przekonującej pochwały. Starszy lekarz podszedł do stolika w rogu salonu, na którym stała butelka koniaku, otoczona małymi kieliszkami. Uniósł ją, ale zawahał się w połowie gestu, tak jakby się zreflektował, że robi coś nie na miejscu. Werner potrząsnął głową.

– Podziękuję – powiedział.

Hasselgren chrząknął, po czym nalał kieliszek dla siebie.

– Przechodząc do sprawy, Schlunk, to dobrze by było, żebyś na razie nie wspominał innym o redukcji liczby etatów.

Werner obrócił się i przytaknął Hasselgrenowi, który wyczekująco sączył koniak.

– Oczywiście – rzekł, nie ruszając się z miejsca. A więc to dlatego Hasselgren go wpuścił. Sprawę należało zamieść pod dywan. Właściwie to nie miał się czemu dziwić. Zmniejszenie liczby stanowisk było w zasadzie nielegalne. W sprawę mógłby szybko wtrącić się Związek Młodych Lekarzy.

– Co się zaś tyczy ciebie, to oboje wiemy, że trudno uznać osobę, która... – Hasselgren urwał, wzruszył ramionami i odwrócił wzrok – ...zrobiła to, co ty, za nadającą się do tego zawodu. Nie zrozum mnie źle, ale nie możemy mieć na oddziale ludzi, którzy nie radzą sobie z napięciem.

– Rozumiem – odparł Werner.

Hasselgren zmierzył go badawczym spojrzeniem. Najpierw z wyraźnym sceptycyzmem, później jednak na jego twarzy pojawił się jakby cień ulgi.

– Moim zdaniem nie powinieneś tego traktować jako porażkę, Wernerze. Wcale nie. Tyle jest innych rzeczy, którymi można się zająć. Jestem pewien, że możesz spożytkować swój talent w wielu dziedzinach. Wiesz, często przypadek decyduje o tym, gdzie w końcu lądujemy.

Hasselgren opróżnił kieliszek do dna. Poruszał wargami z koniakiem w ustach, zanim wreszcie przełknął. Werner stał z rękami założonymi na plecach i czekał. Starszy lekarz wyraził się zgodnie z jego oczekiwaniami. Nie nadawał się. Oczywiście, że nie. Był na tyle szalony, żeby targnąć się na swoje życie. W chirurgii natomiast nie było za czym się schować. Było się samemu z pacjentem. Jako operator ponosił pełną odpowiedzialność. Słyszał o chirurgach, których z tego powodu ogarniał lęk przed operowaniem. Rozumiał ich. Poczucie odpowiedzialności bywało przytłaczające, zwłaszcza jeśli miało się do czynienia z tak chorymi pacjentami, jak w neurochirurgii. Stąd kompleks Boga, stąd żarty. Jaka jest różnica między Bogiem a neurochirurgiem? Bóg nie wierzy, że jest neurochirurgiem. Albo, jak zwykł mawiać Irgens: Bóg nie jest neurochirurgiem.

– Obiecuję, że dostaniesz dobre referencje, Wernerze. Mogę nawet zaferować, że porozmawiam z innymi ordynatorami w szpitalu. Na przykład na Otolaryngologii. To przyjemna

dziedzina. Jeżeli to cię interesuje. W takim wypadku mam jednak jeden warunek. A mianowicie, że zwolnisz się ze stanowiska tymczasowego.

– Dziękuję za ofertę, ale to nie będzie konieczne.

Hasselgren zmarszczył nos. Jego twarz znów się napięła.

– Ach tak?

Werner pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu. Doszedł do momentu, w którym musiał przejąć ster. Zaczęła go ogarniać nerwowość. Zresztą, może nie powinien się dziwić. Ten seans przypominał mu *Fausta* Goethego bardziej, niżby chciał.

– Mam propozycję – powiedział. – Ale wiążą się z nią pewne warunki.

## 27. Mathias

Znowu się rozpadało. Krople deszczu bębniły o przednią szybę samochodu. Wyłączył muzykę. Siedział tylko i gapił się na sylwetki dwóch ludzi, którzy uścisnęli sobie ręce na schodach domu starszego lekarza Odda Hasselgrena.

Nie wiedział, czy jego wahanie odegrało w tym jakąś rolę. Jadąc samochodem, minął Wenera na wysokości Bellevue. Nietrudno było rozpoznać jego długie, kościste ciało, siedzące okrakiem na przymalym rowerze. Nie miał też kasku. Mathias nie zaprzętał sobie nim głowy, po prostu podjechał pod dom Hasselgrena i zaparkował. Nie czekał z utęsknieniem na odwiedzinę u starszego lekarza, został więc w samochodzie i bębnił palcami o kierownicę. I wtedy Werner się z nim zrównał, stanął przed wejściem i niespiesznym krokiem wszedł na schody, na które on sam tak wzbraniał się wstąpić.

Mathias odprowadził wzrokiem kolegę, który podbiegł teraz do roweru i wyjechał na drogę. Fakt, że przed dotarciem do domu przemoknie do suchej nitki, stanowił marną pociechę. Gdyby była jakaś sprawiedliwość na świecie, to zjechałby z ulicy i w coś zdrowo grzmotnął. Mathias uderzył głową o kierownicę i jęknął. Hasselgren nikomu nie uściskałby ręki w ten sposób, gdyby nic na tym nie zyskał. Oznaczało to, że on sam cofnął się w kolejce.

Bębnienie deszczu się nasiliło. Cała ta woda zaczęła utrudniać mu wyglądanie na drogę. Nastawił grzanie i włączył wycieraczki. Jeśli czegoś był pewien, to tego, że nie mógł wracać prosto do domu. Czekala tam na niego Marianne, która chciała usłyszeć, co się stało. Nie mógł zaś teraz udać się do Hasselgrena. To byłaby czysta głupota. Przyszedł przecież błagać o litość i nie miał absolutnie nic do zaoferowania w zamian.

Kilka razy próbował, zanim udało mu się zawrócić samochód na wąskiej drodze, i dodał gazu, jadąc w dół Fjellveien. Była tylko jedna osoba, z którą mógł o czymś takim pomówić.

\*

Zaparkował auto za kościołem świętego Jana na wzgórzu Nygårdshøyden, tuż obok Uniwersytetu. Nie udało mu się znaleźć wolnego miejsca postojowego bliżej, a to z powodu prawa dotyczącego parkowania w strefie zamieszkania. Oznaczało to, że musiał zbiec kilkaset metrów w dół ulicą Ivara Aasena, po czym wśliznąć się w Dragesmauet. Wiedział, że powinien był zadzwonić. Nathalie lubiła, kiedy się zapowiadał, przynajmniej esemesem. Mówiła mu jednak, że w tym tygodniu miała zacząć uczyć się do egzaminu. Nie było sensu komplikować sytuacji jeszcze bardziej.

Wyskoczył z samochodu z kołnierzem kurtki nasuniętym na głowę i odbiegł już dziesięć metrów, gdy usłyszał za sobą sygnał blokady centralnego zamka. Mimo to nie została na nim nawet jedna sucha nitka, gdy skręcił gwałtownie w Dragesmauet i przylgnął do ściany przy bramie wejściowej.

Zadzwoił do drzwi. W korytarzu wewnątrz budynku rozległ się staroświecki dzwonek. Zaczekał. Nacisnął guzik ponownie, tym razem go nie puszczać.

Coś brzęknęło metalicznie nad jego głową. Wyskoczył na deszcz i zerknął na postać w oknie na pierwszym piętrze.

– Zupełnie ci odbiło?  
– Wpuść mnie! Cały przemokłem!  
– Uczę się, Mathias. Do egzaminu. Halo! Nie pamiętasz już, jak to było? Potrzebuję spokoju.

Stał bez ruchu z rękami spuszczoneymi wzdłuż ciała i tylko jej się przyglądał. Była piękna

w świetle płynącym z salonu. Okrąglawy nos. Potargane włosy.

– Wpuść mnie, droga Julio. Ja...

– Oj, oszczędź mi tych bredni.

Okno znów się zatrzasnęło. Mathias stał, czekając. Zaczęło mu być zimno. Trząśnięcie na całym ciele. Niedługo potem usłyszał jej kroki na schodach wewnątrz budynku.

\*

– Więc nie wiesz, co on tam robił?

Nathalie okręcała fotel biurowy z jednej strony na drugą. Ręce skrzyżowała na piersi. Najwyraźniej chciała mu zademonstrować, że uważa jego najście za niestosowne, inaczej siadłaby obok niego na brzegu łóżka.

Mathias przetarł włosy ręcznikiem, który dostał, i rozejrzał się dookoła. Miał już okazję być tu kilka razy, ale nie udało mu się jeszcze przyzwyczaić do myśli, że naprawdę tu mieszkała. Życie studenckie wydawało mu się zbyt odległe. Mieszkać tylko w jednym pokoju. Dzielić kuchnię i łazienkę z innymi. Plakaty na ścianach. Relikwie z pokoju dziecięcego zdobiące półki z IKEI.

– Nie mam pojęcia.

– No to skąd w tobie ten niepokój?

– Dzisiaj rano Hasselgren nie zauważał Wenera w pracy. A wieczorem, po jego wizycie, mało się nie objęli. Znasz chyba Hasselgreana na tyle, żeby zrozumieć, że coś tu nie gra?

Nathalie sięgnęła po kubek z herbatą, stojący na biurku i ukryła usta za jego brzegiem, dmuchając na herbatę. Spozrzegł, że leciutko skinęła głową.

– Hasselgren nie jest typem, który zmienia zdanie, o ile nie stwierdzi, że może mieć z tego korzyść – ciągnął.

– Czyli myślisz, że Werner ma coś, czego chce Hasselgren.

– Właśnie.

Nathalie siorbnęła napar. Jej spojrzenie wybiegło za niego. Mathias odłożył ręcznik na łóżko.

– Thea wygłosiła dzisiaj naprawdę dobry referat. Można uznać, że stałą posadę ma już w kieszeni. Myślałem, że mam duże szanse na drugie stanowisko. Ale jeśli Hasselgren postawi na Wenera, to mogę o tym zapomnieć.

Nathalie odstawiła kubek z herbatą. Mathias czekał na słowa pociechy, które zawsze zwykła dodawać, kiedy tak narzekał. „Jesteś lepszy od innych, Mathias. Dlaczego nie widzisz, jaki jesteś dobry? Nie poddawaj się, Mathias. Nie poddawaj się!”

– I co teraz?

Nathalie zakryła dłonią usta. Czyżby chciała stłumić ziewnięcie?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie... – westchnął i spuścił wzrok na swoje ręce. – Myślę, że jestem o krok od poddania się.

Nie podniósł wzroku. Czy naprawdę nie mogła niczego powiedzieć?

Był przegrany. Przegranego nikt nie chciał. Powinien był to zrozumieć. Miała też inne rzeczy na głowie. Egzamin. Pewnie, że pamiętał, jak wyglądały ostatnie tygodnie przed testami. Wszystko inne traciło znaczenie.

Znowu się wyprostował.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Ty...?

– Tak, jeśli chodzi o naukę?

Potrząsnęła głową.

– Wiesz, podziękuję.

– Z tego, co wiem, zdawałem ten sam egzamin.

– No, ale interna nie jest chyba twoją mocną stroną, prawda?

– Skąd to podejrzenie? Lubilem kardiologię. I powiem ci, że jeśli ktoś słyszał różnicę między szmerem skurczowym a rozkurczowym, to właśnie ja.

– Cóż, ale to jest hematologia. Może mi powiesz, czym się różni ziarnica złośliwa od innych chłoniaków?

Na jej twarz wrócił wreszcie bezczelny uśmiech. Uniosła brodę, jakby czekając na jego ripostę. Ta jej bezczelność mogła go mocno zirytować. A mimo to narosło w nim zupełnie inne uczucie.

– Chodź tu!

– Nie teraz, Mathias.

Poklepał brzeg łóżka obok siebie.

– Potrzebuję cię.

Nathalie demonstracyjnie wzięła oddech, przewróciła oczami, ale zakołysała się do przodu w fotelu. Wolnym krokiem przeszła przez pokój i opadła obok niego ze ściśniętymi udami i rękami na kolanach. Nachylił się do niej i pocałował ją w usta. Jej wargi były napięte. Napotkał już kiedyś taki opór z jej strony i udało mu się ją przekonać. Całował dalej, przesuwał się po szyi. Odwróciła głowę.

– Nie...

Położył prawą rękę na jej piersi i przewrócił ją na plecy. Jednym susem wskoczył na nią, złapał ją za ręce, którymi wymachiwała, i przytrzymał. Mimo to nadal mu się opierała i musiał użyć więcej siły, niż przypuszczał.

– Puść mnie!

– No, no...

– Puść mnie, mówię.

– Najpierw mnie pocałuj.

Nachylił się do niej, ale nie spodziewał się, że podniesie głowę. Trzasnęła szczęką. Lewy staw szczękowy przeszła błyskawica bólu. Zanim się zorientował, przewrócił się na bok, uderzył w brzeg łóżka i stoczył na podłogę. Leżał tam, zwijając się z bólu.

– Do kurwy nędzy, Mathias. Nie możesz uszanować odmowy?

Usłyszał, że wstała i tupiąc, przeszła po podłodze. Zamknął oczy i przycisnął rękę do obolałego stawu szczęki.

Nie, przegranego nikt nie chciał.

\*

Wsiadł do samochodu. Było wpół do jedenastej. Gdyby jeszcze przeciągnął swój pobyt poza domem, to może Marianne by się położyła. Nie musiałby z nią wtedy rozmawiać. Jego spojrzenie przesunęło się za kościół świętego Jana i powędrowało w stronę centrum Bergen. Powiedział Nathalie, że jest o krok od poddania się. Czy naprawdę tak było? Nie miał pewności. Wiedział tylko, że jego przyszłość malowała się w ciemnych barwach. I że został z tym sam. Ani Nathalie, ani Marianne, ani Irgens nie mogli mu pomóc. Jeśli miał dostać to, czego chciał, to potrzebował czegoś więcej niż skończonego artykułu. Żaden z pozostałych lekarzy-asystentów

nie korzystał ze zwykłych metod w walce o stałą posadę. U Wenera coś było na rzeczy. Thea... Ona też nie miała czystego sumienia. Vilde nie zostawiła na niej suchej nitki podczas ich ostatniej rozmowy w stołówce. Uważała, że Thea fałszuje wyniki. Podobno świadomie zmieniała wyniki doświadczeń. Ba, może nawet w ogóle ich nie przeprowadziła. Vilde miała wątpliwości, co powinna zrobić z informacją, którą zdobyła. Poradził jej, żeby dobrze się zastanowiła, zanim coś takiego ujawni. Prawdą było jednak, że to dzięki oszustwu Thea zyskiwała nad nim przewagę. Wkrótce miała opublikować artykuł w „Journal of Neurosurgery”, pracowała też nad obiecującym projektem doktoratu.

Na fotelu pasażera zawibrował telefon komórkowy. Musiał go tam odłożyć, czekając, aż Werner wyjdzie z domu Hasselgrena. Na wyświetlaczu ukazał się nieznan numer. Wbijał wzrok w komórkę, dopóki nie zgasł ekran, po czym wziął ją do ręki. Czy powinien wysłać Nathalie esemesa z przeprosinami? Zachował się trochę obcesowo. Ale to tylko dlatego, że źle ją zrozumiał. Wcale nie chciał się jej narzucać. Po prostu nie był dziś sobą.

Odblokował telefon i wtem zauważył, że miał siedem nieodebranych połączeń. Wszystkie z tego samego numeru. Siedem. Nikt nie dzwonił bez powodu siedem razy. Nagle przypomniał sobie o Ylvie. O Marianne. Czyżby coś im się stało?

Nacisnął telefon, żeby oddzwonić pod nieznan numer. Już słysząc brzęczyk nawiązywanego połączenia, zaczął się uspokajać. To musiał być akwizytor. Albo ktoś, kto się pomylił.

Rozległo się kliknięcie. Po drugiej stronie ktoś się odezwał.

– Halo? – rzekł i zaczął nasłuchiwać. Wydało mu się, że słyszy przerywany oddech.

– ... G-g-f-rande?

– Halo? Tak... z tej strony Grande.

Znów nastąpiła przerwa, po czym głos ciągnął:

– Mo-f-fi matka Fh-ei. Czu-czuję się...

Matka Thei? Spróbował zebrać myśli. Dał jej swój numer w szpitalu. Wydała mu się taka zdenerwowana. Ale do tej pory powinni już ją byli wypisać. A może nadal przebywała w hotelu dla pacjentów?

– Halo? Czy coś jest nie tak? Czy mogę pani w czymś pomóc?

Zapadła długa cisza. Potem rozległ się łomot. Oddech osłabł.

– Halo? Jest tam pani?

Skupił się i wydało mu się, że docierają do niego jakieś słowa.

Tak. Dwa słowa.

– Po-omósz... m-i...

## 28. Thea

Duży ekran na końcu ciemnego pomieszczenia wyświetlał zdjęcie z tomografu. Nawet niewprawy obserwator zorientowałby się, że coś na nim było nie tak. Pełną symetrię wyświetlanych zdjęć, wykonanych w każdej projekcji, zakłócała duża biała gruda, która z ogromną siłą zdawała się uciskać przyległe tkanki i spychała na bok linię pośrodkową, dzielącą owalną przestrzeń czaszki na dwoje. Biała masa wypełniała też częściowo duże komory mózgu, wyraźnie nie sprowadzając na nie żadnego błogosławieństwa.

Siedząca w ostatnim rzędzie Thea oparła głowę o ścianę, wsłuchując się w cichy głos radiologa.

– Krew...

Zauważyła, że próbował złapać z nią kontakt wzrokowy, jakby chciał w ten sposób złożyć jej milczące kondolencje, ale nie dała mu tej możliwości. Wpatrywała się tylko w ekran na przedzie, skupiając się na oddychaniu.

Wdech. Wydech. Powoli.

Jedyny sposób, żeby stłumić coś, co kłębiło się w jej piersi.

Wdech. Wydech. Powoli.

– Krwotok z guza?

Pytanie padło z pierwszego rzędu. Mons Lohmann. Ten jeden raz on również wydawał się zgaszony.

– Bez wątpienia. Zrobiono...?

Słowa radiologa zawisły w powietrzu. W niedokończonym pytaniu wyczuwało się sceptycyzm. Musiał przecież wiedzieć, co się stało. Po co więc pytał? Krwotok był duży. No dobrze. Może nie wszyscy, u których wystąpiłoby takie krwawienie, zostaliby zoperowani. Ale ona o to poprosiła. Mogła o to poprosić. Thea wyprostowała się na krześle.

– Krwiak ewakuowano dziś w nocy. Założono też dren. Nie sądzę, że wykonano już pooperacyjne zdjęcie kontrolne.

Teraz spojrzała radiologowi w oczy. On zaś natychmiast spuścił wzrok. Zawstydzony. Tak jakby dotarło do niego, że zrozumiała przyczynę jego wahania. Ale co on by zrobił, gdyby chodziło o jego matkę? Nie chciałby jej pomóc? Do ostatniej chwili.

W pierwszym rzędzie obróciła się głowa. Znowu Lohmann. Oczy pełne empatii. Nigdy go takiego nie widziała.

– Zajrzymy do niej później razem, Theo. Okej?

Przytaknęła.

– Okej.

Wdech. Wydech. Powoli.

– Świetnie. – Lohmann znowu się odwrócił. Pierwszy rząd składał się z samych czarnych sylwetek. – Następny pacjent!

\*

Zadzwoiła do Mathiasa. Dzwoniła wielokrotnie, raz po raz. Ale żeby skontaktować się ze swoją córką – nie, to nie przyszło jej na myśl. Thea stała przy łóżku, przyglądając się zapadniętej twarzy, liniom, które w jednej chwili bardzo się pogłębiły, podbródkowi, który zapadł się w skórę szyi, tubie, wypelzającej z ust jak wąż.

Nie na 113. Nawet nie do męża. Tylko do Mathiasa Grande. Leżała w pokoju hotelowym, czekając, aż on do niej oddzwoni. Tak jakby nikt inny nie mógł jej uratować.

– Oddycha sama – usłyszała głos anestezjolog, Kariny Jakiejstam. Thea zerknęła na jej identyfikator. No tak, Sandemann. To ją przeżywał Mathias.

– Przerwaliśmy całą sedację – ciągnęła kobieta – ale dotąd nie zaobserwowaliśmy żadnej reakcji. ICP utrzymuje się na stabilnym poziomie, około dziesięciu. Drenażu jest jakieś sto pięćdziesiąt mililitrów na dobę.

– A źrenice?

Lohmann zrobił kilka kroków do przodu i pochylił się nad łóżkiem. Uniósł palcem powieki leżącej, najpierw jedną, potem drugą.

– Cały czas są wąskie i symetryczne.

– To przynajmniej jest dobry znak.

Lohmann obrócił się do Thei, jakby chciał utwierdzić się w przekonaniu, że słyszała ich rozmowę. Jego wzrok przesunął się na Sandemann, która milczała, demonstracyjnie milczała.

Mathias. Dlaczego Mathias? Dlaczego nie ona? Dlaczego nie zadzwoniła do niej?

– Jaki jest dalszy plan?

Znowu Sandemann. Nie zabrzmiało to jak pytanie. Raczej sugestia, że wiedziała, na czym plan powinien polegać.

– Pozostaje nam chyba czekać i zobaczyć, czy się obudzi.

Lohmann poruszył się niespokojnie. Tego dnia nie trzymał się już tak prosto. Głowę miał zwieszoną.

– A jeśli się nie obudzi?

– Cóż... – chrząknął. – To wtedy się zastanowimy.

– A jeśli dren się zatka?

Thea obróciła się do Sandemann. Nie namyślając się, otworzyła usta.

– Dałaby jej pani umrzeć, czy to chce pani powiedzieć?

Sandemann popatrzyła na nią surowo. Nawet się nie skrzywiła. Nic.

– Tak. Tak bym zrobiła. Gdyby to była moja pacjentka... Gdyby to była moja matka.

– Ale to moja matka. A ja już mówiłam, czego sobie życzę. I skoro decyzja zapadła, to oczekuję szacunku od osób zaangażowanych w sprawę!

Wdech. Wydech. Powoli.

Sandemann zwróciła się do Lohmanna.

– Ja nie krytykuję. Ja próbuję się po prostu dowiedzieć, na jakim poziomie ma przebiegać leczenie. Tu, na OIOM-ie, staramy się zwykle przewidzieć bieg wypadków.

– Proponuję więc, żeby przed naszym kolejnym spotkaniem zapoznała się pani z kartą pacjentki – ciągnęła Thea. Głos jej drżał. – Bo stoi tam jak wół „intensywna opieka medyczna w pełnym zakresie”.

Odwróciła się i poszła przed siebie; zdążyła jeszcze usłyszeć, jak Lohmann prosi o powiadomienie dyżurnych w razie, gdyby coś się działo. Przyspieszyła kroku. Nie pozwoli mu się znowu dotknąć.

Nie teraz.

– Theo, poczekaj chwilę...

Z tyłu, za nią, jego szybki marsz przeszedł w bieg. Nie odwróciła się. Minęła recepcję i skręciła w korytarz.

– Theo. Zaczekaj, Theo!

Aż się wzdrygnęła, gdy jego ręka wylądowała na jej barku. Stała jak wryta i łapała oddech. Jego dłoń nadal spoczywała na jej barku. Przepaliła fartuch lekarski, oparzyła jej skórę.

– Theo.

Po chwili podszedł o krok, otoczył ją drugim ramieniem. Przycisnął jej nos do swojej



piersi. Uderzył ją zapach perfum korzennych. Poczula, że się dusi.  
– Nie przejmuj się nią, Theo. Nie przejmuj się.

## 29. Werner

„Twój kumpel, Roni.”

Ostatnie trzy słowa Werner przeczytał wiele razy.

Roni Rijker.

Sam fakt, że niemiecki profesor pisał do kogoś w mejlu „Twój kumpel, Roni” był tak niezwykle, że aż budził sensację. Werner wybrał opcję przesłania wiadomości dalej, a w polu „Odbiorca” wpisał Odda Hasselgrena. Następnie kliknął „Wyślij”.

O, tak.

Jego szczęście się dopełniło. Miał posadę w kieszeni. Po czymś takim Hasselgren będzie walczył zębami i pazurami, żeby go tu zatrzymać. Werner był jego łącznikiem z Niemcami, jego szansą na udział w wielkim badaniu wielośrodowym, które miało się zacząć latem. Starszy lekarz był tego w pełni świadomy. Niezatrudnienie Wernera równałoby się zerwaniu współpracy. Tak postanowił Rijker, nie on.

Werner zerknął na zegar ścienny. Powinien już iść na obchód na pododdział obserwacji NOVA. Nie przydzielono go dzisiaj do żadnej operacji. Ale to było dzisiaj. Jutro miało się to zmienić. Jutro, za tydzień. Mógł zaczekać, teraz bowiem wiedział, że tutaj zostanie. Tak długo, jak zechce.

Obrócił fotel biurowy i przyjrzał się zdjęciu Rijkera na plakacie firmy Zeiss.

„Mikrochirurgia dla wszystkich pacjentów – non stop”.

Tak, Rijker był supergwiazdą, ale kto by pomyślał, że mieszka w nim tak empatyczny facet, o czym się Werner przekonał w ostatnich miesiącach.

Pierwszego dnia po jego powrocie do Niemiec odbyli naprawdę fajną rozmowę. Werner leżał w swoim pokoju chłopięcym, tylko częściowo przearanżowanym. Jego matka zostawiła nawet na ścianie plakat Ramones. Rijker nie zapowiedział się z wizytą. Po prostu zapukał do drzwi i wszedł. Miał na sobie lniany garnitur, częściowo rozpiętą białą koszulę i beżowy kapelusz Borsalino. Był elegancki jak Alain Delon i roztaczał wokół siebie jakąś aurę naturalności. Zdjął kapelusz, stanął na środku pokoju i skinął głową. Z kapeluszem spoczywającym na piersi przesunął spojrzeniem po plakacie Ramones, tak jakby posyłał im wyraz cichego uznania, po czym podszedł do łóżka i usiadł.

Rijker grał na trąbce. Nie był z niego żaden znawca punk rocka, raczej jazzu. Chet Baker, Miles Davis, te sprawy. Miał własny zespół, z którym okazjonalnie grywał koncerty. Zaczęli rozmawiać o muzyce, potem przeszli do neurochirurgii, a wreszcie mówili o tym, co się stało. Rijker okazał się wyrozumiałym mężczyzną. Trzeźwo myślący i inteligentny, zrozumiał, że Werner znalazł się w potrzasku.

Werner wstał i wyszedł z gabinetu. Wiele razy myślał, że powinien wysłać Rijkerowi album Ramones na płycie CD. Może *Rocket to Russia* albo *Leave Home*. Tak, lepiej ten ostatni. Podobała mu się wizja Rijkera odjeżdżającego swoim białym kabrioletem Mercedesa, podczas gdy Joey Ramone śpiewałby:

*Gimme gimme shock treatment, gimme gimme shock treatment.*

Musiał się roześmiać. Wyszedł już na klatkę schodową i jego śmiech zadźwięczał wśród ścian. Usłyszał, że z dołu ktoś nadchodzi, i ucichł. Większość i tak uważała go za wariata, ale nie potrzebował w nikim podsycać tego przekonania.

Dotarł do podestu i zobaczył, że nadchodziła Evelyn. Jak zwykle idąc aż na siódme piętro, wybierała schody. Może to dlatego tak dobrze się trzymała. Nie wyglądała nawet na zdyszana. Stała kilka stopni niżej od niego z nieokreślonym uśmiechem.

– Humor dopisuje? – zagadnęła.

– Coś mi tylko przyszło do głowy.  
Nie przestała się uśmiechać. Oparła się biodrem o balustradę i przycisnęła do piersi plik papierów, który niosła.  
– Chcesz mi coś powiedzieć?  
Zszedł o stopień niżej od niej, tak że zrównali się wzrostem.  
– Może innym razem. Teraz muszę iść na dół i zacząć obchód na NOV-ej, zanim zaczną do mnie wydzwaniać.  
– Więc to ty masz dziś dyżur?  
Skinął głową.  
– Szkoda. Chciałam zaprosić cię na kolację wieczorem. Mam dzisiaj dom tylko dla siebie.  
– Tak. Szkoda...  
Evelyn zrobiła kilka kroków dalej, po czym zatrzymała się znów i odwróciła.  
– To może innym razem?  
Lekkim krokiem ruszyła dalej po schodach.  
– Chętnie – odparł Werner, ale nie był pewien, czy go usłyszała. Odprowadził ją wzrokiem, aż weszła na podest i skręciła w drogę na następne piętro.

\*

– Ona mnie przyprawia o ciarki.  
Siedzieli w przeszklonym pomieszczeniu na oddziale NOVA. Werner przeglądał na komputerze stacjonarnym wyniki badań krwi, z których wszystkie wydawały się w granicach normy.  
– Kto taki?  
Kiedy podniósł wzrok, pielęgniarka siedziała z łokciem opartym o stół roboczy i podbródkiem na dłoni.  
– No przecież Thea.  
– Ach tak?  
Werner przeszedł do ostatniego wyniku badania RTG. Tego dnia miał problemy z koncentracją. Krótkie spotkanie na schodach zupełnie go rozkojarzyło. Czy naprawdę Evelyn chciała go zaprosić na kolację? Ale dlaczego?  
– Kiedy jej matka leżała tu, na oddziale, zapytałam Theę, czy nie chciałaby do niej zajrzeć. Taka z niej była neurotyczka. Znaczy się z matki. Myślałam, że wizyta córki ją uspokoi. Ale Thea uznała to za zły pomysł. Zbyła mnie chłodno, chociaż powtórzyłam, że matce dobrze by to zrobiło. Zamiast tego zadała mi całą masę beznadziejnych pytań.  
Ale dlaczego Evelyn zapraszała go na kolację, kiedy była sama w domu? Czyżby chciała mu coś zasugerować? Werner przypomniał sobie Evelyn, opartą o balustradę. Biodro wysunięte w bok, oczy wpatrzone weń nad plikiem papierów. Nie mógł zaprzeczyć, że go pociągała, mimo że była od niego tych kilka lat starsza. Miała w sobie jakąś młodość, rodzaj bezceremonialności, której często brakowało kobietom w jego wieku. Może po prostu chodziło o skromność albo zdolność do nieprzejmowania się myślą, co jest właściwe, co wolno. Na pewno była też z niej dobra kochanka. Nieskrępowana i wolna. A to ciało... Nie, musiał wziąć się w garść. W końcu chodziło o mężatkę z dwójką dzieci. No i byli kolegami. Po prostu okazywała mu przyjaźń. Nic więcej.  
– A teraz chciałbyś się pewnie dowiedzieć, o co mnie pytała?  
– Hm?  
Werner uniósł wzrok. Pielęgniarka siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi

i wpatrywała się w niego. W jej wzroku wyczytał wyrzut. Nie uważał na lekcji.

– No, Thea.

– Ach tak. Czekałem po prostu, aż mi powiesz.

– Chciała wiedzieć, jakie gazety czyta jej matka. „Tu i Teraz” czy „Kobiety i Ubrania”.

Takie rzeczy. Tak jakby to cokolwiek znaczyło. Nie miałam zielonego pojęcia, więc chciała, żebym weszła do pokoju i sprawdziła. Powiedziałam, żeby sama sobie weszła i sprawdziła. Że to jej odwiedzin potrzebuje matka, a nie moich. Ale ona tylko się nabzdyczyła i poszła. Trochę to dziwne, nie sądzisz?

Werner przytaknął. Co takiego powiedział Evelyn na klatce schodowej? Że innym razem jej powie, z czego się zaśmiewał. Czy powinien przejąć inicjatywę? Zaprosić ją do siebie?

– Trochę dziwne, tak. Ale ona taka jest.

– No, tak. Ze wszystkimi wami lekarzami-asystentami jest coś nie tak. A swoją drogą, lepiej się już czujesz? Wyglądasz dzisiaj na bardzo zadowolonego. Nie wydaje mi się, żebym widziała cię w tak dobrym humorze, odkąd zacząłeś tu pracować.

Poczuł, że się czerwieni, i odwrócił wzrok.

– Co słyszałaś o innych? – zapytał.

– A od kogo mam zacząć?

– Taa... Choćby od Mathiasa.

Pielęgniarka wyrwał się krótki śmieшек. Założyła ręce za głowę i odchyliła się w krześle.

– Ile masz czasu?

## 30. Thea

Jej ręka była taka mała. Zwisała bezwładnie i bez woli, ale mimo to nadal wydzielala ciepło. Tylko dzięki temu wydawała się żywa.

Thea przyjrzała się badawczo paznokciom matki. Były postrzępione i zaniedbane, tak jakby obrywała je z wierzchu, a nie przycinała. Paznokcie u dwóch palców, w których zwykła trzymać papierosa, pozółkły. To były palce chorej kobiety. Thea obróciła jej rękę i zaczęła studiować linie na otwartej dłoni. Która z nich była linią życia? Pamiętała, że w dzieciństwie razem z przyjaciółkami z ulicy odczytywały sobie przyszłość z rąk, udając, że mają zdolność wróżenia. Jej dwie sąsiadki nadal mieszkaly na tej samej ulicy; obie dochowały się już trójki dzieci. Jedna była rozwódką i samotną matką, druga zaś miała męża, wiecznie poza domem. Thea zaś była tutaj. Sama. Nie taką przyszłość sobie wyobrażały, kiedy wiele lat temu siedziały w pokojach dziecięcych.

Zerknęła na matkę, na jej klatkę piersiową, która unosiła się i opadała pod działaniem respiratora. Czy można było przewidzieć jej przyszłość? Nie zapowiadała się dobrze. Doskonale o tym wiedziała. Z początku, kiedy matkę hospitalizowano, Thea nie miała wątpliwości. Krwiak należało ewakuować. W przeciwnym razie matka w krótkim czasie pożegnałaby się z życiem. Liczyły się godziny, a decyzję musieli podjąć. Zaniechanie leczenia wydawało się nie do pomyślenia. Operacja, którą wykonano, nie mogła jednak cofnąć uszkodzeń mózgu. Matka obudziłaby się z poważnymi zaburzeniami neurologicznymi. Z porażeniami, częściową ślepotą, trudnościami natury poznawczej. A choroba nowotworowa nadal zżerałaby ją od środka. O ile w ogóle nie było za późno, o ile nie doznała zbyt dużych uszkodzeń, żeby znowu otworzyć oczy.

Ojciec milczał przez długą chwilę, kiedy Thea zadzwoniła z wiadomością. Wreszcie usłyszała, że wziął oddech. W tle zabrzmiał plusk, jakby przewróciła się butelka.

– A nie mówiłaś, że ten nóż gamma jest niegroźny? – powiedział ochryple. Nie wiedziała, czy to dlatego, że płakał.

– Bo jest. Miała guz mózgu. Wiesz, że łatwo jest o krwotok z guza.

– Ale to mógł być też nóż gamma. Nie da się tego wykluczyć.

Thea zamknęła oczy i się opanowała. Tym razem to ona musiała umilknąć. Potrzebowała go tutaj. Musiał to zrozumieć. Nie mógł dalej uchylać się od odpowiedzialności.

– Kiedy przyjedziesz, tato?

– Obudziła się?

– Jeszcze nie.

– Ale odłączyli ją już od respiratora?

– Jeszcze nie, tato. Niedługo to zrobią.

– Nie mogłabyś informować mnie na bieżąco? Chyba nie trzeba, żebyśmy oboje siedzieli i czekali?

Skrzypnęły drzwi. Thea podniosła wzrok. Do pokoju wszedł szwedzki pielęgniarz, który zajmował się jej matką. Manuel miał gładko wygoloną, lśniącą głowę i przystrzyżoną brodkę, która upodabniała go bardziej do motocyklisty niż pracownika służby zdrowia. Ruchy miał jednak miękkie, a głos spokojny, niemal niesłyszalny. Był jednym ze szwedzkich pracowników tymczasowych, którzy przyjeżdżali tu na kilka tygodni w roku, żeby zarobić dodatkowe pieniądze w trakcie urlopu w ojczyźnie.

– Ktoś cię szuka.

– Kto?

– Ordynator. Nie pamiętam, jak się nazywa.

– Lohmann?

– Tak, właśnie. Dokładnie.

Poczuła nagły ciężar i przytknęła czoło do ręki matki. Przypomniała sobie ich umowę dotyczącą joggingu. Czy ten Lohmann nigdy się nie podda? Podniosła wzrok. Manuel stał i przyglądał się jej piwnymi oczami o głębokim wejrzeniu. Był pracownikiem tymczasowym. Nie przejmował się tutejszą hierarchią.

– Manuelu?

– Tak?

– Powiedz mu, że już wyszłam, dobrze?

Skinął głową. Zrozumiał. Nareszcie ktoś, kto rozumiał.

Obrócił się elegancko jak tancerz i drobnymi krokami wyszedł z pokoju. Thea oparła się w krzesło. Jej spojrzenie powędrowało za okno, na światła wśród nocy.

Dokąd zmierzała? I czy można było wyczytać ten kierunek z jej ręki już dwadzieścia lat temu? Co ona tu właściwie robiła? Nie była bergenką. Nie miała życia poza pracą. Nie miała chłopaka. Tylko stancję, niebędącą jej własnością i projekt, w którym powoli zadreśla kilka myszy laboratoryjnych. A teraz jeszcze matkę, która zapadła w sen Śpiącej Królowej i nie chciała się zbudzić.

Pisnął telefon komórkowy. Esemes. Przeczytała wiadomość na wyświetlaczu.

„Jogging na Ulriken w piątek? Godzina 9?”

Nie musiała sprawdzać nadawcy; włożyła po prostu komórkę do kieszeni, nie odpowiadając. Oboje wiedzieli, że nie wywinie się z tej przebieżki. Po niej zaś przyjdzie kolejna, a potem jeszcze jedna. O ile nie uda jej się znaleźć sposobu, żeby to wszystko przerwać. Nie mogła ryzykować zwykłej odmowy. Mógłby wykorzystać to przeciwko niej. Musiała spławić go w sposób, który nie zagroziłby jej podaniu.

Telefon znów zapiszczał. Wyjęła go i odkryła kolejną wiadomość od Lohmanna:

„A tak z innej beczki: Co sądzisz o moim zdjęciu w «My Mężczyźni»? Nadaje się do powieszenia?”

Zdumiała się. Zdjęcie w „My Mężczyźni”? O co temu Lohmannowi chodziło?

Właściwie to nie była pewna, czy chce się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, coś jej jednak podpowiadało, że nie uda jej się tego uniknąć.

---

---

## 31. Mathias

Bez względu na to, jak kombinował, zawsze dochodził do jednego wniosku: nie miał większego wyboru.

Stał przy szklanych drzwiach przed windami w budynku laboratoryjnym. Brak zainteresowania pracą badawczą sprawił, że nigdy nie zaszedł dalej niż dotąd. Drzwi można było otworzyć tylko kartą-kluczem. Z pewnością na kolejnych poziomach było więcej takich przejść. Thea urzędowała na piątym piętrze. Tyle się dowiedział. Ona i Vilde stłoczyły się w dawnym magazynie za większym laboratorium. To tam Vilde dowiedziała się o oszustwie koleżanki. Pytanie brzmiało, czy ją tam zastanie. Nie miał najlepszych kart w tym rozdaniu. Niemniej jednak wydawało się przynajmniej, że jego była już się pogodziła z ich rozstaniem. I to ona zwróciła się do niego z pytaniem, co zrobić z informacją o Thei, a nie odwrotnie.

Zauważył, że za szklaną fasadą, nad windą zapłonęła lampka. Drzwi się rozsunęły i z kabiny wyszły trzy dziewczyny. Kiedy otworzyły te, przed którymi stał Mathias, udał, że szuka czegoś w kieszeni. Dziewczyny ledwo go zauważyły, kiedy wśliznął się do środka, zanim przeszklone drzwi zamknęły się na powrót.

Pojechał na piąte piętro i wszedł do kolejnego hallu, otoczonego zamkniętymi szklanymi drzwiami. Stanął przy betonowym słupie i zaczekał. Wkrótce później jedne z drzwi się otworzyły. Wysła z nich kobieta w jego wieku. Przywitał się z nią skinieniem głowy, po czym w ostatniej chwili złapał klamkę. Zdążył wejść do środka, gdy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Przystanął i za późno pomyślał, że powinien być po prostu pójść dalej. Kiedy się odwrócił, na progu stała kobieta, którą właśnie minął.

– Może mnie już nie pamiętasz.

– Ależ skąd – rzekł i uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił. – Oczywiście, że cię pamiętam.

– Masz tu gabinet?

– Ja? Nie. Chciałem tylko do kogoś wstąpić.

– O, a do kogo?

– Do koleżanki. – Rozłożył ręce. – Ale co ty tutaj robisz?

Kobieta lustrowała go przez kilka sekund, tak jakby jego próba skierowania rozmowy na inne tory obudziła w niej podejrzliwość.

– Pracuję dla profesora Halla. Wybierasz się do Vilde?

– Ech... tak.

– Żeby dostać się do jej gabinetu, musisz przejść przez jeszcze jedno drzwi. Spodziewa się ciebie?

– Właściwie myślałem, żeby wpaść się przywitać.

Zaklął cicho, kiedy ruszyła w jego stronę.

– Otworzę ci. Vilde nie zawsze słyszy, gdy ktoś puka do ostatnich drzwi.

Idąc za kobietą w głąb lokalu, przyjrzał się jej dokładnie. Nie miał zielonego pojęcia, skąd mógł ją znać. A pamięć do ludzi miał niezłą. Wkrótce zatrzymali się przed kolejną przeszkloną fasadą w głębi pomieszczenia. Kobieta przeciągnęła kartę przez jeszcze jeden automat, po czym zaburczał silnik hydrauliczny i drzwi się otworzyły.

– Proszę. Stąd pewnie sam już sobie poradzisz. Pozdrów domowników!

Mathias stał, patrząc w ślad za kobietą, która odwróciła się i odeszła.

„Pozdrów domowników”.

To musiała być przyjaciółka Marianne. A przyjaciółki ze sobą rozmawiają. Skąd u niego taki pech? Musiał się przygotować, że Marianne dowie się o jego odwiedzinach u Vilde.

Powinien więc wymyślić dobre wyjaśnienie. Prawdy w każdym razie nie mógł jej powiedzieć.

Wszedł za drzwi. Wewnątrz znajdował się tylko krótki korytarz z oknem i drzwiami, teraz uchylonymi. Na drzwiach umocowano trójkątny znak ostrzegawczy. „Gaz łatwopalny” przeczytał i zajrzał do środka. Zgodnie z oczekiwaniami nie zastał Thei. Chwilę przed jego przyjściem zeszła na OIOM, żeby odwiedzić matkę. W pomieszczeniu przed komputerem siedziała jednak Vilde, najwyraźniej głęboko skoncentrowana. Nawet nie usłyszała, że otworzyły się szklane drzwi.

Zapukał. Vilde obróciła się do niego w fotelu.

– Ty tutaj?

– Chyba nie przeszkadzam?

– Nie, nie! Wejdz!

Nie był przygotowany, kiedy go objęła. Otoczył ją ramionami i natychmiast rozpoznał jej perfumy. Trèsor. Używała ich, jeszcze gdy byli razem.

– Jak się tu dostałeś?

– Pomogła mi jedna osoba.

– Zakładam, że to była kobieta? – roześmiała się Vilde. – Witaj w moim małym gabinecie. Nie mogę zaoferować ci innego miejsca niż fotel Thei. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Wskazała czerwony fotel biurowy, wsunięty pod zabałaganione biurko w dalszej części pokoju. Obok komputera stacjonarnego piętrzyły się wydruki i czasopisma, posortowane w stosy zgodnie z jakimś zawiłym systemem. A więc tak wyglądała pracownia Thei. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu fotela, po czym usiadł. Przebiegł wzrokiem pokój. Pomieszczenie miało może pięć na dwa–trzy metry. Wysoki sufit. Małe oczko okienka zwrócone było na główne wejście do uniwersytetu. Zwrócił uwagę, że nie zamknęli drzwi. Zdawało się, że Vilde błyskawicznie przejrzała jego myśli, bo odwróciła się i to zrobiła.

Kiedy usiadła, ogarnęło go zdenerwowanie. To był kluczowy punkt jego planu. Łatwo było tu o nieporozumienie.

– Co z tobą?

– Co masz na myśli?

– Nie bądź głupi. Widać to jak na dłoni. Czegoś chcesz.

Wzruszył ramionami.

Musiał wziąć się w garść. Nie przyszedł tutaj, żeby marnować czas.

– Vilde, posłuchaj... To, o czym rozmawialiśmy w stołówce w ostatnią niedzielę...

Powoli uniosła brwi.

– Tak? Mów dalej!

– Mam pewien interes, żeby... to wypłynęło.

– To?

– Tak, to.

Vilde skinęła głową. Nie wyglądała na zaskoczoną nawet w najmniejszym stopniu. Mathias zmienił pozycję w fotelu.

– Mogę spytać, co to za interes? – zagadnęła. – Chodzi o zatrudnienie, które czeka za rogiem?

Zmierzył ją wzrokiem.

– Skąd o tym wiesz?

– No, pomyśl. Dzielę gabinet z jedną z kandydatek.

Wciągnął oddech. Dobrze. W takim razie nie musiał się nad tym rozwodzić.

– Mówiłaś, że widziałaś jakieś dokumenty. Czy wciąż masz do nich dostęp?



Potrząsnęła głową.

– Teraz już nie. – Skierowała wzrok na komputer stojący na biurku, przy którym siedział. Skinęła znacząco. – Ale wiem, gdzie są.

– Jesteś pewna?

Znów przytaknęła.

Obrócił się do biurka Thei.

– Wydaje mi się też, że wiem, jak mógłbyś się do nich dostać – usłyszał głos Vilde. –

O ile naprawdę tego chcesz.

Zagapił się na papiery, zalegające na blacie. Wyobrażał sobie Theę jako osobę porządną. Ale to, co tu widział, przewyższało nawet gabinet Irgensa. Tak, czy naprawdę tego chciał? To byłby drastyczny krok. Wyciągnął rękę i uniósł leżącą na biurku kartkę.

– Chwileczkę... – odezwała się Vilde. Odwrócił się do niej.

– Jak na razie mówiłeś tylko o swoich interesach – zaczęła. – Ale czy pomyślałeś o moich?

Uderzyło go nagle, że trzymała go w garści. Miała coś, czego potrzebował, i jeśli chciał skorzystać z jej pomocy, to nie mógł nie wyświadczyć jej w zamian przysługi. Czy o to chodziło? Czy od początku to zaplanowała? To już nie grało roli. I tak dochodził do jednego wniosku: nie miał większego wyboru.

– Myślisz o czymś konkretnym? – zapytał.

## 32. Werner

*Peace and love is here to stay  
and now I can wake up and face the day  
Happy happy happy all the time  
Shock treatment, I'm doing fine.*

Werner przystanął na jednym z podestów, żeby złapać oddech. Ciężko było iść po schodach i śpiewać. Ale za bardzo go kusilo. Tu, na klatce schodowej, akustyka była fantastyczna.

Wziął oddech:

*Gimme gimme shock treatment, gimme gimme shock treatment  
Oh, I want shock treatment.*

Dwie starsze pielęgniarki skrzyły na podest przed nim. Zerknęły na siebie jak niepewne nastolatki, kierując się dalej ku niemu.

– Z pana to dopiero gwiazda rocka! – powiedziała jedna, kiedy go mijały.

Werner obrócił się za nimi.

– Jakieś życzenia?

– Nie, dziękujemy!

Kiedy zniknęły, na klatce schodowej wciąż rozbrzmiewał ich cichnący śmiech. Werner ruszył dalej, przeskakując po dwa stopnie naraz. Był to dla niego dzień radości. Z zebrania porannego przeszedł wprost do sali operacyjnej, gdzie razem z Oddem Hasselgrenem rozprawił się z mało zaawansowanym glejakiem. Starszy lekarz dotrzymał słowa. O dziwo, nie miał żadnych problemów z zawarciem umowy handlowej. Może po prostu tak według niego działał świat.

Ale nie dość na tym. Kiedy tego ranka mijał drzwi do gabinetu Evelyn, zdarzyło się coś dziwnego. Drzwi były uchylone i z czystej ciekawości przystanął, by zajrzeć do środka. Dokładnie w tej samej chwili z pomieszczenia wyszła Evelyn i stanęła na progu jak wryta. Dzielilo ich od siebie tylko kilka centymetrów. Mimo to minęło parę sekund, zanim któreś z nich się ruszyło. Potem oboje szeroko się uśmiechnęli – a zaraz później atmosferę rozładował śmiech, tak jakby myśleli to samo, czuli to samo. Jasne. Nabral już pewności. Evelyn go lubiła i widział, że łatwo mogło coś między nimi wynikać. Nie obchodził go fakt, że była mężatką z dziećmi. On sam był wolny. Mógł robić, co chciał.

Otworzył drzwi na pododdział łóżkowy i wszedł do środka. Musiał napić się kawy. Po długiej operacji powrócił głód kofeinowy. Podeszedł do automatu i odszukał kluczyk, dzięki któremu nie musiałby wrzucać pieniędzy. Sprzątaczką z oddziału zwykła go ukrywać, tak by lekarze nie pili kawy wedle swojego widzimisię. Ale większość i tak to robiła. Ona zaś nie śmiała im tego zabronić, nie lekarzom.

Nacisnął guzik odpowiadający wiedeńskiej kawie melange i stał, czekając, aż maszyna zmieli ziarna. Nieco dalej przed dyżurką zauważył Monsa Lohmanna, który stał na środku korytarza i gapił się w ścianę. Ordynator wyglądał, jakby studiował coś wzrokiem. Cofnął się o krok i przekrzywił głowę, mamrocząc do siebie. Potem postąpił naprzód, poprawił coś, co wyglądało na zdjęcie, i znów się odsunął. Nagle jakby poczuł na sobie spojrzenie Wenera, bo uniósł wzrok i przywołał go ruchem ręki.

– Chodź tu, Werner. Powiedz, co o tym sądzisz!

Werner wyjął kubek z automatu i ruszył w stronę Lohmanna. Gablotę z drewniakami Irgensa usunięto całkiem niedawno. Może Lohmann znalazł już jakiś zamiennik. Werner stanął u boku ordynatora i spostrzegł na ścianie dużą, podłużną fotografię. Wcale się nie zdziwił,

widząc na niej samego Monsa Lohmanna. Jego poza była znana wszem wobec. Wzorem Hamleta Lohmann trzymał przed sobą czaszkę, patrząc głęboko w obiektyw. Ubrany był w zieloną koszulę, na głowie miał czepek operacyjny, a pod fotografią umieszczono małą mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym napisem:

„Operować albo nie operować...”

Mons Lohmann, ordynator, 2010 –

– Zdjęcie pochodzi z reportażu, zamieszczonego parę tygodni temu w „My, Mężczyźni” – odezwał się z boku Lohmann. Werner łyknął porządnie kawy melange, po czym krótko odchrząknął. Jeśli miał coś powiedzieć, to nie widział powodu, żeby od razu dzielić się swoimi myślami.

– Świetne zdjęcie – orzekł.

– Cytat pochodzi z komentarza pod zdjęciem. Uznałem, że nie powinienem go odrzucać.

– Nie, nie. Dobrze pasuje.

– „Operować albo nie operować”. Przecież o to tu chodzi. Prawda?

– Tak. Właśnie o to.

– Nieprawdaż?

Przez chwilę stali w milczeniu i wpatrywali się w fotografię. Werner nie śmiał się ruszyć. Czy mógł już odejść?

– Ale nie uważasz, że to zbyt... zbyt pretensjonalne?

Lohmann zerknął na niego. Po raz pierwszy od czasu, gdy zjawił się na oddziale, Werner poczuł coś w rodzaju litości dla tego dorosłego faceta, który patrzył nań dziecięcym, proszącym wzrokiem i chciał, żeby ktoś poklepał go po ramieniu. Potrząsnął głową, próbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się dobrać słów.

– Lohmann!

Kobięcy głos uratował go od przedłużającej się ciszy. Podniósł wzrok i zauważył, że w ich stronę szła pielęgniarka.

– Irene! Chodź no tutaj! Chodź i powiedz mi, co o tym sądzisz.

Werner zrozumiał, że nadarzyła się okazja, na którą czekał. Zrobił kilka ostrożnych kroków w głąb korytarza, a obejrzawszy się przez ramię, pojął, że Lohmann już o nim zapomniał. Ordynator otoczył ramieniem barki pielęgniarki, która stała jak obrócona w słup soli i patrzyła na zdjęcie.

– Oj, to przecież pan! – usłyszał Werner.

Zrobił jeszcze kilka drobnych kroków, po czym przyspieszył.

– Znasz Hamleta, moja droga?

Werner dotarł już do drzwi na klatkę schodową i wypadł na zewnątrz. Tam oparł się plecami o ścianę.

Ostatnio coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że nie miał powodów czuć się na tym oddziale jak wariat. Nie tylko jemu brakowało piątej klepki. I to zarówno wśród starszych lekarzy, jak i lekarzy-asystentów. Choćby taka Thea, która nalegała, by utrzymywać przy życiu jej umierającą matkę mimo potężnego wylewu do mózgu. Albo Mathias Grande, który właśnie zainwestował w willę na ulicy Fjellveien, a na boku zadawał się ze studentką medycyny. Tak przynajmniej sugerowała pielęgniarka z pododdziału NOVA.

Werner pociągnął łyk kawy z kubka i przypomniał sobie tekst piosenki Ramonesów. Starych, dobrych Ramonesów.

*Gimme gimme shock treatment. Oh I want shock treatment.*

Ruszył schodami w kierunku gabinetów na siódmym piętrze.

Może terapię szokową powinien zalecić Monsowi Lohmannowi?

## 33. Mathias

Mathias przeciągnął kartę przez czytnik i wprowadził kod. 2469. Wysokość Galdhøpiggen, najwyższego szczytu Norwegii. Stały kod Vilde.

Usłyszał, że zamek zaskoczył, i przyciągnął drzwi. Zgodnie z oczekiwaniami w hallu nie zastał nikogo – nie w piątkowy wieczór. Przeszedł po betonowej posadzce i nacisnął guzik przywołania windy, ale uległ pokusie, żeby się rozejrzeć. Stresowały go wszystkie te szklane ściany, wiedział jednak, że ryzyko było minimalne. Po budynku cały czas kręcili się ludzie. Przypadkowe spotkanie nie miałooby żadnego znaczenia. Powinien po prostu zachowywać się jakby nigdy nic. Wiedział, że Thea i tak go tu dziś nie zaskoczy. Tego wieczora wybierała się na jogging z Monsem Lohmannem. Usłyszał to przypadkiem na korytarzu pododdziału łóżkowego. Ta Thea była naprawdę niemożliwa. Robiła wszystko, żeby wkraść się w łaski szefa. Na mdłości mu się zbierało.

Drzwi windy się rozsunęły. Mathias rozejrzał się ponownie i nie spostrzegłszy nikogo w zasięgu wzroku, wszedł do kabiny i nacisnął guzik z oznaczeniem piątego piętra.

Tego wieczora najtrudniej było mu spławić Marianne. Spojrzała nań z niezwykłą podejrzliwością, kiedy przy obiedzie wspomniał, że musi pojechać do pracy i dokończyć pisanie epikryzy.

– W piątek wieczorem? – spytała ostrym tonem.

– Pacjenta przenoszą jutro wczesnym rankiem – odparł. Musiał wyrażać się oszczędnie i nie komplikować historii. Zwykle kupowała większość jego białych kłamstw, o ile dotyczyły pracy, tego wieczora jednak nie ustąpiła.

– A nie możesz poprosić tego, kto ma dyżur, żeby zrobił to za ciebie?

– Dyżur pełni Gjert Hole – powiedział. – Hole robi nie więcej, niż musi.

– W takim razie kiedy wrócisz do domu? – zapytała w końcu.

– O dziesiątej – odparł.

– Tylko żebym nie musiała wyczekiwać. Wiesz, że tego nie lubię!

Patrzyła nań nalegająco.

– Skądże – powiedział wtedy. – Będę z powrotem o dziesiątej.

Wszedł na piąte piętro. Na błyszczącej, betonowej podłodze hallu lśnił na zielono znak, prowadzący do wyjścia awaryjnego. Mathias zagapił się przez szklane ściany na znajdujące się wewnątrz laboratorium. Nigdzie nie odnotował ruchu. Budynek wydawał się pusty. Tego wieczora ludzie byli poza domami i się bawili. Nie siedzieli w pracy.

Przypomniał sobie kobietę, którą ostatnio tu spotkał i która prosiła, żeby pozdrowił domowników. Czy wspomniała o tym Marianne? To by tłumaczyło jej wieczorną podejrzliwość. Kolejny dobry powód, żeby trzymać język za zębami.

Przeciągnął kartę przez czytnik na ścianie i wszedł do środka. Minął liczne stoły laboratoryjne, dotarł do przeszklonych drzwi wewnętrznych i znowu posłużył się kartą. Drzwi otworzyły się przy dźwiękach silnika, przypominających mielenie. Gdyby ktoś nadszedł, to by go usłyszał. Ruszył dalej do położonego najgłębiej pokoju i wyjął klucz, który dostał od Vilde. Zagapił się na nazwisko, wymienione jako pierwsze na szarej powierzchni drzwi przed nim.

Thea Michelsen.

Czy naprawdę tego chciał?

Z moralnego punktu widzenia można go było od biedy usprawiedliwić, ale jego pobudki dalekie były od szlachetnych. Pomyślał o warunku, postawionym przez Vilde. Był zaskakująco skromny. Jedyne, co miał zrobić, to polecić jej chłopaka Perowi Irgensowi, który potrzebował

nowego, młodego lekarza do współpracy na miejsce Mathiasa. Mimo to nie mógł wyzbyć się wrażenia, że Vilde zaplanowała, żeby tego wieczora znalazł się właśnie tutaj.

Trudno. Dość wahania. Na dziesiątą miał być z powrotem w domu. Została mu już tylko niecała godzina.

Zamierzał wsunąć klucz do zamka, kiedy coś mu przyszło do głowy. Wyłowił z kieszeni komórkę i wybrał numer, znaleziony w katalogu wewnętrznym. W takiej sytuacji ostrożności nigdy dość. Wkrótce z położonego za drzwiami gabinetu dobiegł go dzwonek cyfrowy. Stał w zupełnym bezruchu, nasłuchując. Słyszał tylko telefon. W środku nikogo nie było. Po szóstym tonie rozłączył się i wsunął klucz do zamka. Zrobił ostatni wdech. Nie czuł się tak zdenerwowany od czasu, gdy ewakuował krwiak podtwardówkowy u młodego chłopaka przed dwoma miesiącami.

## 34. Thea

Uwiesił się na niej. Nie odpuszczał.

Thea poczuła, że jej uda robią się ciężkie. Zmusiła je do miarowej pracy, dobrze odbijała się od podłoża i skupiła się na stawianiu stopy między kamieniami na ścieżce, żeby nie pośliznąć się i nie przewrócić. Za sobą słyszała jego chrapliwy oddech.

Zerknęła szybko przez ramię i zarejestrowała, że przesłał jej krótki uśmiech, zanim odwróciła głowę, biegnąc dalej. A więc miał jeszcze siły się uśmiechać? W każdym razie wyprzedzić się mu nie pozwoli.

Narzucanie takiego tempa było właściwie dziecinne z jej strony. W pojedynkę nigdy nie biegała tak szybko. Gdy jednak wystartowali po zboczach, nie udało jej się pohamować. Chęć odbiegnięcia od niego wzięła górę. Potem zaś stopniowo przyspieszała w nadziei, że przysporzy mu trudności.

Popatrzyła w górę ścieżki i zauważyła, że jakieś sto metrów dalej teren robił się bardzo stromy. To tam zaczynał się najcięższy odcinek trasy. Próbowwała przełknąć posmak krwi w ustach, ale osiadł tam na dobre. A nóg mało już nie pogubiła. Więcej dać z siebie nie mogła. Teraz musiała zebrać siły, żeby pokonać strome zbocze. Może tam udałoby jej się go złamać?

Próbowwała odrobinę zwolnić, ale od razu usłyszała, że jego oddech się zbliżył. To wystarczyło, żeby przeszły ją ciarki. Gorączkowo usiłowała znaleźć wymówkę, żeby się zatrzymać, ale w pośpiechu nic jej nie przyszło do głowy. Zwolniła jeszcze trochę, a kiedy dotarli do podnóża stromej partii, całkiem się zatrzymała. Odwróciła się w jego stronę i ze wszystkich sił postarała się stłumić przyspieszony oddech.

– Nie za szybko dla ciebie? – zagadnęła z uśmiechem.

Kroki Lohmanna wydawały się rozczarowująco lekkie, gdy przystanął obok. Z jego piersi wydobył się pomruk, pewnie śmiech.

– To ty chcesz przerwy, nie ja!

– Nie wiedziałam, czy mogę biec dalej. Słyszałam, że mężczyźni w twoim wieku schodzą nagle na zawał.

Jego twarz ściał nieoczekiwany grymas. Na ułamek sekundy spuścił wzrok, ale potem znów wbił w nią intensywne spojrzenie.

– Cóż, zobaczymy, kto pierwszy zejdzie. Ty czy ja!

Nie była przygotowana na klapsa i aż wrzasnęła. Zapiekł ją pośladek, a przy tym ogarnął ją gniew. Był jak zastrzyk energii. Rozlał się w jej członkach, dając jej siły, których istnienia nawet nie podejrzewała.

– Tak, zobaczymy – powiedziała, rzucając się naprzód.

Jej uda uniosły się i przystąpiły do pracy. Była szybka. Od zawsze. Już w szkole podstawowej biła chłopców na głowę w biegu na sześćdziesiątkę, tak że nie chcieli z nią współzawodniczyć. A teraz mknęła po zboczach. Minęło trochę czasu, zanim usłyszała, że wzięła się w garść i ruszył jej śladem. Miała już wtedy wielometrową przewagę. Tym razem nie uległa pokusie, żeby się obejrzeć. Skupiła się na swoich krokach.

Podnoś uda, Thea! Odbijaj się! Mocno! Krótkie, szybkie kroki! Pracuj ramionami! Używaj całego ciała! Usztynij kręgosłup, by nie tracić siły, płynącej z odbicia.

Odtąd przestanie być grzeczną dziewczynką. To się jej nie opłacało. W Haukeland nie było dla takich miejsca.

Oddech Lohmanna za jej plecami się oddalił. Raz charknął. Miał wyraźne kłopoty, ale jego stopy nadal łomotały o ziemię, jak tłoki. Paliło ją w drogach oddechowych, ale nie zważała na to. Uda przestały jej ciążyć. Udało jej się utrzymać rytm. Chciała go zmiażdżyć. Raz na

zawsze. Sprawić, by wbijał wzrok w podłogę na każde wspomnienie o biegu na Ulriken.

Mimo wszystko uległa pokusie, żeby obejrzeć się przez ramię. Pewnie, był daleko za nią. Wyglądał na wyczerpanego, był też dość blady. Zauważyła, że sięgnął ręką do piersi. Skulił się. Tak jakby zużył już ostatnią resztkę energii.

Z myśli wyrwał ją krzyk. Nagły ruch przed nią wytrącił ją z równowagi. Uskoczyła na bok. Podeszwą trafiła na kamień. Zobaczyła, że coś czarnego faluje na ziemi, nie wiedziała, co to takiego, po prostu odbiła się, chcąc pobiec dalej. But jej się jednak omsknął i choć próbowała zrobić dodatkowy krok, poczuła, że było na to za późno. Nie miała sił podnieść nogi. Ziemia nadciągnęła ku niej, zanim zdążyła się przygotować. Zarejestrowała mokry kamień, na chwilę zanim głowę przeszył jej rozdzierający ból. Uderzyła ciałem o ziemię. Przetoczyła się i zastygła.

Kiedy podniosła wzrok, stał nad nią. Mons Lohmann. Twarz ściągnął w wyrazie zmartwienia. Odtrąciła jego ręce, ale poczuła, że coś jej ścieka na oczy.

– Zostaw mnie! – krzyknęła.

Usiłowała się podnieść, ale nie znalazła oparcia dla rąk. I znów spostrzegła coś czarnego, leżącego na ziemi. Poruszało się tylko metr dalej.

– Krwawisz, Theo. Daj mi spojrzeć!

Poczuła, jak uwalnia ręką jej nadgarstek.

– Krwawisz – powtórzył. – Uda ci się usiąść?

Spróbował ją podciągnąć. Niechętnie uległa mu i usiadła. Zamrugowała, żeby pozbyć się sprzed oczu tego, co musiało być krwią. Bez skutku. Przeciągnęła wierzchem dłoni po czole i poczuła na skórze wilgoć.

– Weź to i przyciśnij do rany.

Zaswędziała ją skóra na głowie. Usłuchała go i nagle dotarło do niej, że zdjął okrycie wierzchnie. Stał przed nią w samym T-shircie.

– Co... co się stało?

Wreszcie puścił ją i odstąpił. Rozejrzała się. W głowie zaczęło jej się przejaśniać. Znowu zwróciła uwagę na ruch na ziemi nieopodal niej, po czym rozległ się krzyk. Zabrzmiął niemal jak ludzki.

– Ptak – usłyszała Lohmanna. – Wygląda na rannego.

Thea podźwignęła się do pozycji stojącej. Prawa kostka zabolęła ją przy obciążeniu, ale nie na tyle, by nie mogła się na niej oprzeć. Zapatrzyła się na ptaka. Stał nieruchomo przy kamieniu. Co pewien czas jego ciało przechodziło drgnienie, tak jakby chciał odlecieć, lecz nie mógł. Czarne pióra były zabłocone. Oczy wielkie, rozwarte ze strachu.

– To kruk – powiedziała.

– Kruk? Jesteś pewna?

Theę ogarnęły mdłości. Osunęła się biodrem na stromą pochyłość. Kruk załopotał skrzydłami, ale przerwał, gdy znieruchomiała.

– Muszę wrócić na dół – szepnęła. – Myślisz, że trzeba szyć?

– Możemy pójść na pododdział łózkowy.

– Nie, tam nie.

Przełknęła śluz, który zebrał jej się w ustach.

– Pójdźmy do mojego gabinetu. Mam tam przybory do szycia. Czasami siedzę i ćwiczę. Lohmann przytaknął. Stanęła na równe nogi, próbowała zrobić kilka kroków w dół.

– Zaczekaj – usłyszała za sobą.

Stanęła. Spojrzała przez ramię.

– O co chodzi?

– O kruka – odparł Lohmann. – Nie możemy zostawić go tu w takim stanie.

Znów popatrzyła na ptaka. Stał tam, gdzie dotąd, równie nieruchomo. Lohmann zszedł ze ścieżki. Nachylił się i poluzował jeden z dużych, porośniętych mchem kamieni granitowych. Poczwała, że mdłości wezbrały.

– Gdzieś czytałem, że kruki mają kilka milionów lat – powiedział, przystając przed ptakiem. – Żyły dłużej niż my, ludzie, i z pewnością też nas przeżyją. Imponujące stworzenia, co?

Uniósł kamień nad głowę i stał, jak mitologiczny Herkules, zbierając siły.  
Zamknęła oczy, zanim kamień upadł.



## 35. Mathias

Na dobrą sprawę spodziewał się tego. Gdzieś musiał napotkać opór. A do tej pory wszystko szło gładko.

Mathias siedział, gapiąc się w monitor komputera Thei. Nazwa użytkownika lub hasło były błędne. Ukrył twarz w dłoniach, próbując uniknąć natarczywego wzroku mężczyzny na plakacie, wiszącym na ścianie naprzeciw. Motyw był ten sam, co na drzwiach sali seminaryjnej na siódmym piętrze: Per Irgens mierzący z kuszy.

To go donikąd nie prowadziło. Nie miał w zwyczaju tak robić. Przemykać się ukradkiem po pustych budynkach. Włamywać się do cudzych gabinetów. Do tej pory udało mu się tylko przejrzeć papiery na biurku, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi. Tylko zwyczajne rzeczy: kopie artykułów naukowych, notatki z wykresami i słowami-kluczami, tabele z danymi, których nie mógł zweryfikować. Jeżeli miał coś osiągnąć, to musiał dostać się do zawartości komputera. A czas leciał. Była już za pięć dziesiąta.

Oparł palce na klawiaturze. Znów wpisał hasło, które podała mu Vilde. Jego była odkryła, że Thea używała nazw motyli jako rdzenia haseł. Nazwę „Neotheoridae” znalazła zapisaną na tylnej okładce notatnika koleżanki. Według Wikipedii był to gatunek brazylijskich owadów, przy czym znaleziono tylko jednego jego przedstawiciela. Vilde próbowała przeszedzić ruchy palców Thei podczas logowania. Z całym przekonaniem twierdziła, że tak właśnie brzmiało hasło, tyle że Thea opatrzyła je cyfrą 5.

„Neotheoridae5”.

Piątka sugerowała, że używała tego hasła już wcześniej, ustawiała tylko wyższą cyfrę, kiedy przychodził czas na zmianę. On też tak robił. „Ylva1”, potem „Ylva2”. Aktualnie zatrzymał się na „Ylva6”.

Usunął ostatnią cyfrę i zamiast niej wpisał szóstkę. Położył palec wskazujący na klawiszu Enter, ale go nie nacisnął.

„Neotheoridae6”.

Gdyby słowo się zgadzało, mógłby po prostu włożyć pendrive do portu USB i skopiować potrzebne mu pliki. Materiał przejrzałby w domu. Nie miał czasu sterczeć tu dłużej.

Wcisnął klawisz. Siedział, z niedowierzaniem gapiąc się w ekran.

Znów błąd.

Wstał z fotela i przeszedł się po pokoju. Musiał aż obrócić się do monitora i ponownie przeczytać widniejący na nim napis.

Czyżby Vilde świadomie podała mu błędne hasło? Nie. Po co miałyby to robić? Bardziej prawdopodobne było, że się pomyliła. Albo po prostu Thea zmieniła hasło. Może rutynowo.

Jego wzrok powędrował po ścianach. Może coś w tym pokoju mogło naprowadzić go na trop? Nie widział tu w każdym razie żadnych obrazków z motylami. Przystudiował kilka żółtych karteczek Post-it z zanotowanymi adresami, jakieś wizytówki, przypięte szpilkami do tablicy korkowej. U dołu wisiało zdjęcie domku letniskowego w takim czy innym krajobrazie leśnym. Żadnych fotografii rodzinnych. Z tego, co wiedział, Thea była jedynaczką. Samotnym wilkiem bez wybujałego życia prywatnego. Jej matka też była specyficzna.

Zerknął znów na zegar i stwierdził, że minęła dziesiąta. Było po czasie. Czy miał jechać do domu? Rozejrzał się dookoła. Złapał spojrzenie kusznika. Podeszedł do fotela Thei. Pochylił się nad klawiaturą. Ostatnia próba. Może daremna. Niemniej jednak wszystkich na tym oddziale łączyła jakaś zależność z Irgensem, czy tego chcieli, czy nie.

Wpisał jedno słowo.

„Przeciwstawny”.

Brakowało cyfry. Wszystkie hasła powinny jakąś zawierać.

„Przeciwstawny!”. Palcem wskazującym nacisnął klawisz Enter.

W skroniach poczuł uderzenia tętna. Monitor zaświecił, potem zatrzeszczał twardy dysk. Na ekranie wyskoczyło nowe okno.

„Czekaj, trwa uruchamianie systemu Windows”.

Wyrwał mu się krótki śmieszek.

Zgadzało się.

Dostał się do środka.

Oparł się w fotelu, założył ręce za głowę i odetchnął. Nareszcie wiatr powiał mu w żagle. Zasługiwał na to, po tym, ile męczył się w ostatnim czasie. Jego oczom ukazało się menu pulpitu. Znalazł pendrive w kieszeni i wsunął go do portu USB.

O, tak.

Teraz wystarczyło tylko zacząć pobieranie. Kliknięciem otworzył folder „Moje Dokumenty” i przystąpił do systematycznego kopiowania plików. Było ich sporo, wiele z nich miało duże rozmiary, a większość należała do programu statystycznego SPSS i Microsoft Excel. To mu zabierze trochę czasu. Wszedł do Outlooka i zaczął eksportować mejle. Spojrzał na zegar. Dziesięć po dziesiątej. Marianne pewnie już na niego czekała. Ją jednak uda mu się udobruchać. Ważniejsze było, żeby nie zostawić po sobie śladów. Uważnie przyjrzał się biurku. Poprawił leżące na nim kartki. Klawiaturę. Podniósł się z miejsca i ustawił fotel tak, jak stał, kiedy przyszedł.

Znów się rozejrzał. Jedynym sprzętem w pokoju, którego nie obejrzał dokładnie, był regał, zawalony ciężkimi książkami i pojedynczymi roślinami. Czy mógł coś na nim przeoczyć?

Postąpił kilka kroków w tę stronę, przeczytał tytuły książek. Było tu kilka podręczników neurochirurgii, poza tym jakieś książki o metodyce badań i anatomii. Dolne półki zakrywały gałęzie rośliny wiszącej. Jej liście były przywiedle i zakurzone. Rozsunął je ręką. Na półce za nimi stał mały laptop. Jego ekran nie mógł mierzyć więcej niż 10–11 cali. Ze szczeliny z boku klawiatury sączyło się zielone światło. Laptop był najwyraźniej włączony. Mathias zwrócił uwagę na podłączoną wtyczkę zasilania. Przewód wił się z tyłu, opadając przy ścianie. Poruszył myszkę palcem. Ekran powoli się rozświetlił.

Automatycznie cofnął się o krok, widząc swoje lustrzane odbicie. Gałęzie rośliny wiszącej opadły z powrotem przed laptop.

Co to miało być?

Wyciągnął rękę i ponownie odgarnął liście. Zapatrzył się na ekran. Laptop nagrywał film. Wbudowana nad wyświetlaczem kamera internetowa rejestrowała wszystko, co działo się w gabinecie.

Jego myśli pomknęły przed siebie. Thea założyła swój własny mały system monitoringu. Musiała podejrzewać, że ktoś szpera w jej rzeczach. To by też tłumaczyło zmianę hasła. Czyżby Vilde go wydała? Nie. Vilde nie lubiła Thei. A przynajmniej tak utrzymywała.

Stał sztywno, nasłuchując. Słyszał tylko trzaski komputera stacjonarnego. Na filozofowanie przyjdzie czas później. Teraz musiał uporać się z tym, co tu robił.

Kilkoma kliknięciami w klawiaturę skasował plik wideo na laptopie. Thea zdziwi się zapewne jego brakiem, ale najważniejsze było, żeby nie został skojarzony z tym gabinetem. Obrócił się do biurka. Pobieranie jeszcze się nie zakończyło, ale nerwy nie pozwalały mu dłużej czekać. Przerwał transfer plików i wysunął pendrive. Wystarczyło się już tylko wylogować.

Kolejny raz skontrolował blat biurka, poprawił klawiaturę i myszkę i zadbał, żeby wszystko wyglądało, jak w chwili jego przybycia. Już miał ruszyć do drzwi, kiedy jego spojrzenie znów padło na laptop za rośliną wiszącą na półce. Nagła myśl przemknęła mu przez

głowę. Przecież poprzedniego dnia też odwiedził gabinet. Siedział w fotelu Thei i dyskutował o tym, co teraz wprowadzał w czyn. Czy to również udokumentowano na pliku wideo?

Podszedł do półki i odsunął roślinę wiszącą. To wtedy usłyszał dziwne brzęczenie. Najpierw sądził, że dochodziło z umywalki przy drzwiach, ale potem zrozumiał, że dźwięk pochodził nie z pokoju, lecz z korytarza.

Wstrzymał oddech.

Był to mechanizm hydrauliczny, otwierający drzwi. Teraz rozległy się też kroki.

## 36. Thea

I znów ten dźwięk. Brzmiał, jakby po podłodze gabinetu przeciągnięto fotel. Thea zatrzymała się, żeby znaleźć klucze. Lohmann nadal trzymał ją za ramię, chociaż z pewnością już do niego dotarło, że sama mogła sobie poradzić.

Włożyła klucz do zamka i przekręciła; wzięła głęboki oddech, zrozumiawszy, że drzwi nie były zamknięte. Vilde nadal musiała być w środku. Thea położyła rękę na klamce i pozwoliła sobie na uśmiech. Całe szczęście. Schodząc oświetloną trasą, stopniowo uzmysłowiła sobie, że przyprowadzenie tu Monsa Lohmanna nie było dobrym pomysłem. Wciąż nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Stać go było na wiele.

– Nie otworzysz?

Thea poczuła wilgotną dłoń Lohmanna na ręce. Klamka ustąpiła i drzwi otworzyły się gładko. Zrozumiawszy, że w gabinecie panuje ciemność, rozejrzała się z zakłopotaniem. Lohmann tymczasem ruszył naprzód i wymacał włącznik światła na ścianie. Jarzeniówki zamigotały.

– O, proszę. Idziesz?

Pociągnął ją za ramię. Wykręciła się z jego uścisku i utykając, weszła do pokoju; wysunęła fotel zza biurka i na niego opadła. Jej spojrzenie przemknęło po ścianach. Była przekonana, że dobiegł ją stąd jakiś dźwięk. A może jej się ubzdurało? Położyła rękę na piersi, poczuła, że serce zabiło jej mocniej.

Lohmann podszedł do komputera stacjonarnego Vilde i zerknął na fotografię jej i chłopaka. Thea pomyślała o laptopie na półce. Gdyby Lohmann zaczął się do niej dobierać, to przynajmniej cały seans by się nagrał. Ale co by na tym zyskała? Zapadłaby się tylko głębiej. Wysunęła szufladę, w której miała kilka zestawów przyborów do szycia i nożyce. Zdaniem ordynatora nie nabawiła się dużego rozcięcia. Wystarczył jeden szew, może dwa. W takim razie mogli to odbębnić w kilka minut i wyjść.

Po jego krokach odgadła, że przeszedł po pokoju.

– Jesteś pewien, że nie muszę założyć więcej niż jednego szwu?

Lohmann roześmiał się szorstko. Otworzył opakowanie kompresów i zwilżył je pod bieżącą wodą.

– Jestem chirurgiem, Theo. Nie ufasz mi?

Z pojemnika na ścianie wyjął kilka ręczników papierowych i podszedł do niej. Odzyskał już arogancki sposób bycia i zarozumiały uśmiech. Położył jej ręczniki na kolanach i obrócił fotel tak, że siedziała do niego plecami.

– Najpierw trochę przemyjemy. Przecież nie możesz tak wyglądać.

Poczuła, że zapiekła ją skóra głowy, gdy przycisnął kompres do rany. Zacisnęła powieki, ale nie udało jej się powstrzymać cichego syknięcia. Po skórze i karku ciekły strużki wody. Jej ciało przeszedł dreszcz.

– No, no – zamruczał za nią.

Jego ręka poklepała ją po lewym barku i tam pozostała.

– Obiecuję, że zaraz będzie po wszystkim.

Zabrział cichy łoskot, jakby stukanie do drzwi. Otworzyła oczy, spodziewając się, że ktoś wszedł do pokoju, ale kiedy się rozejrzała, nikogo nie zobaczyła. Lohmann puścił jej bark. Z zestawu do szycia wyjął igłę.

– Co się dzieje? – spytał z szerokim uśmiechem. – Nerwy?

– Skądże.

Opadła z powrotem na oparcie fotela. Spojrzeniem po raz kolejny omiotła pokój,

ocierając kark i skórę głowy ręcznikami papierowymi. Co to był za stukot? I ten dźwięk, który usłyszała zza drzwi? Naprawdę czuła tu czyjąś obecność.

Zagapiła się na biurko Vilde. Fotel koleżanki był wysunięty. Zawsze stał zaś przy samym biurku. Szafkę na kółkach też przemieszczono, tak że wystawała spod blatu. A przecież Vilde była pedantką. Zdawać by się mogło, że ktoś tu był i zrobił u niej bałagan.

Aż się wzdrygnęła, czując ukłucie. Znow wydała syknięcie, które najchętniej zachowałaby dla siebie.

– Zaraz skończę – powiedział Lohmann i poczuła silny ból, towarzyszący wbijanej w skórę igle. – O, proszę! I po sprawie. Tylko zawiążę i utnę nić.

Thea wciągnęła oddech. Co za wieczór. Siedziała w swoim gabinecie z raną ciętą głowy, a nad nią schylał się ordynator. Usłyszała, że odłożył nożyce na biurko. Chwilę później jego ręce wylądowały na jej barkach. Przystąpił do miękkich, masujących ruchów.

– Nie musisz... – odezwała się i poruszyła górną połową ciała, ale jego rąk nie udało się strącić. Wkrótce zaczęły zataczać większe kręgi.

– Odpręż się! Jesteśmy tu tylko we dwoje. Nikt nas nie widzi.

Zesztywniała, czując łaskotanie jego oddechu we wgłębieniu szyi. Miękkie pocałunki, które przysłyły potem, sprawiły, że chciała zerwać się i wybiec, ale zdawało się, że jej głowa straciła kontrolę nad ciałem. Była całkowicie sparaliżowana.

Jego usta dotarły tymczasem do jej ucha. Ręka, która leżała dotąd na jej lewym barku, zsunęła się po jej ramieniu i złapała nadgarstek. Druga ręka wśliznęła się pod kurtkę i spoczęła na prawej piersi.

– Nie... – wyjąkała, ale zaśmiał jej się cicho do ucha.

– Odpręż się, Theo. Będzie dobrze. Jestem zupełnie niegroźny. Przecież wiesz.

Przeniósł ręce na jej barki, po czym szybkim ruchem ją obrócił. Zanim zdążyła się zorientować, poczuła, jak jego wargi przyciskają się do jej ust. Szarpnęła głową, żeby się uwolnić, ale rękami złapał ją za kark i przytrzymał. Próbowwała krzyknąć, lecz kiedy otworzyła usta, wsunął do nich język. Jego zarost drapał jej skórę. Zaczęła wymachiwać rękami w powietrzu, natrafiając na jego tułów, ale szybko zrozumiała, że nie ma siły go odepchnąć. Zamiast tego zamknęła oczy i skoncentrowała się na oddychaniu. Przed jej oczami pojawił się nagle kruk na oświetlonej trasie. Wpatrzona w nią oczy. Czarne, zabrudzone skrzydła. Poczuła, że się poddaje.

## 37. Marianne

Aż się wzdrygnęła na dźwięk klucza, obracanego w zamku. Odruchowo wyłączyła lampę stołową przy sofie, na której siedziała. Kiedy otworzyły się drzwi na korytarz, w salonie panowały ciemności.

Odgarnęła wełniany koc, okrywający jej nogi i usiadła. Z jakiegoś powodu spodziewała się, że powrót Mathiasa wzbudzi w niej ulgę. Zamiast tego czuła tylko złość. Złość, że stawiał ją w takiej sytuacji. Naprawdę na to nie zasługiwała.

Usłyszała, jak zdejmuje okrycie. Jego ruchy nie były tak gwałtowne i niefrasobliwe jak zwykle. Ewidentnie starał się zachowywać jak najciszej. Łudził się pewnie, że spała, że po raz kolejny kupiła jego kłamstwa. Cóż, może i tak by się stało, gdyby jej nie ostrzeżono. Esemes, który dostała w dniu przejęcia domu, zmusił ją do myślenia. Ktoś chciał jej coś przekazać. Nic więcej. Zaczęła śledzić ruchy Mathiasa, zwracać uwagę na to, że historie, które od niego słyszała, nie zawsze zgadzały się z tym, co mówili inni. Kolega widział go w okolicy kościoła świętego Jana tego wieczora, gdy – jak utrzymywał – siedział przed domem Odda Hasselgrena na Fjellveien. Przyjaciółka powiedziała jej, że spotkała go w drodze do Vilde w budynku uniwersyteckim, kiedy rzekomo miał operować.

Vilde, tak. Za każdym razem, gdy o niej myślała, czuła węzeł w żołądku. Czy tego wieczora też maczała palce w sprawie? Mathias powiedział, że wybierał się do gabinetu, żeby dokończyć epikryzę. Kiedy jednak zadzwoniła na oddział, okazało się, że nikt go tam nie widział. Nawet Hole, który pełnił dyżur, nie miał pojęcia, gdzie się podziewał Mathias. Nakłoniła go, żeby zrobił rundę po oddziale i się za nim rozejrzał, ale bez skutku. Nie można było się do niego dodzwonić na komórkę. A teraz przyszedł z kilkugodzinnym spóźnieniem mimo obietnicy i udawał, że nic się nie stało.

Usłyszała, że zbliżał się do salonu i znów sięgnęła do lampy. Kiedy wszedł do pokoju, jej palec leżał w gotowości na przełączniku. Dojrzała jego sylwetkę na tle białych drzwi do sypialni i włączyła światło. Skurczył się natychmiast z grymasem przestachu. Co on trzymał w rękach? Zamrugła, żeby przyzwyczaić się do światła. Czy to był laptop?

– Boże, ale mnie wystraszyłaś, Marianne.

Mathias wyprostował się i zaśmiał jakby na próbę.

– Usiądź – powiedziała spokojnie.

Stał nieruchomo, nie spełniając jej polecenia. Podniosła ramię i wskazała fotel za stołem.

– Usiądź-w-tej-chwili!

Tym razem przeszedł przez pokój. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wydawał się zalekniiony. Ale co się stało z jego ubraniami? Jasne chinosy były przybrudzone i pomięte. I ten laptop, który niósł. Na pewno nie należał do niego. Był mały. Znacznie mniejszy niż zwykle laptopy.

Opadł na fotel. Odszukał jej spojrzenie nad stołem.

– O co chodzi? – zapytał. – Coś się stało?

– Chcę wiedzieć, gdzie byłeś!

Grdyka podskoczyła mu na szyi, po czym spuścił wzrok.

– Nawet nie próbuj mi wmawiać, że spędziłeś ten czas w gabinecie – ciągnęła. – Nie interesują mnie dalsze kłamstwa.

– Ja... – Głos mu się załamał. Niezdarnym ruchem odsunął grzywkę na bok. Wziął głęboki oddech, zanim powiedział: – Nie wiem, co powiedzieć.

– Ach tak?

– To... to dość skomplikowane.

Skomplikowane? Miała po dziurki w nosie tego słowa. Nic nie było na tyle skomplikowane, żeby nie dało się tego wytłumaczyć partnerce.

– Chcę po prostu wyjaśnienia, Mathias. Dopiero co kupiliśmy wspólny dom. Mamy dziecko. Musisz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz.

Jego twarz była ściągnięta i blada. Palce nadal zaciskał na laptopie, leżącym mu na kolanach. Najchętniej by wstała i mu go wyrwała. Dlaczego się do tego posuwał? Nie rozumiał, co robił?

– Masz inną?

Zakłuło ją w piersi, gdy wypowiedziała te słowa. W miarę zaś, jak sekundy mijały, a Mathias milczał, klucie się nasilało.

– Mów, do cholery!

Wreszcie Mathias jakby zbudził się do życia. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale potem przechylił się gwałtownie w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Zamknęła oczy, tracąc pewność, czy chce go wysłuchać. Bo widziała już, że wszystko się sypie. Wszystko, co tak długo budowała.

## 38. Thea

– Ona sobie nie poradzi, pani Theo.

Karina Sandemann siedziała w przyciasnym pokoju dla krewnych pacjentów z łokciami na udach i rękami złożonymi jak do modlitwy. Thea unikała pełnego empatii spojrzenia, które natarczywie posyłała jej anestezjolog. Sandemann zwabiła ją tu, mówiąc, że chodzi o coś ważnego. Thea sądziła, że sprawa dotyczyła innych pacjentów na oddziale. Pełniła sobotni dyżur i wybierała się na obchód. Ponosila odpowiedzialność za tutejszych pacjentów.

– Wie pani, że zrezygnowalibyśmy z operacji, gdyby nie nalegał na nią Mons Lohmann. Takie „przeleczenie” jest na granicy etyki. Sądzę, że sama pani zdaje sobie z tego sprawę.

Lohmann, tak. Ta szuja, Mons Lohmann. Nadal czuła jego ręce na swoim ciele, czuła go na sobie, silny zapach jego perfum, pomieszanych z potem. Wciąż nie mogła pozbyć się tej woni z nozdrzy.

– Myślę, że bardzo dobrze by było, gdyby udało się pani nakłonić ojca do przyjazdu, tak żebyśmy mogli wszyscy porozmawiać. Z tego co wiem, on też jest lekarzem?

Thea przytaknęła. Nadal unikała wzroku Sandemann; zamiast tego gapiała się przez okno. Dzień dopiero się zaczął, ale ciemna pokrywa chmur zdążyła już zduścić światło poranka. Mimo wszystkiego, co zaszło, nie został jej żaden dowód. Laptopa nie było. Ktoś go ukradł. Może Vilde. Na pewno Vilde. Tego jednak nigdy nie udałoby jej się udowodnić. Vilde zrzuciłaby winę na personel sprzątający. Utrzymywałyby, że były otwarte drzwi, ktoś zakradł się do środka i gwizdnął laptop. Ale właściwie nie to było najgorsze. Nie obchodziła jej Vilde. Nie obchodziły jej wszystkie stracone dane. Tak naprawdę nie mogła znieść myśli, że znów spotka Monsa Lohmanna, spojrzy w tę dużą, okrągłą twarz, zobaczy uśmiech na jego tłustych wargach i dostanie zza stołu wymowne spojrzenie, tak jakby coś było między nimi.

– Porozmawiam z ojcem – powiedziała.

Sandemann przekrzywiła głowę na bok i uniosła cienkie, łukowate brwi. Wydawało się, że był to wyćwiczony gest, dzięki któremu wyglądała na bardziej wyrozumiałą.

– Świetnie! Mam dyżur do jutra. A swoją drogą, mogę spytać, co się pani stało w głowę? Przewróciła się pani?

Thea wstała, przesunęła dłonią po plastrze na skórze i zerwała go szybkim ruchem.

– Tak. Ale już jest w porządku. Właściwie to muszę iść dalej. Obchód czeka.

Sandemann skinęła głową ze swojego miejsca na sofie.

– Oczywiście. Wie pani, gdzie mnie znaleźć.

Thea podeszła do wind i wybrała przycisk jazdy do góry. Kiedy tak stała, poczuła napływ mdłości. Lohmann. Nie mogła pozbyć się smrodu Lohmanna. Potrzebowała świeżego powietrza.

Skręciła na korytarz i ruchomymi schodami zjechała na najniższą kondygnację. Szybkim krokiem wyszła za drzwi od północy. Przebiegła po asfalcie pod budynkiem, czując, że mdłości stopniowo przejmują nad nią kontrolę. Zatrzymała się gwałtownie przy betonowym słupie, zgięła w pół i poczuła wymiociny w ustach. Wyrzuciła je z siebie, stała schylona, czekając na kolejną falę.

Była taka naiwna. Zabranie Lohmanna do gabinetu wyglądało na zwykłe zaproszenie. A kiedy ją przytrzymał, okazała się zupełnie bezradna. Nie miała siły walczyć.

Znów miała odruch wymiotny, ale tym razem niczego nie zwróciła.

Co by się stało, gdyby nie zadzwonił telefon?

Spróbowała się zastanowić. Kiedy w pokoju rozległ się dzwonek, z początku nie wiedziała, skąd dobiegał. Potem jednak dotarło do niej, że to telefon na jej biurku. Cyfrowy dźwięk sprawił, że Lohmann szarpnął się do tyłu. W okamgnieniu zrozumiała, że była to szansa,



której nie mogła przepuścić.

Otarła usta ręką. Wargi i skórę twarzy nadal miała pocięraną od jego zarostu.

Kto dzwonił? Nie miała zielonego pojęcia. Ktoś mógł wybrać błędny numer. Albo może młodzieży zebrało się na żarty. Tak czy inaczej, gdy podniosła słuchawkę, nikt się nie odezwał, udała jednak, że to ktoś z OIOM-u prosi, by zajrzała do matki. To wystarczyło, żeby Lohmann odstąpił.

Splunęła na ziemię. Pieprzony Lohmann. Zapłaci jej za to!

Piskliwy dźwięk radia sprawił, że uniosła wzrok. Obok zatrzymał się ambulans. Okno było opuszczone i wychylał się przez nie kierowca.

– Potrzebuje pani pomocy?

Kierowca uśmiechnął się ostrożnie. Jego ogorzała twarz zmarszczyła się przyjaźnie. Thea potrząsnęła głową.

– Nie. Już mi lepiej.

– Może dobrze byłoby wrócić do domu. Mamy teraz mało do roboty i możemy panią podrzucić, jeśli pani zechce?

Wyprostowała się i stała, łapiąc powietrze.

– Dziękuję, nie ma takiej potrzeby.

Uśmiechnęła się. Kierowca skinął głową i życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia, po czym zamknął okno i odjechał.

Thea ruszyła z powrotem do wejścia. Trochę lżej jej się teraz oddychało, mimo że mdłości nie ustąpiły w pełni. Wiedziała zresztą, że prędko się ich nie pozbędzie. Lohmann z pewnością jeszcze się nie podda. Będzie na nią nastawał, dzień w dzień, dopóki nie dostanie nauzki. Ale jak miała mu odpłacić przy tak zachwianej równowadze w ich relacji?

Zatrzymała się i odwróciła. Karetki, która przy niej stanęła, już nie było widać. Pewna myśl wpadła Thei do głowy. Poprzedniego wieczora, kiedy rozmawiali na oświetlonej trasie tuż przed stromą partią, zwróciła na coś uwagę. Wspomniała o zejściu na zawał, a wtedy Lohmann spuścił wzrok. Może był to czysty przypadek. Może miało to związek z faktem, że szykował się do stromego podbiegu.

W westybulu pojechała schodami ruchomymi na parter. Stąd poszła korytarzami w stronę izby przyjęć. Pielęgniarki z pododdziału łóżkowego czekały już pewnie na obchód, ale mogła je jeszcze przetrzymać. Najpierw musiała coś zrobić.

Zatrzymała się przed pomieszczeniem izby przyjęć, którego drzwi były szeroko otwarte. Stojące w środku łóżko było puste, ale obok siedziała młoda kobieta w fartuchu lekarskim i czytała kartę pacjenta na komputerze. Musiała być stażystką albo studentką. Nikomu innemu nie chciałoby się taszczyć stetoskopu, młotka neurologicznego, latarki kieszonkowej, podręcznika procedur i notatnika w kieszeniach fartucha. Thea stanęła w korytarzu i czekała, aż kobieta skończy. Minęło kilka minut, po czym rozległ się sygnał pagera. Kobieta rozejrzała się, wyraźnie rozkojarzona. Thea rzuciła okiem na jej identyfikator. Pewnie. Była stażystką.

– Telefon jest tu, w korytarzu – podsunęła.

Kobieta wstała i podziękowała. Ulotniła się gdzieś za plecami Thei, która tymczasem zajęła jej miejsce na krześle przed komputerem. Stażystka nie wylogowała się z systemu kart pacjentów, na co Thea po cichu liczyła. Sięgnęła po myszkę i przeszła do funkcji wyszukiwania. Nie potrzebowała dużo czasu. Mogła wydrukować znalezione dokumenty i przeczytać je później. Niemądrze byłoby szukać karty Monsa Lohmanna pod własnym nazwiskiem. Dział informatyczny rejestrował wszystkie sesje wyszukiwania i jeśli wykryli zapytanie niezwiązane z pracą kliniczną, mogli zażądać wyjaśnień. Stażystki też to dotyczyło. W końcu nie miała powodu zaglądać do karty szefa Oddziału Neurochirurgii. Pewnie jednak słabo się orientowała,

kim był, więc nie powinno jej to przysporzyć większych problemów.

Thea wpisała do wyszukiwarki nazwisko Lohmann i wcisnęła Enter. O, jest. Był tylko jeden Mons Lohmann. To nie ulegało wątpliwości. Ale, co ważniejsze: w przeszłości leczył się w Haukeland.

Przesunęła strzałkę na jego nazwisko i kliknęła.

## 39. Nathalie

– Że co jej zabrałeś?

– Laptop...

– Wziąłeś jej laptop?

– No a co miałem zrobić? Miałem tylko kilka sekund.

Nathalie przystawiła półlitrową szklankę do ust. Rozejrzała się. Ludzie w Pingwinie wydawali się ich nie zauważać. Rozmawiali nad stolikami. Panował duży hałas, a z głośników leciał przebój Rolling Stonesów *Sympathy for the devil*.

*Pleased to meet you, won't you guess my name...*

Odstawiła szklankę z piwem. Czuła się już lekko wstawiona. I to zaledwie po dwóch piwach. To pewnie od tej całej nauki. A teraz jeszcze coś takiego. Ta intryga, w którą wplątał się Mathias. Wiedziała tylko, że nie chce być zamieszana w kradzież. Tu przebiegała granica.

– Krótko podsumowując, jest więc tak...

Przechyliła się nad stołem, a tymczasem Mathias dopił swoje piwo. Tego wieczora pił równo. Daleko już ją wyprzedził.

– ...dowiadujesz się od tej twojej byłej, że Thea podkreca jakieś dane naukowe.

Włamujesz się do jej gabinetu, hakujesz komputer i kradniesz laptop, który złapał cię na kamerze internetowej. To musi oznaczać, że Thea podejrzewa kogoś o szperanie w jej rzeczach. Jesteś pewien, że twoja była ma czyste sumienie?

Mathias wzruszył ramionami. Jedną ręką sięgnął po jej szalik, który leżał na stole, i zaczął kręcić go między palcami.

– Nie ruszaj – powiedziała i plasnęła go po wierzchu ręki.

Cofnął ramię.

– A dlaczego nie?

– Może chciała, żebyś został złapany? Może nadal jest na ciebie wkurzona? Nie rzuciłeś jej kiedyś?

– Już jej przeszło.

Zaczął obracać głową, jak zwykle, gdy był pijany. Drapać się po nosie. Boże, naprawdę nie podobało jej się, że poznała go już na tyle, żeby zwracać uwagę na jego złe nawyki. Zaczęła je w każdym razie zauważać po tym, jak się jej narzucał. Faktem było, że przeprosił i wyszedł. Potem zupełnie zamilkł. Nie dzwonił. Nie wysyłał esemesów. Tej nocy pojawił się zaś u jej drzwi i powiedział, że został wyrzucony z domu. Najchętniej pozwoliłaby mu stać na zewnątrz i marznąć. Zasługiwał na to. W chwili słabości polectała ją jednak myśl, że mógł zostać wyrzucony z jej powodu, że wreszcie powiedział partnerce o związku z inną, i wpuściła go do środka.

Wielki błąd!

Tak, teraz to czuła. Czuła, że to był Wielki Błąd, z dużej litery.

– Okej. A właściwie to co się zdarzyło po tym, jak weszli i cię przyłapali?

Mathias nachylił się nad stołem i ciągnął półgłosem:

– Zdążyłem wpełznąć pod biurko Vilde. W ostatniej chwili. Wcisnąłem się w kąt za jedną z szafek pod blatem i wstrzymałem oddech. To cud, że mnie nie zobaczyli. Thea najwyraźniej uderzyła się w głowę i Lohmann musiał jej założyć kilka szwów na skórę. Robiąc to, zaczął się do niej dobierać. Odtrącała go raz po raz, ale nic nie pomogło.

– Niedobrze mi. – prychnęła Nathalie.

– Cóż, mnie też zemdliło, kiedy tam siedziałem. Thei wyraźnie to nie kręciło. A Lohmann poszedłby pewnie na całość, gdybym nie wpadł na genialny pomysł.

Na jego ustach pojawił się śliski uśmiezek.

– A jaki?

– Miałem przy sobie komórkę. I znałem numer wewnętrzny do gabinetu Thei. Faktem jest, że kilka minut wcześniej dzwoniłem do niej, żeby skontrolować, czy w środku nikogo nie było. Wybrałem więc numer. To wystarczyło, żeby przerwać całą rundę. Jeszcze piwa?

Skinęła głową. Mathias wstał i podszedł do baru. Zerknęła na zegar. Dochodziła jedenasta. Merete i Pia obiecały, że też przyjdą. Musiały tylko skończyć naukę. Obie były zawsze takie zdyscyplinowane, a ona zawsze musiała się wyłamywać. Straciła już cały dzień nauki z powodu tego łajzy Mathiasa. Nie mogło tak dalek być. Obejrzała się za nim. Stał przechylony nad kontuarem, pogrążony w rozmowie z barmanką. Rozpoznała ten uśmiech. Barmanka była akurat w jego typie. Duże piersi. Lekki makijaż i zadarty nos. Nathalie odwróciła się, złapała szklankę i wlała w siebie piwo. Dziś wieczorem chciała się upić. Bardziej niż zwykle.

Z głośnika dobiegał teraz The Clash. *Should I stay or should I go*. To o niej mówiła ta piosenka. Co miała zrobić z Mathiasem? I dlaczego była taka wściekła? Wściekła na wszystkich. Na niego. Jasne. Dobrze wiedziała, czemu. Po prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Merete i Pia powtarzały jej to już wiele razy, ale ona twierdziła, że jej to nie obchodzi. Że najlepiej czuje się sama.

Stuknęło, kiedy stanęła przed nią nowa półlitrowa szklanka. Mathias usiadł za stołem z dwiema innymi szklankami w rękach.

– A ta dla kogo? – spytała, wskazując jedną.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może dla któregoś z nas.

Znów zaczął obracać głowę. Czy zamierzał upić się jeszcze bardziej? Czy będzie leżał w jej łóżku do jutra, cuchnąc alkoholem? Niedzielę też jej zepsuje.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała, chwytając piwo. – Dlaczego nie powiedziałeś swojej partnerce, gdzie byłeś?

Mathias był właśnie w trakcie długiego łyku. Bębnił ręką o blat w takt muzyki *The Clash*. *Oh you gotta let me knooooow. Should I stay or should I go*.

– Tak, ale... – walnął szklanką w stół. – Siedziałem trzy godziny za biurkiem. Nie miałem siły opowiadać całej historii. A poza tym...

Otarł usta wierzchem dłoni. Zauważyła, że na jego skórze pozostała piana od piwa.

– Poza tym co?

Rozłożył ręce. Z każdą minutą jego ruchy stawały się coraz bardziej zamaszyste i niezdarne.

– Zamiast tego powiedziałem jej o tobie. Chciała się dowiedzieć, czy miałem inną, i nie byłem w stanie dłużej kłamać. Minutę później wyrzuciła mnie za drzwi. I oto jestem.

– Tak, oto jesteś.

Nie udało jej się pohamować sarkastycznego tonu.

Prychnął, wyraźnie dotknięty tym, jak przyjęła jego słowa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że to nic dziwnego, że cię wyrzuciła. Przecież w ogóle nie dopuszczasz jej do swojego życia.

– Teraz bierzesz jej stronę?

– Mówię tylko to, co powiedziałyby ci większość, czyli że szczerść często popłaca.

– Tak, naprawdę pomogła mi wczoraj wieczorem.

Zaśmiał się melodramatycznie, potrząsnął głową jak samowolna marionetka. Boże, nie podobało jej się, że się upił. I znów złapał jej szalik. Mocno chwyciła koniec, który leżał przy

niej, i pociągnęła. Materiał napiął się nad blatem. Po oczach Mathiasa widziała, że bawiło go to przeciąganie liny.

– Puszczaj mój szalik!

Puścił. Szalik prześliznął się po stole i wylądował jej na kolanach. Zwinęła go, rozejrzała się za kurtką, ale zrozumiała, że wisiała na oparciu krzesła Mathiasa. Pchnęła zawiniątko po blacie w jego stronę.

– Włóż go do mojej kieszeni!

– Co?

– Mówię, żebyś włożył go do mojej kieszeni!

Uśmiechnął się głupkowato. Odwróciła się i spojrzała na drzwi wejściowe za barem. Gdzie się podziewały Merete i Pia? Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Był taki zaczepny. Tak nieziemsko prowokujący. Nabrała ochoty, żeby go usadzić. Przez głowę przemknęła jej myśl. Tak. Wiedziała, jak to uzyskać. Powiedzieć coś, co mu się nie spodoba. Obróciła się znów do niego, zdążyła tylko pomyśleć, że akurat tę sprawę może by przemilczała, gdyby się nie upiła, ale po chwili usłyszała swój głos:

– Wysłałam esemesa do twojej partnerki.

– Co ty opowiadasz? Chyba nie...

– Napisałam, żeby nie wierzyła we wszystko, co mówisz. Wiadomość nie miała nadawcy, bo wysłałam ją z Internetu.

Próbowała zachować spokój, ale widziała, że jakieś uczucie zakotłowało się na jego twarzy i bynajmniej nie była to życzliwość.

– Jesteś totalną idiotką?

Przez chwilę myślała, że przesadzi stół i ją złapie. Zamiast tego osunął się w fotelu.

– To przynajmniej tłumaczy, dlaczego tak się na mnie wściekła – powiedział i się roześmiał. W śmiechu zabrzmiało współczucie dla samego siebie. Poczula, że ogarnia ją coś w rodzaju zawodu.

– Nie zapytasz, dlaczego to zrobiłam?

Uniósł brwi. Siedział rozparty na krześle. Obojętnie rozłożył ręce na boki.

– Tak, dlaczego to zrobiłaś, Nathalie? Dlaczego?

– Dlatego, że... – urwała, upewniła się, że chce to powiedzieć. Czy się zdecydowała? Naprawdę?

Już miała otworzyć usta, kiedy poczuła rękę na barku. Podniosła oczy i ujrzała Pię.

– Cze-eść, laska!

Została uściśnięta, a kiedy obejmowała Pię, poczuła, że trzęsą jej się ręce. Wyglądało na to, że przyjaciółka też to poczuła, bo posłała jej badawcze spojrzenie, zanim wyciągnęła rękę, by przywitać się z Mathiasem. Siadł teraz prosto, odpowiedział uważnym uśmiechem i rzucił kilka z tych swoich wyuczonych fraz. Umiał się przypochebiać, ten Mathias.

– Merete jest w barze, kupuje piwo. Chyba nic nie przerwałam?

Pia stanęła przy stole.

– Skądże – zaśmiał się Mathias.

Powierzchnowy śmiech. Wysoki i piskliwy. Nathalie nagle się uspokoiła.

– Tak. Przerwałam coś, Pio. Ale możesz równie dobrze posłuchać.

Wzięła oddech i przechyliła się nad stołem. Postarała się przybrać tak kokietyjny uśmiech, jak to było możliwe. To go bardziej zrani.

– Chciałam właśnie powiedzieć Mathiasowi, żeby wypieprzał z mojego życia, że nie chce go więcej widzieć i że musi sobie znaleźć inną dziunię, u której dziś będzie nocował.

Nie wiedziała, co jej się podobało bardziej: widok bladej twarzy Mathiasa czy otwarte

usta Pii, które sugerowały, że opowieści o tym zdarzeniu będą krążyły i krążyły przez następne lata.

## 40. Karsten

Co z tymi ludźmi ze wschodu kraju było nie tak?

Przyjeżdżali tutaj, do miasta, żeby pracować albo uczyć się w szkole, ale nie mogli sobie odpuścić nabijania się z Bergen i jego mieszkańców. Sypali idiotycznymi dowcipami i prawdami na temat Vestlandet, tak jakby byli korespondentami zagranicznymi wielkich gazet, i wszyscy równie głośno i hałaśliwie zaśmiewali się ze swoich żarcików. Oczywiście miało to związek z faktem, że byli pijani i wracali do domu z miasta. Oraz z faktem, że siedzieli na tylnym siedzeniu taksówki, którą prowadził facet z bergeńskim dialektem.

Karsten Isaksen zerknął w lusterko na dwóch złotych chłopców z okularami przeciwsłonecznymi na czołach, mimo że był listopad, długimi, tłustymi blond włosami z przedziałkiem pośrodku i białymi kołnierzykami pod drogimi garniturami. Byli tak pijani, że nie mogli się doliczyć gotówki, której potrzebowali, żeby zapłacić rachunek za taksówkę.

– Ej, a tak w ogóle, ej, taksiarz!

Jeden z chłopaczków przechylił się między przednimi fotelami.

– A słyszałeś to o gościu z Bergen i gościu z Sørlandet, którzy...

– Czekaj mnie więcej przejazdów, chłopcy. Czy nie moglibyście...

– Kurna, a ja myślałem, że jesteś spoko. Na jeden żart chyba masz czas?

Karsten nawet się nie obejrzał. Odwrócił się do bocznego okna. Jednej rzeczy się w życiu nauczył, a mianowicie, żeby nie dać się sprowokować do odpowiedzi na głupie pytania. Trzeba było zachować spokój. Raczej powtórzyć przekaz.

– Jak wam idzie z liczeniem tam, z tyłu?

– Widzę, że ci źle – zaśpiewał jeden. – Lecz nie mogę policzyć dla ciebie kasy.

Przeraźliwy śmiech. Mężczyzna, który wisiał między przednimi fotelami, opadł do tyłu.

Zabrzącały monety.

– Ile tam mówileś?

Karsten wziął oddech. Tylko cierpliwie. Cierpliwie.

– Dwieście dziewięćdziesiąt koron.

– A mnie się zdaje, że wcześniej było sto dziewięćdziesiąt. Nie próbujesz nas okantować, co?

Karsten postukał palcem w taksometr, który wyświetlał cenę.

– Dwieście dziewięćdziesiąt – powtórzył.

Spomiędzy foteli wysunęło się ramię. Karsten spojrzał na dłoń pełną monet.

– Dziękuję – powiedział i ułożył rękę w kształt spodka, by zebrać pieniądze. Nagle jednak pasażer machnął ręką. Monety przeleciały w powietrzu i jak burza gradowa spadły na deskę rozdzielczą.

– Kurna, biegiem, Sebastian! Ciśnij!

Chłopaki na tylnych siedzeniach zdążyli otworzyć drzwi. Karsten okręcił się i złapał jednego za kurtkę. Rozległ się dźwięk dartej tkaniny. Uciekinierzy byli już na asfalcie. Obaj z tupotem zniknęli w głębi ulicy.

Karsten wyrzucił skrawek materiału, który mu został w ręku, i zaklął. Pieprzeni ludzie z Oslo. Pieprzona praca. Włączył światło w kabinie i zaczął zbierać monety, rozrzucone na siedzeniu pasażera i podłodze. Jednokoronówki, pojedyncze dziesiątki. Za nic nie pokryje tym kosztów dojazdu do Åsane. Zrezygnował z poszukiwań i na powrót wyłączył światło. Włożył monety do portfela i wybrał w taksometrze opcję nieudanego kursu. Spojrzał na zegarek. Była dopiero druga. Oznaczało to, że nocne wycieczki z pijanymi dopiero się zaczęły. To teraz zamykano puby.

\*

Pojechał z powrotem autostradą, zrezygnował ze skręcania do Sandviken, myśląc, że zamiast tego spróbuje kogoś zgarnąć przy dworcu autobusowym Bystasjonen. Klienci, którzy tam czekali, nierzadko wybierali się w dłuższą podróż. Może do Sotry, a nawet dalej. Z reguły zasypiali też na tylnym siedzeniu, tak że nie musiał wysłuchiwać oczywistości i żartów. Choć jednak starał się zapomnieć złotych chłopców, ich głosy utkwiły mu w głowie. Nie oni pierwsi uciekli, nie płacąc rachunku. Ogólnie to ludzie byli bezwstydni. Chwyтали się wszystkiego, żeby się tylko wykręcić. A on z reguły siedział bezradny. Przypomniawszy sobie, co powiedział mu brat. Że powinien pokazać muskuły. To brat go naciągnął, żeby pracował dla niego w weekendy, obiecując zawrotne dochody. To brat kupił drewnianą pałkę, którą przypiął na stałe po spodniej stronie klapy bagażnika. Jeśli ktoś próbował się awanturować, wysiadał i ją wyjmował. A może tylko otwierał klapy bagażnika i pokazywał broń awanturnikom?

– Większość ludzi jest mocna w gębie – powtarzał zawsze – ale kiedy przychodzi do konfrontacji fizycznej, poddają się bez oporu w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków. Wyjmij bejsbola i sam spróbuj. Ja robiłem to już wiele razy, ale nigdy nie musiałem go użyć.

– A w tym jednym procencie przypadków, kiedy klient się nie wycofa – zapytał raz. – Co wtedy robić?

Brat się uśmiechnął.

– Spieprzać, ile sił w nogach.

\*

Wyjechał z tunelu pod górą Fløyfjellet i skręcił w stronę centrum. Przy parkingu piętrowym koło Bystasjonen zatrzymał się na czerwonym świetle. Siedział, obserwując autobus, który wyjechał z zatoczki nieco dalej przed nim, i poczuł napływ zmęczenia. Było wcześniej. Za wcześniej.

Światło zmieniło się na zielone i dodał gazu. Wiedziony impulsem skręcił do pustej zatoczki autobusowej i stanął. Pozwolił, by silnik pracował na luzie, oparł głowę na zagłówku i zamknął oczy.

Okej. Pięć minut. Nie więcej. Najchętniej pojechałby do domu. Położył się i zasnął. Nie musiałyby się wtedy odnosić do wszystkich tych metów, którzy nocą kręcili się po mieście. Nigdy nie było pewności, kto wsiadał do auta. Właściwie to powinien rzucić tę fuchę. Dawała niezły zarobek, ale na dłuższą metę nie było warto. Całe to poniżenie. Wszystkie weekendy, po których zostawał tylko zły smak w ustach. Musiałby wtedy jednak postarać się o inną pracę niż w centrum sportowym. Wynagrodzenie nie było wysokie, mimo że oszczędzał na darmowych treningach.

Aż podskoczył, kiedy otworzyły się tylne drzwi. Zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że do środka gramoli się mężczyzna po trzydziestce. Był wyraźnie pijany i miał kłopot z załadowaniem nóg do kabiny.

– Dokąd?

Mężczyzna nie zareagował na pytanie. Zapadł się w fotelu i wymamrotał coś do siebie. Karsten poczuł, że kabinę wypełniają alkoholowe wyziewy. Facet przynajmniej był sam – i tak pijany, że nie powinien sprawiać większych problemów. O ile nie zaczęłyby wymiotować na fotele.



- Dokąd? – powtórzył.
- Do Szpitala Haukeland – odparł tamten i przewrócił się na boczne drzwi.
- Kartą czy gotówką?

Oddechy pasażera stały się już chrapliwe, jakby zasnął. Po co wybierał się do szpitala, trudno było powiedzieć, ale Karsten nie chciał się w coś wpakować. Włączył światło i obrócił się w fotelu, żeby skontrolować, czy klient nie ma otwartej, krwawiącej rany ani jakiegoś świństwa rozmazanego na kurtce czy spodniach. Na to jednak nie wyglądało.

- Co pan, do cholery, wyprawia?
- Facet patrzył na niego z pozycji leżącej.
- Kartą czy gotówką?
  - Gotówką...

Karsten nie przestawał wpatrywać się w mężczyznę. Miał złe przeczucia. Nie wiedział, dlaczego. Umiał jednak przewidzieć kłopoty. Poczul to już, kiedy dwóch chłopczków wskoczyło na tylne siedzenia. Rodzaj pobołowania w potylicy. Teraz też je odczuwał.

- Czyli ma pan pieniądze?

Mężczyzna się zaśmiał, wyjął portfel i nim pomachał: – Pieniądze tak. Gorzej z partnerką, a wkrótce stracę też pracę.

Karsten odwrócił się do przodu. Okej. Facet miał portfel. Tyle dobrego. Mignął kierunkowskazem, wyjeżdżając na drogę. Najpierw zjechał na prawo, żeby pokonać Kalfaret, ale potem znowu przyuważył mężczyznę w lusterku wstecznym. Gość przeglądał zawartość portfela, mamrocząc krótkie przekleństwa. Wróciło pobołowanie. Ludzie, którzy byli na mieście, często przepijali gotówkę. A potem zostawiali kartę w barze i wychodzili. Może dla wszelkiej pewności powinien wydłużyć kurs?

Podjął szybką decyzję i zjechał na lewo. Zaczął teraz wymuszoną rundę karną po ulicy Strømgaten i ulicy Larsa Hillesa. Możliwe, że była to najbardziej beznadziejna pętla z sygnalizacją świetlną w całym Bergen. Dawała jednak klientowi kilka dodatkowych minut.

Kiedy obejrzał się przez ramię na czerwonym świetle na skrzyżowaniu przy trasie kolejki miejskiej, facet nie zrobił większych postępów.

- Żadnej gotówki?
- Mężczyzna spojrzał na niego.
- Hm?

Światło zmieniło się na zielone. Karsten się zawahał. Z tyłu zatrąbił na niego samochód. Dodał gazu. Taksówka wystrzeliła do przodu.

- Woli pan zapłacić kartą?
- Mężczyzna prychnął i znowu coś wymamrotał.
- Na to wygląda, tak.

Karsten wysunął płasko prawą dłoń między przednimi fotelami.

- Da mi pan kartę?

Dotarł do rozjazdu Nygårdstangen. Wykręcił i znów zerknął w lusterko wsteczne. Mężczyzna położył się z powrotem, opierając się o drzwi, i zamknął oczy.

- Słuchaj no, kolego, daj mi swoją kartę.

Mężczyzna się nie ruszył. Karsten zaklął. Facet prawdopodobnie wcale nie miał karty. Wjechał na most Nygårdsbroen. Nie będzie kolejnego nieudanego kursu. Nie tej nocy. Zasygnalizował zjazd na prawy pas ruchu i zwolnił.

- Ej, ty tam z tyłu!
- Mężczyzna się wzdrygnął.
- Hm?

– Daj mi kartę albo tutaj kończymy.

Pasażer przesunął ręką po twarzy i zamrugał.

– Wyluzuj, no. Jadę do Haukeland, przecież mówiłem.

– Proszę więc pokazać mi kartę!

Mężczyzna zapatrzył się na niego w lusterku. Karstenowi nie podobało się to spojrzenie.

– W porządku, kolego. W takim razie tutaj wycieczka się kończy.

Zahamował, zjechał na utwardzone pobocze kilkaset metrów przed placem

Danmarksplass i stanął. Mężczyzna siedział bez ruchu. Karsten czekał. Wiedział, że przekroczył granicę, której nigdy dotąd nie naruszył. Skonfrontował się z pasażerem. Na tym polu nie miał żadnych doświadczeń.

– Miałem zły dzień. Mógłby pan zawieźć mnie do Haukeland?

– Najpierw muszę dostać pańską kartę.

Karsten przełknął. Spojrzał na taksometr. Wskazywał już ponad sto koron. Kolejna stówa w plecy. Nie stać go było na to. Brat będzie się z niego naigrawał przez resztę zimy. Wyłączył taksometr. Wysokość opłaty przeskoczyła na stawkę minimalną, 147 koron.

– No cóż – rzekł, włączając światło w kabinie. – Wyszło zatem sto czterdzieści siedem koron.

Mężczyzna prychnął.

– Pan jest chyba niemądry. Przejechał pan ledwo pięćset metrów.

– Sto czterdzieści siedem koron, dziękuję.

Karsten odwrócił się. Zdążył zobaczyć, że pasażer pchnął drzwi i wytoczył się na chodnik. Rozegrało się to jak w zwolnionym filmie. Poczuł, że serce mu łomocze.

Ten się nie wywinie.

## 41. Mathias

– Halo! Nie może pan tutaj leżeć!

Mathias poczuł szturchnięcie w bok. Odtrącił szarpiącą go rękę, spróbował się przetoczyć, ale lewą stroną brzucha przeszył mu ból.

– Dzwonię po ochroniarza! Nie może pan tu leżeć.

Zamrugał. Mocne światło płynące spod sufitu sprawiło, że musiał osłonić oczy ręką.

– Proszę się uspokoić – jęknął.

– Nie może pan tutaj leżeć!

– Powiedziałem, żeby się pan uspokoił.

Mathias dzwignął się na kolana. I znów ten ból w boku. I w głowie. Czuł, jakby miała eksplodować. Kucnął z mozołem. Pokój zafalował. Wokół niego piętrzyły się worki, dalej stała duża, srebrzystoszara pralka. Na podłodze przed nim stał ubrany na biało, żylasty mężczyzna. Cofnął się o krok, tak jakby spodziewał się ataku.

– Pójdę – powiedział Mathias. – Niechże się pan uspokoi.

Oparł się ręką o podłogę i zauważył, że w kącie leży materac. Pokrywały go plamy krwi. Spojrzał na swoją odzież. Na koszuli i kurtce widniała krew. Krew na ręce.

– Co do cholery...?

– Dzwonię po ochroniarza.

Wstał. Pomacał obolałe miejsce. Może miał pęknięte żebro. Albo złamane. Mężczyzna cofnął się kolejne dwa kroki. W oczach błysnął mu strach.

Mathias uniósł rękę w odzeganującym geście.

– Pójdę – powiedział. – Pan nie dzwoni po ochronę. Słyszysz pan? Pójdę.

\*

Wytoczył się na korytarz i wkrótce zrozumiał, że wylądował w szpitalnej pralni. Nie miał jednak pojęcia, jak tu trafił. W jego świadomości ziała czarna dziura. Poczul napływające mdłości i stanął. Oparł się o ścianę i wziął głęboki oddech, żeby utrzymać się w pionie. Jego spojrzenie powędrowało niepewnie w głąb korytarza. Wydało mu się, że widzi tam znak, kierujący do toalet. Przez kilka sekund stał, łapiąc oddech, po czym rzucił się naprzód. Dotarł do drzwi łazienki, pociągnął je gwałtownie, pognął do klozetu i otworzył usta. Wymioty buchnęły mu z gardła. Wziął oddech i poddał się kolejnej fali. Wypełniły mu się nozdrza, ale wydmuchał je do czysta. Osunął się przy ścianie. Nie było sensu się ruszać przez najbliższą chwilę. Musiał dojść do siebie.

Upłynął kwadrans. A może godzina. Nie wiedział. Wymiotował jeszcze kilka razy, aż przestał mieć czym poza długimi, krwawymi pasmami. Potem udało mu się wstać i przemyć usta w umywalce. Obejrzał swoje ubrania i skórę w lustrze ściennym. Nigdy jeszcze nie widział siebie takiego bladego, nie zlokalizował jednak żadnego rozcięcia ani innej rany, mogącej tłumaczyć, skąd się wzięła krew. Nathalie, przypomniał sobie. Pieprzona Nathalie. Pamiętał też, że po wyjściu dziewczyn dalej pił przy barze w Pingwinie. Ale później? Jak udało mu się dotrzeć do Haukeland?

Wstał i ściągnął kurtkę i koszulę. Na tej ostatniej nie było co oszczędzać, więc zmiął ją i wrzucił do kosza. Kurtka była wykonana z wodoodpornego materiału i zmył krew pod kranem. Przemył też twarz i wyszorował ręce. Kiedy skończył, nie wyglądał wcale najgorzej. Lepiej się też poczuł. Pomogło opróżnienie żołądka. Teraz potrzebował tylko kilku tabletek paracetamolu i coca-coli, po czym padłby do łóżka. Podszedł do drzwi, ale stanął z ręką na klamce.

Dom. Przecież nie mógł wrócić do domu. Marianne go wyrzuciła. Nathalie kazała mu spływać. Jęknął, otworzył drzwi i wyszedł.

\*

Udało mu się kupić opakowanie paracetamolu w kiosku Narvesen na parterze szpitala i od razu połknął cztery tabletki. Kupił też coca-colę i pojechał schodami ruchomymi do stołówki. Była niedziela i kasy jeszcze nie otwarto. Mathias przespacerował się przez puste pomieszczenie i siadł w kącie przy oknie wychodzącym na taras. Tego dnia pokrywa chmur nie wydawała się ciężka. Miejscami była poprzerywana i wyglądało zza niej błękitne niebo. Pociągnął łyk coca-coli i spróbował wrócić pamięcią do zeszłego wieczora. Tak zakrapiana wycieczka na miasto nie zdarzyła mu się, odkąd skończył liceum. Boże, ile on w siebie wlał. Miał wprawdzie po temu dobre powody, ale takie pijaństwo wykraczało oczywiście poza granice rozsądku. Znów postarał się przypomnieć sobie, co robił po wyjściu z Pingwina. Wydało mu się, że pamiętał jakies zajście z taksówką. I z... kijem bejsbolowym? Jakąś kłótnię. Uderzenie. Uderzono go kijem.

Podciągnął T-shirt i przyjrzał się skórze na żebrach po lewej stronie. Tuż pod sutkiem rozciągało się sinawe przebarwienie.

– Siedzisz tu i się reklamujesz?

Odruchowo pociągnął koszulkę do dołu. Kiedy podniósł wzrok, za stołem stała Thea Michelsen. Miała na sobie zieloną odzież operacyjną. Włosy upięła spinkami, wyraźnie jednak się do tego nie przyłożyła.

– Cześć – szepnęła. Już pulsowało mu w głowie.

– Nie wyglądasz za dobrze. Byłeś na mieście?

Przytaknął.

– Masz coś przeciw, żebym się przysiadła?

– Skądże.

Przesunął ręką po twarzy i wróciły mu wspomnienia z piątkowego wieczoru. Nie minęło dużo czasu, odkąd siedział pod biurkiem Vilde, czując się jak skończony idiota. Czy Thea mogła coś wiedzieć? Położyła na stole drugie śniadanie. Wydawała się pogrążona w myślach. Poczul, że jego serce pracuje coraz spokojniej. Gdyby o czymś wiedziała, już by mu to powiedziała.

Zmusił się do wyprostowania się na krześle. Najlepiej było zachowywać się, jakby nigdy nic. Oparł łokcie na blacie, upił kolejny łyk coca-coli.

– Jak się miewa twoja matka?

Thea nie od razu odpowiedziała. Wzruszyła ramionami, jakby nieszczególnie ją to obchodziło. Dziwna była ta Thea. Taka chuda. Czasami wydawała się bardzo krucha, ale chwilę później robiła się twarda jak kamień.

– Niezbyt dobrze – odparła wreszcie.

– To... przykro słyszeć.

Nie, o niczym nie wiedziała. Wyjrzał przez okno, pomyślał o Ylvie. Mógłby trzymać ją teraz na kolanach. Mógłby poświęcić czas wolny na coś pożytecznego. W zamian za to siedział tutaj, skacowany i obity.

– Lubi cię.

– Co?

– Moja matka. Mówiła o tobie dużo dobrego.

– Naprawdę? To miłe. Sama zresztą jest przyjemną osobą.

– Ale ja... Dlaczego mnie nie możesz polubić, Mathias?

Przyjrzał jej się uważnie. Zero uśmiechu. Tylko chłodne spojrzenie i pozbawiony intonacji głos.

– Polubić cię? Ale przecież cię lubię...

– Nie, wcale nie. No, przyznaj się! To zupełnie w porządku.

– Jesteśmy rywalami – zaczął, ale trudno mu było dobrać słowa, żeby dokończyć myśl. –

Po prostu tak to już jest.

Opadł z powrotem na oparcie krzesła. Tak, chyba tak to już było. Nic z tym nie dało się zrobić.

– Jak było na dyżurze? – zapytał. – Domyślam się, że przysłali wam z pogotowia jakichś Strilów, którzy wdali się w bójkę?

– Miałam jednego, który awanturował się z pielęgniarką, kiedy próbowała pobrać mu krew, i drugiego, który zniknął, zanim zdążyliśmy mu zrobić TK.

Nagle Thea roześmiała się łagodnie. Przyglądał się jej, kiedy rozpakowywała jedzenie. Kto by pomyślał, że w ten weekend będzie jadł z nią śniadanie. Chociaż może nie było to aż tak nieprawdopodobne w porównaniu ze wszystkim innym, co się wydarzyło.

– I obaj mieli pewnie koło trzech promili we krwi?

– Coś w tym stylu, tak. A potem doszedł mi jeszcze ostry krwihak podtwardówkowy.

– Ach tak? – odchrząknął. – Fajnie. Sama go robiłaś?

Thea spuściła wzrok, nagle jakby zawstydzona.

– Ściągnęłam dyżurnego telefonicznego. Blixa. Ale pozwolił mi wszystko zrobić. Nawet nie ubrał się w sterylne ciuchy. To było... – przerwała. Jej oczy nabrały szczególnego blasku. – ...fantastyczne. To znaczy operowanie. Kiedy stałam sama przy stole, poczułam coś w rodzaju...

– ...szczęścia?

Skinęła krótko głową.

– Tak. Szczęścia. Też to przeżyłeś?

Mathias musiał się uśmiechnąć. Czyli jednak była chirurgiem, a nie tylko badaczką, ta Thea Michelsen. Dojrzała od momentu, gdy ją poznał. Była też słodka, o ile tylko się tak nie jeżyła.

– A kto był pacjentem? Czyżby jakiś biedak, który zaplątał się w kolejkę do taksówki przed Zachen?

– Nie. Tym razem wydał mi się całkiem niewinnym facetem.

Thea uniosła kanapkę z salami i ugryzła kęs, który przeżuła, nim ciągnęła dalej:

– To był taksówkarz. Znaleźli go nieprzytomnego poza samochodem w okolicach placu Danmarksplass. Policja uważa, że poszło o pieniądze. Skończył w każdym razie pobity własnym kijem bejsbolowym, który trzymał w samochodzie, żeby bronić się przed takimi właśnie szemranymi klientami. W niezłym świecie żyjemy, co?

Mathias zacisnął ręce wokół butelki coca-coli.

– A ty co wczoraj robiłaś? – dobiegł go głos Thei. – Coś fajnego?

# **Część 3**

## **Bellevue**

## 42. Werner

Poniedziałek rano i jak zwykle za dużo zdjęć rentgenowskich. Pacjenci z całych trzech dni, których przypadki trzeba było przeanalizować, z weekendowym pijaństwem włącznie. Werner usiadł sobie wygodnie w kącie z tyłu sali seminaryjnej, w drodze na górę kupił café latte w kiosku Narvesen. W takie dni przegląd zdjęć rentgenowskich nierzadko trwał trzy kwadransy, ku wielkiemu rozdrażnieniu neurologów, którzy czekali na zewnątrz od wpół do dziewiątej. Mimo to nie ośmielali się nigdy zrobić nic więcej, niż tylko od czasu do czasu dyskretnie zajrzeć zza drzwi, tak jakby chcieli przypomnieć neurochirurgom o swoim istnieniu. Ogólnie łatwo ich było przeoczyć, tych neurologów, z ich pedantyzmem i roztrząsaniem problemów, niezdolnych do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

Werner upił łyk kawy. Cóż za cudowne uczucie, że tego ranka nie ponosił za nic odpowiedzialności. Mógł się rozsiąść i posłuchać drobnych usprawiedliwień, kiedy okazywało się, że guza nie usunięto w całości albo źle ułożono śruby. Milczenie w ciemnym pokoju mogło być bezlitosną odpowiedzią. Siedziałeś i przy wszystkich kolegach zgłębiałeś własną nieudolność jako operatora. Jeśli byłeś mądry, to nie zaczynałeś się wybielać – tak jak to właśnie robił siedzący w pierwszym rzędzie starszy lekarz z Oslo, który pracował tu tymczasowo. Właśnie usiłował wyjaśnić, dlaczego dwie śruby pedikularne znajdowały się częściowo w kanale kręgowym, podczas gdy powinny tkwić w kości.

– Ten facet był po prostu cholernie tłusty, miał warstwę sadła jak mors. Próbowałem zrobić jak najmniejsze cięcie i to właściwie na tym etapie popełniłem błąd. Otwór był za mały, żeby obrócić sprzęt. Ale byłem zupełnie pewien, że...

– Przetaw te śruby dzisiaj w ciągu dnia. Następny pacjent!

Głos Monsa Lohmanna oznaczał ni mniej, ni więcej, tylko wybawienie. Ci Østlandczycy zasługiwali na to, żeby ich czasem usadzić. Wszyscy jak jeden mąż cierpieli na zespół stolicy, który polegał na traktowaniu wszystkich szpitali na prowincji jako drugorzędnych.

– No tak. I tym sposobem doszliśmy do kulminacji sobotniej nocy.

Radiolog uśmiechnął się sztucznie w świetle ekranów w kącie z przodu pomieszczenia. Kolejny pracownik tymczasowy, tym razem ze Szwecji. Wielu ich było w szpitalu. Zwłaszcza na OIOM-ie i bloku operacyjnym. Werner w zasadzie lubił Szwedów. Byli schludni i dokładni, mimo że poczucie humoru nie należało do ich mocnych stron. Przyjrzał się badawczo projekcjom TK, które przesuwają się po ekranie. Na widok białego pasma o grubości półtora centymetra, które półksiężycem rysowało się wokół lewej półkuli mózgu, poczuł głęboką tęsknotę.

Ostry krwiak podtwardówkowy.

Za mało ich się zdarzało tu, w Bergen. Typowe, że taki pacjent trafiał na dyżur akurat pod jego nieobecność. Procedura była czystą przyjemnością. Szerokie cięcie. Obnażenie jednej półkuli czaszki. Wycięcie dużego płata kości, po czym można było rozsunąć na boki twardówkę i zmyć zakrzepniętą krew z powierzchni mózgu.

Werner rozejrzał się dookoła. Do tej pory nikt nie zaczął referować. Siedzący na przedzie Lohmann zaczął kręcić swoim byczym karkiem.

– Kto przyjął pacjenta?

Ktoś mruknął: „Thea”. Lohmann obrócił się do ostatniego rzędu. Zmierzył wzrokiem niewielką grupkę.

– Gdzie ona jest?

Werner odchrząknął. Idąc tego ranka po schodach, przechwycił informację od dwóch rozgadanych pielęgniarek, które schodziły z dyżuru.

– Odłączyli jej matkę. Thea jest w jej pokoju na pododdziale łóżkowym.

Między rzędami krzeseł rozeszły się przytłumione pomruki. Lohmann odwrócił się z powrotem.

– A kto pełnił dyżur telefoniczny? Nie ty, Blix?

– Hm? Tak...

Blix siedział na krześle, pochylony do przodu. Teraz gwałtownym ruchem cofnął się na oparcie i przeczesał ręką niesforne loki.

– Ale ja uczestniczyłem w samej operacji. Na temat historii pacjenta nie mogę w sumie za dużo powiedzieć. Mowa o taksówkarzu. Został napadnięty... jak mi się zdaje. Nie był to w każdym razie wypadek samochodowy. Z tego, co pamiętam, przyjechał zaintubowany... No i tak. Nie było mnie przy tym. Thea zadzwoniła później. Ale...

Werner nie zdołał pohamować szerokiego uśmiechu. Obrócił się do sąsiada, Mathiasa Grande, i szturchnął go w bok. Ten wzdygnął się, jak uderzony pięścią. Werner zrobił przepraszający gest.

– Wybacz – szepnął, ale Mathias nie dał po sobie poznać, czy go słyszał.

Werner zagapił się na profil kolegi. Prosty nos i zapadnięte oczy, tak czule opisywane przez liczne pielęgniarki. Jego grdyka podskoczyła i opadła. Właściwie to nigdy nie rozgryzł Mathiasa Grande. Miły facet, z pewnością, ale trzymał kolegów na dystans.

Demonstracyjnie głośne westchnienie Lohmanna wyrwało go z zamyślenia. Monolog Blixa się urwał.

– Zobaczmy przynajmniej zdjęcia pooperacyjne.

– W porządeczku.

Wesoła zgoda szwedzkiego radiologa wydawała się nie na miejscu – jak gorączkowe próby wodzireja, żeby podtrzymać nastrój. Zdjęcie na ekranie się zmieniło. Teraz białe pasmo przy brzegu czaszki zniknęło. Kilka czarnych bąbelków oznaczało powietrze, które pozostało wewnątrz czaszki po jej otwarciu i zamknięciu. Mózg wrócił na swoje miejsce i przylgnął do kości. Odtworzono symetrię. Niezła robota. Wernerowi Thea stanęła przed oczami. Nigdy się nie uśmiechała. Zawsze taka surowa. Czy będzie za nią tęsknił? Właściwie to tak. Na oddziale brakowało kobiet. A większa liczba pracowników w zastępstwie, zatrudnianych na półroczne umowy, dodawała tylko pracy bardziej doświadczonym lekarzom na stałych posadach. Takim jak on.

– Czy to ja źle widzę, czy tam jest czujnik ciśnienia?

Lohmann się nie poddawał.

– Owszem. To czujnik ciśnienia.

Radiolog przewinął zdjęcia, tak że można było prześledzić bieg kabla, sterczącego z wierzchołka tkanki mózgowej i wystającego przez szczelinę w czaszce. – Poza tym widać, że krew ewakuowano i że jest więcej miejsca.

– Tylko mi nie mówcie, że pacjenta nie wybudzono... Blix?

– Hm...?

– Gdzie jest pacjent?

– Na... Taa... Jestem...

Blix odwrócił się na krześle. Kręcił głową w jedną i drugą stronę. Wyraźnie szukał kogoś, kto mógł wyratować go z opresji. Z odsieczą przybył Ødegård.

– Pacjent jest na OIOM-ie. Nadal jest pod wpływem leków sedatywnych.

– Do jasnej cholery. Ile razy mam to powtarzać?

Pacjentów-z-ostrym-krwiakiem-podtwardówkowym-budzimy-po-ewakuacji. Zrozumiano?

Zebrani zamruczeli na potwierdzenie. Lohmann znowu odwrócił się do tylnego rzędu.

– Kto ma dzisiaj dyżur?



Werner odnotował, że Mathias Grande z wahaniem uniósł rękę. Naprawdę nie wyglądał zbyt zdrowo. Oby tylko czymś się nie zaraził. Może grypą? Nie, na to było jeszcze za wcześnie w sezonie zimowym.

– Proszę załatwić wybudzenie pacjenta podczas wizyty na OIOM-ie, Grande. A teraz musimy iść dalej. Następny!

\*

Poprzedniego wieczora, siedząc w domu na sofie z piwem pszenicznym i spoglądając na staw Store Lungegårdsvann, postanowił zrobić krok naprzód. Deszcz zaczął w okna z każdym podmuchem wiatru, napływającym ku lądowi. W mieszkaniu było jednak ciepło i zacisznie, w duchu miał zaś taki spokój, jakiego nie czuł od bardzo dawna. W jego życiu wszystko trafiło już na swoje miejsce. Przyszedł czas na kolejne posunięcie. Wiedział, że spodobał się Evelyn, nie mógł jednak siedzieć beczynn timer i czekać na jej inicjatywę. Musiał zachować się jak mężczyzna i przejąć dowodzenie. Tego też zapewne od niego oczekiwała. Dlatego wcale nie czuł się spięty, siedząc na zebraniu porannym na siódmym piętrze i czekając, aż skończy się dyskusja. Evelyn opowiedziała o braku wolnych miejsc i o tym, że tego dnia należało wypisać jak największą liczbę pacjentów. Nie odpowiadał na spojrzenia, które mu posyłała. Chciał wzbudzić w niej lekką niepewność przed przypuszczeniem ataku.

– Werner!

To była ona. Podniósł wzrok, udając zaskoczenie. A może za bardzo się postarał? Przesadził?

– Tak, słucham.

– Odpowiadasz dzisiaj za pododdział łóżkowy.

– Tak, wiem – odparł.

W jego głowie odezwała się piosenka *Sheena is a punk rocker*.

*Sheena is a punk rocker*

*Sheena is a punk rocker*

*Sheena is a punk rocker now.*

– Okej. Na tym kończymy!

Mons Lohmann uderzył płaską dłonią w stół. Werner siedział, podczas gdy inni wstawali. Miał dużo czasu, udawał, że nie śledzi poczynania Evelyn, ale kątem oka widział, że starannie złożyła swoje papiery. Zawsze była taka porządna, ta Evelyn. Zawsze taka punktualna. Podobało mu się to.

Posłała mu kolejne spojrzenie, zanim wstała. Przez sekundę się zawahała, potem jednak zakręciła się na pięcie i wyszła za drzwi, które znajdowały się tuż za nim. Pomieszczenie opustoszało. Werner wyszedł ostatni za Blixem. Biedak nie miał dzisiaj najlepszego dnia. Szedł ze zwieszoną głową, kiedy nagle odwrócił się do Wenera w hallu za salą seminaryjną.

– Ej, Werner...

– Tak?

Zobaczył, jak Evelyn wemknęła się do swojego gabinetu w dalszej części korytarza. Drzwi jak zwykle zostawiła uchylone.

– Jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić. Chodzi o... – Blix stał i gestykułował, szukając właściwych słów. – Tak, jak to określić? Czy źle będzie powiedzieć... przedawkowanie?

Werner napotkał niepewny wzrok.

– Skądże. Tak właśnie należy to nazwać.

– Dobrze. – Blix przytaknął gorliwie. Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że zostali

sami, i ciągnął półgłosem: – Zamierzałem ci właśnie powiedzieć, że jak zwykle niezbyt się wykazaliśmy w kwestii rozmowy z tobą po tym, co się stało. Ale...

– Mam się dobrze.

Werner położył rękę na barku Blixa. Starszy lekarz spojrział na niego zdezorientowany.

– Co?

– Jeśli zastanawiasz się, jak się miewam, to odpowiedź brzmi: dobrze.

– Tak... ech... Miło to słyszeć.

– Wybacz, ale mam coś do załatwienia.

– Oczywiście. – Blix odstąpił na bok. – Powiedz, jeśli... tak, jeśli będziesz chciał jeszcze pogadać.

Werner uśmiechnął się do starszego lekarza. Prawdę mówiąc był lekko wzruszony tą niezdarną próbą, ale nie mógł się teraz dekoncentrować.

– Dziękuję. Będę o tym pamiętał.

Przeszedł na ukos przez hall i stanął przed drzwiami Evelyn. Ze środka dochodził stukot klawiatury. Wytrwałe stukanie. Nigdy się nie nadawał do tego, co chciał teraz zrobić. Musiał wziąć się w garść.

*Sheena is a punk rocker*

*Sheena is a punk rocker now.*

Nie zauważyła, że wszedł. Siedziała wyprostowana, z twarzą zwróconą do monitora. Upięte włosy obnażały smukły kark i Wenera ogarnęła ochota, żeby podejść i ją pocałować. Zamiast tego przeszedł bezgłośnie kilka kroków i usiadł na skraju biurka.

Błyskawicznie szarpnęła się do tyłu.

– Boże, ale mnie wystraszyłeś, Werner.

Położyła dłoń płasko na piersi.

– Cześć – powiedział, ale ku swej irytacji poczuł, że jego głos nie zabrzmiał tak pewnie, jak by chciał. – To było długie zebranie, co?

Spróbował się roześmiać. I to wyszło mu tylko w połowie tak przekonująco, jak by sobie życzył. Z ulgą zauważył, że jej usta układają się w uśmiech.

– Poniedziałek rano... Czego tu się spodziewać – odparła, wruszając ramionami. – Ale w czym mogę ci pomóc?

*Sheena is a punk rocker... now.*

– Wiesz... tak sobie myślałem, czy nie zechciałabyś do mnie wpaść któregoś wieczoru. Na kieliszek dobrego niemieckiego wina.

Głos mu zadrzał. Nie zabrzmiało to tak, jak planował. Spuścił wzrok, ale już w następnej chwili zmusił się, żeby go podnieść. Evelyn odsunęła fotel jeszcze dalej do tyłu. Jej ramiona splotły się na piersiach.

– Jak miło. Czy to jakaś szczególna okazja?

Na jej twarzy nie widział żadnych oznak zrozumienia.

– Bez okazji, nie. Chodzi o to, że... – urwał, wziął wdech. – Lubię cię, Evelyn. *Ich liebe dich.*

Skąd przyszły niemieckie słowa? Przełknął ślinę, poczuł w ustach lepkość i nieświeży smak. Evelyn zapatrzyła się na niego. Z jej ust zniknął już wszelki ślad uśmiechu. Oczy się rozszerzyły, był w nich smutek.

– Och, Werner... – westchnęła. Ręce opadły jej na kolana. Palce się szczepiły. – Jestem mężatką, Wernerze. Mam dwójkę dzieci.

– Wiem o tym. Ale...

Drżenie w jego głosie się nasiliło. Zauważył, że ręce też mu się trzęsą, więc je zaplótł.

Dwukrotne pukanie do drzwi sprawiło, że unieśli wzrok. Chwilę później drzwi się otworzyły.

– Evelyn, jest coś... O, przepraszam.

Ødegård stał w progu, gapiąc się jak zbaraniały. Evelyn podjechała na fotelu i wstała.

– Nie szkodzi. Myślę, że skończyliśmy. Chyba że jest jeszcze coś, Wernerze?

Spojrzał na nią. Cała jej postawa tchnęła wymuszoną życzliwością. Znów przełknął, ale zły posmak nie zniknął. Potrząsnął głową, spróbował zebrać siły, by wstać. Wydało mu się jednak, że w jednej chwili stracił całą energię. Chciał się położyć. Zwinąć się i zastygnąć na podłodze.

## 43. Mathias

– Karsten Isaksen?

Mathias podniósł wzrok znad papierów leżących na stole u stóp łóżka i przyjrzał się mężczyźnie, którego miał przed sobą. Pacjent leżał z górną połową ciała uniesioną o trzydzieści stopni. Jego oczy były zamknięte, a głowa okolona czarnymi jak noc włosami zapadła się w poduszkę. Usta miał otwarte i wystawała z nich skręcona, przylepiona taśmą rurka.

Coś mu podpowiadało, że powinien czuć ulgę, bo naprawdę nie poznawał tego mężczyzny. Ale czy to wrażenie było coś warte? Przez ostatnią dobę raz po raz analizował ułamki wspomnień z sobotniej nocy, usiłując znaleźć wyjaśnienie, dlaczego obudził się zбитy na kwaśne jabłko i pokrwawiony. Wszystkie obrazy, które udało mu się przywołać w pamięci, były ciemne i niewyraźne. Przypominał sobie wprawdzie, że wziął taksówkę, tak, ale za nic w świecie nie pamiętał, żeby kogoś uderzył.

– Mamy go obudzić? ICP utrzymywało się na niskim poziomie przez ostatnią dobę.

Pielęgniarz prowadzący pacjenta wskazał na aparat do pomiaru ciśnienia, umocowany na łóżku, u wezglowia. Mathias odnotował wartość liczbową. Trójka zmieniła się na czwórkę, żeby znowu opaść do trójki.

A co, jeśli się mylił? Co, jeśli Karsten Isaksen zbudzi się i powie, że to on, Mathias Grande, go pobił? I co na to policja? Czy go zatrzymają? Wziął taksówkę, miał na sobie krew i ewidentnie brał udział w bójce. Upewnił się przynajmniej, że niczego nie zostawił w aucie. Miał wszystko. Portfel, kartę bankową, czapkę i rękawiczki, zegarek. Nic nie pozwoliłoby go powiązać z napadem. Nie posłużył się też kartą, żeby zapłacić za taksówkę. Sprawdził to już w banku przez internet.

– Mamy go budzić czy nie?

Ton pielęgniarza stał się wyraźnie bardziej napięty. Mathias skinął głową.

– Można go obudzić.

– Świetnie, w takim razie zawiadomimy pana, jeśli coś się stanie. Jeszcze tylko taki drobiazg, zanim pan pójdzie...

Pielęgniarz oparł się o blat, przymocowany do końca łóżka i postukał palcem w karteczkę. Był na niej zapisany numer telefonu.

– Dzwoniła policjantka. Chciała uzyskać nowe informacje. Mógłby się pan tym zająć?

\*

W słuchawce odezwał się rzeczowy kobiecy głos, który odrobinę się rozchmurzył, kiedy Mathias się przedstawił.

– Dobrze, że pan dzwoni. Chętnie usłyszemy, co się dzieje. To przykra sprawa.

Mathias rozejrzał się dookoła. Siedział w pokoiku za ladą recepcji. Nikt go tu nie słyszał.

– Nie, to... takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.

– Z tego, co zrozumiałam, pan Isaksen był wczoraj operowany. Jaki jest dalszy plan? Nie będzie już więcej operacji?

– Skądże. Krwiak... to znaczy krew, która się u niego zebrała, została usunięta... pozostaje nam już tylko wybudzić go z narkozy.

– A rokowanie?

– W najlepszym razie obudzi się i będzie taki jak wcześniej. W najgorszym – doznał uszkodzenia mózgu, którego nie można stwierdzić na podstawie zdjęć z tomografu.

– Chcielibyśmy uzyskać jego zeznanie. Może pan określić, kiedy to będzie możliwe?

- Jeżeli obudzi się dzisiaj, to myślę, że będą państwo mogli porozmawiać z nim jutro.
- Byłoby wspaniale.

Rozległo się stukanie w klawiaturę. Policjantka najwyraźniej siedziała i pisała.

Mathiasowi przyszło coś do głowy i nie namyślając się, zaczął mówić:

– Krewny pacjenta zastanawiał się, czy wiedzą państwo, co się wydarzyło. Wiem, że rozmowa z krewnymi to nie moja działka, ale...

– Kto to był?

Mathias zacisnął oczy. Zbyt szybko się pospieszył.

– Ech... jakiś mężczyzna.

– Brat?

– Być może.

– Z pewnością brat. Ciągłe do nas wydzwania. Proszę się nim nie przejmować.

Powiedzieliśmy mu, że nadal pracujemy nad hipotezą o napadzie rabunkowym i mamy w posiadaniu pewien przedmiot, który próbujemy zidentyfikować. On już to wie. Niech pan go do nas odeśle!

– Pewien... przedmiot?

– Szalik. Przepraszam, ale więcej nie mogę powiedzieć. Większość informacji zamieszczono w dzisiejszym wydaniu „Dziennika Bergeńskiego”. Do usłyszenia!

Mathias odłożył słuchawkę.

Wychodząc z Pingwina, zorientował się, że w kieszeni kurtki miał szalik Nathalie. Teraz to pamiętał. Obrócił się, żeby wrócić do baru, ale w drzwiach zatrzymał go ochroniarz. Był zbyt pijany. Gdzie się podział szalik? Nie miał go przy sobie, kiedy obudził się w szpitalu. Tego był pewien.

Usłyszał zbliżające się kroki. Wkrótce zobaczył, że zza rogu wychodzi pielęgniarz.

– Odstawiliśmy sedację. Pójdę po anestezjologa. Mógłby pan w międzyczasie popilnować pacjenta?

Mathias wstał i wrócił do pokoju. Zaczynało już do niego docierać, że właśnie nakłamał policji. Przystanął i zagapił się na mężczyznę w łóżku.

Karsten Isaksen.

Co opowie, gdy się obudzi? Czy w ogóle będzie coś pamiętał?

Mathias zerknął na aparat do pomiaru ciśnienia. Pokazywał wartość 2 mmHg. Całkiem w normie. Mężczyzna prawdopodobnie nie doznał żadnego innego urazu poza przerwaniem żyły mostowej, wskutek czego powstał krwiak podtwardówkowy. W pełni wyzdrowieje. Obudzi się w ciągu kilku godzin. Rześki i zdrowy, i spragniony zemsty.

Obejrzał się przez ramię. W korytarzu zewnętrznym nie było nikogo. A co, gdyby podczas wybudzania pacjenta ciśnienie wewnętrzczaszkowe nieproporcjonalnie wzrosło? W takich przypadkach anestezjolodzy nierzadko uznawali za stosowne, by o kilka godzin przedłużyć sedację. Zyskałby wówczas trochę więcej czasu na przemyślenie sytuacji i znalezienie wyjścia.

Zawrócił i zamknął drzwi do pokoju. Należało działać szybko przed powrotem pielęgniarki. Pospieszenie podszedł do aparatu do pomiaru ciśnienia.

Numer kalibracji. Wystarczyło zmienić numer kalibracji.

## 44. Thea

Mozolny wdech. Tułów matki wyprężył się i zastygł w łuku, a usta chwyciły powietrze. Potem nagle opadła z sykiem.

Thea wyprostowała się na krześle. Złapała matkę za rękę. Jej dłoń była teraz lepka i wilgotna. Thea zerknęła na ojca, który siedział oparty w fotelu po drugiej stronie łóżka. Jego głowa przechyliła się na bok, jak łódź na mieliźnie, okulary zsunęły się po nosie. Z ust dobiegało senne postękiwanie.

Przeniosła spojrzenie z powrotem na matkę. Kolejne zachłyśnięcie. Zwisający bezwolnie podbródek, pierś unosząca się, jak pod działaniem maszyny. I wydech, bez oporu.

Thea wyciągnęła rękę i położyła ją na czole matki. Odgarnęła palcami grzywkę znad wilgotnej skóry.

Zrób teraz wdech, mamó! Jeszcze raz!

Pozwoliła swej ręce zsunąć się na szyję umierającej, odnalazła palcami tętnicę. Pulsowała pod skórą mocno, bez wytchnienia. Przynajmniej na razie.

Zrób wdech! Jeszcze raz!

Thea poczuła napływające łzy. Napierały, mimo że z całej siły usiłowała je zatrzymać. Zaraz pocięły jej po policzkach.

No, zrób wdech, mamó! Jeszcze raz.

Tylko ten jeden raz...

\*

Nie zastała nikogo w korytarzu, kiedy wyszła. Dało się słyszeć tylko szum telewizora, dobiegający z dyżurki. Truchtem dotarła do drzwi prowadzących na klatkę schodową i wymknęła się za nie. Tam opadła przy ścianie i podciągnęła uda do piersi. Ukryła twarz w kolanach i poddała się napływającej fali. Siedziała tak do czasu, aż się uspokoiła, potem odchyliła głowę i próbowała otrzeć oczy rękawami swetra. Na nogawkach spodni pojawiły się plamy wilgoci. Zastanowiła się, czy nie zbudzić ojca, ale odepchnęła od siebie tę myśl. Nie miała siły słuchać jego samooskarżeń, że nie czuwał, kiedy to się stało. O ile w ogóle by to sobie wyrzucał.

Odebrała go z lotniska dzień wcześniej. Kiedy jechali samochodem, swoim rzeczowym głosem zapytał ją, co się stało. Odpowiedziała mu tym samym tonem. Nie poruszyli żadnych niebezpiecznych tematów. Jej zaś udało się zapanować nad irytacją, która w ostatnich dniach ciągle w niej narastała.

Ojciec nie protestował też podczas rozmowy z Kariną Sandemann, którą odbyli kilka godzin później. Anestezjolog przyszła do szpitala wieczorem w tym jednym celu, żeby się z nimi spotkać. Ekstra serwis, jak to nazwała.

Ekstra serwis, odłączenie od respiratora.

Potem siedzieli po obu stronach łóżka na szóstym piętrze. Ojciec i córka. Każde z nich zrobiło sobie tylko parę przerw. Czekali na ostatni oddech.

Cóż, było po wszystkim.

Co teraz?

W nogach odezwało się klucie, więc wstała. Ruszyła w dół po schodach, żeby przywrócić krążenie. Wkrótce jej nogi wróciły do dawnego stanu. Wydawały się takie lekkie. Idąc w dół, brała po dwa stopnie, trzymała się barierki i zakręcała na podestach. Dotarła na drugie piętro i poszła dalej po schodach ruchomych przed stołówką. Biegła, podczas gdy schody jechały, zeskoczyła u ich podnóża i ruszyła do kolejnych. Wreszcie znalazła się poza budynkiem.

Przebiegła koło banku krwi i skierowała się w stronę wyjścia od północy. Miała na sobie tylko sweter, ale powietrze na zewnątrz nie było znowu takie zimne. Ruszyła dalej po asfalcie, mijając wszystkie zaparkowane samochody, aż znalazła się pod gołym, nocnym niebem.

Zatrzymała się i odetchnęła. W głowie łomotało jej tętno. Poczowała, że z nieba spadają pojedyncze krople. Wokół nie było żywego ducha. W powietrzu niósł się tylko szum samochodów. Zapatrzyła się w dal drogi, prowadzącej obok cmentarza po jednej stronie i szpitala po drugiej. Potem pobiegła. Najpierw spokojnie. Stopniowo szybciej i szybciej.

## 45. Mathias

„Gdzie jest, do cholery, mój szalik, ty pieprzony draniu! Chcę go mieć w tej chwili!!! Inaczej zrobię cholerną aferę...”

Esemes od Nathalie nie zostawiał wiele do interpretacji. Mathias opuścił telefon. Szalika nie było. Wspomniano też o nim w „Dzienniku Bergeńskim” – tak jak mówiła policjantka. Poszukiwano pasażera, który siedział w taksówce. Precyzowano, że chodziło o uzyskanie jego wypowiedzi w roli świadka. Nic więcej. Ale jak głupim trzeba by było być, żeby nie zrozumieć, że oznaczałoby to wciągnięcie do sprawy?

Pisnął pager. Mathias zerknął na wyświetlacz i rozpoznał numer wewnętrzny pododdziału łóżkowego. To mogło chwilę poczekać. Był środek nocy. Pochylił się nad biurkiem, usiłując się skupić. Co miał zrobić? Zgłosić się na policję? A może zaryzykować, że nikt się nie dowie, do kogo należał szalik? Taksówkarz nadal leżał pogrążony w głębokim śnie. Zmiana numeru kalibracji była genialnym ruchem. Poziom ciśnienia wzrósł do 18 mmHg, a kiedy przyszedł anestezjolog, uzgodnili, że utrzymają sedację przez jeszcze jedną dobę, zanim spróbują go wybudzić.

Jeszcze jedna doba, tak. Nie pozostało z niej już więcej niż 3–4 godziny. A kiedy przyjdzie rano, możliwe, że będzie w tym samym położeniu.

Pager znów się odezwał. Mathias spuścił wzrok, żeby na niego spojrzeć. Znowu ten pododdział łóżkowy. Wyciągnął się po telefon, wprowadził numer i czekał na odpowiedź.

– Oddział Neurochirurgii, z tej strony Liv.

– Cześć – powiedział. – To ja.

– O, cześć! Wiesz... – głos pielęgniarki osłabł. – Mamy zgon.

– Zgon? Kto umarł?

Oddech w słuchawce, potem szept.

– Matka Thei. Potrzebujemy cię tutaj, żebyś obejrzał zwłoki.

– A Thea nie może? Przecież jest z wami.

– No wiesz! Daj spokój. Nie możemy jej prosić o oględziny zwłok własnej matki! Poza tym wyszła. Nie wiemy, gdzie się podziała.

Wziął wdech.

– Okej – odparł. – Idę.

\*

Kiedy Mathias wszedł do pokoju, z krzesła przy łóżku podniósł się ojciec Thei. Był korpulentnym mężczyzną o wyrazistych, grubo ciosanych rysach i gęstej, sztywnej czuprynie. Ogólnie miał niewiele cech, które dałoby się rozpoznać u córki. Mathias przywitał się milczącym skinieniem głowy. Ojciec otarł oczy i burknął ciche „dzień dobry”, po czym obaj podeszli do łóżka. Matka Thei leżała z otwartymi ustami i rozpuszczonymi włosami na białej poduszce. Kołdrę miała podciągniętą do piersi, ręce splecione na brzuchu. Jej skóra nabrała już żółtawej barwy. Nie pozostało w niej nic z tej ożywionej neurotyczki, z którą rozmawiał przed weekendem.

Mathias nachylił się i uniósł powieki. Rogówki były matowe, a powieki osunęły się samoczynnie. Dwoma palcami dotknął tętnicy szyjnej. Brak tętna. To była rutyna. Pozostało mu tylko osłuchanie klatki piersiowej. Potem mógł iść.

Wy dobył stetoskop z kieszeni fartucha i zwrócił uwagę, że ojciec Thei stoi po drugiej stronie łóżka, śledząc jego poczynania. Rozpiął górne guziki koszuli matki i odsunął materiał na



bok. Potem włożył do uszu oliwki i przyłożył głowicę stetoskopu do piersi.

– Czy przypadkiem...

Ojciec urwał. Mathias przesunął głowicę po piersi. Osluchiwał najpierw lewe płuco, potem prawe, a na koniec serce. Nic. Oczywiście, że nic.

– Tak? – zapytał, zwijając stetoskop.

– Czy przypadkiem nie widział pan Thei?

– Przepraszam. Nie widziałem.

– Nie było jej, kiedy się obudziłem. Nie wiem, gdzie jest i...

Ojciec z opanowaniem wziął oddech. Jego spojrzenie powędrowało w stronę łóżka.

Mathias włożył stetoskop do kieszeni fartucha, wymamrotał krótkie pożegnanie i wyszedł.

Opuściwszy pokój, pospieszył prosto do gabinetu. Usiadł w fotelu biurowym. Pomyślał o Marianne, potem o Ylvie. Nie widział ich już od piątku. Co on właściwie wyprawiał?

Wziął telefon, który odrzucił na biurko. Chciał z kimś porozmawiać. Kogoś się poradzić. Nie wierzył, że sam z tego wybrnie.

Otworzył skrzynkę z odebranymi wiadomościami i ominął wszystkie esemesy, które w ostatnich dniach dostał od Vilde. Nie miał siły jej odpowiadać. To byłoby bezcelowe. Wkrótce dotarł do wiadomości, której szukał. Przesłała ją Marianne.

„W ogóle się nie odzywasz. Gdzie jesteś? Zadzwoń!”

Siedział, czytając wiadomość raz po raz, po czym opuścił rękę i odłożył telefon.

Nie. Nie Marianne. Ona nigdy tego nie zrozumie.

## 46. Werner

Evelyn nie zwracała na niego uwagi. Nawet nie patrzyła w jego stronę.

Werner siedział na krześle na zebraniu porannym i próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd wparował do jej gabinetu i siadł na biurku. Dwadzieścia cztery godziny, odkąd powiedział „Ich liebe dich”. A teraz go unikała. Spojrzał na listę pacjentów, leżącą przed nim na stole. Powinien śledzić to, co mówiono dzisiaj o każdym z nich, ponieważ pełnił dyżur, ale jak dotąd nie zrobił żadnych notatek. Nie miał siły uważać.

Poprzedniego dnia wcześniej wyszedł z pracy. Wrócił prosto do domu i położył się na łóżku. Zagapił się w sufit. Wieczorem wstał i włączył płytę Ramonesów. *Leave Home*. Równie dobrze mógłby nastawić Britney Spears. *Gimme gimme shock treatment* brzmiało beznadziejnie i takie też w sumie było. *Oh oh I love her so* – jeszcze gorzej. Ramonesi mu nie pomagali. Nic mu nie pomagało. Czuł się nieskończenie samotny.

– Kto pełni dyżur?

Werner podniósł wzrok i skinął głową w odpowiedzi na pytanie Lohmanna.

– Świetnie! To by było na tyle.

Nogi krzeseł zazgrzytały o podłogę. Evelyn wstała równocześnie ze wszystkimi innymi. Werner śledził ją wzrokiem. Okrążyła stół, przyciskając papiery do piersi, i wyszła, nie podnosząc wzroku. Nagle jakby przestał istnieć. Ukrył twarz w dłoniach i pochylił się nad stołem. Nie wiedział, czy miał siły na ten dyżur. Cała doba wypełniona cudzą chorobą i cierpieniem. Siedział tak, oddychając w dłonie. Wokół niego zapadła teraz całkowita cisza. Inni już wyszli. Opuścił ręce z powrotem.

Musiał spróbować iść dalej. Obchód czekał.

\*

W pielęgniarkach z OIOM-u było coś irytującego. Gdy o coś pytali, zawsze wiedzieli, co chcą usłyszeć. Problem w tym, że sami nie mieli mandatu na udzielenie sobie tejże odpowiedzi. Musieli do kogoś zadzwonić i spytać, po czym kontynuowali wypytywanie do czasu, aż usłyszeli to, na co czekali.

Werner pochylał się nad stołem, który stał w dole łóżka w pomieszczeniu na OIOM-ie, i przyglądał się badawczo wynotowanym wartościom. Tutejszy pielęgniarkę nawijał o pomiarach ICP. Początkowo ciśnienie było niskie. Potem spróbowali wybudzić pacjenta, ale ciśnienie nagle skoczyło do wysokiego poziomu i musieli utrzymać sedację. Nowa TK wykazała całkiem dobre warunki wewnątrz czaszki i dużo miejsca. Nie doszło do ponownego krwotoku, nie było też żadnych uchwytnych przyczyn wysokiego ciśnienia. A jednak nie przestawało rosnać. Aktualnie utrzymywało się w okolicach 25.

– No więc teraz zastanawiam się, jaki jest plan?

Werner napotkał natarczywe spojrzenie. To był ostatni pacjent. Wkrótce będzie mógł pójść się położyć w dyżurce, zagapić się na kopułę dachu i po prostu przestać myśleć, przynajmniej do chwili, kiedy odezwie się pager.

– Muszę się rozmówić z dyżurnym telefonicznym.

– A co tu omawiać? Albo trzeba założyć pacjentowi dren, albo obniżyć ciśnienie w inny sposób. Może usunąć fragment czaszki? Czy nie to zwykle robicie?

– Zobaczymy.

– Tak, ale wie pan, czas leci. Ciśnienie wynosi teraz 25. A jakie będzie, kiedy coś

zdecydujecie? Może 40? Gdyby to mój brat tutaj leżał, to bym się nie wahał.

Werner jeszcze raz zerknął na wypisane wartości. Pielęgniarka miała świętą rację. Przez ostatnią dobę ciśnienie szło w jednym kierunku. Mogło to oznaczać, że mózg zaczął puchnąć.

– Przypomni mi pan, jaki był mechanizm powstania urazu?

– Kij bejsbolowy. Pobicie w nocy z soboty na niedzielę.

Werner przytaknął. Pamiętał. Taksówkarz, który miał pecha do pasażera. Po świecie krążyło wielu szaleńców. Nawet w małym Bergen.

– Może pan pójść po anestezjologa?

Spojrzał na pielęgniarkę. Na ustach tamtego rozlał się uśmiech. Uzyskał to, co chciał.

– Jedną chwilę.

Po wyjściu pielęgniarki Werner zagapił się w przestrzeń. Właściwie to nie miał teraz szczególnej ochoty na operację. Może udałoby mu się powierzyć to zadanie dyżurnemu telefonicznemu? Mógł powiedzieć, że źle się czuje. Tak właśnie było. Nie mógł jeść. Czuł się zupełnie bezsilny.

Okrążył łóżko i podszedł do aparatu do pomiaru ciśnienia. Coś tu nie grało. Warto było podjąć prosty test. Przytrzymał przycisk zasilania, dopóki nie zgasł ekran. Potem znowu nacisnął guzik. Z pudełka dobiegł głośny cyfrowy sygnał. Może powinien pójść do Evelyn jeszcze raz? Mógłby przeprosić, powiedzieć, że ją rozumie... Nie. To nie był dobry pomysł. Odrzuciła go. Nie powinien popełniać tego samego błędu, co z Hanne. Tym razem uszanuje odmowę.

Na ekranie wyświetlił się numer kalibracji. 512. Już miał nacisnąć guzik, żeby zaakceptować, ale się powstrzymał. Numer kalibracji był zawsze zapisany na karcie znieczulenia, która towarzyszyła pacjentowi po operacji. Obrócił się, podszedł do łóżka i zaczął przeglądać papiery.

Problem w tym, że będzie ją odtąd spotykał każdego ranka. A ona w dalszym ciągu będzie go ignorować. Przypomniał sobie dzień, w którym Hanne zadzwoniła do niego w szpitalu. Nieprzyjemne uczucie rozlało mu się w żołądku. Co mu powiedział psychiatra? Że ważna jest żałoba. Kończenie raz zaczętej myśli. I proszenie o pomoc w razie nawrotu niezdrowych tendencji.

Nadal przerzucał kartki. Wreszcie trafił na formularz, którego szukał. Po prawej stronie zakreślono na nim wartość kalibracji. 498. Podniósł wzrok. Na ekranie pudełka przed nim nadal widniała liczba 512.

Coś mu podpowiadało, że łóżko w dyżurce wcale nie było tak daleko.

## 47. Thea

– Musisz ze mną porozmawiać, Theo.

Głos ojca brzmiał, jakby był na skraju płaczu. Upewniła się, czy ją to obchodzi. Nie obchodziło.

– Niczego nie muszę – odparła, nalewając sobie szklankę coca-coli. Stała przy oknie na stacji. Ojciec nie wiedział, gdzie mieszkała. Nie mógł jej tu znaleźć. Pewnie siedział teraz w swoim pokoju w hotelu dla pacjentów i ich rodzin i gapił się w ścianę. Czuł się osamotniony.

– Theo... Proszę cię!

– Jest za późno. Ona nie żyje. Możesz wracać do domu!

Piła coca-colę, patrząc przez okno. Po stromej ścieżce za budynkiem akademika szła kobieta, tocząc wózek dziecięcy. Pochylała głowę i wyprostowanymi rękami pchała wózek, żeby utrzymać go w ruchu.

– Nie poddam się tak łatwo.

– No to nie.

– Nie wyjadę stąd, dopóki się ze mną nie spotkasz.

– A co z pracą? Teraz może poczekać czy jak?

O. Wreszcie się przyknał. Kobieta na zboczu zatrzymała się, żeby zrobić sobie przerwę. Włosy wisiały jej strąkami nad twarzą. Sapała wyraźnie. Thea pomyślała o matce. O jej ostatnim oddechu. Tak, była przy tym. Jaką to miało wartość teraz, po czasie? Co to dla niej właściwie znaczyło? Niewiele. Nie czuła nic.

– Tak, praca może poczekać. To ważniejsze. Poza tym trzeba się zająć sprawami praktycznymi. Kremacją, pogrzebem...

– Możesz mi wysłać zaproszenie.

– Theo... Proszę cię!

– Zaczynasz się powtarzać. Muszę lecieć. Cześć!

Kliknęła w telefon, żeby zakończyć połączenie, i nadal wyglądała przez okno. Kobieta na zewnątrz ją zauważyła. Przez sekundę ich spojrzenia się spotkały. Kobieta zamknęła usta, wydawało się, że zagryzła zęby, po czym wcisnęła głowę między barki i popchnęła wózek dalej.

Co ten ojciec sobie myślał? Ona tu przez dwa miesiące męczy się z matką, a on przyjeżdża na ostatnie godziny, żeby grać rolę troskliwego męża i dobrego ojca. Tak po prostu nie mogło być.

Zerknęła na zegar nad drzwiami i jednym haustem dopiła resztę coca-coli. Za pięć piąta. Czas było przenieść się do kuchni. Kardiolog, który wynajmował stancję naprzeciwko niej, zwykł zabierać się do gotowania równo o siedemnastej. Wiele razy irytowała się, że zajmował wszystkie palniki. Jens Nicolaysen był pedantem, jakich mało. Nigdy nie widziała, żeby robił sos z torebki. Wszystko przyrządzał od podstaw. Była pewna, że to jego powinna spytać o radę. Chociaż pytania musiała nieco zakamuflować.

\*

– Czyli twoja przyjaciółka była badana tu, w Bergen?

Jens Nicolaysen stał pochylony nad rondelkiem i niecierpliwie dźgał kawałek masła, który zdawał się nie dość szybko rozpuszczać. Ziemniaki gotowały się na wolnym ogniu na wewnętrznym palniku. Stek już doprawił i wstawił do piekarnika. Thea oparła się o parapet i przyglądała się niskiemu facecikowi podczas pracy.

– Nie – odparła. – W Rikshospitalet.

– I co wykryli?  
– Angiografia wykazała stenozę w dalszym odcinku międzykomorowej przedniej. Wydaje mi się, że mierzyła nieco mniej niż pięćdziesiąt procent.  
– Nie więcej, aha. Jeżeli stenozą ma mniej niż pięćdziesiąt procent, to często rezygnujemy ze stentowania. Oczywiście w zależności od objawów. No, a test wysiłkowy. Robiła go? Nicolaysen obrzucił ją wzrokiem, łapiąc opakowanie mąki.  
– Sztuczka polega na tym, żeby poczekać, aż masło wystarczająco zbrązowieje. Jeśli nie zrobi się porządnie brązowe, to i sos będzie za jasny. Nie pomaga wtedy nawet karmel. Ale mów dalej!  
– Tak, miała robiony test wysiłkowy. Nie zauważyli żadnych pewnych oznak obniżenia odcinka ST, ale ona naprawdę jest w bardzo dobrej formie. Nie wiem, czy to może utrudnić wykrycie niedokrwienia na EKG.  
– Tak. Właśnie w tym rzecz. Bo wiesz, test wysiłkowy jest pomyślany dla zwykłych ludzi. Takich jak ja. A poza tym nie ma do niego klucza. Przynajmniej nie w przypadku kobiet. Znow uniósł wzrok.  
– Właśnie tak brązowy ma być. Zobacz!  
Thea posłusznie odepchnęła się od ściany i przeszła przez pomieszczenie. Zajrzała do rondla.  
– Dokładnie, tak.  
– Teraz dodajesz trzy płaskie łyżki mąki pszennej. Jedna... druga... trzecia. O, proszę. Nicolaysen porwał trzepaczkę z blatu kuchennego i zaczął rozrabiać mąkę z masłem.  
– To nie wydaje się aż takie trudne. – Thea uśmiechnęła się. – Ale co sądzisz o jej ambicjach? Bieg „Stoltzekleiven Opp” to dość twardy orzech do zgryzienia.  
– Przypomnisz mi, jak długa była ta trasa?  
Thea z trudem stłumiła zrezygnowane westchnienie. Nie spotkała dotąd w Bergen nikogo, kto nie znałby tego wyścigu. Chciała po prostu posłużyć się jego przykładem jako ilustracją, żeby ułatwić Nicolaysenowi zrozumienie, o co jej chodziło.  
– To schody na górę Sandviksfjellet, które mają mniej więcej osiemset stopni. Deniwelacja wynosi jakieś trzysta metrów. Cały czas jest pod górkę.  
– Boże, to brzmi forsownie.  
Nicolaysen złapał karton mleka.  
– Patrz, jak mało dolewam za jednym razem. Zdradzę ci, że gdybym dodał więcej, to porobiłyby się grudki.  
– Trenuje trochę na podbiegach i ją to męczy, ale nigdy nie ma bólów w klatce piersiowej. Nie tak dawno przebiegłyśmy się po Vidden. Poszło całkiem gładko.  
– Ale wiesz, dusznica nie musi objawiać się bólem. Zadyszka też może oznaczać niedokrwienie, prawda. Wygląda na to, że twoja przyjaciółka może spokojnie dalej uprawiać jogging, ale mogłaby poczekać ze zgłaszaniem się na ten wyścig, o którym wspomniałaś. Ewentualnie spróbować najpierw swych sił na innych górkach. Jak się nazywał ten bieg? Stolte...?  
– Stoltzekleiven Opp.  
– Tak, racja. Stoltzekleiven. Skrajne wyczerpanie może być kroplą, która przeleje czarę. Ważne, żeby o tym pamiętać. Zobacz, jaki się zrobił brązowy i smakowity!  
Przechylił rondel. Thea zajrzała do niego. A i owszem. Sos wyglądał na brązowy i smakowity. W kuchni rozniósł się też przyjemny zapach.  
– Jesteś pewna, że nie chcesz spróbować? Nie pogardziłbym towarzystwem.  
Thea potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję – dodała. – Ale pozwól mi dokończyć sprawę przyjaciółki. Co miałeś na myśli, mówiąc o kropli, która przeleje czarę?

Nicolaysen odstawił rondel.

– Tak. Co ja właściwie chciałem przez to powiedzieć? Ano to, że jeśli jej serce nie będzie zaopatrywane w dostateczną ilość tlenu, to może się naprawdę źle skończyć. Może dostać zawału, ostrej niewydolności serca, może też wystąpić arytmia i zatrzymanie krążenia. A nikt nie chce, żeby mu się to przytrafiło w samym środku lasu, czyż nie?

Thea przytaknęła.

– Masz rację – przyznała. – Najlepiej będzie, jeśli z nią porozmawiam.

– Zrób to. – Nicolaysen podniósł pokrywkę garnka z ziemniakami i wbił widelec. – Już dobre. Ostatnia szansa. Będę miał towarzystwo czy nie?

Thea zerknęła przez okno. Tego wieczora było sucho. Dowiedziała się już, czego chciała. Jej plan trzymał się kupy. Teraz potrzebowała przebieżki, żeby móc pomyśleć. I przeciwżyć podbieg na stromym odcinku drogi na Ulrikken. Musiała być przygotowana.

Wciągnęła zapach jedzenia, wypełniający pomieszczenie. Przecież każdy miał prawo od czasu do czasu trochę się rozpieścić.

– Przekonałeś mnie – powiedziała. – Przyjmuję zaproszenie.

## 48. Mathias

Ylva krzyczała. Szedł drogą. Padał rześisty deszcz i zdążył przemoknąć do suchej nitki. Usiłował iść szybciej, ale czuł się tak, jakby włókł za sobą bloki betonu. Podniósł wzrok i w oddali zobaczył światło.

– Ylva!

Jego głos poniósł się echem. Odkrył, że trafił do korytarza, na którego końcu stało łóżko. Zauważył, że coś się w nim ruszało. Kołdra falowała, jakby nad wierzgającymi nogami. Krzyki jednak ucichły. Rzucił się biegiem. Nagle się potknął, ale wstał i biegł dalej.

– Ylva! – spróbował znowu, ale głos go zawiódł. Był taki zdyszany. Taki zmęczony. Chciałby móc się położyć. Mimo to stawiał nogę za nogą. Nie mógł się poddać. Od celu – szpitalnego łóżka – dzieliło go już ledwie kilka metrów. Wyciągnął rękę i uczeplił się słupka. Kołdra była naciągnięta na głowę leżącej.

Oby tylko nic się nie stało.

– Ylva – szepnął. Trzęsącymi się rękami ujął skraj kołdry i odrzucił ją na bok.

Na widok czarnowłosej głowy cofnął się o krok. W łóżku leżał mężczyzna.

Taksówkarz.

Mężczyzna podniósł się na łóżku. Wycofując się, Mathias poczuł uderzenie w głowę. Upadł na podłogę.

– Nie bij! Nie...

Wymachiwał rękami. Uderzył w coś twardego. Rozchylił powieki. Zrozumiał, że leży i wpatruje się w szafkę. Taksówkarz zniknął. Mathias przewrócił się na plecy i poczuł coś miękkiego pod głową. Była to poduszka na materacu, na którym spędził ostatnie noce. Dotknął czoła. Tuż u nasady włosów coś go zabolalo. Najwidoczniej przewrócił się i uderzył głową o szafę.

Usiadł. Spojrzeniem odnalazł zegar, wiszący nad drzwiami. Była środa rano, wpół do siódmej. Oznaczało to, że do porannego zebrania zostało jeszcze półtorej godziny. Przetarł twarz rękami i próbował oczyścić głowę z myśli. Potem wstał.

Stołówki jeszcze nie otwarto, przybrał więc swój najbardziej promienny uśmiech i poprosił jedną z młodszych pielęgniarek, żeby wydała mu porcję pacjenta, który pościł przed operacją. Tym razem też zadziałało. Czekać na tackę, przystanął i zapatrzył się na fotografię Monsa Lohmanna przed dyżurką. Poniżej przeczytał nieco pretensjonalny tekst, który po prawdzie pasował do aż nazbyt dobitnego motywu hamletowskiego.

„Operować albo nie operować”.

Jeśli kiedykolwiek było to najważniejsze pytanie w jego życiu, to już przestało być. Powinien być zadowolony, jeśli uda mu się uratować skórę z tej opresji. Co zrobi później, miało drugorzędne znaczenie.

Dostał tackę z jedzeniem i wrócił do gabinetu. Szynka i ser na twardych kromkach. Ćwiartka pomidora i liść sałaty. Szpitalne żywienie nie należało do najlepszych, ale musiał spróbować coś zjeść. Powinien też szybko znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać. W przeciwnym razie zwariuje. Ale kto miałby to być? Z pewnością ktoś, kto nie przekazałby dalej usłyszaną historię. Ktoś, kto dobrze mu życzył.

Uniósł wzrok, słysząc kłapanie w korytarzu. Per Irgens. Człowiek w drewnianych chodakach. Jeśli kogoś nie był pewien, to właśnie jego.

Mathias upił łyk kawy i odnotował, że kroki na zewnątrz ucichły. Kiedy odstawił kubek, kłapanie chodaków znowu zaczęło się zbliżać. Minęło kilka sekund, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Siedział bez ruchu, czekając.

– Wiem, że tam jesteś, Grande.

Dochodzący zza drzwi głos brzmiał mrocznie i diabolicznie. Mathias mógł niemal dopowiedzieć w myślach: „Zaraz wejdziesz i cię dorwę”. Okręcił fotel biurowy do drzwi.

– Wejź!

Pod mocnym naciskiem klamka ustąpiła i drzwi otworzyły się do połowy. Do środka wsunęła się łysa głowa Irgensa.

– A, więc siedzisz tu i jesz po kryjomu śniadanie? W twoim wieku to nie powód do dumy.

– Po co przyszedłeś?

– Pomyślałem, że mógłbym cię spytać o rekomendację, którą wysłałeś mi mejlem, ale jeżeli wybrałem złą porę, to możemy się tym zająć innym razem.

– Jaką rekomendację?

Irgens zapatrzył się na Mathiasa, jakby słowa, które przed chwilą padły, były dlań obelgą.

– Zaczynam rozumieć, że pomyliłem się w swoim pierwszym wrażeniu, jakobyś był doskonałym kandydatem na tę specjalizację. Ale nie wdając się już w dygresje i krótko mówiąc: wysłałeś mi mejla, w którym podsunąłeś, że niejaki Jean-Jacques Bresson dobrze by się nadawał do wsparcia mnie w dalszej pracy badawczej. Jeśli jednak nie da się z tobą porozumieć, to pójdę do gabinetu i będę gadał do ściany.

Drzwi trzasnęły o futrynę. Dopiero kiedy Mathias usłyszał, jak chodaki oddalają się w głąb korytarza, zaczęło mu świtać w głowie. Jean-Jacques Bresson był chłopakiem Vilde. To on miał się przeprowadzić do Bergen i potrzebował pomocy w dostaniu się do Haukeland. Wstał i otworzył drzwi.

– Irgens, zaczekaj!

– Nie będę marnował na ciebie więcej czasu, Grande.

Irgens zniknął w swoim gabinecie. Zrzęda do upadłego, ale przynajmniej mówił, co myślał.

Mathias podszedł do drzwi jego gabinetu. Podniósł rękę, żeby zapukać, ale się zawahał. Czy był tego pewien? Tak. Czuł pewność. Nie musiał zresztą wdawać się w szczegóły, opisując to, co się stało.

Dwa razy zastukał w drzwi, zanim je otworzył. Irgens zdążył tymczasem zasiąść przed komputerem. Jak zwykle nie włączył oświetlenia górnego. Zgięte starczo plecy demonstracyjnie zwrócił do Mathiasa. Wkrótce zabrzmiał jego charakterystyczny głos:

– Nie mówiłem, że możesz wejść.

Mathias usiadł na krześle, ustawionym przy drzwiach.

– Mógłbyś sobie darować te fochy? Proszę.

Irgens obrócił fotel biurowy.

– Wylałbym cię za coś takiego, gdybym nadal był tu szefem. Jeśli więc czegoś chcesz, to mów szybko, w przeciwnym razie lepiej się stąd wynoś.

Mathias zapatrzył się na kanciastą, białą brodę, przyciętą z taką dbałością, że biegła wzdłuż kątów żuchwy.

– Mam kłopoty. Porządne kłopoty.

– Wygląda na to, że nie posłuchałeś mojej rady...

– Jakiej rady? – Mathias usłyszał nagle w myślach głos Irgensa. „Jaki jest najważniejszy mięsień neurochirurga?” – Chodzi ci o mięsień przeciwstawny?

– O przeciwstawny, tak. Nie wycofałeś się w porę. Albo: wdepnąłeś. Czy to adekwatny opis sytuacji?

– Tak, wdepnąłem. I to nie jeden raz. Kilka razy.

– A teraz się zastanawiasz, co począć?



Mathias przytaknął.

– Nie zapytam, o co chodzi, bo to nie moja sprawa, a poza tym nie lubię wysłuchiwać zwierzeń. Nie jestem księdzem. Ale skoro nie słuchasz rad, które ci się daje, to opowiem ci raczej historię.

Irgens założył ramiona za głowę, tak że utworzyły duży łuk. Jego spojrzenie powędrowało gdzieś w przestrzeń.

– Wkrótce po tym, jak zacząłem tu pracować, miałem operować faceta z guzem mózgu. Było to jeszcze w czasach, kiedy tomografię robiono może raz w tygodniu. Właśnie wróciłem ze Szwecji, gdzie pojechałem, żeby poduczyć się chirurgii naczyniowej, a Szwedzi byli jednymi z ostatnich, którzy trzymali się takiego obrazowania przekrojów osiowych TK, że patrzyło się na nie z góry na dół. Z czasem poszli po rozum do głowy i zaczęli robić tak jak my wszyscy, ale to już inna historia. Chodzi o to, że pomieszanie dwóch metod obrazowania oznaczało, że prawa strona stawała się lewą i na odwrót. I kiedy oglądałem zdjęcia pacjenta, którego miałem tego dnia operować, rozumowałem tak, jakbym nadal był w Szwecji. Dlatego też założyłem, że guz znajdował się po lewej stronie głowy, podczas gdy w rzeczywistości leżał po stronie prawej.

Nie zorientowałem się, że pracuję po złej stronie, dopóki nie otworzyłem czaszki piłą i nie zacząłem grzebać w korze mózgu. Nie mogłem się w niej doszukać żadnego nowotworu i wreszcie powoli dotarło do mnie, co narobiłem. Poczulem się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubel zimnej wody. Kiedy oprzytomniałem, wszyscy na sali operacyjnej stali i gapili się na mnie, zastanawiając się, co było nie tak. Najchętniej wybiegłbym i nigdy więcej się tam nie pokazał. Byłem jednak szefem oddziału. Musiałem wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiłem. Powiedziałem więc, że potrzebuję dziesięciu minut przerwy, po czym zdjąłem fartuch i wyszedłem. W korytarzu złapałem najbliższy telefon, wykręciłem numer żony pacjenta i wyjaśniłem jej, co zaszło.

Irgens przechylił się w fotelu i plasnął rękami w uda.

– I co dalej...?

– I co? A czy to gra jakąś rolę? Nie zrozumiałeś sensu mojej opowieści? To, czy jego żona się wściekła, czy ucieszyła się z telefonu, nie ma tu najmniejszego znaczenia. To samo dotyczy dalszych losów pacjenta. Jako chirurg musisz liczyć się z tym, że od czasu do czasu będziesz popełniać błędy. Balansujesz na cienkiej, cienkiej linie i łatwo możesz wyrządzić krzywdę innemu człowiekowi, zamiast mu pomóc. I uwierz mi, że prędzej czy później komuś zaszkodzisz. Wszystkich to czeka. Każdy neurochirurg ma swój mały cmentarz. Dlatego cały czas należy być szczerym wobec samego siebie, od pierwszego dnia, kiedy przystępujesz do pracy w zawodzie, a także w codziennym życiu. Dzięki temu staniesz się nie tylko lepszym człowiekiem, ale co jeszcze ważniejsze – lepszym chirurgiem.

Irgens obrócił się w fotelu z powrotem do biurka.

– A teraz możesz zrobić to, o co prosiłem, kiedy tu wparowałeś.

Mathias wpatrywał się w plecy byłego ordynatora. Wyrostki kolczyste rysowały się łukiem pod zieloną koszulą operacyjną.

– A o co takiego prosiłeś?

– Żebyś się wynosił.

## 49. Werner

I znów ta sama historia. Evelyn nie patrzyła w jego stronę, nawet kiedy składał sprawozdanie z dyżuru. Werner przyglądał jej się badawczo ze swojego miejsca, gdy raportowała o chorych pielęgniarkach i pacjentach wymagających intensywnej opieki w ramach stałych dyżurów. Nie zrobiła ani jednej miny zdradzającej, że rozumie, co teraz przeżywał. Ani jednego gestu świadczącego o tym, że czuła się obserwowana. Bo przecież musiała czuć jego spojrzenie. Wbijał w nią wzrok przez całe zebranie poranne. Przestał już przejmować się tym, czy inni zauważą, jak się w nią wpatrywał.

Następnie zabrał głos Lohmann i nakazał wszystkim ograniczyć hospitalizacje. Pacjenci gotowi do wypisu mieli jechać w drogę. Skoro miejsca nie było, to nie. W gruncie rzeczy była to ta sama gadka, którą regularnie słyszało się na każdym oddziale. Problem polegał na tym, że nikt nie mógł odesłać z kwitkiem pacjentów w stanie krytycznym.

Tak jak ostatnio, po zakończeniu zebrania siedział dalej, podczas gdy inni wstali. Znów próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Evelyn – a ona po raz kolejny nie podniosła oczu. Wstała i wyszła za najbliższe drzwi, dokładnie tak jak poprzedniego dnia. Odprowadził ją wzrokiem, gdy szła korytarzem wzdłuż przeszklonej ściany. Jak mógł się tak pomylić? Nie potrafił tego zrozumieć. Odkąd tylko zaczął pracować w Haukeland, dawała mu wyraźne sygnały. A mimo to wycofała się, kiedy wreszcie zrobił krok naprzód.

– Ej, Werner...

Obrócił się za głosem i spostrzegł Mathiasa, który stał i patrzył nań z góry. Kolega wyglądał na wyczerpanego. Jego krótkie włosy sterczały na wszystkie strony, a na czole widniał czerwony guz. Werner słyszał od pielęgniarek, że Mathias spał w gabinecie, bo wyrzucono go z domu. Jechali na tym samym wózku.

– Tak?

– Zastanawiałem się tylko, jak się ma Karsten Isaksen, ten taksówkarz, który leży na OIOM-ie.

– Jak już wspominałem, został ekstubowany, może ruszać wszystkimi kończynami, mówić i wydaje się dość zorientowany.

– Tak, ale...

Mathias się zawahał. Werner skorzystał z okazji, żeby wstać.

– Ty go operowałaś?

– Skądże. Ciekawi mnie tylko, jak się miewa. Czy będzie miał jakieś trwałe uszkodzenia. Zdjęcie z tomografu nie wyglądało najlepiej.

– Potrafił odpowiedzieć mi na pytanie, jak się nazywa i gdzie jest, kiedy wstąpiłem do niego wczoraj wieczorem. Jest to jakiś punkt wyjścia.

Werner spuścił głowę uśmiechem, głównie w celu podsumowania sprawy. Podniósł swoje papiery. Zamierzał teraz wrócić do domu i się przespać. Ale co potem? Kolejny samotny wieczór?

– Pamięta coś z napadu?

Znów ten Mathias.

– Napadu?

– Tak... Były takie spekulacje w gazetach. Zastanawiam się tylko, czy o tym rozmawialiście.

– Nie, nie rozmawialiśmy. Byłbym jednak zaskoczony, gdyby coś pamiętał po takim grzmotnięciu. Wiesz co, jestem trochę zmęczony po dyżurze. Więc jeśli nie masz więcej pytań, to...

– Nie, nie. Gdzie tam.

Mathias zaśmiał się trochę za głośno, żeby pasowało to do sytuacji. Werner minął kolegę, ale wychodząc za drzwi, zerknął przez ramię. Mathias opadł na krzesło i osunął się na stół, twarzą do blatu. Werner pohamował impuls, by zawrócić. Wiedział, jakie to uczucie zostać odrzuconym przez kobietę, ale teraz miał dość własnych problemów. Nie potrzebował jeszcze dokładać sobie cudzych cierpień.

Kiedy zszedł po rampie dla pieszych do ulicy Haukelandsveien, rozdzwonił się jego telefon. Wyjął go i z wyświetlacza dowiedział się, że to ktoś z pododdziału łóżkowego. Jeśli mieli pytania w sprawie pacjentów, to mogli porozmawiać z innymi lekarzami. Włożył komórkę z powrotem do kieszeni i przez chwilę spoglądał na nagrobki na cmentarzu w dole ulicy. Nie miał teraz siły na powrót do domu. Czuł potrzebę, aby przysiąść na ławce w jakimś spokojnym miejscu i pogapić się w przestrzeń.

W powietrzu wyczuwało się deszcz, ale nie na tyle mocny, żeby zmoczyć ławkę, którą znalazł. Usiadł i poczuł napływające zmęczenie – nie takie zwyczajne, tylko ciężkie i bolesne. Miewał je już wcześniej i wiedział, że uczucie szybko nie minie. Popatrzył na szpital, górujący nad cmentarzem. Położony jakby nie na swoim miejscu w niecce pod Ulriken, wyglądał jak ogromny statek kosmiczny. Widział, że pokrywa chmur nad blokiem centralnym przesuwająca się powoli, lecz nieustannie. Tu, w Bergen, niebo było w ciągłym ruchu. Podobało mu się to. Niemniej jednak trochę się chyba pospieszył, wyobrażając sobie, że tu pozostanie. Żadnej rodziny, właściwie żadnych bliskich, norweskich przyjaciół. Wszyscy odeszli wraz z Hanne. W przyszłości mogło się to zmienić. Ale czy miał aż tyle czasu? Czy chciał tu zaczekać?

Rozejrzał się i jego uwagę przykuły napisy na szarych, pokrzywionych nagrobkach. Na jednym z nich widniało nazwisko „Jens Werner Moe”. Inny Werner – nie potrafił jednak pozbyć się myśli, że to on mógłby leżeć tam, pod ziemią. Czego się nauczył po tamtym epizodzie? Że łatwo się przejmował? Że w głębokim dołku nie myślał zbyt jasno? Że prawdopodobnie powinien z kimś porozmawiać, jeśli znowu mu się pogorszy? Problem w tym, że jedyną osobą, której mógłby się teraz zwierzyć, była Evelyn. A rozumiało się samo przez się, że to nie wchodziło w grę.

Poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie, i podniósł się z ławki. Musiał wrócić do domu i się położyć. Planował też zostać w łóżku do czasu, aż poczuje, że chce mu się wstać. Nie szkodzi, jeśli miałoby to potrwać kilka dni. Mógł zadzwonić do szpitala i zgłosić chorobę do końca tygodnia. Nie zamierzał popełniać tego samego błędu co ostatnio i każdego ranka zmuszać się do pracy. W najbliższych dniach i tak nie był zapisany na żaden dyżur, a jego nieobecność nie przysporzyłaby innym dużo więcej pracy.

Po ulicy z rykiem przejechał autobus. Werner skurczył się, gdy uderzyła w niego chmura spalin. Czuł się silniejszy niż ostatnio. To jedno było pewne. Nie pozwoli, żeby sprawy zaszły równie daleko jak wtedy. Ruszył naprzód chodnikiem, ale zwrócił uwagę na tupot nóg za sobą. Biegając, uderzały o asfalt, coraz bliżej. Ledwie zdążył się odwrócić, kiedy coś się z nim zderzyło. Zatoczył się do tyłu i zrozumiał, że wpadł na niego jakiś człowiek. Dopiero kiedy złapał tę osobę, chcąc ją od siebie odepchnąć, jej zapach sprawił, że zamarł.

Evelyn.

Zapatrzył się w jej oczy. Były szeroko otwarte.

– Werner...

Nie był przygotowany, kiedy przytuliła się do niego gwałtownie. Przycisnęła czoło do jego piersi. Czuł się tak, jakby chciała się przez niego przewiercić. Nie namyślając się, uniósł głowę. Jego spojrzenie powędrowało w kierunku szpitala i wyżej, na szarawą pokrywą chmur. Ciągle w ruchu. Ciągle.

## 50. Mathias

Podłużne pomieszczenie na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej rozjaśniało tylko słabe światło lampki stołowej. Stojący w drzwiach Mathias dostrzegał zarysy postaci, która leżała w łóżku. Klatka piersiowa, unosząca się i opadająca w spokojnym tempie, podpowiadała, że Karsten Isaksen głęboko spał.

Mathias poczuł, że jego ręka trzęsie się lekko, kiedy przetarł nią twarz. Była trzecia w nocy, a on nie miał tu nic rozsądnego do roboty. Mimo to czuł, że coś go tutaj przyciąga, przyciąga go do przyjrzenia się temu obcemu mężczyźnie jeszcze jeden raz.

Postąpił krok w głąb pokoju. Zaczekał. Zrobił jeszcze krok, a potem kolejny.

Wkrótce znalazł się przy samym łóżku. Patrząc w dół na tę twarz o zamkniętych oczach, niemal nie śmiał oddychać. Nadal nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział tego mężczyznę, ale ważne było raczej, co Karsten Isaksen miał do opowiedzenia. A mogło to być wszystko, począwszy od milczenia, aż po szczegółowy opis przebiegu wydarzeń w nocy z soboty na niedzielę. Cokolwiek wówczas zaszło.

Głowa na poduszce nagle się poruszyła i Mathias odskoczył do tyłu. Spod kołdry wyłoniła się ręka i wkrótce Isaksen obrócił się w łóżku całym ciałem, tak że leżał zwrócony do Mathiasa. Mężczyzna parę razy zamlaskał, po czym na powrót się uspokoił.

Mathias odetchnął. Poczuł, że jego serce zaczyna łomotać.

Ta wizyta donikąd nie prowadziła. Nie dowiedział się niczego więcej o tym, co się wydarzyło – i być może nigdy się nie dowie. Jak wspominał tego ranka Werner, rzadko się zdarzało, żeby pacjenci z poważniejszymi urazami głowy cokolwiek pamiętali. Przy odrobinie szczęścia tak będzie też w przypadku Karstena Isaksena. Wszystko rozeszłoby się wtedy po kościach.

– Chce pan, żebym go obudziła?

Mathias aż się wzdrygnął, słysząc za sobą głos. Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Co...? Nie. Już wychodzę. Chciałem tylko sprawdzić jego stan.

Pielęgniarka stanęła obok niego.

– Jak pan widzi, wyłączyliśmy cały system monitorowania. Zakładam, że jutro wyślą pacjenta do was, na górę. Jest tu nadal tylko i wyłącznie dlatego, że nie macie miejsca. Przyjemnie popatrzeć, jak stan takich pacjentów się poprawia, prawda?

Mathias przeszedł kilka kroków w stronę drzwi.

– Tak – odparł. – Pewnie tak.

\*

Wróciwszy do gabinetu, położył się na materacu i zagapił w sufit. Jeśli Karsten Isaksen miał trafić na górę, to on sam musiał się nastawić na spędzenie mniejszej ilości czasu na pododdziale łóżkowym. Za dużo miał do stracenia, żeby ryzykować, że się na niego natknie. Biorąc pod uwagę obecny stan Isaksena, hospitalizacja nie potrwa dłużej niż tydzień. W tym czasie on mógłby wyprowadzić się do hotelu w centrum miasta. Może powinien też pójść na zwolnienie lekarskie? Nikogo by to nie zdziwiło. Mógłby powiedzieć, że się przeziębił.

Musiał odpłynąć, bo zbudził się nagle, gdy zsunął się z materaca na podłogę. Wstał i zorientował się, że nastąpiła siódma. Ciało miał jak zwykle sztywne i obolałe. Zaczął przekopywać stertę ubrań szpitalnych, która utworzyła się na jego biurku, ale zrozumiał, że wszystkie są brudne. To, co miał na sobie, też nie było zbyt czyste. To oznaczało, że musiał zejść

do piwnicy i coś stamtąd przynieść.

Wziął kilka ciuchów i pojechał windą na dół. Na szczęście tego ranka nie było długiej kolejki przed automatem do wydawania ubrań i w kilka minut wymienił to, co miał, na potrzebne mu rzeczy. Następnie poszedł do toalety na parterze i się przebrał. Umył twarz w umywalce, po czym przystanął i przejrzał się w lustrze. Nie wyglądał najlepiej. Miał przetłuszczone włosy i niemal tygodniowy zarost. Ale przynajmniej guz na czole się zmniejszył i w gruncie rzeczy było mu trochę lżej na duchu niż do tej pory. Wycieczka na OIOM mimo wszystko pomogła. Wiedział już, co ma zrobić. Mógł nawet powiedzieć, że powziął pewien plan.

Wyszedłszy, wstąpił do kiosku Narvesen po kawę. Stojąc przed automatem w oczekiwaniu, aż napełni się papierowy kubek, przejrzał esemesy, które napłynęły w ciągu ubiegłego dnia. Żadnych nowych od Marianne. Trzy od różnych kolegów, którzy donosili, że już jakiś czas się nie odzywał. Kolejny od Vilde z tymi samymi pytaniami o Theę co wcześniej. I dwa od Nathalie. Zawierały nowe wyzwiska i dociekania w sprawie szalika. Najwidoczniej nie dotarły do niej doniesienia „Dziennika Bergeńskiego” o szaliku znalezionym w taksówce. Już to wystarczyło, żeby poczuł ulgę. Ale jak znał Nathalie, to łatwo mu nie odpuści. Miał w domu szal z Missoni, który zamierzał w zasadzie podarować Marianne na gwiazdkę. Mógł go wysłać Nathalie, kiedy pewnego dnia zajdzie do domu. Byłaby to dobra rekompensata za ten, który zginął.

Poszedł zapłacić, kupił też sobie drożdżówkę. Apetyt zaczął mu dopisywać. Stojąc obok kiosku i jedząc, zerknął na zegar. Było dopiero wpół do ósmej. Za wcześnie, żeby pójść na górę i siąść w sali seminaryjnej. Zamiast tego mógł wrócić do gabinetu i trochę posprzątać. Pokój był w oplakany stanie.

Skierował się w stronę ruchomych schodów i zauważył, że z naprzeciwka nadchodzą Thea z Lohmannem. Zwolnił kroku, tak że skręcili przed nim. Nie zobaczyli go. Wstąpił na schody ruchome kilka metrów za nimi. Lohmann jak zwykle miał na sobie obcisłe spodnie do biegania, w których wyglądał jak koń wyścigowy.

– Co powiesz na nową przebieżkę dziś wieczorem? – usłyszał głos Thei.

Odpowiedź Lohmanna utonęła w szmerze schodów, które dojechały do końca. Oboje zeskoczyli u góry i wstąpili na kolejne. Mathias odwrócił się, żeby nie spostrzegli go po drodze, i zszedł z podestu. Nie minęło wiele czasu, odkąd widział, jak Lohmann napastował Theę. A teraz wybierała się z nim na jogging? Zresztą dopiero co zmarła jej matka. To się nie układało w spójną całość.

Skręcił w korytarz prowadzący do wind i przypomniał sobie wszystkie pliki, które skopiował z twardego dysku Thei. Nie zdążył jeszcze przejrzeć materiałów. Coś mu podpowiadało, że to zadanie znajdowało się na samym dole jego listy priorytetów. O ile w ogóle na niej było. Nie powinien się wtrącać w to, co Thea robiła i czego nie robiła w kontekście swojej pracy badawczej. Pytanie brzmiało raczej, czy powinien się z nią rozmówić na temat tego, co zaszło między nią a Lohmannem. Tym jednak mógł zająć się później.

Przed windami osobowymi zebrało się już kilka osób, skręcił więc za róg w stronę wind transportowych. Tam nie było nikogo. Windy te były wprawdzie przeznaczone dla łóżek i wózków z jedzeniem, ale nie miał siły o tym teraz myśleć. Nacisnął guzik oznaczający jazdę do góry i zaczekał. Irgens stwierdził, że chirurgia wymagała szczerości. Z pewnością był to szczytny ideał, do którego warto było dążyć, ale jakoś nie widział wokół siebie tej szczerości. W każdym kącie szpitala czaił się cynizm i ludzie o własnych zamysłach, którym brakowało wspólnego celu.

Usłyszał, że korytarzem wieziono łóżko. I tym razem nie będzie miał windy dla siebie. Najchętniej zostałby sam. Może było to konieczne zderzenie z rzeczywistością? Nagle bowiem stracił całą pewność, co miało dla niego znaczenie. Czy naprawdę chciał mieć do czynienia

z takimi ludźmi, jak Lohmann, przez resztę kariery?

Sądząc po dźwiękach, łóżko zatrzymało się obok. Nie podniósł wzroku. Niektórzy z salowych zwykli narzekać, że personel używał wind do wszystkiego z wyjątkiem przewozu pacjentów, a nie miał teraz sił na udział w takiej dyskusji.

– Ty! – odezwał się głos z boku. No tak. To był pewnie jeden z takich właśnie salowych, nieco samolubnych, do których nie docierało, jaki to ból stać ściśniętym z pacjentami w windzie osobowej, za każdym razem, kiedy jechało się siedem–osiem kondygnacji w górę czy w dół.

– Ty, tam! Ej, ty.

Mathias poczuł irytację. Był teraz zbyt wyczerpany, żeby dyskutować o windach.

– Ej, ty!

Odwrócił się.

– Masz jakiś problem?

Salowa aż odskoczyła do tyłu, słysząc jego gniewny ton. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał, że to nie ona go zagadywała, tylko mężczyzna w łóżku. Facet siedział z podniesionym oparciem i kołdrą podciągniętą do piersi. Mathias natychmiast rozpoznał czarne włosy i brunatną taśmę na skórze głowy. Nos sterczał jak ostry dziób.

Karsten Isaksen.

– To ty, do jasnej cholery!

Isaksen dzwignął się do góry. Wyciągnął ramię przed siebie. Mathias upuścił papierowy kubek na podłogę. Krzyki, które się rozległy, zabrzmiały w jego głowie niewyraźnie i ciężko. Cofnął się o krok, kiedy mężczyzna w łóżku odrzucił kołdrę na bok. Zaraz potem zeskoczył na podłogę, ale salowa już była przy nim i go zatrzymała.

W następnej chwili Mathias odwrócił się i pobiegł. Usłyszał, jak nawoływania giną gdzieś za nim. Popędził korytarzem, szarpnięciem otworzył drzwi prowadzące do schodów ruchomych i przesadzał po trzy stopnie naraz, aż znalazł się na parterze. Tam pobiegł dalej po marmurowych płytach w stronę wyjścia. Kiedy poczuł podmuch wilgotnego powietrza, uderzyła go myśl, że miał na sobie ubrania szpitalne. Ale to go nie powstrzymało. Musiał stąd prysnąć.

Daleko stąd.

## 51. Werner

Przeżywał z Hanne chwile, gdy wchodził w nią do końca, chwile, w których wszystkie frazesy na temat seksu wydawały się odpowiednie. Teraz jednak czuł się tak, jakby to były drobnostki bez żadnego znaczenia, które robiły na nim silne wrażenie tylko dlatego, że nie miał ich z czym porównać.

Teraz znalazł już punkt odniesienia.

Leżał oparty na sofie przy zgaszonych światłach w salonie, a Evelyn siedziała na nim. Słaby poblask miasta igrał na jej ciele, podczas gdy powoli, rytmicznie poruszała się ku niemu. Powiódł oczami za swoimi dłońmi, gładząc ją po skórze. Po talii, obok piersi, do barków. Złapał ją za kark, wplótł palce we włosy. Wkrótce odpowiedziała, nachylając się ku niemu i biorąc go w ramiona.

Jak długo stali na chodniku i się obejmowali? Nie wiedział. Czas stanął w miejscu. A kiedy musiała już odejść, nalegała, żeby tego wieczora przyszedł do niej. Jej mąż z dwójką dzieci wybierali się do Eidsvågneset w odwiedziny do babci. Evelyn miała zostać sama w domu na Fjellveien. Przyjechał do niej na rowerze Hanne. Nigdy wcześniej nie czuł się taki silny, jadąc pod górę. Nigdy wcześniej nie czuł się taki spełniony.

Poczuł jej wargi na ustach: długo się całowali. Mógłby tak leżeć z nią przez całą wieczór i całą noc. Nigdy mu się nie sprzykrzy.

Nigdy.

\*

– Odchodzę od niego.

Evelyn leżała nago na dywanie w salonie i przyglądała mu się z głową opartą na rękę. Za nią niespiesznie tykał zegar ścienny. Werner przewrócił się na bok i napotkał jej wzrok.

– Daj sobie czas. Przemyśl to najpierw...

– Nie muszę. Wiem, że to ciebie chcę. Dzieci są już na tyle duże, że to rozumieją. A Tor, on...

– Tor?

– To znaczy mój mąż... Nie będzie dla niego zaskoczeniem, że chcę się rozwieść. Już od dawna kwestią czasu było, kiedy któreś z nas znajdzie powód, żeby się wyrwać z tego związku.

Urwała, przyjrzała mu się natarczywie, po czym ciągnęła: – Chyba nie przeraża cię, że tak mówię?

Odnalazł jej rękę i uścisnął.

– Chcę ciebie, Evelyn. Wiesz o tym.

– Mimo że jestem od ciebie starsza?

– Mimo że jesteś ode mnie starsza.

– I mimo że będę twoją szefową?

Zauważył, że jej usta ułożyły się w dziwny uśmiech.

– Lohmann kończy pracę?

– Odchodzi szef Kliniki Neurologii i Neurochirurgii. Są wielkie braki w budżecie.

Zaproponowano mi przejęcie posady. Ale na razie to tajemnica. Nie możesz nikomu powiedzieć.

Podźwignął się.

– Będziesz szefową kliniki?

Uśmiechnęła się teraz szerzej, przewróciła na plecy i wyciągnęła ręce nad głową.

– Będę szefową kliniki – powiedziała triumfalnym tonem.

Werner się zaśmiał. Wpełził na nią na czworakach. Jako szefowa kliniki Evelyn rządziłaby zarówno neurologami, jak i neurochirurgami. Lohmann musiałby osobiście składać jej raporty. Już sobie to wyobrażał.

- Czy wolno mi pocałować szefową kliniki?
- Zachichotała po dziewczęcemu.
- Wolno ci. O każdej porze.

\*

Kiedy wrócił do roweru, uświadomił sobie, który dom właśnie opuścił. Był to jeden z budynków przesłaniających Oddowi Hasselgrenowi widok na Vågen z okien salonu. W drodze na górę nie zwrócił na to uwagi, teraz jednak odkrycie sprawiło, że się uśmiechnął. Zamieszkanie tutaj będzie prawdziwą przyjemnością. Evelyn uważała, że powinien się do niej wprowadzić, kiedy tylko mąż się ulotni. Odpowiedział, że powinni to zrobić stopniowo, ale głównie dlatego, że wolał wykazać trochę większą ostrożność niż do tej pory. Chciał bowiem, żeby ich relacja trwała.

Wsiadł na rower i zaczął zjeżdżać po drodze. Popedałował, żeby trochę zwiększyć prędkość. Tego wieczora zarówno powietrze, jak i ziemia były suche. Temperatura była wyższa od normy dla tej pory roku. Zjeżdżając po zboczu, poczuł się niemal, jakby była wiosna.

Nadjechał ku niemu samochód. Minał go, przy czym Werner dostrzegł tylko sylwetkę kierowcy. Może to wracał mąż z dwoma synami? Evelyn powiedziała, że poprosi o separację jeszcze tego wieczora. Nie chciała czekać. Była efektywna, ta Evelyn. Działała.

Przypomniał sobie, jak leżała nago na podłodze w salonie. Mógłby spędzić z nią całą noc, gdyby nie okoliczności. Był jednak cierpliwy.

Minał restaurację Lysthuset Bellevue, położoną na ostrym zakręcie i zahamował. Znów pomyślał o wzgórzach w rodzinnym Würzburgu, na których wszyscy koledzy z jego paczki puszczali kierownicę podczas jazdy. Czuli się tacy niezniszczalni. Zupełnie tak, jak on teraz.

Poczuł nerwowe łaskotanie w żołądku, kiedy puścił kierownicę i położył ręce na udach. Plecy miał wyprostowane. Szarpały nim podmuchy wieczornego powietrza. Wziął oddech, czując, jak prędkość wzrasta, i wytrzymał się, żeby skupić wzrok na mrocznej drodze.

Aż nie mógł doczekać się jutra. Wszystko się ułoży.

*Oh oh I love her so.*

*Oh oh I love her so.*



## 52. Thea

Do tej pory nie czuła się spięta, teraz jednak zaczęła się denerwować, widząc, jak nadbiega zza zakrętu przy przedszkolu pod budynkiem akademika w czarnych jak noc legginsach. Sprężysty krok. Proste plecy. Bulaste barki, które jakby pięły się nad jego karkiem. Wydawał się niezwykcieżony. Ale w samym środku piersi kryła się jego słabość. Tętnica, która w znacznym stopniu zaopatrywała w krew jego mięsień sercowy, była częściowo niedrożna. Na co dzień nie dawało to objawów, ale oświetlona trasa na Ulriken była stroma. Nie zamierzała zrobić wiele więcej niż utrzymać wysokie tempo, sprawić, żeby był trochę obolały, zanim dotrą do najbardziej stromego odcinka. A tam chciała zadać mu cios.

Rozsadzić go. Raz na zawsze.

Lohmann zwolnił przy ostatnich krokach. Po sposobie, w jaki kołysał górną połowę ciała, widziała, że się popisował. Tak jak się spodziewała, stanął tuż przy niej.

– Jesteś gotowa? – spytał i złapał ją za ramię, jakby musiał udowodnić, że ma nad nią przewagę fizyczną. Zrobiło jej się niedobrze, lecz mimo to przybrała uśmiech.

Uśmiech Thei.

– Tak, a ty nie?

Roześmiał się. Z jego spojrzenia tryskał entuzjazm, tak jakby podniecało go, że ktoś tak się do niego odzywał. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu dźwięk dzwonka. Szybkim ruchem wyjął telefon komórkowy z saszetki w pasie.

– Ach. Praca – powiedział, widząc numer na wyświetlaczu. Włożył telefon z powrotem do kieszonki.

– Masz dyżur telefoniczny?

– Nie.

– Więc go wyłącz.

Poczuła klepnięcie w pośladek. Zanim się ogarnęła, już ją wyminął.

– Nie chcę ryzykować, że będziesz dzisiaj pierwsza.

Miał już kilka metrów przewagi.

Co za świnią! Zapłaci jej za to. Nie podda się, dopóki nie zobaczy go dyszącego na ziemi.

## 53. Marianne

Nigdy jeszcze nie widziała Mathiasa w takim stanie. W nieprzewidzianych sytuacjach to on zachowywał trzeźwy umysł. Teraz jednak siedział skurczony na sofie w ubraniu szpitalnym z głową ukrytą w ramionach i łkał histerycznie.

Podniosła się z fotela i podeszła do okna. Na zewnątrz zapadł już mrok. Nie miała pojęcia, która była godzina. Ani też, ile czasu minęło, odkąd wróciła z pracy i tak go zastała. Zadzwoiła do brata i poprosiła, żeby zajął się Ylvą. Zrozumiał sytuację i przyjechał od razu. Wiedział już, że Mathiasa nie było od wielu dni.

Zapatrzyła się na rzęsście oświetloną murawę stadionu Brann, prześledziła wzrokiem ruchy kilku miniaturowych ludzików na trawie daleko w dole. Poczula się trochę jak grecka bogini, która stoi na skraju Olimpu i spogląda na ziemię. Pomyślała o historii, którą opowiedział jej Mathias. Była bardziej rozbudowana, niż mogła się zawczasu spodziewać, ale kilka puzzli trafiło dzięki niej na swoje miejsce. Nagle zrozumiała, dlaczego tak niechętnie towarzyszył jej w czasie prezentacji domu na Fjellveien tej jesieni, dlaczego był taki zamknięty w sobie i dziwny, gdy wygrali licytację. I wreszcie, ostatnia, lecz nie mniej ważna rzecz – dlaczego się nie odzywał przez ostatnie dni. Mimo to nie pojmowała, czemu nie przyszedł z tym do niej wcześniej. Nie miała chyba takiego trudnego charakteru? Koniec końców była jego partnerką.

Obróciła się ku niemu. Przewrócił się teraz na bok z zamkniętymi oczami i poruszył się pod wełnianym kocem. Czyżby kłamał? Czy był to tylko wybieg, żeby odwrócić jej uwagę od zdrady?

Jakoś nie mogła w to uwierzyć. Ostatecznie przebiegł przecież całą drogę z Haukeland do domu w szpitalnych ubraniach. Wyglądało na to, że wpadł w panikę, kiedy ten taksówkarz go rozpoznał. I na dobrą sprawę było to zrozumiałe.

Poczula pragnienie, przeszła więc do kuchni. Z lodówki wyjęła butelkę białego wina i ją otworzyła. Napełniła kieliszek do połowy i zagapiła się na puste drzewiczki. Zerwała z nich zdjęcie Mathiasa i Ylvy po jego późnym powrocie do domu w piątkowy wieczór. Nie miała siły patrzeć, jak uśmiecha się jej prosto w twarz za każdym razem, gdy sięgała po jedzenie. Już następnego dnia poczuła jednak, że brakuje jej tej fotografii. Nie pomogło zrobienie podobnego zdjęcia sobie i Ylvie programem Photo Booth na Macu i powieszenie go. Je też zerwała już po kilku godzinach.

Upiła łyk wina i od razu poczuła, jak owocowy smak łagodzi nieprzyjemne uczucie w piersi. Musiała dokonać wyboru. Wiedziała o tym. Mogła odejść od Mathiasa i pozwolić mu żeglować po własnym morzu albo mogli przebrnąć przez to razem. Ta ostatnia opcja zależała od tego, czy naprawdę mu ufała. Dzisiaj wyznał jej, że to ją kochał, a romans z tą całą Nathalie już się skończył. Czy to jej wystarczyło? Albo, mówiąc inaczej: czy zaczynanie wszystkiego od początku bez niego było dla niej realną alternatywą? Takie rozwiązanie oznaczałoby, że musiałyby postąpić tak jak matka: sprzedać dom na Fjellveien i przeprowadzić się z Ylvą. W najgorszym wypadku wrócić do Fyllingsdalen.

Stała, pijąc wino, aż opróżniła kieliszek. Potem podeszła do lodówki i naląła więcej. Myślenie o sobie w takiej sytuacji nie wydawało się właściwe. Teraz należało pomóc Mathiasowi. Nie mogła zostawić go na lodzie bez względu na to, jak bardzo ją zranił.

Kiedy wróciła do salonu, Mathias leżał, jak dotąd, zwinięty pod wełnianym kocem na sofie. Oparła się pokusie, żeby do niego podejść, zamiast tego postawiła przed nim pełen kieliszek wina.

– Pij!

Natychmiast usiadł i obiema rękami złapał kieliszek, jak żebrak, który od wielu dni nie

gasił pragnienia.

– Porozmawiajmy o tej sobocie jeszcze raz – ciągnęła, siadając naprzeciw niego. – Pamiętasz, że wsiadłeś do taksówki. Nie masz stuprocentowej pewności, że za kierownicą siedział ten Karsten Isaksen, ale jesteś o tym dość mocno przekonany. Wygląda też na to, że Isaksen cię rozpoznał, kiedy spotkaliście się dzisiaj przed windą.

Zobaczyła, że desperacki błysk w jego oczach wrócił. Przechyliła się nad stołem, wyciągnęła rękę i zasygnalizowała, żeby ją ujął. Znow bez szemrania wykonał jej polecenie. Mocno ścisnęła jego dłoń.

– Musimy po prostu przeanalizować to jeszcze raz, okej?

Skinął głową i puściła jego rękę.

– Szalik, który miałeś ze sobą, zaginał – ciągnęła. – I może się zgadzać, że to właśnie ten policja znalazła w taksówce. Oznacza to, że prawdopodobnie ty jesteś pasażerem, którego szukają, ale nie musi to wcale dowodzić, że byłeś na miejscu, kiedy zdarzył się napad, prawda?

Mathiasowi broda opadła na piersi. Straciła z nim kontakt wzrokowy. Trzymając ręce na kolanach, obracał w palcach pusty kieliszek.

– Zapomniałaś... zapomniałaś o krwi na moich ubraniach.

– Tych, które wyrzuciłeś?

Przytaknął.

– I połamanych żebrach...

Marianne westchnęła. Nie, nie ulegało wątpliwości, że miał swój udział w całej tej sprawie.

– Cóż, to... to oznacza tylko, że zostałeś pobity.

Zamknęła oczy, próbowała przyjrzeć się sprawie z różnych stron. Mathias nigdy nie był agresywnym typem. Nawet po pijaku.

– Muszę po prostu przyznać się, co pamiętam...

Kiedy podniosła wzrok, spojrzenie Mathiasa nabrało nagłej ostrości.

– ...a wtedy policja już sama sobie z tym poradzi.

– Jeżeli chcesz iść na policję, to musisz wiedzieć, co im powiedzieć.

Przysiadła na samym skraju fotela.

– To oczywiste, że zrobiłem coś złego, Marianne. Nie mogę kłamać...

– Potrzebujesz w każdym razie adwokata. Kogoś, kto z tobą będzie.

Posłał jej krótki, zgaszony uśmiech.

– Chcę, żebyś ty ze mną poszła, Marianne. Tylko ty.

Wstała gwałtownie. Od tej chwili musiała przejąć ster. Było to dla niej jasne.

– Poczekaj – rzuciła i podeszła do laptopa, który stał na stole jadalnianym na drugim końcu pokoju. Zabrała go ze sobą i usiadła z powrotem.

– Znam dobrego obrońcę... mojego dawnego kolegę z klasy. Mogę do niego teraz zadzwonić.

– Marianne...

Zignorowała go, weszła na stronę gulesider.no i wpisała do wyszukiwarki nazwisko adwokata i miasto Bergen. Kilka sekund później zebrała już wszystkie potrzebne informacje. Zerknęła znad ekranu i wycelowała w Mathiasa napominający palec.

– Jeśli chcesz, żeby z tobą poszła, to musisz robić, jak każę.

Mathias znow oklapł. Krótka chwila siły minęła.

– Chcę po prostu być szczerzy.

– Pewnie, będziemy szczerzy, ale nie musimy od razu mówić wszystkiego. Na przykład o krwi na twojej kurtce nie ma potrzeby wspominać.

Coś jej przyszło do głowy i otworzyła stronę bt.no. Do tej pory czytała tylko nagłówki w tej sprawie. Poczula ulgę, widząc, że artykuł główny dotyczył wypadku rowerowego na Fjellveien. Przewinęła stronę w dół i wkrótce rozpoznała zdjęcie taksówki, które widziała na pierwszej stronie „Dziennika Bergeńskiego” zaledwie kilka dni wcześniej.

– Co piszą? – usłyszała głos Mathiasa.

Przeczytała wstęp opatrzony zdjęciem. Wzięła oddech. Przeczytała znowu.

I jeszcze raz.

– Marianne... O co chodzi?

Kątem oka zauważyła, że Mathias podniósł się i okrążył stół. Przeszedł ją dreszcz, kiedy jego ręka spoczęła na jej barku. Popchnęła ekran do tyłu, żeby mógł zobaczyć, i zerknęła na niego. Jego twarz wyglądała blado w blasku strony internetowej.

– „Zatrzymano dwóch mężczyzn w sprawie taksówki” – wymamrotał. – Ale...?

## 54. Thea

I znów telefon. Słyszała, jak dzwoni, biegnąc za Lohmannem po ścieżce. To musiał być już trzeci albo czwarty raz, gdy ktoś próbował go złapać. Zauważyła, że zwolnił kroku. Nie mógł teraz odebrać. Do stromego odcinka pozostało im już tylko kilkaset metrów.

Zrównała się z nim. Uniósł wzrok, zaskoczony, i najwyraźniej go zdopingowała, bo przyspieszył, tak że wkrótce znów był na przedzie.

– Próbujesz się?

Zaśmiał się, ale był wyraźnie zdyszany. Telefon wciąż dzwonił.

Wbiła wzrok w ścieżkę przed nimi, lecz nagle spostrzegła, że Lohmann stanął. Nie zdążyła wyhamować i wpadła na niego od tyłu.

– Przepraszam – rzekł, wyjmując telefon. Zapatrzył się na ekran. – Znowu ten numer. Kto to, kurwa, dzwoni?

– Wyłącz go!

– To musi być coś ważnego.

– Ej, Mons...

Thea podeszła o krok, położyła rękę na jego plecach i pogładziła go po przemoczonej już kurtce. Boże, ależ on cuchnął.

– Ty się boisz tej górki. – Wskazała dalszą część ścieżki. – Boisz się, że znów cię pokonam, nie?

Lohmann podniósł wzrok znad telefonu.

– Gdyby nie ten kruk, rozbiłabym cię w drobny pył – ciągnęła. – Jesteś za ciężki i za stary.

– Ach tak? – Nagle dał susa do przodu. – No to zobaczymy!

Musiała naprawdę się sprężyć, żeby za nim nadążyć. Obrócił się i uśmiechnął do niej tak, jakby już ją pokonał.

Pewnie, był silny. I szybki. I głupi.

Do podnóża stromego odcinka zostało już ledwie pięćdziesiąt metrów. Na tę chwilę trenowała. W ostatnich dniach przebiegła tę trasę kilka razy. Wiedziała, którędy biec, gdzie stawiać stopy, żeby się nie pośliznąć, jak zareaguje ciało na cały kwas mlekowy.

Zwiększyła częstość kroków i wkrótce znalazła się tuż za nim. Zaśmiała się sztucznie tylko po to, żeby mu uprzytomnić, gdzie była. Odpowiedział kolejnym szarpnięciem do przodu.

Świetnie! Wykończ się, Mons!

Byli u stóp stromizny. Zbiegła na lewo, znajdując oparcie dla stopy tam, gdzie zaplanowała. Parła naprzód, pracowała nad odbiciami. Wkrótce biegła obok niego. Czuła już pieczenie w płucach, ale nie mogła teraz o tym myśleć. Jeszcze kilka szybkich kroków i go minęła. Akurat o tyle, żeby go sprowokować.

Obejrzała się przez ramię. Pewnie, że połknął przynętę. Oddychał zauważalnie ciężiej, ale się nie poddawał. Jeśli dobrze go znała, to ani myślał ustąpić.

Zerknęła naprzód. Dbała o to, żeby biec tam, gdzie trzeba. Nieco wyżej na zboczu, obok głazu, na który zwróciła uwagę, zboczyła kilka kroków w prawo. To wystarczyło, żeby skierować Lohmanna tam, gdzie chciała, czyli do niewielkiego strumyczka, płynącego skrajem ścieżki, między kamieniami. Minęło pięć sekund. Dziesięć. Potem jego but pośliznął się na zwirowym podłożu. Raz. Dwa razy.

Usłyszała, że jęknął, i zauważyła, że zyskała przewagę kolejnych metrów, ale nie uległa pokusie, żeby z niej skorzystać. Nie mogła się ugiąć.

Zwolniła lekko, dość, żeby znów się z nią zrównała.

– Nie pokonasz mnie – syknęła. – Twardy jesteś, ale mnie nie pokonasz.

– Oczywiście, kurwa, że to zrobię.

Zerknęła na niego. Twarz miał ściągniętą. Usta otwarte i śluzowate. I te oczy. Zbielały z desperacji.

Znów wyrwał do przodu. Od razu poczuła, że trudno jej będzie nadążyć za tym wyskokiem. Jego nogi pracowały jak u zwierzęcia. Rozwarła usta, by nabierać dość powietrza. Wzięła się w garść. Pociągnęła za sobą stopy.

Skup się na jednym kroku za jednym razem! Dalej. Nie możesz się teraz poddać.

Lohmann znów się pośliznął. Obiema rękami oparł się o ziemię, potem dźwignął w górę, ale wyglądało na to, że nogi nie są już w stanie unieść jego ciężaru, kiedy odbił się od ziemi. Zachwiał się na bok, jak pijany. Znowu poleciał do przodu. Dźwignął się. Ruszył dalej.

Poczuła nowy zastrzyk energii. Zauważyła, że na nią patrzył. Przyskoczyła do niego. Łokciem szturchnęła go w bok.

– Pokonałam cię – syknęła.

– Nie ma ba...

Lohmann kaszlnął. Nietrudno było za nim teraz nadążyć. Jego kroki przeszły w beładną galopadę. Wydawało się, że resztki sił napływają do niego falami. Thea wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. Uszczypnęła.

– Poddajesz się?

Tylko syknął w odpowiedzi. Otrząsnął się z jej dotyku. Biegł dalej. Cała twarz mu zsiniała. Robił grymasy, jak demon. A lewą rękę przyłożył do piersi.

Serce. Zaczynało mieć kłopoty.

Jeszcze tylko trochę. Parę szybkich kroków i wyprzedziła go o kolejny metr. Szło jej tak łatwo, tak łatwo... Jeszcze tylko trochę.

Znów rzuciła za siebie spojrzenie. Jego ruchy wyraźnie zwolniły. Palce lewej ręki wpiły się w pierś. Olbrzym się zakołysał. Jeszcze tylko trochę. Ale co to za dźwięk?

Telefon.

Znowu dzwonił ten pieprzony telefon.

Ich spojrzenia się spotkały. Oczy Lohmanna były duże i okrągłe. Złapała go, uczepiła się materiału jego kurtki. Pociągnęła go za sobą.

– Chyba się nie poddajesz?

Znów się pośliznął. Tym razem udało mu się oprzeć tylko na jednej ręce. Osunął się na kolana. Stał tak, łapiąc oddech. Nadal trzymała go za kurtkę. Ciągnęła ją z całych sił. To jednak nie wystarczyło, żeby podnieść go na nogi.

– Thea... Nie...

– Poddajesz się?

Puściła go. Osunął się na ziemię.

Tętniło jej w głowie, gdy uniosła tułów.

– POWIEDZ, ŻE SIĘ PODDAJESZ!

Podniósł rękę w obronnym geście, wskazał na kieszeń. Telefon wciąż dzwonił.

– Ja... ja muszę... odebrać.

Przetoczył się na plecy; leżał, pojękując, a ręką przeszukiwał kieszeń. Thea zamknęła oczy. Nie było jej dość. Miała go rozsadzić. Miała zajechać to jego małe, przebrzydłe serce, tak by nigdy już nie zabiło.

– Tak... tu Lohmann.

Otworzyła oczy. Leżał, gapiąc się w niebo. Znad jego wilgotnej twarzy, wirując, wzbijała się para.

– Co?

Posłał Thei spojrzenie. Skinął głową.

– Tak... Tak, oczywiście.

Ramię mu opadło. Leżał.

– Coś ważnego?

Odpowiedział jej tylko kaszel.

– Halo? Coś ważnego, pytam?

Lohmann uniósł głowę.

– Uspokój się. Kurwa...

Charknął, przewrócił się na bok i splunął na ziemię.

– Chodzi o Wenera.

– Ach tak?

Lohmann oparł ręce o kamień i się podźwignął. Zwiesił głowę. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzyła nań z góry. Biedny, biedny Lohmann. Napotkał jej wzrok.

– Werner nie żyje, Theo. Wjechał rowerem pod samochód... Właśnie teraz.

# **Część 4**

## **Wolna posada**



## 55. Lohmann

Mons Lohmann ogarnął wzrokiem zgromadzonych wokół podłużnego stołu. Tego ranka nikt nie powiedział więcej, niż było trzeba. Wszyscy referowali równie zwięźle. Minęło już kilka dób, odkąd Werner zginął, przejechany. Idiota nie miał na głowie kasku, chociaż to pewnie i tak na niewiele by się zdało. Zjeżdżał ulicą Fjellveien bez trzymanki. Facet, który nadjechał samochodem z naprzeciwka, nie był w stanie wykręcić na wąskiej jezdni, Werner zaś naturalnie nie mógł zahamować. Skończyło się to tak, jak musiało.

Lohmann odsunął się na krześle od stołu i dotknął plecami oparcia. Nie czuł się dobrze tego ranka. Czwartkowy jogging niemal go wykończył. Znów odezwało się to przekłete serce. Gdyby nie ono, pokonałby Theę na zboczu. To było wprost żenujące – zostać prześcigniętym przez kobietę w ten sposób. Ani trochę nie podobała mu się myśl o szyderczych uśmiechach, jakie Thea będzie mu odtąd posyłać za każdym razem, gdy ktoś wspomni o joggingu.

Nie, musiał przestać się nad sobą użalać. Odnalazł wzrokiem zdjęcie szwarccharakteru z *Tropiciela*. Powodem, z jakiego zostawił plakat na ścianie po przejściu oddziału, było to, że każdego ranka chciał czuć na sobie ostre spojrzenie.

– Jaką mamy więc sytuację na oddziale?

Zwrócił się do Evelyn, siedzącej na swoim stałym miejscu po jego lewej ręce. Dzisiaj także była niezwykle cicha. Ziemisty kolor cery nadawał jej wygląd wychudzonej. Gdyby nie wiedział, mógłby pomyśleć, że Werner był jej szczególnie bliski. Kobiety miały jednak to do siebie, że bardziej się przejmowały niż mężczyźni, zdążył już do tego przywyknąć.

– Mamy... mamy kilka wolnych łóżek. I miejsce na OIOM-ie. Dawno nie było lepiej.

– Świetnie. W takim razie zaraz kończymy. Najpierw chciałbym jednak przekazać jedną rzecz tym, do których to nie dotarło. Nabór na długo wyczekiwane stanowisko naukowe został w końcu otwarty. Ponieważ sprawa się przeciągnęła, ustaliliśmy nadzwyczaj krótki termin na odpowiedź. Proszę, żeby wszyscy zainteresowani złożyli podania tak szybko, jak to możliwe. Nie musicie też załączać atestów i tym podobnych. Już je mamy. To wszystko!

Uderzył obiema dłońmi o stół. Zwykle gdy to robił, ludzie podrywali się z krzeseł. Tym razem zostali na miejscach. Wstał jako jedyny. Evelyn siedziała tak, że zagrażała mu drogę do drzwi po lewej. Zasygnalizował, żeby się przesunęła, ale wyraz jej oczu wskazywał, że myślami była zupełnie gdzie indziej.

– Myślałem, że odbędzie się nabór na dwa stanowiska.

Rozpoznał głos Blixa i podniósł wzrok. Jakie to dla niego typowe, że wyrwał się jak Filip z konopi.

– Cóż, będzie tylko na jedno.

– Dlaczego?

– Dlatego, że... – wziął oddech. Nie podobało mu się, że tylko on stał, gdyby jednak usiadł, to dyskusja by się przeciągnęła. – Dlatego, że na tyle nas stać. W tym roku mamy duże braki w budżecie. Evelyn?

Kopnął jej krzesło i wreszcie podniosła wzrok.

– To są jakieś bzdury – ciągnął Blix. – Tu chodzi o zonglerkę etatami. Zawsze tak było. Przecież i tak musimy przyjmować ludzi na stanowiska tymczasowe, więc dlaczego nie mielibyśmy ich zatrudnić porządnie, skoro już tu są?

Lohmann poczuł, że coś w nim eksploduje. Nie wiedział, co takiego. Zmęczenie. Rozdrażnienie z powodu tego, jacy ci ludzie byli dziś bezproduktywni. Oparł obie ręce na stole i odnalazł Blixa wzrokiem.

– Bo nie możemy pozwolić byle komu zostać neurochirurgiem!

– A skąd wiesz, kto się do tego najlepiej nadaje, skoro młodszym nawet nie wolno spróbować? Nic się nie zmieniło w tym domu wariatów, odkąd zaczęliśmy tu pracować, Mons. Myślałem, że jako nowy szef może coś zmienisz, ale wciąż jest ta sama śpiewka: starzy trzymają młodszymi w niepewności tak długo, jak mogą. Nie ma też żadnych struktur kształcenia. Każdy musi sobie radzić sam, łokciami torować sobie drogę. Jakich chirurgów w ten sposób szkolimy? Owszem, powiem ci. Takich jak my. Równie egoistycznych i złych ludzi.

– Koniec dyskusji!

Lohmann wymierzył kolejnego kopniaka w krzesło Evelyn, aż odskoczyło na bok. Utworzył się dzięki temu na tyle szeroki przesmyk, że mógł się precyzyjnie wyszedł za drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Przechodząc obok okien sali seminaryjnej, zauważył, że Blix siedzi, gestykulując. Pewnie znów się wymądrzał, ten Blix, skoro już skupił na sobie uwagę wszystkich. Nigdy w życiu nie powinien był poruszać tematu posady. Zrobił to, żeby być fair wobec lekarzy-asystentów, przypomnieć im o terminie. Cały czas trzeba było się nimi zajmować. Zabierali mu czas, chcieli operować te przypadki, do których on był wyznaczony, dzwonili i męczyli go o błahostki za każdym razem, gdy pełnił dyżur telefoniczny.

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Opadł na fotel biurowy i pozwolił, by jego spojrzenie spoczęło na panoramie miasta Bergen. Od razu się uspokoił. Naprawdę dobrze, że miał na ten dzień zaplanowaną operację wycięcia guza, bo inaczej chodziłby po ścianach. Dość już miał opieki nad personelem w związku ze śmiercią Wernera, a teraz jeszcze to.

– Przepraszam, ale...

Wzdrygnął się, słysząc za sobą wysoki głos. Okręcił się dookoła. Na krześle przy drzwiach siedziała kobieta.

– Cholera, ale mnie pani...

Urwał.

– Sekretarki kazały mi tu poczekać – powiedziała, wskazując w głąb korytarza. Lohmann gapił się na nią tak intensywnie, jak tylko mógł, ale nie wyglądało na to, żeby wprawił ją w zakłopotanie. Wszyscy na oddziale wiedzieli, że gabinet był jego świętym terytorium. Nikt nie poprosiłby kogoś o oczekiwanie tutaj, o ile nie życzyłby mu bardzo źle.

– Kim pani jest?

Siedząca przed nim kobieta nie mogła mieć więcej niż trzydzieści kilka lat. Krótko obcięte, jasne włosy, dość urocza, choć niezbyt wysportowana. Za to biuściasta. Miała lekarskie spojrzenie. To w każdym razie było pewne.

– Vilde Kåfjord. Rozmawiałam z panem przez telefon w sprawie mojego partnera, Jeana-Jacques'a Bressona. Chodzi o posadę, na którą ogłoszono teraz nabór.

Lohmann okręcił fotel do komputera. Metoda intensywnego gapienia się, którą często stosował, by zbić ludzi z pantafelów, najwidoczniej nie zadziałała odstraszająco na Vilde Kåfjord. Musiał raczej zmienić taktykę i zacząć ją ignorować.

– Aha – powiedział i zalogował się do systemu. Siedział, wpatrując się w ekran, podczas gdy maszyna pracowała.

– Jean-Jacques złożył już podanie drogą elektroniczną, ale jestem tu, żeby donieść zaświadczenia i dokumenty w wersji papierowej.

– Koniec z papierami. Niech je przeskanuje i wyśle mejlem.

– Już to zrobił. To tylko taki gest z naszej strony, żeby ułatwić wam sprawę.

Poczuł, że irytuje go jej wesołość. Czy nie okazał wyraźnie, że nie cenił sobie takich niespodzianek? I jak dotąd nie usłyszał od niej słowa przeprosin.

– Przyszłam tu też, żeby poinformować, że mój partner załatwił sobie projekt badawczy,

tak jak pan polecił.

– Tak jak poleciłem? – Obrócił się. – Niczego nie polecałem.

Kobieta siedziała z równą powściągliwością co przedtem, tylko na jej usta wybiegł nieznaczny uśmiech, tak jakby zaprowadziła go dokładnie tam, gdzie chciała.

– Nie ukrywajmy, że ta jedna posada, na którą ogłoszono nabór, jest bardzo oblegana. Ale Jean-Jacques ma za sobą cztery lata neurochirurgii i powinien być doskonałym kandydatem. Ma więcej doświadczenia niż ktokolwiek z pracowników tymczasowych na oddziale. Jasno zrozumiałam jednak, że w pańskim odczuciu jego francuskie pochodzenie i brak związków z Bergen stanowi raczej wadę niż zaletę. Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, wspomniał pan też, że brakuje mu doświadczenia w pracy naukowej i że powinien się zaangażować w projekt doktoratu, żeby jego kandydaturę w ogóle wzięto pod uwagę. Cóż, Jean-Jacques skontaktował się teraz z Perem Irgensem i ma zacząć pracę nad projektem, który pierwotnie miał przypaść w udziale Mathiasowi Grande. Mam nadzieję, że to może zwiększyć jego szanse na zdobycie pracy, i jestem tu, żeby się upewnić, że pan to zrozumiał.

Lohmann złapał się na tym, że otworzył usta i zamknął je tak, że trzasnęła szczęka.

– Zrozumiem, co trzeba, kiedy przeczytam podanie. Dziękuję!

– Świetnie! W takim razie już się upewniłam. I przepraszam, że tak pana zaskoczyłam, kiedy pan tu wszedł.

Podniosła się z miejsca. Zauważył, że kolana ugięły się pod nią lekko, tak jakby dygnęła, zanim ruszyła do drzwi. Zdusił śmiech. Dygająca kobieta? W dzisiejszych czasach kobiety bardzo się od siebie różniły. I prawdę mówiąc, usłyszał swoje przeprosiny.

– Proszę poczekać!

Kobieta stanęła w drzwiach i się odwróciła. Wskazał krzesło, na którym siedziała.

– Może pani zostawić papiery tam. Obiecuję, że przyjrzę im się bardzo dokładnie.

Uśmiechnęła się wstydliwie i zrobiła, jak kazał.

– Dziękuję.

W odpowiedzi skinął głową. Kobieta w pewien sposób przypominała mu Theę, nie tyle z figury czy wyglądu, ile raczej ze stanowczego tonu i postawy. Ale Thea nie dygała. Mógłby przysiąc, że nie zrobiła tego nigdy w życiu, taka była zadziorna. Taka mroczna. Głębiny jej duszy mogłyby wystraszyć niejednego mężczyznę.

– Skoro już pani tu jest... Czy pani partner przeprowadza się do Norwegii z myślą, żeby tu zostać?

Kobieta przytaknęła.

– Kupiliśmy już dom tuż przy stadionie Brann.

– Nie jesteśmy zainteresowani pracownikami, którzy pomieszkają w Bergen przez kilka lat, żeby potem wynieść się gdzie indziej. Obstawiamy dalekosiężnie. To mały oddział, wie pani.

– Cóż. Mam w Bergen krewnych. Jestem w ciąży. Czas już, żebyśmy zapuścili korzenie.

Ale to oczywiście zależy od tego, czy Jean-Jacques dostanie posadę, czy też nie.

– Rozumiem.

Musiał przyznać, że nabrał o niej lepszego mniemania. Była absolutnie do rzeczy. A gdyby ten Francuz okazał się równie solidny, to trudno byłoby mu odmówić. Irgens miał zwykle nosa do ludzi. To jedno trzeba było staremu zrządzie przyznać.

– Cóż, odezwę się do państwa.

Kobieta uśmiechnęła się krótko. Odwróciła się i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Lohmann obrócił się znów do komputera. Okej. Dość polityki personalnej. Teraz szykował się do operacji. Musiał jeszcze raz obejrzeć zdjęcia MR i zaplanować dostęp. Już dawno nie miał do czynienia z oponiakiem podstawy czaszki. Hasselgren zwykł zagarniać

większość przypadków, które się im trafiały.

Zdażył przejrzeć projekcje osiowe, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Z pełnym spokojem kontynuował przeglądanie. Dość polityki personalnej. Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

Znowu rozległo się pukanie, ale nie pozwolił się zdekoncentrować. Dopiero gdy na korytarzu odezwał się głęboki, dźwięczny głos, opadł na fotelu i wyrwało mu się przekleństwo.

– Mons! Wiem, że tam jesteś.

Irgens, rzecz jasna. Stary kozioł. Czego znowu chciał? Nie można było się mu wywinąć. Irgens miał dość cierpliwości, żeby stać tak na zewnątrz do jutra, gdyby musiał.

Lohmann okręcił fotel biurowy i zawołał:

– Wejdz!

## 56. Mathias

Karsten Isaksen się roześmiał. Był to cudowny śmiech, tego rodzaju, przed którym sufit się rozstępował i który trwał sam z siebie. Szarawy pokoiak pacjenta nagle jakby nabrał koloru. Mathias uśmiechnął się, przypatrując się uważnie Isaksenowi, który obracał na wszystkie strony dopiero co rozpakowaną czapkę z daszkiem.

– Skąd wiedziałeś...?

– Zaryzykowałem. W końcu niewiele jest drużyn do wyboru.

Karsten Isaksen pogładził ręką ranę operacyjną, która jak znak zapytania rysowała się na całej lewej połowie jego głowy. Na usta wypłynął mu błogi uśmiech.

– „Miastem jest Bergen, a drużyną Brann” – wymamrotał i włożył czapkę na głowę.

Blizna przestała być widoczna. – O, proszę! Jak wyglądam?

– Jak prawdziwy bergeńczyk.

– Usiądźże. Nie stój tak i nie gap się, człowieku! Chciałbym móc cię czymś poczęstować, ale dałbym głowę, że ty masz więcej posłuchu u tutejszych siostrzyczek niż ja.

Mathias znalazł wolne krzesło przy oknie i usiadł. Znow musiał się uśmiechnąć, tym razem na widok pacjenta z czerwoną czapką z daszkiem na głowie. Przez ostatnie doby dużo się uśmiechał. Wciąż rozpięrało go ogromne poczucie ulgi, którego doznał na wieść, że kogo innego zatrzymano za napad na taksówkarza. Razem z Marianne raz po raz czytali artykuł internetowy. Wykuł go niemal na blachę. W tekście podano, że policja przesłuchiwała pobitego kierowcę taksówki, a informacje, których udzielił, doprowadziły do przełomu w sprawie. Nie spóźnili się z nim ani o jeden dzień.

– Właściwie to ja powinienem mieć dla ciebie prezent – dobiegł go głos Isaksena.

Mathias pokręcił głową.

– Nie myśl o tym!

– To ja za tobą polecałem i cię przewróciłem, do cholery. Nie powinienem był tego robić. Nie wiem, co mnie naszło.

Mathias wzruszył ramionami.

– I tak nie pamiętam wiele z tego, co się stało.

– A tego, że od razu zadzwoniłeś pod 113 z mojego telefonu?

– Tego też nie.

Karsten Isaksen znow się roześmiał, a jego śmiech potoczył się, tak jak poprzednio.

– Człowieku, ty to musiałeś mieć ostrą popijawę tamtego wieczora.

Drzwi się otworzyły i weszła pielęgniarka z tacą.

– Pora na lunch, panie Isaksen.

Karsten Isaksen poprawił czapkę i uśmiechnął się całą twarzą. Było oczywiste, że nie tylko jedzenie wprowadziło go w zachwyty.

– Nie zechciałaby pani się na skraj łożka i dotrzymać mi towarzystwa, co?

Mathias zagapił się na okno. Myślamy nadal był w dole miasta, na placu Danmarksplass. Nawet przez sekundę nie uwierzyłby w historię o tym, co się wydarzyło, gdyby nie usłyszał jej z ust funkcjonariusza policji. Opowieść przewróciła wszystko do góry nogami. Nie można było mu zarzucić nic oprócz trudnego zachowania w roli klienta taksówki, który nie chciał zapłacić za przejazd. To nie spodobało się Karstenowi Isaksenowi, w związku z czym potraktował go kijem bejsbolowym. Uderzony przez taksówkarza Mathias upadł na ziemię. I na tym mogłoby się skończyć, gdyby nie fakt, że dwóch typów, skądinąd znanych policji, przechodziło obok i połakomiło się na cenne rzeczy ze stojącej przy drodze taksówki. Zrozumiawszy, co się święci, Karsten Isaksen odwrócił się i pobiegł do samochodu, ale został obezwładniony, po czym

otrzymał fatalny cios w głowę. Następnie obaj napastnicy uciekli, jak powiedziano Mathiasowi, najprawdopodobniej dlatego, że ich spłoszył. Z telefonu komórkowego Isaksena zadzwonił pod 113. Przypuszczalnie to wtedy poplamiał się krwią. Nikt nie mógł wyjaśnić, gdzie się potem podział.

– Więc myśli pan, że dobrze mi w tej czapce?

Podniósłszy wzrok, Mathias odkrył, że czapka z logo klubu piłkarskiego Brann znalazła się na głowie pielęgniarki. Kobieta krygowała się trochę, po czym ściągnęła ją i oddała.

– Nie ściemniam. Zadzwonię tu wieczorem, dzień przed meczem. Dwudziestego czwartego marca. Wystarczy zaznaczyć datę.

– Tak, tak. A teraz proszę zabrać się już do jedzenia.

Karsten Isaksen posłał powłóczyście spojrzenie za wychodzącą pielęgniarką.

– Jak ci się właściwie udaje utrzymać prosty kurs ze wszystkimi tymi paniami wokół?

Mathias wzruszył ramionami. To zdanie trafiło w sedno bardziej, niżby chciał przyznać. Przyszło mu do głowy, że Nathalie więcej się nie odezwała. Ale może to i dobrze. Relacja z nią była zakończonym i niezbyt chwalebny rozdziałem w jego życiu.

– Nad jednym się zastanawiam – zaczął i poczekał, aż Isaksen spuści wzrok z drzwi. – Kiedy zacząłeś sobie przypominać, co się stało?

– Więc jeszcze nie zrozumiałeś?

Mathias pokręcił głową.

– Kiedy zobaczyłem cię przed windą, człowieku! Gdybym cię wtedy nie spotkał, to pewnie zero bym pamiętał. Ale ja też myślę nad jedną rzeczą: dlaczego uciekłeś?

– Jak już mówiłem, nic nie pamiętałem z sobotniej nocy i bałem się, że to ja cię tak urządziłem.

– Aha, tak. To wyjaśnia co nieco.

Karsten Isaksen podniósł pokrywkę talerza z jedzeniem. Zapach omletu wypełnił pokój.

– Ale muszę przyznać, że zaimponowałeś mi, przyznając się policji, że kij bejsbolowy należał do ciebie i że mnie uderzyłeś.

Karsten Isaksen przytaknął. Przybrał poważny wyraz twarzy.

– Szczerosc, prawda? – powiedział, unosząc palec. – Zawsze najdalej zajdziesz, będąc szczerym. To najważniejsza rzecz, której nauczyła mnie moja świętej pamięci matka.

– Wyprostował palec i wycelował nim w Mathiasa. – Pamiętaj! Gdybym nie powiedział po prostu, jak było, to nigdy bym nie miał na głowie tej wypasionej czapki.

\*

Wkrótce później Mathias wyszedł z pokoju pacjenta. Nastala już pora lunchu, a on miał mnóstwo do zrobienia. Tego dnia nie czekała go zwykła praca na oddziale. Musiał spakować rzeczy w swoim gabinecie. Wcześniej wstąpił do Evelyn i złożył wypowiedzenie. Poprosił pięknie o odbiór wszystkich nadgodzin w formie czasu wolnego wraz z zaległymi tygodniami urlopu, tak by nie musiał pracować przez ostatni miesiąc w okresie wypowiedzenia. Zgodziła się bez szemrania. Nowy pracownik tymczasowy, który chciał spróbować swych sił w neurochirurgii, był gotów zacząć od zaraz. Jeśli coś do niego dotarło podczas pracy w tym zawodzie, to że nie było się niezastąpionym. A przynajmniej dopóty, dopóki nie zdobyło się specjalizacji. Fakt, że ludzie tacy jak Blix wygłaszali płomienne mowy na zebraniach porannych i apelowali o zmianę, niewiele pomagał, skoro nie należeli do zespołu kierowniczego.

Poszedł schodami na siódme piętro, gdzie mieściły się gabinety. W drodze do swojego pokoju minął otwarte drzwi pomieszczenia, które zajmował Werner. Wewnątrz zobaczył

Hasselgrena, który stał, zwijając w rulon plakat. Mathias zdążył zarejestrować, że na jego górnej części widniał napis „Mikrochirurgia dla wszystkich pacjentów”, zanim plakat trafił do etui w kształcie rury. Starszy lekarz nagle uniósł wzrok i zrobił grymas, jakby ktoś go przyłapał na kradzieży jabłek.

– Oooch... to było moje – powiedział i uśmiechnął się głupawo.

Mathias nie odpowiedział. Naraz przypomniał sobie, jak siedział w samochodzie przed domem Hasselgrena i bał się do niego wejść. Dlaczego tak miało być? Dlaczego to Hasselgren nie zaprosił go do siebie, żeby polepszyć współpracę?

– Znałeś go dobrze? – wyrwało mu się, mimo że znał odpowiedź.

Hasselgren zeszywniał z obiema rękami na podłużnym etui.

– Schlunka...? Nie wiem. Dlaczego?

– Współpracowaliście ze sobą. Mówił raz, że był u ciebie w domu.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Zgadza się. Przyszedł do mnie pewnego wieczora. Prawdę mówiąc, bez zapowiedzi.

Porządny był człowiek z tego Wernera Schlunka. To naprawdę przykre, co się stało.

Sztywny uśmiech wyglądałby może naturalnie na manekinie wystawowym. Przed oczami Mathiasa stanął Werner. Długi, patykowaty Werner. Prawie same ręce i nogi. Nie znali się, ale był rzetelny i zręczny w swojej pracy. Poza tym jednej rzeczy Mathias był pewny: nie chciał skończyć w ten sam sposób.

Wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Miał na sobie zielone ubrania operacyjne, które teraz zaczął powoli zdejmować. Najpierw koszulę, potem spodnie i skarpety. Zwinął wszystko w kulę i cisnął w kąt pokoju.

O, tak. To był ostatni raz.

Otworzył szafę i włożył chinosa i niebieską koszulę, po czym stanął przed lustrem po wewnętrznej stronie drzwi i uczesał włosy. Kiedy skończył, zagapił się na swoje odbicie.

To było jego nowe ja.

Na biurku leżało niewiele rzeczy. Usiadł w fotelu biurowym i zaczął oddzielać papiery do wyrzucenia od tych, które zamierzał oszczędzić. Był już w połowie zadania, kiedy nagle uzmysłowił sobie, że o czymś zapomniał. Podniósł plecak, który wziął z domu. W środku znajdował się laptop Thei. Odłożył go na stół i się zamyślił. Nie ustalił jeszcze sam ze sobą, w jaki sposób go odda. Najlepiej byłoby chyba, żeby pojawił się w formie przesyłki pocztowej albo żeby po prostu znaleziono go na oddziale. Miał nadzieję, że Thei wydałoby się, że go tam zostawiła. Pendrive'a ze wszystkimi danymi, które skopiował, dawno już wyrzucił, nim więc przynajmniej nie musiał zaprzętać sobie głowy.

Przecięgnął ręką po plastikowej powierzchni. Była też jednak dużo ważniejsza kwestia. Tuż przed weekendem dokonał ryzykownego wyboru. Odesłał plik dźwiękowy, który nagrał wieczorem ponad tydzień wcześniej, siedząc pod biurkiem w gabinecie Thei. Koniec końców trzymał na kolanach laptop z otwartym programem do obsługi kamery internetowej. Wystarczyło nacisnąć przycisk „Nagrywaj”. Miał nadzieję i przypuszczał, że Thea doceni tę inicjatywę. To jednak pokaże czas.

Rozległy się dwa stuknięcia. Zanim zdążył się odezwać, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Per Irgens. Przeszedł prosto przez pokój i usiadł na krześle przy szafie. Był dziś niecodziennie ubrany. Mathias nie pamiętał, kiedy ostatnio widział go w koszuli, spodniach i butach do joggingu, których podeszwy ten jeden raz uczyniły jego wejście zupełnie bezgłośnym.

– Nie mówiłem, że możesz wejść – rzekł lakonicznie.

– Oj, w dupie to mam, Mathias.

Irgens założył nogę na nogę i westchnął demonstracyjnie.

– Czego chcesz? Mam dużo roboty.

– Rozmawiałem z Marianne. Powiedziała mi wszystko, czego ty nie chciałeś.

Irgens zrobił swoją zwyczajową, dramatyczną pauzę, po czym kontynuował:

– Mogłeś, do diaska, przyjść do mnie i poprosić o pomoc.

Mathias oparł się w fotelu biurowym. A więc Irgens skontaktował się z Marianne. Po tym człowieku wszystkiego można się było spodziewać.

– Przecież to zrobiłem.

– Przecież to zrobiłem – zawtórował Irgens. – Pojawiłeś się w moim gabinecie i nawtykałeś mi jakichś bredni, z których zrozumiałem, że chodziło o nieudaną operację. Taki byłeś cholernie enigmatyczny. Nawet w najśmielszych snach nie mógłbym sobie chyba wyobrazić, w jak wielkim byłeś kłopotcie? – Irgens pochylił się, splatając przed sobą swoje duże ręce: – Powiedz mi, czy kiedykolwiek zabrakło ci mojego wsparcia? Czy nie próbowałem ci pomagać najlepiej, jak potrafiłem?

– Cóż, przeważnie tak. Ale kiedy przyszedłem do ciebie w sprawie stałej posady, to akurat niezbyt mi pomogłeś.

– Posłuchaj no, Mathias. Sam przecież przyznałeś, że jestem przeterminowanym towarem, zrzędą pozbawionym wpływów. Postąpiłem właściwie, odsyłając cię do innych. Musiałeś zapoznać się z Hasselgrenem i Lohmannem i nauczyć się, jak funkcjonuje ten oddział. Inaczej nigdy byś tutaj nie przetrwał po moim odejściu. Zjedliby cię żywcem.

– Cóż, teraz mnie to ominie.

– Co przez to rozumiesz?

– Liczbę stałych posad zmniejszono do jednej. Nie mam nic, co pozwoliłoby mi prześcignąć konkurencję.

– Decyzji jeszcze nie podjęto.

– Nie na papierze, to prawda.

Irgens westchnął.

– Kiedy przyszedłeś do mnie po raz pierwszy, byłeś złotodziobem. Chłopaczkiem, który miał dobre chęci, ale nic nie wiedział o świecie. Na oddziale dali ci duży odpór, ale poradziłeś sobie z nim i wybrałeś szczerłość. Zaslugujesz w tym względzie na szacunek. Myślę, że masz potencjał, żeby zostać niezwykle dobrym lekarzem i doskonałym neurochirurgiem. Byłaby to dla nas strata, gdybyś odmówił przyjęcia stałej posady.

Mathias wyprostował się w fotelu.

– Do czego zmierzasz?

Irgens wzruszył ramionami.

– Tylko do tego, że za niezbyt długi czas zaproponują ci stałe stanowisko.

Mathias spuścił Irgensa ze wzroku i zapatrzył się w podłogę. Wiedział, że powinien czuć radość. Jeszcze tydzień temu tańczyłby ze szczęścia po takiej nowinie. Teraz całą tę sytuację odbierał jako swoisty antyklamaks.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że nie masz wpływu na proces zatrudnienia.

– Powiedzmy, że czysto oficjalnie go nie mam, ale poczyniłem wcześniej pewne inwestycje, których plony zbieram teraz. Musisz pamiętać, że to był mój oddział, że ja go stworzyłem. Nie pozwolę, żeby zszedł na psy, gdy tylko zamknę za sobą drzwi. A Monsowi uwiadziło się, że zatrudni na stałe Francuza.

– Francuza?

– Tak, sam go zresztą poparłeś.



– Jeana-Jacques’a Bressona?

– Zgadza się. Z pewnością porządny z niego człowiek, ale kandydaci wewnętrzni powinni mieć pierwszeństwo. Taka jest w każdym razie moja filozofia.

Przez głowę Mathiasa przetoczyła się lawina myśli. Jean-Jacques. Vilde. Thea. Posada. Złapał się za głowę. To do tego dążyła Vilde. Chciała posprzątać drogę dla swojego chłopaka. Wpadł prosto w pułapkę.

– I tyle! Uważam, że mógłbyś mi podziękować!

Mathias podniósł wzrok. Per Irgens siedział zadowolony, oparty na krześle, z dużymi rękami splecionymi na kolanach.

– Muszę cię zawieść – powiedział. – Nie będę dalej pracował na oddziale.

Nie padła żadna spontaniczna odpowiedź, żaden wybuch, których się spodziewał.

– Przez ostatnie miesiące wiele się nauczyłem. O sobie. O tym, czego chcę w życiu.

O tym, dokąd zmierzam. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy warto jest poświęcać swoje życie na pracę neurochirurga. To fantastyczny fach. Nie ma chyba ciekawszych zawodów. Ma jednak swoją oczywistą cenę. Potrzebuję czasu, żeby dowiedzieć się, co jest dla mnie właściwe.

– Aha. Czym w takim razie zamierzasz się zająć?

Mathias wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może niczym, co ma związek z medycyną. Może spróbuję czego innego. Za wcześniej o tym mówić. Albo, jak sam niedawno zakończyłeś opowieść: to nie gra roli. Ważne, że się zwalniam.

Siedzieli długo, nie odzywając się do siebie. Irgens zachował powagę.

– Uznaję to za porażkę, Mathias. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Porażką to raczej nie jest. Tu chodzi o mnie, a nie o ciebie.

– Owszem. Właśnie że o mnie. Bo to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za to, kto jest obecnie zatrudniony na tym oddziale. To ja wykreowałem Monsa Lohmanna, między innymi, i zaczyna być już za późno na zmianę. Wcześniej spostrzegłem, że miał styl, który z czasem spowodowałby problemy. Ale przy tym był tak cholernie dobry w operowaniu... rozumiesz. Jego ręce po prostu fruwały nad polem operacyjnym. Mało się w nim nie zakochałem, kiedy staliśmy razem nad stołem. Ma bezsprzeczny talent chirurgiczny i postanowiłem postawić to ponad kwestiami natury personalnej. A teraz... teraz obaj widzimy rezultat. Mógłbyś wnieść powiew świeżego powietrza, Mathias, nadzieję, że udałoby się nam jednak wyprostować nasze ścieżki.

Mathias utkwiał już wzrok w laptopie Thei, który leżał złożony na biurku. Uderzyła go myśl, że powinien wtajemniczyć Irgensa w to, co przedsięwziął. Starszy lekarz był godny zaufania. Dowiódł tego dobitnie.

– Dni Lohmanna jako szefa są policzone.

Mathias podniósł pokrywę laptopa Thei i go włączył.

– Powiem ci, dlaczego. Najpierw jednak musisz mi coś obiecać.

– Nie lubię dawać obietnic, kiedy nie wiem, czy mogę je spełnić.

– Cóż, w takim razie możemy zakończyć tę rozmowę tu i teraz.

Mathias spojrzał Irgensowi prosto w oczy. Znał już reguły tej gry. W ostatnich miesiącach wiele się nauczył o szemranych interesach. Irgens wziął oddech i wydał wyraźnie nieautentyczne, starcze westchnienie.

– No dobrze, w porządku. Co chcesz, bym zrobił?

– Zadbał o to, żeby oddział zatrudnił Theę zamiast mnie.

– Theę? Dlaczego Theę?

– Mam co do niej intuicję. Myślę, że jest osobą, której poszukujesz. A w każdym razie jest dużo lepszą kandydatką od tego Jeana-Jacques’a Bressona.

Irgens skinął głową.

– Cóż. Sam poczyniłem podobne refleksje... W porządku. Masz moje słowo. Ale jaki ten komputer ma związek z Lohmannem?

Mathias przeniósł laptop na kolana.

– Skontaktowałem się z biurem lekarza wojewódzkiego. Wysłałem im nagranie dźwiękowe. Nie pytaj, skąd je mam. Tylko posłuchaj. Wkrótce zrozumiesz, co mam na myśli.

## 57. Thea

Wiedziała wszystko o radzeniu sobie z płaczem. W pracy, którą wykonywała, nierzadko zdarzało się, że ludzie załamywali się na jej oczach. Czy to dlatego, że sami zapadali na chorobę, czy też dlatego, że chorowali ich bliscy. Płacz koleżanki był dla niej jednak zupełnie nowym przeżyciem. Czuła się dziwnie, trzymając rękę Evelyn w jej gabinecie, podczas gdy ta szlochała w białą chusteczkę.

Historia, którą usłyszała, zaskoczyła ją. Evelyn i Werner, dwie zupełnie różne osobowości, odnalazły się, o czym nie dowiedział się nikt na oddziale. Pewnie, zauważyła, że Evelyn zawsze zwracała uwagę na Wenera i na to, co robił, ale daleko stąd było do związku. A jeszcze dalej do rozwodu z mężem, żeby zamieszkać z obcym mężczyzną. Mieli już swoje plany, Evelyn i Werner. Potem jednak zdarzył się wypadek.

– Przepraszam.

Evelyn podniosła wzrok znad chustki. Thea ścisnęła jej rękę.

– Nie szkodzi.

– Nikomu o tym nie mówiłam. Trudno...

Kolejny szloch sprawił, że Evelyn urwała w pół zdania. Thea spróbowała się uśmiechnąć.

– ...pogodzić się z tym, że on nie żyje?

Na dźwięk ostatniego słowa twarz Evelyn przeszedł krótki skurcz. Potem jednak opanowała się i przytaknęła.

– Nie wiem, co począć.

– A musisz wiedzieć? Nie możesz skupić się na żałobie po nim? Werner był wspaniałym człowiekiem.

Evelyn zamknęła powieki. Z kącika jednego oka popłynęła nowa łza. Thea przesunęła krzesło bliżej, żeby móc objąć jej barki ramieniem. Głowa Evelyn natychmiast opadła na jej piersi.

– Już dobrze, już dobrze – zamruczała, podczas gdy szloch Evelyn coraz bardziej się nasilał.

Żałoba. O niej też już wszystko wiedziała. Choćby to, że walka z nią mogła sprawić nawet więcej bólu.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim odstęp między szlochami zaczęły się wydłużać. Evelyn dźwignęła się powoli, siedziała i łapała oddech. Thea odsunęła na bok włosy, które zebrały się przed twarzą koleżanki.

– Lepiej?

Evelyn przytaknęła. Uniosła barki aż do uszu w głębokim westchnieniu i wypuściła powietrze z nadętych policzków.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma za co.

– Powinam to sobie wpisać w plan tygodnia. Najpierw obchód, potem pocieszenie Evelyn.

Zaśmiała się z przymusem.

– Jutro też możemy zrobić sobie sesję. Wystarczy powiedzieć.

Thea podniosła się z miejsca. Znow pomyślała o matce. Wspomnienia z jej łoża śmierci stale do niej wracały. Za każdym razem widziała to samo. Ręce. Wychudłą twarz. Ostatni oddech. Te obrazy przestały jednak sprawiać jej przykrość. Były tylko bolesne.

Podeszła do drzwi, ale na progu jeszcze się odwróciła.

– Słuchaj, Evelyn. A właściwie to o czym chciałaś ze mną pomówić?

– O, przepraszam.

Evelyn przetarła twarz obiema rękami. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskała jasność spojrzenia. Wstała i przeszła przez pokój. Tym razem to ona złapała Theę za rękę.

– Chodzi o twojego ojca. Wciąż jeszcze mieszka w hotelu dla pacjentów, wiesz.

Thea przytaknęła, unikając nalegającego spojrzenia, które posyłała jej Evelyn:

– Wiem o tym.

– On chce z tobą tylko porozmawiać. Nie mogłabyś wyświadczyć mi przysługi i tego zrobić? Nie bądź dla siebie taka surowa, Theo.

Evelyn puściła jej rękę. Thea otworzyła drzwi.

– Do pogadania – powiedziała i wyszła.

W korytarzu panowała przyjemna cisza. Ludzie rozmawiali półgłosem. Chyłkiem otwierały się drzwi. Nawet ortopedzi ten jeden raz ściszyli głosy.

Wyszła do hallu i zatrzymała się pod szklaną kopułą. Pozwoliła, by oblało ją światło poranka.

Czy naprawdę była dla siebie taka surowa?

Ona sama nie postrzegала tego w ten sposób. Pewnie, wściekała się ostatnio. Na wszystko i wszystkich. Ale gniew już jej mijał i obecnie nic nie zaprzętało jej bardziej niż powrót do równowagi życiowej. Za długo chodziła ze sobą na kompromisy. I to ją wyczerpywało.

Przypomniała sobie ten wieczór przed kilkoma dniami, kiedy wybrała się na jogging z Monsem Lohmannem. Z tej sytuacji w przedziwny sposób wyratował ją Werner. Nie miała odwagi myśleć, co mogłoby się stać, gdyby Evelyn nie starała się tak gorączkowo dodzwonić do Lohmanna. Mógł zasłabnąć i leżeć na ziemi. Mogła doprowadzić go do śmierci i przez resztę życia mieć krew na rękach. Nie było warto. Zamiast tego pokonała go na zboczu. Już to wystarczyło, że nie śmiał spojrzeć jej w oczy, że trzymał się od niej z daleka, że nie zatrudnił jej na stałe...

Zresztą, może i dobrze.

Nie chciała już mieć z nim do czynienia. Ani z nim, ani z profesorem Ingvild Falk. Z tą ostatnią jeszcze nie zdążyła się skonfrontować. Ale był to jeden z punktów w dzisiejszym planie.

Porządku.

Ruszyła wolnym krokiem. Wkrótce przeszła na drugą stronę skupiska gabinetów. Zapatrzyła się na tabliczkę wiszącą na drzwiach, przed którymi stanęła.

„Prof. dr n. med. Ingvild Falk”.

Ile razy tu sterczała, bijąc się z myślami? Wystarczyło jednak, że przekroczyła próg, a przetykała wszystkie rozterki. Osobie na stanowisku profesora nie można się było postawić. Nie chciało się też z taką zadrzeć. Akurat to spięcie było jednak nieuniknione. Od dawna o tym wiedziała. Była po prostu zbyt tchórzliwa, żeby skończyć zaczęłą myśl.

Uniosła rękę, by zapukać, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Zamiast tego położyła dłoń na klamce i po prostu weszła.

Ingvild Falk podniosła wzrok z fotela biurowego, kiedy Thea stanęła na środku pokoju. Profesor siedziała, czytając jakieś czasopismo. Jedną nogę założyła na drugą, a prawa stopa kołysała się beztrąsko w powietrzu. Tylko wyraz jej oczu wskazywał, że nie spodobało jej się to najście.

– Muszę z panią pomówić.

Thea zauważyła, że jest zdyszana. Zamknęła usta i postarała się stłumić oddech, mimo że poczuła się przez to, jakby się dusiła.

– Właściwie to pora nawet mi odpowiada.

Falk uśmiechnęła się sztucznie, odkładając okulary do czytania na biurko i zamykając czasopismo, które leżało na jej kolanach. Jej ruchy były przesadnie wolne, tak jakby chciała zademonstrować, że Thea przyszła nie w porę.

– Prawdę mówiąc, chciałam do ciebie zadzwonić. Otrzymałam dziwny mejl w sprawie naszego artykułu...

Falk dotoczyła fotel do biurka i dotknęła klawiatury, tak że ciemny ekran zbudził się do życia. Thea przełknęła. Wystarczyło powiedzieć, jak było.

– Wycofałam artykuł z publikacji. O to pani chodzi?

Ingvild Falk zerknęła na nią, zanim opadła z powrotem na oparcie fotela. Ruchy nadal miała spowolnione. Wydawały się niemal zaplanowane, tak jakby Falk ćwiczyła je z wyprzedzeniem.

– Usiądź no, Theo!

Gestem wskazała jej miejsce na kruchym krzeselku przy biurku.

– Dziękuję, postoję! Chciałabym załatwić to najkrócej, jak mogę.

– O? A co?

Falk uniosła brwi, tak że na czoło wybiegły jej wyraźne zmarszczki. Theę ogarnęła chęć ucieczki. Nie było jeszcze za późno, żeby zawrócić. Do tej pory niczego nie powiedziała.

– Wycofuję się z naszej współpracy.

Falk siedziała nieruchomo w fotelu i gapiała się na nią. Mijały sekundy. Thea nie wiedziała, czego się spodziewała, ale wolałaby uzyskać jakąś reakcję. Pani profesor wyraźnie jednak nie chciała spełnić jej życzenia.

– Zmanipulowała pani materiał liczbowy w naszym ostatnim projekcie – ciągnęła – i nie mogę się pod tym podpisać.

Kącik ust Falk drgnął lekko, ale nic poza tym.

– Theo, czy słyszysz, co ty wygadujesz?

– Tak i wiem, co mówię. Rozmawiałam z kilkoma pani byłymi doktorantami, więc wiem, że nie dzieje się to po raz pierwszy. I dlatego chciałam pani powiedzieć... Jeśli spróbuje pani jeszcze raz wysłać ostatni artykuł, to panią zgłoszę. To samo dotyczy sytuacji, w której będzie pani w jakikolwiek sposób próbować rzucać mi kłody pod nogi lub blokować moją karierę tu, w Haukeland.

Hałas, który się rozległ, sprawił, że Thea odskoczyła o krok. Kiedy się opanowała, Ingvild Falk stała przed nią wyprostowana. Jej fotel był przysunięty do biurka. Czasopismo, które leżało dotąd na kolanach profesor, wylądowało na podłodze między nimi, okładką do góry. Thea zobaczyła, że był to „Journal of Neurosurgery”.

– Koniec spotkania! – Głos Ingvild Falk stał się demonicznie mroczny. Włosy opadły jej na twarz, ale nawet nie próbowała ich odsunąć. Stała tylko sztywno z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała i się trzęsła. – Wynoś się!

Thea zaczęła się wycofywać. Falk postępowała za nią. Nagle zrobiła sus naprzód. Thea uniosła ramiona w obronnym geście i zrozumiała, co się stało, dopiero kiedy w twarz uderzył ją podmuch powietrza, a w korytarzu rozbrzmiał huk. Zatrzaśnięto przed nią drzwi. Stała, gapiąc się na tę samą tabliczkę, co zaledwie kilka minut temu.

„Prof. dr n. med. Ingvild Falk”.

Opuściła ręce. Poczowała, że obie pięści ma zaciśnięte, i rozwarła palce. Wkrótce potem mięśnie barków również się rozluźniły, a w przeponie rozeszło się uczucie nieskończonej ulgi.

Było po wszystkim.

– Co się dzieje?

Obróciła się za głosem i spostrzegła, że zza drzwi kilka metrów dalej w głębi korytarza

wygląda pielęgniarka z Sekcji Leczenia Nożem Gamma. Wzrok miała pytający.

Uśmiechnęła się. Potem się roześmiała.

– Przepraszam. To tylko lekki przeciąg.

\*

Wszedłszy do korytarza na pododdziale łóżkowym, odwróciła wzrok od fotografii Lohmanna z czaszką. W zamian za to pospieszyła prosto do automatu do kawy i wybrała ekstra mocną. Stała, opierając się o lodówkę, podczas gdy maszyna pracowała.

Porządku, tak. Ni mniej, ni więcej. Uporanie się z zaległymi sprawami dawało jej nieopisaną przyjemność. Właściwie to niewiarygodne, że wcześniej nie miała do tego głowy. Teraz powinna zaobserwować, czy Ingvild Falk będzie trzymać się od niej z daleka. W przeciwnym razie była gotowa ujawnić prawdę. Co do tego, czy zrobią to też inni, nie miała już takiej pewności. Blefowała, mówiąc o byłych doktorantach, ale niewątpliwie tacy istnieli. Ingvild Falk była kobietą z licznymi trupami w szafie.

Pozostało jej już tylko jedno. A mianowicie – zastosować się do rady Evelyn. Potrzebowała jednak trochę więcej czasu. Może mogłaby porozmawiać z ojcem jutro?

Skrzyknęły drzwi. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła Mathiasa Grande, nadchodzącego od strony klatki schodowej z wielkim tekturowym pudłem w ramionach. Ubrany w koszulę i jasnobrązowe spodnie, uczesany i uśmiechnięty. Kiedy minął drzwi do dyżurki, wyszła do niego pielęgniarka.

– To ostatnie pudło? – usłyszała Thea.

– Tak. Już wychodzę.

– W takim razie musimy się przynajmniej porządnie przytulić na pożegnanie.

Thea odwróciła się do automatu do kawy, żeby oszczędzić sobie patrzenia na patetyczny uścisk. Odebrała kubek z kawą i upiła łyk.

Czy Mathias się zwalniał? Nic o tym nie słyszała. Na tym oddziale najwyraźniej wszystko działo się naraz.

Obróciła się, żeby odejść, ale zatrzymała się, widząc, że Mathias stoi na drugim końcu korytarza i gapi się na nią znad pudła. Pielęgniarka się ulotniła. Zostali tylko we dwoje.

– Trzymaj się, Thea. Powodzenia!

Odjął rękę od pudła i pomachał jej niezdarnie, po czym odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę.

– Trzymaj się – odparła, ale jej głos nie poniósł się tak daleko, żeby go usłyszał.

Najpierw Werner. Potem Mathias. Obaj zniknęli. Pusto tu będzie. Nie mogła bowiem nie przyznać, że ich lubiła. Najbardziej chyba Mathiasa, o dziwo.

Kiedy zniknął za rogiem, kierując się w stronę wind, uderzyła ją myśl, że nie było już na oddziale kandydatów wewnętrznych, którzy nadawaliby się na stałe stanowisko. Nie zazdrościła jednak osobie, której się ono dostanie. Nie za panowania Lohmanna.

– A, więc tu jesteś!

Thea spostrzegła, że obok stanęła pielęgniarka.

– Nie odpowiadasz na wezwania!

Upiła łyk kawy i przyjrzała się kobiecie badawczo. To ona tak się wściekła, kiedy matka nie chciała przenieść się do hotelu dla pacjentów. Teraz uśmiechała się zyczliwie, jakby wszystko poszło w niepamięć. Może i tak było.

– Przepraszam. Miałam spotkanie.

– Jest do ciebie telefon.

– Od pacjenta?

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Od prawniczki z biura lekarza wojewódzkiego. Dzwoniła kilka razy. – Pielęgniarka ruszyła w stronę dyżurki. – Chodź! Telefon czeka na zapleczu.

Thea z wahaniem poszła za przyzywającą ją ręką. Wkrótce pielęgniarka zwolniła kroku, tak że Thea się z nią zrównała.

– Chcę tylko powiedzieć... – zaczęła kobieta półgłosem, kiedy mijały hamletowskie zdjęcie Lohmanna – ...że domyślam się, o co chodzi.

– Ach tak?

Pielęgniarka stanęła. Thea zrobiła to samo. Poczwała dłoń na ramieniu.

– ...i że masz wsparcie nas wszystkich z pododdziału łóżkowego. My też byliśmy na to narażone.

Thea zagapiła się w żarliwe oczy.

– Narażone na co?

– Nie obawiaj się. Wiele z nas będzie zeznawać. Rozmawialiśmy o tym, rozumiesz. Ale chodź już... żeby prawniczka się nie rozłączyła.

Pielęgniarka weszła do dyżurki. Thea postąpiła za nią. Coś jej podpowiadało, że porządki jeszcze się nie skończyły.

# Epilog



## 58. Marianne

W Bergen nastala wiosna.

Marianne przechyliła się przez balustradę na tarasie swojego domu rodzinnego, spoglądając w kierunku centrum. O tej porze roku nietrudno było się rozkoszować rozciągającym się stąd widokiem. Japońskie drzewa wiśni wypuściły kwiaty, kreśląc niemal nierzeczywisty różowy okrąg wokół stawu Lille Lungegårdsvann. Rododendrony także zakwitły i ich słodką woń, za którą zawsze tęskniła zimą, wyczuwało się w całym centrum. W mieście było dużo ludzi. Tłum zaczął gromadzić się wokół sceny, ustawionej na Festplassen w związku z festiwalem muzyczno-teatralnym Festspillene. Na brzegach Vågen i na Bryggen roiło się od ludzi. W okamgnieniu miasto zmieniło charakter, jak zwykle w maju, z szarego i przesiąkniętego wodą stało się tętniące życiem i barwne. Mieszkanie tutaj, bycie częścią tego miejsca, budziło w niej zawsze silne poczucie szczęścia.

Stała, obracając pierścionek na palcu prawej ręki. Nadal nie mogła się przyzwycząić do noszenia diamentu. Tyle ludzi zwracało na niego uwagę, że zwykła ściągać go w pracy. Spojrzała na zegarek. Mathias miał podwieźć Ylvę do Anne Kirsti i wrócić bezpośrednio do domu. Miał tu już być. Dzisiaj bowiem nie mieli czasu do stracenia.

Przeszła przez taras i wstąpiła do salonu, gdzie odłożyła komórkę do ładowania. Wybrała jego numer i zaczęła. Nie było sensu zwalniać się z pracy w dzień powszedni z myślą o przygotowaniach do ślubu, skoro Mathias nie umiał dopilnować czasu. Lista rzeczy do zrobienia była długa. I już za godzinę mieli obejrzeć lokal weselny.

Na linii odezwał się jego zdyszany głos.

– Cześć, Marianne. Pewnie się zastanawiasz, gdzie jestem?

– Tak, kochany. To właśnie robię.

– Nigdy nie zgadniesz.

– W takim razie może najlepiej będzie, jeśli mi powiesz?

Po echu jego kroków słyszała, że rozmawiał, idąc. Może korytarzem, może klatką schodową.

– Czekaj, chyba nie jesteś w Haukeland?

– Strzał w dziesiątkę.

– Idziesz na Neurochirurgię?

– I znów trafiłaś. Wstąpię tylko i przypomnę, żeby dali mi świadectwo pracy. Zajmie to dziesięć minut. Okej?

Znowu spojrzała na zegarek. W porządku. Dostanie te dziesięć minut. O ile nie kryło się za tym nic więcej.

– Tylko się pośpiesz!

– Tak zrobię. Do usłyszenia.

Wróciła na taras. Kiedy usiadła na leżaku, z miasta dobiegł dźwięk helikoptera.

Dostrzegła pomarańczowo-białe poszycie maszyny, nadlatującej znad centrum i odprowadzila ją wzrokiem ku lądowisku po południowej stronie Store Lungegårdsvann. Był to helikopter „Sea King” sił obrony, który transportował pacjenta. Widziała, że w dole, przy bazie, czekała już karetka, gotowa z włączoną lampą ostrzegawczą pojechać do Haukeland.

Na szczęście światła tej lampy nie oznaczały już, że Mathias, a co za tym idzie reszta

rodziny, będą musieli porzucić plany na resztę dnia.

Mathias wkrótce przyjedzie.

Mimo to miała nieodparte uczucie, że świadomie nie powiedział jej o wycieczce do szpitala. Nadal mówił wymijająco, kiedy podejmowali temat jego poprzedniej pracy. W pewnym sensie to rozumiała. Mathias przewrócił swoje życie do góry nogami, składając wypowiedzenie w Haukeland. Byłoby dziwne, gdyby nie tęsknił za pracą neurochirurga, zważywszy na to, jak pasjonował go ten zawód. Ale nie podobało jej się, kiedy serwował jej półprawdy. To budziło w niej nieprzyjemne skojarzenia. W gorsze dni mogła myśleć, że Mathias nigdy się nie zmieni.

Że nie zmienił się do tej pory.

Dźwięk pracy helikoptera zastąpiło odległe dyskotekowe dudnienie, dobiegające najpewniej z autobusu, przewożącego młodzież po skończeniu szkoły średniej ulicami w centrum. Usiłowała wypatrzeć autobus, ale odgłosy nagle się urwały. W powietrzu unosił się już tylko jednostajny zgiełk miejski.

Siedziała zapatrzona na Nordnes i Puddefjorden. Irytacja, którą czuła zaledwie przed kilkoma minutami, zaczęła wygasać. Tym razem postanowiła przymknąć oko na tę błahostkę. Oby tylko Mathias zdążył na czas. I oby nie wrócił z Haukeland z kolejną posadą lekarza-asystenta. Nie wytrzymałaby całego życia z lekarzem szpitalnym.

To jedno było w każdym razie pewne.

## 59. Mathias

Zdjęcie zniknęło.

Mathias stał w korytarzu na pododdziale łóżkowym i gapił się na ścianę, gdzie jeszcze kilka miesięcy wcześniej Mons Lohmann pozował z czaszką w ręku. Jedynym, co dało się teraz zauważyć, były dziury po gwoździach, na których wisiała duża, ujęta w ramy fotografia. Sądząc po nagłówkach gazet sprzed Bożego Narodzenia, ordynator musiał odejść w niełasce. Stał się czarną owcą oddziału i nikt nie chciał się obnosić ze znajomością z nim.

Mathias przyjrzał się podłodze, gdzie stała niegdyś gablotka Pera Irgensa. Przy odrobinie dobrej woli mógł dopatrzeć się niewielkiego śladu na linoleum. Korytarz wydawał się teraz ogołocony, ale ten stan rzeczy nie potrwa długo. Chodziły plotki, że nowy ordynator Odd Hasselgren lubił malować akwarele i nikogo nie zdziwiłoby, gdyby ściany w korytarzu ozdobiło wkrótce jedno lub więcej z jego malowideł.

Kiedy wyszedł na klatkę schodową, uderzyły w niego promienie wiosennego słońca. Minęło pół roku, odkąd był tu ostatnio, i musiał przyznać, że stęsknił się za tym miejscem. Wspomnienia wypełnionych pracą dyżurów i nocnych operacji z dystansu nabrały zupełnie innego blasku. Mimo to decyzja o rezygnacji z chirurgii przyszła mu łatwiej, niż się spodziewał. Nowa praca była intensywna i wymagająca, ale też dużo przyjemniejsza. No i chwalono go za to, co robił. To akurat było dlań nowym doświadczeniem. U obecnego pracodawcy także było współzawodnictwo, ale cały czas miało się poczucie, że tworzy się zespół z kolegami. Był pracownikiem firmy McKinsey. I był z tego dumny. Ledwo sobie przypominał, żeby zdarzyło mu się czuć coś takiego, kiedy pracował w służbie zdrowia.

Wszedł na siódme piętro. Wewnątrz, przy stole, siedziała stała grupka ortopedów, spożywając swój wczesny lunch.

Jak ukryć stówkę przed ortopedą? Włożyć ją do podręcznika.

Uśmiechnął się i przywitał się z nimi po drodze, ale w odpowiedzi dostał kilka zbaraniałych spojrzeń. Widać już o nim zapomnieli. Pewnych rzeczy nie dało się zmienić tu, w Haukeland. Ale może to i dobrze.

Tak jak się spodziewał, nazwisko Odda Hasselgrena pojawiło się na drzwiach pokoju zajmowanego dotąd przez Evelyn. Był to największy gabinet, a Evelyn została teraz szefową całej Kliniki Neurologii i Neurochirurgii i przeniosła się do gabinetu kierownika w starym gmachu szpitala za blokiem centralnym. Uniósł rękę, by zapukać, ale się powstrzymał. Jego spojrzenie powędrowało w głąb korytarza. Z tej czy innej przyczyny miał nadzieję spotkać tu Theę. Odkąd się zwolnił, nie miał od niej wieści. Czy domyśliła się, że to on wysłał nagranie z nią i Lohmannem do lekarza wojewódzkiego? I że to on zapewnił jej stałą posadę? Mogło się zdarzyć, że Per Irgens coś chlapanął. Nie wyrządziłby tym szkody. Mathias chciał, żeby Thea dowiedziała się, co zrobił. Nadal czuł wyrzuty sumienia po tym, co się stało. Dobrze było przynajmniej mieć świadomość, że plany Vilde spełzyły na niczym. W Nowy Rok spostrzegł ją na placu Torgallmenningen. Brzuch jej się powiększył – wyraźnie było widać kilkumiesięczną ciążę. A jednak, gdy napotkała jego wzrok, porażkę miała wypisaną na twarzy. Odwróciła się i poszła w przeciwnym kierunku, nawet się nie witając. Później dowiedział się, że wyprowadziła się z Bergen. Jej chłopaka nie zatrudniono na stałe w Haukeland, jak zaplanowała. Dlatego nie chciał przenieść się do miasta.

– O, to ty?

Kiedy Mathias się odwrócił, w drzwiach stał Odd Hasselgren. Tym razem ordynator był ubrany w coś innego niż zielona odzież operacyjna. Teraz obowiązywała go koszula i spodnie od garnituru. Mathias się uśmiechnął.

– Mogę wejść?

Hasselgren wrócił do pokoju i gestem wskazał mu krzesło przy drzwiach.

– Muszę powiedzieć, że dawno się nie widzieliśmy.

Hasselgren opadł na miejsce przy biurku. Na ustach błąkał mu się uśmiech, którego Mathias nie potrafił określić. Usiadł i położył sobie na kolanach torbę na ramię, którą miał ze sobą.

– Muszę ci pogratulować nowej pracy.

– Dziękuję!

– Jak to jest być szefem?

Hasselgren prychnął.

– Za wiele spotkań ze zbyt wieloma ludźmi, którzy mają zbyt wiele do powiedzenia.

Wolałbym poświęcać ten czas na operowanie. To dlatego zostałem chirurgiem. A ty co? Słyszałem, że jesteś ekonomistą?

– Konsultant byłby właściwszym tytułem. Zajmuję się czymś zupełnie innym niż wy tutaj, ale mimo wszystko jest to bardzo interesujące.

Hasselgren skrzyżował ramiona na piersi. Nieokreślony uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– I czego ode mnie potrzebujesz?

– Wysłałem ci kilka mejli z prośbą o wystawienie świadectwa pracy. Nie wiem, czy je widziałeś? Lohmann nie zdążył mi takiego w porę podpisać, więc...

Mathias otworzył torbę i wyciągnął z niej plik papierów. Położył je na końcu biurka Hasselgrena.

– ...tu jest lista operacji, które przeprowadziłem, razem z opisami. Fajnie by było, gdybyś mógł potwierdzić podpisem, że wszystko się zgadza... Tak, i jak już mówiłem, dobrze byłoby, gdybyś podpisał świadectwo. Wzór znajdziesz tutaj. Wystarczy go wypełnić.

Postukał palcem w stosik. Uśmiech Hasselgrena zaczął się poszerzać. Mathias rozszyfrował go teraz. Był w nim przemądrzały ton.

– Czyli nie skończyłeś jeszcze z chirurgią?

– Chcę po prostu, żeby moje papiery były w porządku.

– Nie wciskaj mi, że potrzebujesz listy operacji do pracy w konsultingu. Takie wykazy są potrzebne tylko komuś, kto ubiega się o rezydenturę w ramach chirurgii. Już stchórzyłeś?

Mathias odstawił torbę. Wciągnął zamknięty w pokoju zapach palonej kawy, który zawsze zdawał się rozpylić tu, na siódmym piętrze.

– Zdarza mi się tęsknić.

Hasselgren odchrząknął.

– Raz chirurg, na zawsze chirurg.

– Ale nie chodzę już chronicznie zmęczony, jak wcześniej. Nie muszę pracować o czwartej w nocy. Życie w trybie dobowym zwykłych ludzi jest wartością samo w sobie. A wam jak się wiedzie?

Hasselgren wzruszył ramionami.

– Cóż, jest jak zawsze. Ale brakuje nam Lohmanna. Był efektywny. Powiedz mi... Nie jesteś przypadkiem zamieszany w tę sprawę, co?

Wzrok Hasselgrena nagle stał się badawczy.

– Co, ja? Dlaczego mnie o to pytasz?

Mathias rozłożył ręce. Był miernym aktorem, ale wyglądało na to, że to wystarczyło. Hasselgren spuścił z niego wzrok.

– Nie ustaliliśmy jeszcze, kto wysłał nagranie do lekarza wojewódzkiego. To ono

wywołało całą lawinę doniesień. Pielęgniarkom i fizjoterapeutkom nagle cholernie się zachciało opowiadać o wszystkim, poczynawszy od szykan, a skończywszy na molestowaniu seksualnym...

Hasselgren powoli pokręcił głową, lecz jego usta nadal mamrotały bezdźwięczne przekleństwa. Nagle posmutniał. Lohmann miał więc przynajmniej jedną osobę na oddziale, której go brakowało.

Mathias wstał. Czas było iść. Nie miał żadnych powodów, żeby dłużej rozpamiętywać przeszłość. Szpital był stadium, które zostawił za sobą.

– Cóż, jak już mówiłem, byłbym wdzięczny, gdybyś podpisał te papiery.

– Wiesz... – zaczął Hasselgren, kręcąc głową, tak jakby chciał przyjrzeć się Mathiasowi z różnych stron.

– Wiem co?

– Kiedy tu przyszedłeś, myślałem, że węszysz za plotkami.

– Jakimi plotkami?

– O Ødegårdzie i jego chorobie.

– Ødegård jest chory?

Mathias przypomniał sobie byłego kolegę. Ostatni raz mieli ze sobą do czynienia w listopadzie. Pełnili razem dyżur. Była sobota. Ødegård pozwolił mu być głównym operatorem przy zabiegu usunięcia nowotworu. Wtedy nie wiedział dlaczego, ale Ødegårdowi trzęsły się ręce, jakby ze zdenerwowania.

– To choroba neurologiczna?

Hasselgren przytaknął.

– Coś o podłożu genetycznym. Podobno takie schorzenia nie zdarzają się rzadko tam, w Østerdalen. W każdym razie jego stan się nie poprawi. Myślę, że Ødegård zrozumiał, że nie może zostać chirurgiem. W pierwszej kolejności poprosił o zwolnienie chorobowe. Zobaczymy, co będzie dalej.

– Przykro mi to słyszeć. Pozdrów go ode mnie, jeśli będziesz miał taką możliwość.

Mathias obrócił się i położył rękę na klawiszach.

– Masz nadzwyczajny talent, Mathias. Zachęcam cię, żebyś do nas wrócił, kiedy tylko nadarzy się okazja. Może całkiem niedługo. Pomyśl o tym przynajmniej!

– Nie sądzę. Ale dzięki za propozycję.

Kiedy Mathias otworzył drzwi, przy stole ortopedów wybuchła salwa śmiechu. Śmiech wisiał jeszcze w powietrzu, gdy minął hol i ruszył dalej na klatkę schodową. Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że Marianne po raz kolejny dostała potwierdzenie, że nigdy nie dotrzymywał słowa.

Biegając w dół po schodach, zaczął przeskakiwać po dwa stopnie naraz.

„Nadzwyczajny talent”.

Czegoś takiego nie powiedział o nim nawet Per Irgens.



# Od autora

Niniejsza powieść nie jest próbą opisanego warunków panujących na Oddziale Neurochirurgii Szpitala Haukeland w Bergen. Do stworzenia postaci zainspirowały mnie w równym stopniu wrażenia z lektur i filmów, jak i wszyscy lekarze, których spotkałem w życiu, najpierw w związku z wykonywanym przez mojego ojca zawodem chirurga, następnie zaś w trakcie moich studiów i pracy w służbie zdrowia. Postać starszego lekarza, któremu nadałem nazwisko Per Irgens, jest wprawdzie luźnym nawiązaniem do neurochirurga Knuta Westera, który prowadził oddział w Bergen od 1986 do 2001 roku, a do 2010 roku zajmował stanowisko profesora, ale opisane w książce zdarzenia są fikcją. Pożółkłe drewniaki Westera nadal stoją natomiast w gablocie na oddziałowym korytarzu.

Christer Mjåset

Oslo, 2011